

**„Każdy cham
może wynająć
jacht”.**

Czy żeglarstwo
zeszło na psy

► 22



**Jak Warszawa
po powstaniu**

Syria wraca
do życia

► 15



WYSOKIE OBCASY

**Chwała bohaterom
A gwałconym kobietom?**

ALE HISTORIA

**Myśleliśmy,
że Niemcy to betka**



FOT. GETTY IMAGES, JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

MAGAZYN

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

EKIPA
MORAWIECKIEGO

**Wreszcie nowoczesna prawica
czy PiS w przebraniu.** 10

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

wyborcza

Wydawnictwo Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348398



**Ukraińcy
to nie Żydzi**
Pogromu
nie będzie?
► 4

**Martwy
delfin zamiast
Malediwów**
Rosjanie na
wakacjach ► 18

**Pierwsze
wakacje
bez dzieci**
► 31

**Klasa średnia
ludzi się,
że jest wolna**
► 26

**Dolar za
pozowanie**
Pierwsza
top modelka
► 46

**Kod dostępu
do Wyborcza.pl
na weekend**

Sobota – czwartek, 1-6 sierpnia 2026 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 12,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 178.11277, 1

Nakład 67 tys. + 322 tys. prenumerat cyfrowych

Agnieszka
Kublik

Jak wygrać wybory bez mitu smoleńskiego?

Konkluzja Międzynarodowego Zespół Biegłych badających katastrofę smoleńską, że wybuchów na pokładzie prezydenckiego tupolewa nie było, o czym pisaliśmy w piątkowej Gazecie Wyborczej, zamyka sprawę smoleńskiego zamachu.

Teraz albo Antoni Macierewicz uzna tę opinię za wiarygodną, albo będzie podważać konkluzje międzynarodowych biegłych. A to on zabiegał o umiędzynarodowienie smoleńskiego śledztwa, tak chciał obalić raport polskiego rządu.

Intuicja mi podpowiada, że Macierewicz prędzej porzuci logikę niż zamachową hipotezę.

Jak widać po trwającej już kolejny miesiąc awanturze w PiS, temat smoleński nadal w nich siedzi. Jacek Kurski, chcąc publicznie spostponować i upokorzyć Morawieckiego, sięgnął właśnie po smoleński mit, że Morawiecki i Tusk wtedy grali razem.

To najpotężniejszy zarzut, jaki można postawić w PiS komuś z PiS.

Dla żelaznego elektoratu PiS sprawa jest oczywista: wybuchy były, więc przyznanie teraz, że samolot po prostu spadł na plecy, bo załoga złamała procedury bezpieczeństwa, to byłaby zdrada.

Kurski, chcąc publicznie upokorzyć Morawieckiego, sięgnął po smoleński mit, że Morawiecki i Tusk wtedy grali razem

Zdrada tego – jak mówiła już w 2012 r. prof. Krystyna Skarżyńska – „prostego wyjaśnienia, zaspokajającego potrzebę rozumienia świata, zgodnie ze schematem niewinnie cierpiącej, wspaniałej i bezbłędnej Polski, wiecznie zagrożonej ze strony sąsiadów”.

Zwłaszcza ze strony Rosji, więc hipoteza „ruskiego zamachu” jest dla wyborców PiS naturalnym wyjaśnieniem tej tragedii.

To zdrada „wizji polityki jako bezwzględnej walki i dostrzegania wszędzie złych intencji”.

Wyrosła na dramacie sprzed 16 lat religia smoleńska jest w gruncie rzeczy po prostu figurą życia politycznego. Tu zemsta za przeszłość kreuje teraźniejszość i przyszłość. Spaja niezwykle mocno i zaspokaja fundamentalną potrzebę kontroli skomplikowanych zjawisk politycznych.

Jak PiS miałby przeżyć bez tej smoleńskiej figury ofiary? To doskonały pretekst, by znowu podważać legalność prokuratury, wyciągać „winę Tuska”, słowem grać na najwyższych i już wypróbowanych i wyborczo skutecznych emocjach.

Taka gra jest oplacalna zwłaszcza przed wyborami parlamentarnymi, które w ogóle są znowu najważniejsze, a dla Kaczyńskiego szczególnie.

Kaczyński od lat powtarza o dochodzeniu do smoleńskiej prawdy. Jak tu iść, skoro prawda już tu jest?

Trzeba ją delegalizować. ●

Indonezja Zamykają śmietnik Zachodu



Rząd w Dżakarcie ogłosił, że do 2029 r. zlikwiduje otwarte składowiska odpadów. To reakcja na śmieciową katastrofę – w miarę, jak kolejne kraje Azji i Afryki odmawiają przyjmowania śmieci ze świata, ilość odpadów w Indonezji rośnie. Zbieracze śmieci z Bantargebang, największego wysypiska na świecie martwią się, że stracą źródło utrzymania.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Robert Deziel Jr. Takiego piłkarza Legia jeszcze nie miała

Dwudziestojednoletni Amerykanin z Florydy ma przeszłość w szkółce Realu Madryt i trzy lata stażu w rezerwie Bayernu Monachium.

Chociaż od dziecka radził sobie w koszykówce, kiedy spróbował zagrać w „soccera”, wiedział, że to jest to. O jego rozwój dbał ojciec, który zachęcał go, by regularnie trenował słabszą lewą nogę. – Kiedy dotykałem piłki prawą stopą, kazał robić pompki. Warto było. Mam umiejętność gry obiema nogami.

W Hiszpanii wyładował jako 9-latek. – Nauczyłem się szybko się adaptować i patrzeć na świat w nieco inny sposób.

Młodziutki gracz lokalnego klubu był tak dobry, że zakwalifikował się do szkółki Realu Madryt. Szybko pokazał, co potrafi – w sezonie 2016/17 strzelił aż 20 goli. Doceniono go też w ojczyźnie: w 2019 r. dostał powołanie do reprezentacji USA do lat 15.

Wtedy był ofensywnym pomocnikiem i napastnikiem, dziś gra jako defensywny pomocnik. Dzieciaki chcą



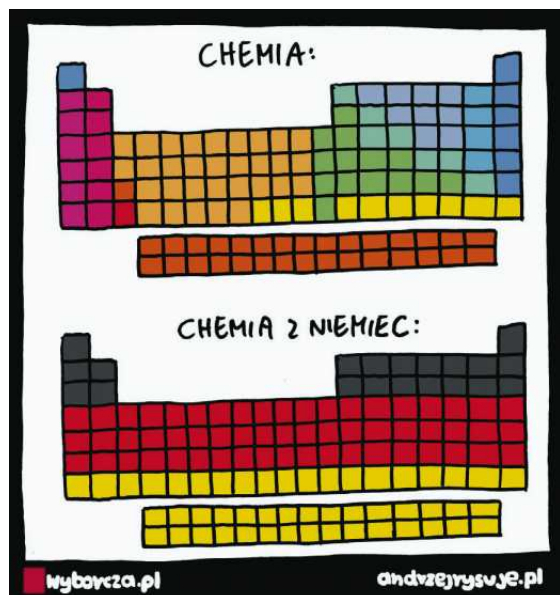
strzelać gole, być gwiazdami, ale Deziel Jr. Nie żałuje. – Zawsze lubiłem bronić, być gościem od brudnej roboty.

Gdy nastolatek, który ma niemieckie korzenie, zgłosił się na testy do Bayernu, był już tak dobry, że został przyjęty po 10 dniach.

Czy ktoś, kto już na progu kariery ma takie portfolio, nie będzie szukał okazji, by katapultować się na Zachód? – Transfer do Legii był wielkim krokiem. To wielki klub z wielkimi ambicjami. ●

• Cała rozmowa na Sport.pl.

Andrzej rysuje



Cytat tygodnia

„Lewacki łachudra, przestępca, złodziej”



PREZYDENT ARGENTYNY
JAVIER MILEI

o prezydencie Brazylii Inácio Luli da Silvę na wiecu Flavio Bolsonaro, syna byłego prezydenta Brazylii, trumpisty Jaira Bolsonaro

FOT: PAP/PEA

Liczba tygodnia

116

MLD DOL.



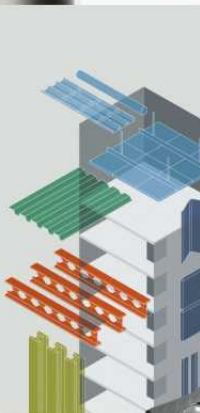
jeszcze jest wart rynek „energetyków” w Indiach. Jeszcze, bo tamtejszy regulator ds. żywności zakazał nazywania „napojami energetycznymi” produktów z wysoką zawartością kofeiny, a także sformułował „pobudza ciało i umysł”, czy „pomaga w ogólnym osłabieniu”. Firmy obawiają się spadku zysków, bo dla Pepsi, Red Bulla czy Monster Beverage Indie to rynek ważniejszy niż USA czy Chiny – w ciągu 15 lat sprzedaż wzrosła o 100 proc., roczny wzrost to blisko 13 proc.

• Więcej na Wyborcza.biz



20. rocznica 2026

XCarb®
Towards net zero steel



years

Inteligentna stal dla nas i dla naszej planety

Od dwóch dekad rozwijamy się, nieustannie przesuwając granice możliwości stali – tworząc rozwiązania bezpieczniejsze, inteligentniejsze i bardziej zrównoważone. Fundamentem naszych działań jest jakość, a motorem – innowacje i zaangażowanie naszych pracowników. Dzięki temu współtworzymy infrastrukturę, wspieramy rozwój przemysłu i tworzymy symbole współczesnego świata.



Zaklinanie kruchości



Niepokoi nas nie to,
że Ukraińcy czy Syryjczycy
nie pasują do obrazu uchodźcy.
Niepokoi nas to,
że pasują
do obrazu nas samych.

Ignacy Dudkiewicz

Siedzimy przy stole. Żona, ja i znajoma Ukrainka. Następnego dnia wraca do kraju. Opowiada o przerwach w dostawach prądu, że trudno rzeczy mrozić, bo energia zawsze może zniknąć. Ale też o tym, że w Polsce boi się odbierać telefon w komunikacji miejskiej. Boi się mówić po ukraińsku. Albo nawet po polsku, ale z akcentem. Bo nie wie, co będzie, gdy komuś się to nie spodoba. Pokiwaliśmy z żoną głowami. „To straszne” – powiedzieliśmy. „Wstyd” (a, jak mawiał Karol Modzelewski, „za rodaków wstydi się tylko patriota”). „Trudno uwierzyć, jak szybko zmieniła się atmosfera”. „Tak, tak, okropne to wszystko”. Były w tej rozmowie współczucie, oburzenie i bezsilność. Wszystko, czego człowiek potrzebuje, żeby przez chwilę poczuć się przyzwoicie, nie robiąc właściwie nic.

Wróciła więc do mnie fraza Jana Krzysztofa Kelusa z jego niezwykłej „Ballady o szosie E-7”: „I co odpowiem, gdy ktoś mnie spyta: gdzie wtedy byłeś”. Wygrała we mnie pokusa refleksji o tym, jakim człowiekiem okazał się przed trybunałem przyszłości.

To moralny narcyzm czyniący doświadczenie krzywdzonych osób – nie tylko Ukraińców i Ukrainek, ale też osób z innych krajów – dekoracją własnego dramatu sumienia.

Na chwilę odrzucam więc słowo „ja”. Skupiam się na „wtedy”. Czyli: właściwie kiedy? Czy ludzie żyjący w czasie, który po latach być może zostanie opisany jako okres

niepowstrzymanego narastania przemocy, wiedzą, że właśnie w nim żyją? Kiedy zaczyna się czas, za który kiedyś będziemy rozliczani? Kiedy seria pojedynczych zdarzeń zamienia się w linię prowadzącą już tylko do katastrofy?

To w gruncie rzeczy nieważne. Nie trzeba wiedzieć, czy żyje się „wtedy”, czy ono już przyszło, żeby wiedzieć, co jest do zrobienia dzisiaj.

W maju na Moście Świętokrzyskim w Warszawie grupa około dziesięciu osób zaatakowała nastolatków rozmawiających po ukraińsku i rosyjsku. Jeden z chłopców miał pękniętą czaszkę, innego napastnicy próbowali przerzucić przez barierkę – czyli zabić. Gdy padały ciosy, poszkodowani słyszeli: „Wypierdalać do Ukrainy”.

W lipcu w autobusie w Bielsku-Białej dorosły mężczyzna wulgarnie wyzywał ukraińskie nastolatki. Jedna z dziewczyn nagrała zdarzenie.

Kilka dni wcześniej dwóch mężczyzn próbowało przeprowadzić „kontrolę” firmy prowadzonej przez Ukrainkę w Poznaniu. Pytali o Banderę, „zmianę struktury etnicznej” i domagali się wpuszczenia do biura.

W czerwcu ukraińskiego czternastolatka uderzył w twarz ojciec innego chłopaka, który wyzywał ofiarę na tle narodowościowym.

4 lipca we Wrocławiu nastolatek został pobity przez kilkunastu napastników, gdy skończył rozmowę przez telefon po ukraińsku.

Na polskich drogach i dworcach pojawiły się „patrole” ludzi udających funkcjonariuszy państwa, którzy próbowali bezprawnie kontrolować obcokrajowców.

W Czerwonym Borze doszło do agresywnego pochodu pod ośrodkiem dla cudzoziemców.

Niszczone są ukraińskie symbole czy – jak w Krakowie – grób ukraińskiego pisarza.

W Warszawie podpalono ukraińską restaurację.

Prawo jest wadliwe, służby bywają niekompetentne, materiał dowodowy niewystarczający, by udowodnić ksenofobiczne podłoże każdego z tych zdarzeń. Jest ich jednak zbyt dużo, by prokuratorskie kwalifikacje miały tu znaczenie.

Atmosfera już się zmieniła. Obcokrajowcy w Polsce zaczynają się ukrywać. Badania jakościowe Oleny Babakovej i Przemysława Sadury pokazują, że Ukraińcy i Ukrainki wyraźnie odczuwają pogorszenie ich relacji z Polakami. Część świadomie pracuje nad pozbyciem się akcentu, unikają używania języka ukraińskiego w miejscach publicznych. Dokładnie tak jak nasza znajoma.

Badania opinii publicznej również pokazują, jaka zaszła zmiana. Według raportów CBOS wiosną 2022 roku 94 procent badanych popierało przyjmowanie uchodźców z Ukrainy. Pod koniec 2025 roku było to 48 procent przy 46 procentach przeciwnych. Na początku 2026 roku niechęć do Ukraińców deklarowało 43 procent badanych, sympatię – 29 procent.

Jeszcze trzy lata wcześniej proporcje były odwrotne.

Norma się zmieniła. Antyukraińskie – antysemitckie, antyuchodźcze, islamofobiczne – żarty przestały kosztować. Politycy nie przepraszają za dowolnie obrzydliwe sugestie i szczucie, jakim jest poszukiwanie w administracji publicznej urzędników o „niewystarczająco pol-

skim” pochodzeniu. „Kontrolowanie obcych” dla wielu uszu zaczyna brzmieć dokładnie jak „obywatelska troska”.

Ale czy to znaczy, że zbliża się zbiorowa agresja? Czy ta osadzająca się na przystankach, w autobusach, szkołach, sklepach i parkach przemoc przerodzi się niebawem, jak sugerują niektórzy, w pogrom?

Jacek Pałasiński, nestor polskiego dziennikarstwa zagranicznego, mówi to wprost: „narasta atmosfera pogromu”. Galopujący Major twierdzi, że „Ukraińcy w Polsce stają się dla prawicy przedwojennymi Żydami”. W „mediach społecznościowych” – używam cudzysłowu, bo te platformy reklamowe nie zasługują na żadne z tych określeń – podobnych głosów jest coraz więcej.

Przy okazji 100. urodzin Mariana Turskiego, gdy redaktor naczelny „Polityki” Jerzy Baczyński odwołał się właśnie do owej „atmosfery pogromowej”, krótko rozmawiałem o tym z dwoma profesorami: wybitnymi badaczami uprzedzeń, przemocy i historii społecznej. Obaj byli sceptyczni. Twierdzili, że aby doszło do pogromu, nie wystarczy narastająca społecznie niechęć, że seria w oczywisty sposób wartych potępienia napaści nie musi do niego prowadzić. Przekonywali, że do zaistnienia pogromu potrzebne są również szczególne okoliczności: kryzys społeczno-gospodarczy, rozpad ładu, gwałtowne poczucie utraty, słabość instytucji. A więc wojna, gdy dokonano mordu w Jedwabnem. A więc powojnie, gdy miejsce miały pogromy krakowski czy kielecki. A więc

napięty czas 1981 roku, gdy miał miejsce antyromski pogrom oświęcimski, czy kryzysowe lata 90., gdy doszło do również antyromskiego pogromu mławskiego.

Tymczasem dzisiejsza Polska jest przecież – usłyszałem – społeczeństwem prosperity.

Bardzo chciałbym im wierzyć. Nadal chcę.

Ich argumentacja jest mocna nie tylko przez wzgląd na ich ogromny dorobek. Po prostu: pogrom to nie to samo co większa liczba przestępstw z nienawiści. To szczególnie forma zbiorowej przemocy: atak tłumu na grupę etniczną lub religijną obejmujący ludzi, mienie albo oba te elementy. Wymaga to nie tylko zapłonowego incydentu, ale także mobilizacji, często poczucia bezkarności czy też społecznego przyzwolenia oraz określonej postawy władzy (czy prawomocnej, czy okupacyjnej). Pogrom nie jest mechanicznym wynikiem uprzedzeń. Jest wypadkową politycznych bodźców, kontekstu gospodarczo-społecznego, kształtu lokalnych sieci, plotek, siły organizatorów oraz reakcji (lub jej braku) instytucji państwowych i społecznych.

Może więc profesorowie mają rację. A jednak po naszej rozmowie – krótkiej, pozbawionej koniecznego pogłębienia (z tego też powodu nie podaję ich nazwisk, by przypadkiem nie spłycić ich stanowiska) – ulga trwała niewiele dłużej.

Bo skąd wiemy, że przyszła przemoc – jeśli przyjdzie – będzie potrzebowała rzeczywiście takich samych warunków jak przemoc przeszła? I czy polska sytuacja społeczno-ekonomiczna jest rzeczywiście tak dobra, by poczucie krzywdy oraz brak poczucia bezpieczeństwa nie były wystarczająco silne, by stworzyć odpowiedni kontekst dla koszmarnych wydarzeń? Może obecny kryzys jest inny, rozproszony, ale równie brzemienny w skutki?

Historia dostarcza wzorów. Ale nie zawsze przystają one do tu i teraz. Nie żyliśmy dotąd w społeczeństwie zarazem tak jako całość zamożnym, z bardzo nierówno dystrybuowanym bezpieczeństwem, zatomizowanym, karmionym politycznym przyzwoleniem na wykluczenie i połączonym platformami. Co czyni je zdolnym do zsynchronizowania emocji – od wzruszenia i porywu serc, jak w akcji Łatwoganga, po gniew – w kilka godzin. Czy na pewno wiemy, jak takie społeczeństwo działa?

Nie wiem, czy w Polsce istnieje dziś potencjał pogromu. Podejrzewam, że nikt tego nie wie. Myślę jednak, że argument zamożności i prosperity jest słabszy, niż się wydaje.

Polska naprawdę odniosła sukces. Wzrosły dochody, spadło bezrobocie, zmieniły się miasta i materialny poziom życia. Również w 2025 roku gospodarka rosła. Doskoczyliśmy do grona około 20 najsilniejszych gospodarek świata, możemy realnie myśleć o członkostwie w G20. A skoro tak, to powinniśmy nie być podatni na przemoc charakterystyczną dla społeczeństw rozpadu.

Ale PKB nie mieszka w mieszkaniu, które nigdy nie będzie jego, nie czeka do specjalisty i nie zastanawia się, czy dzieci będą miały gdzie żyć. OECD ocenia, że nieco ponad jedna trzecia polskich gospodarstw domowych znajduje się w „luce najmu”: zarabia za dużo, by dostać mieszkanie komunalne, ale za mało, by rozsądnie udźwignąć rynkowy czynsz lub kredyt. Długie kolejki i niezaspokojone potrzeby zdrowotne wypychają tych, którzy mogą zapłacić, do sektora prywatnego.

Profesor Małgorzata Jacyno, socjolożka, twierdzi wręcz, że w polskiej (i nie tylko) ochronie zdrowia toczy się dosłowna walka na śmierć i życie – i że wygrywa ją bogaci.

To właśnie te dwa dobra – mieszkanie i zdrowie – najwyraźniej wyznaczają granicę między życiem możliwym do zaplanowania a takim, w którym jedno zdarzenie uruchamia lawinę utraty statusu.

W kwestii nierówności dochodowych w Polsce nie jest (jeszcze?) tak dramatycznie jak w wielu innych miejscach świata. Jednocześnie majątek jest silnie skoncentrowany: według World Inequality Report najbogatsze 10 procent polskiego społeczeństwa posiada około 62 procent majątku, najbogatszy 1 procent – ponad 30 procent, gdy dolna połowa ma łącznie ujemny majątek netto. Czyli łączne długie połowy Polek i Polaków przewyższają ich łączny majątek.

Innymi słowy, żyjemy w kraju relatywnie wyrównanych bieżących dochodów i bardzo nierówno rozdzielonej zdolności do przetrwania kryzysu. Nie jesteśmy społeczeństwem powszechnej nędzy. Jesteśmy za to prawdopodobnie społeczeństwem rozpowszechnionego lęku przed degradacją.

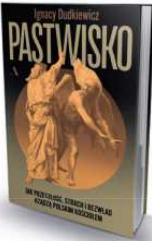
Teoria deprywacji względnej podpowiada przy tym, że frustracja nie musi być największa tam, gdzie ludzie mają najmniej. Rośnie także wtedy, gdy obiecany awans



Ignacy Dudkiewicz

• Ur. w 1991 r., filozof, bioetyk, publicysta działacz społeczny. Były redaktor naczelny „Magazynu Kontakt”. Związany z Klubem Inteligencji Katolickiej.

• Zajmuje się przede wszystkim tematyką wiary, Kościoła, bioetyki, działalności obywatelskiej oraz wykluczenia społecznego. Autor książki „**Pastwisko. Jak przeszłość, strach i bezwład rządzą polskim Kościołem**”.



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCIA WYBORCZA.PL

się oddała albo nasza pozycja wydaje się zagrożona. Niechęć do migrantów może wzrastać zarówno wśród tych, którzy czują się pokrzywdzeni, jak i tych, którzy mają wiele i boją się to stracić.

Bieda nie produkuje faszyzmu. Brak mieszkania nie czyni rasistą. Kolejka do lekarza nie każe bić ludzi z obcym akcentem. Wielu ludzi dotkniętych niepewnością odpowiada solidarnością, nie przemocą.

Deprywacja jest paliwem, nie kierownicą. Nie wyjaśnia, dlaczego gniew ma zostać skierowany przeciw Ukraince w autobusie zamiast przeciw polityce mieszkaniowej, niewydolności ochrony zdrowia, osłabianiu związków zawodowych, dyktaturze oligarchii miliarderów albo systemowi podatkowemu.

Kierunek trzeba nadać. Robią to politycy, „media społecznościowe” i stojący za nimi biznes, a szerzej także inni najmożlijsi tego świata. Używają do tego opowieści, polaryzacji i algorytmów. „Oni mają pierwszeństwo do lekarza”. „Oni dostają mieszkania”. „Żyją z naszych podatków”. „Przyjechali dobrymi samochodami, więc żadni z nich uchodźcy”. „Skąd mają smartfony?”. „To sami młodzi mężczyźni”. „Będą krzywdzić nasze kobiety”.

To opowieści rozplenione jak chwasty. Trudno ustalić, skąd przyszły. Łatwo je rozsiewać. Niemal niemożliwe, by je wykorzenić. Ich siła polega na tym, że podpinają się pod prawdziwe doświadczenie niedoboru. Kolejka do lekarza istnieje, mieszkania są absurdalnie drogie, praca bywa niestabilna. Migranci nie stworzyli tych problemów, ale na pierwszy rzut oka stają się najbliższymi, najlepiej widzialnymi konkurentami w systemie zaprojektowanym wokół braku, konkurencji o zasoby i zysku skrajnie małej grupy beneficjentów.

To nie wina „wad narodowych”, „braku edukacji” czy „ciemnoty”. To konsekwencja całociowego kształtu gospodarki i społeczeństwa: stanu usług publicznych, ekonomii opartej na długu, atomizacji i alienacji, przemian komunikacji, a także nierówności majątkowych (w skali globalnej bezprecedensowo wielkich) oraz w dostępie do elementarnie ważnych dóbr, jakimi są mieszkania i zdrowie.

Czego uczą publiczne spektakle wydalenia cudzoziemców za wykroczenia w rodzaju wejchania, gdzie nie wolno czy przeskoczenia barierki na koncercie

Realnym sprawcom takiego stanu rzeczy opłaca się, by społeczny gniew został skierowany nie przeciw nim – co uczynił w jednoosobowym akcie Luigi Mangione zabijający CEO UnitedHealth Group Briana Thompsona – lecz przeciw innym słabym.

Mechanizm jest ten sam co wtedy, gdy wielkie firmy naftowe i hodowlane tną puszcę amazońską, nasylając jednych ubogich – lokalnych robotników – na innych ubogich – rdzenne społeczności. Sami zaś pozostają poza kadrem oraz, co ważniejsze, poza polem rażenia konsekwencji. Miliarderzy – zwłaszcza technologiczni – są dziś tak potężni, że w istocie nietykalni. Są też zdolni do kreowania kozłów ofiarnych, co nie rozwiązuje w żaden sposób prawdziwych przyczyn konfliktów na polu dystrybucji majątku i poczucia bezpieczeństwa, ale oferuje uludę ich zrozumienia.

To dlatego tak łatwo politykom – i zaprogramowanym botom – mówić o pierwszeństwie Polaków w dostępie do ochrony zdrowia czy świadczeń, a tak trudno zbudować system, w którym lekarz i mieszkanie nie są dobrami reglamentowanymi. Ukraińscy migranci pracują, płacą podatki i – według analiz Banku Gospodarstwa Krajowego – mają dodatni wpływ na polskie PKB, rynek pracy i finanse publiczne. Fakty przegrywają jednak z doświadczeniem kolejki. Zwłaszcza gdy ktoś cierpliwie i dobitnie tłumaczy, kto rzekomo stoi w niej przed nami.

Mechanizm ten można streścić w czterech zdaniach. Niepewność daje paliwo. Polityka i „social media” wskazują winnego.

Sieci i magnaci technologiczni kontrolujący algorytmy nakręcają polaryzację oraz umożliwiają mobilizację. Państwo ustala cenę przemocy.

Pytanie, czy za jakiś czas nie stanie się ona wystarczająco niska, by tłum zdecydował się ją zapłacić.

●
Zygmunt Bauman przekonywał, że uchodźcy budzą lęk nie tylko dlatego, że są inni. Są także posłańcami złych wiadomości. Przypominają, że bezpieczeństwo, które uznajemy za naturalne, może zniknąć; że ludzie, którzy jeszcze niedawno mieli domy, zawody, samochody i plany, nagle stracili wszystko. Ich obecność uświadamia nam niestabilność życia – a więc także to, że również my nie możemy być pewni własnego losu.

Także z tego rodzą się sarkania na ukraińskie samochody i telefony, a wcześniej na syryjskie ciuchy i smartfony. Uchodźca powinien „wyglądać jak uchodźca”: być biedny od zawsze, wdzięczny, cichy, najlepiej pozbawiony codziennych rzeczy i atrybutów cywilizacji, które sprawiają, że możemy zobaczyć w nim własne odbicie. Dobry samochód jest traktowany jako dowód oszustwa.

A przecież powinien być dowodem czegoś przeciwnego. Człowiek może mieć samochód, mieszkanie, pracę, ulubioną restaurację, plany wakacyjne i przyjaciół. A potem na jego dom spadają rakiety. Nie jedzie starym autem dlatego, że zawsze był biedny, bo nie był. Jedzie do brym autem dlatego, że jeszcze tydzień wcześniej jego życie przypominało nasze. Gdy sobie to uświadomimy, pojawia się myśl, której być może najbardziej nie chcemy do siebie dopuścić: o kurwa, to możemy być my.

Niepokoi nas więc nie to, że obserwowani przez nas ludzie nie pasują do obrazu uchodźcy. Niepokoi nas właśnie to, że pasują do obrazu nas samych. Niechęć i uproszczenia pozwalają tę myśl odepchnąć. Jeśli uchodźca jest roszczeniowy, niewdzięczny albo sam winny swojemu losowi, przestaje być zwiastunem naszej możliwej przyszłości. Znowu staje się kimś zasadniczo innym.

W tym sensie wrogość wobec migrantów jest nie tylko konfliktem o zasoby, ale także zbiorowym zaklinaniem kruchości, do której nie chcemy się przyznać i za którą – znów – odpowiada zupełnie kto inny niż migranci.

●
A może przesadzam? Może turbokapitalizm, który wytwarza nie tylko nierówności i niepewność, ale także samotność, właśnie dlatego, paradoksalnie, sam się obroni?

Znamy tę piosenkę. Rozpadły się wielkie organizacje, osłabły związki zawodowe, partie przestały być masowe, parafie tracą wspólnotowy charakter, sąsiedzi coraz rzadziej znają się naprawdę. Pracujemy w różnych rytmach, mieszkamy obok siebie, a nie ze sobą, wspólnoty zastępujemy subskrypcjami itepe, itede. Może – jakkolwiek potwornie to brzmi – już nawet pogromu nie umiemy zrobić razem, gdy każdy siedzi sam przed własnym ekranem.

To jednak pociecha, która nie jest ani realnie kusząca, ani prawdziwa.

Przemiany komunikacji nie zlikwidowały tłumy. Uwolniły go za to od konieczności wcześniejszego współlistnienia. W praktyce oznacza to, że plotka może się dziś nieść szybko jak nigdy wcześniej. Nie musimy znać sąsiadów czy należeć razem z nimi do czegośkolwiek wspólnotowego, by w godzinę zobaczyć ten sam ściek nakręcenia, polaryzacji, nienawiści i – często – kłamstwa, który sprawi, że uwierzimy w swoją dziejową powinność wymierzenia sprawiedliwości czy stanięcia w obronie „swoich” przeciw „obcym”. A że wydarzy się to w wyniku sytuacji na ogół albo nieprawdziwej, albo niepotwierdzonej, albo obudowanej z kłamną interpretacją?

Tak właśnie tworzy się pogrom.

W czerwcu 2026 roku w Belfaście pochodzący z Sudanu nożownik zaatakował Irlandczyka, który odniósł poważne rany. Rodzina poszkodowanego apelowała o pokojowe protesty, wskazywała na cenny wkład migrantów w społeczeństwo, krytykowała fałszywe informacje na platformach społecznościowych. Nie pomogło. Tłum ruszył w miasto, namierzając domy zamieszkiwane przez obcokrajowców. W sieci publikowano adresy. 27 osób straciło dach nad głową. Jedną rodzinę strażacy wy-

prowadzali z już płonącego budynku. Płonęły sklepy i zakłady usługowe.

Belfast ma niskie bezrobocie, ale też nierówno rozdzielone bezpieczeństwo: mieszkają się tu kryzys mieszkaniowy, trwała deparyacja części dzielnic oraz odziedziczona po wcześniejszych konfliktach etniczno-religijnych wiedza o tym, jak organizuje się ulicę przeciw „obcym”.

W 2023 roku podobne wydarzenia miały miejsce w Dublinie. Irlandia była wtedy krajem wysokiego zatrudnienia i imponujących wskaźników gospodarczych, a zarazem państwem wyniszczonym kryzysem mieszkaniowym.

W obu sytuacjach – mimo różnic we wskaźnikach ekonomiczno-społecznych – do wybuchu gniewu nie trzeba było więc gospodarczego kolapsu. Wystarczyły realna frustracja, utrwalone narracje, wydarzenie zapalne oraz cyfrowa infrastruktura, która skleiła je w całość.

To nie znaczy, że każda internetowa nienawiść w każdych warunkach doprowadzi do wybuchu rozruchów. Ale nie możemy się pocieszać intuicją, jakoby rozpad więzi czy atomizacja miały ten pozytywny skutek uboczny, że oznaczają brak zdolności do zbiorowego działania – w tym przemocy. Być może jest dokładnie odwrotnie: ponieważ coraz gorzej umiemy budować wspólnoty długiego trwania, coraz łatwiej budujemy wspólnoty wokół chwilowego wroga. Nie umiemy już być razem przez lata. Właśnie dlatego potrafimy się zebrać przeciw komuś w godzinę.

●
Intryguje wreszcie możliwość poszukiwania pociechy najbardziej cynicznej. Czy przed pogromem nie chroni nas bowiem draństwo państwa?

Nowoczesne państwo zachowuje – a niekiedy i gdzieś tam tylko udaje, że jest w stanie to zrobić – monopol na przemoc. Ma policję, prokuraturę i sądy. Może zatrzymać człowieka, który wyzywa ukraińskie dzieci w autobusie. Może postawić zarzuty członkom samowolnych patroli. Może rozproszyc tłum, zanim komuś stanie się krzywda.

To nie są drobiazgi. Zachowanie instytucji należy do najważniejszych czynników rozstrzygających, czy napięcie i rozproszona przemoc przerodzą się w przemoc zbiorową. I czy uda się ją ugasić, zanim zginą ludzie lub spłoną domy.

Ale państwo może także zagospodarować społeczne pragnienie wykluczenia i nadać mu formę procedury. Nie musicie wypędzać – to my uszczelnimy granicę. Nie musicie tworzyć patroli – my ich skontrolujemy. Nie musicie nikogo bić – my deportujemy każdego „obcego” za dowolnie małe przewiny. Nie musicie mówić, że jedni zasługują na prawa bardziej niż inni – wpiszemy tę różnicę do ustawy. Temu służą publiczne spektakle wydalenia cudzoziemców za wykroczenia w rodzaju wjechania, gdzie nie wolno, przeskoczenia barierki na koncercie czy złowienia ryby z naruszeniem przepisów. Państwo ma prawo egzekwować przepisy, ale przecież nie o nie tu chodzi. Deportacje tego rodzaju to polityczne widowiska mające być dowodem na to, że władza „robi porządek”, że ktoś jest usuwalny, że gniew znalazł adresata.

Równolegle w odpowiedzi na wykreowane poczucie zagrożenia wykreowano także obrońcę. Na granicy polsko-białoruskiej już od lat działa system przemocy wojskowo-administracyjnej wobec osób przedstawianych jako zagrożenie, „broń” Łukaszenki, element „wojny hybrydowej”.

Instrumentalizacja migrantów przez białoruski reżim jest faktem – nikt tego nie neguje. Nie wynika jednak z tego utrata praw do życia, azylu, pomocy medycznej czy indywidualnego traktowania. Nie wynika konieczność stosowania dehumanizacji przez polskie władze – a również w tej sprawie nic się nie zmieniło po 2023 roku. Polityczny język „obrony granicy” pozwolił przesunąć grani-

ce moralnej wyobraźni: cierpienie po drugiej stronie płotu stało się nie skutkiem naszych decyzji, lecz częścią krajobrazu bezpieczeństwa. Nieincydentalne strzelanie do cywili jest już tylko kolejnym logicznym krokiem do wykonania.

To nie pogrom, choć ludzie giną tam jedynie ze względu na to, skąd pochodzą i kim są. To przemoc bez tłumy, wykluczenie ubrane w mundur, uzbrojone w karabin i formularz, to też rozproszenie odpowiedzialności pomiędzy funkcjonariusza, ustawę, rozkaz, procedurę oraz obywatela mówiącego: „To nie ja”.

Czy restrykcyjność państwa rzeczywiście rozładowuje społeczne pragnienie przemocy? A może przeciwnie: uczy, że przemoc, wykluczenie, dyskryminacja są uzasadnione, tylko trzeba zadbać o pieczęć? Jedno i drugie może dziać się równocześnie. Państwo może powstrzymać wybuch zbiorowej furii, a zarazem normalizować hierarchizowanie wartości ludzi na podstawie koloru skóry lub akcentu.

■
*Nie żyliśmy dotąd
w społeczeństwie zarazem tak
zamożnym, tak nierównym,
tak zatamizowanym i tak
połączonym platformami
społecznościowymi*

●
A jednak porównania obecnej sytuacji Ukrainy i Ukraińców do losu Żydów przed wojną budzą mój częściowy opór. Nie dlatego, że wszystko jest dobrze. Dlatego, że analogia zbyt łatwo zamienia historię w scenariusz ze znanym zakończeniem.

Dzisiejsza Polska nie jest Polską lat 30. Ukraińcy nie zajmują w niej tej samej pozycji prawnej, społecznej ani symbolicznej co Żydzi w międzywojniu. Państwo jest inne, instytucje są inne, międzynarodowy porządek jest inny, inny jest także krajobraz społeczno-ekonomiczny. Porównanie może zacierać specyfikę antysemityzmu i Zagłady, a jednocześnie oferować tanią pewność, że wiemy, co będzie dalej.

Nie wiemy. Możemy natomiast rozpoznać mechanizmy bez ogłaszania tożsamości epok: nakładanie zbiorowej winy, opowieści o przywilejach, język „pasożyta”, warunkową gościnność, podejrzliwość wobec języka i symboli, samowolną kontrolę obcych, przejście od „nie lubię ich” do „trzeba coś z nimi zrobić”.

Historia nie powtarza się jeden do jednego, zmieniając tylko kostium. Mimo to widzimy, że ludzie nadal potrafią zamieniać skomplikowane zjawiska w prostą opowieść o grupie, która zabiera, zagraża i nie przynależy.

A jednak nawet ta lista nie odpowiada na pytanie o przyszłość. Być może rzeczywiście do żadnego zbiorowego wybuchu nie dojdzie. Być może rację mają ci, którzy wskazują na polski dobrobyt, mimo wszystko stabilność państwa, brak wielkiego kryzysu i codzienną koegzystencję milionów ludzi. Nadal ogromna część Polek i Polaków wspiera Ukrainę; nadal ludzie pracują razem, kolegują się, zakochują, wychowują dzieci, pomagają sobie.

Przemoc jest realna, jest jej coraz więcej, ale wciąż nie stanowi ona o kształcie całego, a pewnie nawet większości społeczeństwa. Może więc nasza przyszłość rzeczywiście nie będzie miała formy pogromu.

Jednak już teraz niebezpieczeństwo przybiera formę tysięcy drobnych korekt zachowania. Nie odbieraj telefonu. Nie mów głośno. Zdejmij flagę. Nie poprawiaj, gdy ktoś kłamie. Nie zgłaszaj, bo będzie gorzej. Bądź wdzięczny. Nie rzucaj się w oczy. Płać podatki i stale przypominaj, że

je płacisz. Zasługuj na prawo do obecności, którego inni nie muszą uzasadniać.

W raporcie Babakovej i Sadury pada zdanie niepozorne, a jednocześnie tak mocne, że być może mówi o nas więcej niż statystyki: „Mamy tu znajomych, ale nie mamy przyjaciół”. Ukraińcy stali się częścią polskiej gospodarki, lecz niekoniecznie częścią polskiego społeczeństwa.

To ważne także z perspektywy badań nad przemocą: gęste więzi międzygrupowe mogą hamować eskalację, utrudniając zamianę konkretnego sąsiada w abstrakcyjnego wroga.

Najlepszą ochroną przed przemocą nie byłaby więc prosperity – ona może dalece nie wystarczyć. Jest nią wspólnota. Nie wspólnota narodowego „my” przeciw „nim”, lecz wspólnota powszechnych usług, instytucji i więzi. Taka, w której migrant nie musi stale udowadniać użyteczności, walka o mieszkania nie jest walką Polaków z Ukraińcami o zbyt małą liczbę lokali, szkoła daje rodzicom szansę, by przestali być dla siebie obcy...

Jeśli źródła wrogości są strukturalne, nie wystarczy apelować, żeby ludzie byli miłsi, douczyli się historii czy zachowywali się przyzwoicie. Ale jeśli są również polityczne i kulturowe, nie wystarczy zbudować mieszkań i skrócić kolejek. Sprawiedliwe państwo nie zastąpi odwagi; odwaga jednostki nie zastąpi sprawiedliwego państwa.

●
Wracam do rozmowy ze znajomą.

Ona zmieniła swoje zachowanie. Ja – na razie – nie zmieniłem niczego. Mogę pisać. Mogę reagować, kiedy ktoś kłamie. Mogę stanąć obok osoby atakowanej, nawet nie wchodząc w konfrontację z napastnikiem. Mogę zadzwonić po pomoc, zostać świadkiem, nie pozwolić, by zaatakowany człowiek został sam. Mogę pytać, czy w redakcjach, organizacjach i debatach mówimy o Ukraińcach i migrantach, czy również z nimi (niezmiennie polecam wydane przez „Magazyn Kontakt” dwie edycje „Pamiętników uchodźczych”). Mogę wspierać instytucje, które budują więzi. Mogę się domagać mieszkań, ochrony zdrowia i bezpieczeństwa dla wszystkich.

Żadna z tych rzeczy nie daje poczucia bycia bohaterem. I dobrze. Fantazja o tym, jak zachowalibyśmy się w 1938 roku w Niemczech, bywa wygodniejsza od pytania, co jesteśmy winni człowiekowi siedzącemu obok nas w roku 2026.

Nie wiem, czy żyjemy w atmosferze pogromowej. Być może to określenie jest nieprecyzyjne, przedwczesne, przesadne. Być może w Polsce nie wydarzy się żaden pogrom, a historycy przyszłości nie będą musieli nazwać obecnego czasu „przedpogromiem”. Oby, choć obawy przeważają u mnie nad nadzieją. Ale nie trzeba czekać na pogrom, żeby wiedzieć, że dzieje się coś horrendalnie złego. Nie trzeba masowego wybuchu, gdy już teraz tworzymy społeczeństwo, w którym mniejszość porusza się ostrożnie, mówi ciszej i stale oblicza ryzyko. Przemoc nieskondensowana, lecz rozproszona – w autobusie, na moście, pod ośrodkiem, przy granicy, w urzędniczej decyzji, politycznym przemówieniu – to wciąż radykalna przemoc.

Nie trzeba rozstrzygać, czy te punkty ułożone już w linię wyrysują nam kiedyś na społecznym płótnie wybuch furii, żeby zobaczyć człowieka, który już dzisiaj boi się mówić we własnym języku. Nie trzeba przewidywać przyszłości, żeby odmówić udziału w społecznym „wytwarzaniu” obcego. Nie trzeba mieć pewności, że stoimy u progu katastrofy, żeby domagać się tworzenia instytucji zdolnych jej zapobiec.

Może to nie atmosfera pogromowa. Może to „tylko” codzienny reżim zastraszenia.

Gdy ktoś kiedyś zapyta, gdzie wtedy byłem, nie chcę odpowiedzieć, że czekałem na czyjąkolwiek zgodę, by uznać, że „to” zasługuje na wystarczająco wielkie słowo. Nasza odpowiedzialność nie zaczyna się wtedy, gdy wiemy, że żyjemy „wtedy”. Zaczyna się dziś właśnie dlatego, że nigdy tego nie wiemy. ●



FOT. JĘDRZEJ ŚLÓDKOWSKI

• Tę noc spędzam w kijowskim metrze. Mijam samotnych, pary z psami i rodziny z dziećmi. Podłogę można by lizać – pracownicy metra pucują ją przez cały dzień.

– Dobrze, że w nocy nie było alarmów – mówię do O., kiedy zwlekam się z łóżka. – Jak to nie było? – patrzy zdziwiona. Cholera – myślę – lepiej nie spać w zatyczkach.

Jędrzej Ślódkowski

KORRESPONDENCJA Z KIJOWA

CZWARTEK

Uch – jak gorąco! Puff – jak gorąco! Uff – jak gorąco! Ruszyła maszyna po szynach ospale. Ruszyła ze stacji Chelm – i zaraz stanęła. Kontrola na granicy z Ukrainą. Choć minęła już północ, w moim przedziale sypialnym panuje temperatura jak w piekarniku. – Włączą klimatyzację. Ale dopiero po ukraińskiej stronie – zapewnia sąsiadka z przedziału. Opuszczam Polskę, od tygodni rozedrganą Ukrainą: nadaniem przez prezydenta Zelenskigo imienia Bohaterów UPA jednostce wojskowej, odebraniem mu Orderu Orła Białego, rocznicą rzezi na Wołyniu, nagonką na rząd za rzekome przekazanie Ukrainie strategicznej broni, codziennymi doniesieniami o atakach na Ukraińców. Wjeżdżam do Ukrainy (klima się włącza), która, poza odpieraniem rosyjskiej agresji, żyje zgola czym innym. Wszystkie trzy towarzys-

ki podróży rozprawiają o wymianie premiera i rządu przez Zelenskigo. Po godzinie chłodny nawiew ucicha. Nie umiem spać w saunie i przez dziesięć godzin przewalam się, aż za oknem ukraińskiego składu ukaza się pastelowe wysokościowce Kijowa. W metrze, prawie jak w warszawskim, część ludzi gapi się w komórki, część – nieobecny wzrokiem przed siebie. Z tą różnicą, że co piąty facet ma chlebak z szewronami, plecak moro albo jest w pełnym umundurowaniu. Uśmiecha się tylko Cristiano Ronaldo, który na plakacie reklamuje chińskie odkurzacze. – To wspaniale, może wreszcie mężczyźni zaczną odkurzać? – śmieje się O., gdy odbiera mnie ze stacji. – Twój pociąg nieźle się spóźnił, to chyba z powodu tych ataków. Wiesz, że zginęły dwie osoby? Wiem. Wiem, też, że w dwóch poprzednich tygodniach w atakach na trzymilionową metropolię zginęło 48 osób. O. prowadzi mnie do swojego mieszkania w bloku z lat 70. Marzę o zmymciu z siebie aromatu pociągu. – Zapomniałam ci powiedzieć, że nie ma ciepłej wody – mówi O. Wiem, że O. i jej partner D. nie mieli jej też zimą. Także w kaloryferach. Rosja bombardowała elektrociepłownię i elektrownię. Przy minus 20 st. na zewnątrz chowali się pod stosami kolder. – Jeszcze nie naprawili? – dziwię się. O.: – Naprawili wiosną. A potem powiedzieli, że muszą naprawiać dalej. I znów wyłączyli ciepłą wodę. Wieczorem w trójkę idziemy na spacer. Po drugiej stronie ulicy straszy wieżowiec z nadpalonym ostatnim piętrem. – Parę tygodni temu spadły na niego odlamki – wyjaśnia D. – A jak u was z nastrojami? – pytam. – W zachodnich mediach zmieniła się narracja: teraz

to Ukraina ma rozdawać karty, może wygrać tę wojnę. Wiecie: wasze drony atakują rosyjskie rafinerie, Rosjanie tracą więcej ziemi, niż zdobywają, okupanci wyjeżdżają z Krymu. O. patrzy na mnie, jakbym się urwał z chinki: – Może na Zachodzie zmieniła się narracja. U nas zmienia się sytuacja – na gorsze. Rosjanie mają nową taktykę. Wcześniej atakowali głównie dronami, które w ogromnej większości zestrzeliliśmy. Nikt nawet nie schodził do schronów, jeśli ogłaszano alarm z ich powodu. O raketach wystrzeliwanych z samolotów byliśmy informowani z wyprzedzeniem, był czas, żeby się przygotować i pójść do schronu, czyli na stację metra. – Teraz atakują głównie rakietami balistycznymi, które odpalają z okolic Briańska, blisko granicy i blisko Kijowa. Oprócz zwykłych szachedów wysyłają też drony odrzutowe, które znacznie trudniej zestrzelić – dodaje D. – Po usłyszeniu alarmu masz dwie minuty, żeby dobiec do schronu – ciągnie O. – Tylko że oni atakują głównie w nocy. Nie zdążymy ubrać się i dojść do stacji w tym czasie, a niebezpiecznie jest być wtedy na ulicy; łatwo zginąć od odlamka. Więc po prostu zostajemy w domu i przenosimy się do przedpokoju. To jest zasada dwóch ścian, na których w razie czego mają zatrzymać się odlamki. Zanim się położę, ściągam aplikację Kijów Cyfrowy, która wyje, gdy ogłoszony zostanie alarm. Na Telegramie aktywuję kanał ukraińskiej obrony powietrznej. Z niego dowiem się, co i dokąd leci. Kiedy jestem już bliski zaśnięcia, przez otwarte okno wpada charakterystyczny dźwięk i serce podskakuje mi do gardła. Ale to nie syrena alarmowa, tylko jakieś ruszające z kopyta auto. Brzmienie silnika gwałtownie zwiększającego obroty jest ludzko podobne do początkowego jęku syreny.

Brzask. Wrzask gawronów. Wciskam zatyczki i w końcu zasypiam. **PIĄTEK** – Dobrze, że w nocy nie było alarmów – mówię do O., kiedy zwlekam się z łóżka. – Jak to nie było? – patrzy zdziwiona. Cholera – myślę – lepiej nie spać w zatyczkach. Zimny prysznic i, spóźniony, lecę do metra. Festiwal Atlas – główny cel mojej podróży do Kijowa – zaczyna się w środku dnia i kończy o godz. 21.30, żeby wszyscy zdążyli spokojnie wrócić do domów przed godziną policyjną o północy. Atlas to największy festiwal w Ukrainie. Edycja z 2021 r. trwała tydzień i przyciągnęła na Narodowy Komplex Wystawienniczy „Expocenter Ukrainy” 600 tys. ludzi. W dwóch pierwszych latach po pełnoskalowej inwazji imprezy nie było. W 2024 r. reaktywowano ją w mniejszym, acz wciąż imponującym jak na warunki wojenne wymiarze – w centrum handlowym Blockbuster Mall. Po drodze czytamy w metrze o pogłębiającym się kryzysie politycznym. Zelenski nie powołał do nowego rządu popularnego ministra obrony, 35-letniego Mychajła Fedorowa, który popadł w konflikt z głównodowodzącym armii, gen. Ołeksandrem Syrskim. Fedorow stał się ich idolem. Młodzi zmierzający na festiwal mają ze sobą tekturowe transparenty zwane kartonkami. Najpopularniejsze hasło brzmi: „Przywrócić Fedorowa”. Dobijam wśród nich do Blockbuster Mall. Adres: al. Stepana Bandery 36. Na murach cen-

trum błyszczą znaki polskich marek: 4F, CCC, Reserved, Sinsay, House.

Na dzień dobry trafiam na płomienną mowę rapera OTOY-a.

– Największy strach to strach przed powiedzeniem czegoś, co chce się powiedzieć, ale z różnych powodów się tego obawia. A przecież my jesteśmy krajem, który trwa, bo mówi – mówi 27-letni muzyk. – Nie milczeliśmy w 2014 r. [Euromajdan], nie milczeliśmy w 2022 r. I dopóki nasz głos wybrzmiewa, dopóty żyjemy. Nie pokonamy Rosjan liczebnością. Pokonamy ich jakością. Dlatego Ministerstwo Obrony, Sztab Generalny i przedstawiciele władz muszą ze sobą rozmawiać i pozostawać w otwartym dialogu z każdym z nas. Porozmawiajmy!

– W Ukrainie żaden koncert nie jest dziś po prostu koncertem – uśmiecha się Wład Jaremczuk, dyrektor programowy Atlas Festivalu.

No dobrze, Wład, ale od początku. Trwa wojna, a wy organizujecie masowy festiwal? Czy to nie szaleństwo?

– Też stawialiśmy sobie to pytanie. Ale po prostu znaleźliśmy miejsce, w którym można zapewnić uczestnikom bezpieczeństwo – wyjaśnia Jaremczuk. – Pod Blockbusterem jest największy schron w kraju, na co dzień służący jako podziemny parking. Ma 50 tys. m kw. [siedem boisk piłkarskich]. Teoretycznie może pomieścić 100 tys. ludzi. Oczywiście nie próbowaliśmy zbliżyć się do takiej liczby. W tym roku przewidujemy frekwencję na poziomie 95 tys. ludzi, tyle że w ciągu trzech dni imprezy.

Dwie największe sceny znajdują się na parkingu naziemnym, trzy kolejne wewnątrz centrum handlowego. Szósta mieści się właśnie w schronie.

– W razie alarmu ewakuowalibyśmy cały festiwal pod ziemię, a muzyka nie przestałaby grać – mówi Jaremczuk. – Dokładnie obliczyliśmy, ilu ludzi i w jakim czasie jesteśmy w stanie ewakuować z poszczególnych części terenu.

W schronie gra alternatywny zespół Faktyczno Sami. Przede mną buja się fanka. Śpiewa do telefonu wszystkie teksty. Trochę się dziwię: jak długo można nagrywać relację na Instagramie? Aż kobieta przesuwa ekran i dostrzegam na nim żołnierza. Po prostu transmituje ukochanemu koncert, na którym on nie może być.

Wychodzę z piwnicy, by zobaczyć Żadana i Sobaky, czyli ska-punkową orkiestrę dowodzoną przez wybitnego pisarza, a od paru lat także żołnierza. Uzbrojony w kartonki tłum wykrzykuje wraz z Serhijem Żadanem słowa „Awtozaka”. Ten protest song o młodych ludziach, którzy mają dość ignorującej ich władzy, przypomina, że o swoje prawa czasem trzeba upomnieć się na ulicy.

Kto wie, może ktoś również transmituje ten koncert znajomym, którzy wyrwali się wcześniej z festiwalu, by demonstrować pod oknami prezydenta i żądać powrotu Fedorowa oraz dymisji gen. Syrskiego?

SOBOTA

Położyłem się bez zatyckek, więc syreny obudziły mnie o świcie, a potem ponownie rano. Odbyła się wtedy jedyna tegoroczna ewakuacja Atlasu, w Blockbusterze była jeszcze garstka ludzi. Półprzemyślny pędzę na spotkanie z muzykami Breathe., jedynej zagranicznej gwiazdy festiwalu.

Wcześniej nie znalazłem klimatycznego, nocnego elektronicznego soulu tej grupy, ale w Ukrainie trójka Australijczyków jest podejmowana z honorami. W końcu, żeby tu dotrzeć, gnielili się w samolotach i pociągach przez 51 godzin. Ale nie tylko dlatego.

– Od samego początku najwięcej słuchaczy na platformach streamingowych mamy właśnie z Ukrainy – wyjaśnia Andrew Grant. – Nie wiemy dlaczego. Gdy dostaliśmy zaproszenie na Atlas, bez wahania postanowiliśmy to sprawdzić.

– Wczoraj graliśmy koncert we Lwowie – dodaje Sean Walker. – Im dłużej graliśmy, tym większą czuliśmy bliskość z ludźmi. Pod koniec mieliśmy poczucie, że jesteśmy wśród



• Festiwal Atlas zaczyna się w środku dnia i kończy o godz. 21.30, żeby wszyscy zdążyli wrócić do domów przed godziną policyjną o północy

FOT. MATERIAŁY ORGANIZATORÓW

Szef festiwalu Atlas: W razie alarmu ewakuowalibyśmy cały festiwal pod ziemię, a muzyka nie przestałaby grać

rodziny. To było coś pozytywnie wstrząsającego.

Sean przyrzeka, że przed Lwowem ich najmocniejszym koncertowym przeżyciem był występ w warszawskiej Hydrozagadce w 2025 r.

– Nigdy wcześniej nie byliśmy w Polsce, a tam zobaczyliśmy kolejkę przed klubem i salę wypełnioną do granic. Mieliśmy nawet problem, żeby przecisnąć się przez tłum na scenę. Poczuliśmy wielką miłość ze strony Polaków – wspomina. – Po koncercie podeszła do nas grupa fanów z Ukrainy. Jechali 24 godziny, żeby nas zobaczyć, a za dwie godziny mieli autobus powrotny. Uznaliśmy, że skoro oni mogli zrobić dla nas coś takiego, to my możemy przyjechać do nich. Dziś widzimy się z nimi na obiedzie.

W 2024 r. gwiazdą Atlasu była Sharon den Adel z Within Temptation w specjalnym projekcie symfonicznym. W zeszłym roku – fiński The Rasmus.

– Nie chodzi o to, że nie ma więcej artystów, którzy chcieliby przyjechać. Są. Ale jest też mnóstwo innych czynników, które muszą się zgrać – mówi Wład Jaremczuk. – Bliscy artyści, pozostali muzycy i ekipa muszą to zaakceptować. Do tego muszą się spiąć finanse i logistyka.

Co powiedzieli bliscy muzyków Breathe.?

– Na początku byli zszokowani – przyznaje Andrew Grant. – Ale kiedy opowiedzieliśmy im o schronach, aplikacjach i alarmach oraz wyjaśniliśmy, że nie jesteśmy pierwszymi zagranicznymi artystami, którzy tu przyjeżdżają, zrozumieli. Zwłaszcza gdy dowiedzieli się, że lecimy tutaj też, żeby pomóc: naszą gażę przekazujemy szkole muzycznej, szpitalowi onkologicznemu i obronie powietrznej.

Znów schodzę do bunkra. Scenę przejęło dziś Radio Chartia, założone przez Serhija Żadana i związane z wojskową formacją Chartia. Grają na niej zespoły, których członkowie służyli lub służyli w ukraińskiej armii.

Jednym z nich jest Small Depo, które okazało się dla mnie największym muzycznym odkryciem Atlasu. Proste, ale niebanalne melodie,

tęskie gitarowe motywy, transowa gra sekcji rytmicznej, wokal na granicy melancholii, bólu i wściekłości, mroczny klimat – wychowałem się na Joy Division i The Cure, uwielbiam radziecki zespół Kino, więc kijowskie trio natychmiast skradło moje serce.

Śpiewający i grający na gitarze lider oraz perkusista Small Depo służą w 3. Korpusie Armijnym, utworzonym na bazie 3. Brygady Szturmowej. Trudno przeżyć choćby kwadrans w Kijowie, nie nатыkając się na reklamę, na których Trzecia Szturmowa zachęca do wstępowania w swoje szeregi i wspierania jednostki. Formacja mocno angażuje się też w scenę muzyczną: inspirowane nagrania, wydaje składanki i prowadzi wytwórnię AB3 Music.

„Limb” („Limbo”), singiel z nowej płyty Small Depo „Pryhody” („Przygody”), jest również sygnowany nazwą Trzeciej Szturmowej. O co chodzi?

– Podarowaliśmy ten utwór wytwórni AB3 Music, a ona go wydała. Dzięki temu taniemy z odtworzeń trafiają do Trzeciej Szturmowej – tłumaczy lider Small Depo Maksym Iszchenko.

W metrze włączam „Limb” w słuchawkach i tłumaczę tekst. Dopiero wtedy pojmuję, jak przenikliwa jest to opowieść o ludziach podczas wojny: ciągle w drefce i ciągle w zawieszeniu. Podśpiewuję redre, który akurat nie wymaga przekładu: „I ni kincia, ni kraju / ni pekła, ni raj / ni pekła, ni raj”.

Wysiadam na Majdanie i dosłownie zalewa mnie fala młodych ludzi, którzy właśnie skończyli kartonkowy protest. D. czeka na mnie w jakimś klubie. Znajduję go, ale zaraz wybiła godz. 23 – koniec zabawy. Prawie wszyscy w klubie okazują się znajomymi D.

Wieczór kontynuujemy u jednego z nich, reżysera filmowego S., w mieszkaniu niczym z Bulhakowa – wyklętego zresztą w swoim rodzinnym mieście z powodu antyukraińskich poglądów. Meble sprzed stu lat, koty, tajemnicze pawlacze, muszla klozetowa zainstalowana w szafie, balkon służący jednocześnie za piwnicę, palarnię i suszarnię. S. trzyma na regale kartkę z napisem: „Odkąd zaczęła

się wojna, nie jestem już filmowcem. Teraz jestem żołnierzem”.

Tymczasem trwa rozlewanie whisky, a następnie szwajcarskiej nalewki. Jestem w niealkoholowym okresie swojego życia, więc uprzejmie dziękuję. Oczywiście mi się zamykają i dają znać D., że moglibyśmy zamówić taksówkę do domu.

Chwilę później przez pokój przechodzi basowy podmuch. Nikt poza mną nie zwraca na niego uwagi. Potem kolejny. Sprawdzam telefon. Balistyka. Ogrom balistyki. Kurczy mi się żołądek. W razie czego liczę na te pancerne meble.

S. zauważa, że sparaliżował mnie strach.

– Nie martw się – mówi z troską. – To nasza obrona przeciwlotnicza tak hałasuje.

Jako antidotum proponuje tym razem samogon. Zauważam, że czarny kocur zwolnił miejsce na łóżku w sypialni. Sprytnie to wykorzystuję i się kładę. Obok zalegl już J., na przepustce z wojska. Z wąsem i w wyszywance przypomina Bohuna z „Ogniem i mieczem”.

I tak sobie razem śpimy, Kozak z Polakiem, podczas gdy Moskał wali dookoła.

NIEDZIELA

D. wybudza mnie: – Atak się skończył, godzina policyjna też. Zaraz mamy taksówkę.

W domu próbuję zasnąć, ale jestem zbyt spięty. Jest już dobrze po południu, gdy w końcu otwieram telefon i czytam, że nocą Rosjanie przypuścili jeden z największych ataków balistycznych na Kijów od początku pełnoskalowej wojny.

W ramach uderzenia, którego głównym celem była stolica, wystrzelili 41 rakiet i 125 dronów. To cud, że przy takiej skali ataku zginęła tylko jedna osoba, a 15 zostało rannych.

Daję znać mamie, żonie, bratu i przyjacielom, że jestem bezpieczny. Z O. i D. oglądamy zdjęcia z miejsca, o którym mówi dziś cały Kijów – okolic stacji metra Łukjaniwska. Obok stacji znajduje się fabryka broni Artem, wielokrotnie atakowana przez Rosjan.

Tyle że rakietą trafiła nie w fabrykę, lecz w przejście podziemne prowadzące do metra,

a fala uderzeniowa uszkodziła wejście do stacji i zdemolowała westybul.

Nikt nie został ranny, ale sygnał został wysłany: nie jesteście bezpieczni nawet pod ziemią.

Na Atlasie ten dzień rozpoczął się minutą ciszy. Chodzę po bunkrze, gdzie oprócz sceny rozlokowała się także strefa organizacji pozarządowych. Na zachodnich festiwalach oznacza to zazwyczaj stoiska NGO-sów zajmujących się prawami człowieka czy ekologią, a do tego sklepiki z książkami, płytami i rękodziełem.

Ale jesteśmy w Ukrainie, wystawiają się jednostki wojskowe – Azow, Achilles, Swoboda, Raróg, Stalowe Ptaki, Swaróg, Jastrząb... Jedni sprzedają pamiątki z frontu, inni upamiętniają poległych, można postrzelać z wirtualnej bazyki do ruskich czołgów. T-shirtów z nazwami jednostek nosi się na festiwalu więcej niż tych z nazwami zespołów.

Do tego wolontariusze szkolący z opatrywania ran i scena, na której elektronikę miksują didżeje-weterani.

Kluczowym wystawcą jest tu jednak fundacja Powrót Żywym, z którą organizatorzy Atlasu prowadzą zbiórkę na projekt „Dronopad”. Pieniądże idą na sprzęt do niszczenia rosyjskich dronów – zarówno na froncie, jak i nad miastami.

– Festiwal w Ukrainie nie może być tylko rozrywką. Inaczej trudno go dziś uzasadnić – tłumaczy Wład Jaremczuk. – Dajemy sobie wszyscy chwilę ulgi, wzmacniamy kulturę, którą Rosja chce zniszczyć, a do tego wspieramy walkę o nasz kraj. Czyli o nas.

Zbiórka jest wszechobecna. Kod QR wyświetla się na każdym festiwalowym ekranie – wystarczy go zeskanować i wpłacić dowolną sumę. Partnerzy festiwalu dorzucają mieszkania i auta, które każdy wpłacający może wygrać w losowaniu. Między koncertami gospodarze scen prowadzą aukcje pamiątek przekazanych przez artystów i żołnierzy. W zeszłym roku zebrano prawie 122 mln hrywien, czyli około 10,3 mln zł. W tym roku – ponad 110 mln, ale zbiórka wciąż trwa.

Najdroższym przedmiotem sprzedanym na aukcji – za 200 tys. hrywien, czyli około 17 tys. zł – okazał się panel z szewronami i podpisami członków zespołu Boombox. I to on jest gwiazdą ostatniego dnia festiwalu.

Nawet jeśli nie kojarzycie tej wielkiej gwiazdy ukraińskiego rocka, na pewno pamiętacie jej frontmana. Po rosyjskiej napaści Andrij Chływniuk przerwał trasę po Ameryce Północnej i wstąpił do służby. 27 lutego, kiedy Rosjanie szturmowali Kijów, Chływniuk zaśpiewał na opustoszałym placu Sofijskim „Czerwoną kalinę”. Nagranie obiegło świat i stało się symbolem niezłomności Ukraińców.

Na koncercie Boomboksu nie było „Czerwonej kaliny” ani specjalnych akcentów patriotycznych. Samo wyjście Chływniuka na scenę jest jednak takim akcentem: został ranny na początku pełnoskalowej wojny, a dziś, kiedy nie koncertuje z zespołem i nie zbiera pieniędzy na wojsko, służy w oddziale zajmującym się dronami.

Piosenek Boomboksu słuchają nieprzebrane tłumy. A wśród nich mężczyźni na wózkach. Ze świeżymi bandażami. Z szynami. O kulach. Z protezą nogi. Obu nóg. Ręki. Całego przedramienia.

Wracam do metra. Na horyzoncie rozbłyska niebo. Zaczynam pędzić na stację, kiedy spadają na mnie pierwsze krople. Uff, to tylko burza.

PONIEDZIAŁEK

W nocy niby tylko jeden alarm, ale nie czuję się ani trochę mniej zmęczony. Co zrobić, pełzną do metra. Z mojej niebieskiej linii przesiedam się na zieloną. Do stacji Łukjaniwśka podwozi mnie dawno niewidziany dobry znajomy: wagon warszawskiego metra. Warszawa przekazała Kijowowi stare składy w 2023 r. Chcę zobaczyć zniszczenia.

Z budynku stacji wypadły ostatnie szyby. Widok, który roztacza się po wyjściu, jest

wstrząsający: z nowoczesnego, niegdyś przeskłonego wieżowca został szkieletor. Przez wybite okna fabryki zbrojeniowej można podziwiać opustoszałe krzesła i rozdzwawione szafy.

To jednak zniszczenia po wcześniejszych ostrzałach. Nowa rana, głęboka na kilka metrów, ziele na środku jezdni: pocisk wbił się w ulicę i eksplodował, rozrywając strop przejścia podziemnego. Fala uderzeniowa przetoczyła się przez korytarze i zdemolowała nawet schody przy oddalonym o dobre sto metrów wyjściu.

Nad dawnym przejściem podziemnym wznoszą się zgłiszcza pawilonów miejscowego bazaru. Na chodniku wala się szyld Składu Niskich Cen „Bonus”. Nad samą stacją góruje doszczętnie spalone jeszcze w maju centrum handlowe. Z sufitów zwisają kiście srebrnych sprężyn, które jeszcze niedawno były rurami wentylacyjnymi. Po pół minuty czuję sadzę na języku. Przez swąd spalenizny przebija trupi fetor – atak najpewniej zaskoczył jakieś zwierzę. Pod butami chrzęści szkło.

Ale życie nie znosi próżni – handel trwa w najlepsze pod prowizorycznymi plandekami.

Wśród babuleniek w chustach, sprzedających kwiaty pod stacją, zauważam trzech stylizowanych, odzianych w czerni mężczyzn. Zespół Breathe. kręci kolejne sceny do dokumentu o swojej wyprawie do Ukrainy. Andrew

Zrozumiałem, dlaczego tylko Cristiano Ronaldo uśmiecha się w kijowskim metrze

ma oczy, jakby nie spał od wylotu z Australii, i minę człowieka, który po raz pierwszy widzi zniszczenia wojenne. Niewykluczone, że jedno i drugie jest prawdą. Zbijamy piątki, obiecując sobie: „Do zobaczenia w Warszawie!”.

WTOREK-CZWARTEK

Dni zlewają mi się w jeden ciąg. Chodzę na kartonowe protesty. Rozmawiam z protestującymi. Piszę dla „Wyborczej” o protestach (Zelenski odwoła głównodowodzącego Syrskiego, ale nie przywróci Fedorowa do Ministerstwa Obrony). Próbuję zasnąć. Budzę się od alarmów. Sprawdzam na bieżąco, co leci. Przenoszę się na karimatę do przedpokoju. Albo się nie przenoszę i zastanawiam, czy może jednak powinienem. Czytam na Telegramie, co zostało trafione. Czytam analizy wywiadowcze, co i kiedy może polecieć. Konsultuję to z O. i D. Przysypiam. Budzę się od gwałtownie ruszających aut.

Tymczasowe biuro urządzam sobie w zaskakującym, przypadkowo odkrytym przybytku: połączeniu chińskiej herbaciarni i sklepu z winylami. Szybko zgaduję się tam z pracującą w niej Lisą. Ma 22 lata, jest dyplomowaną aktorką, a teraz studiuje reżyserię.

Opowiada, że w weekend najpierw chodziła na Atlas, a potem na protesty. Na transparenecie, który zrobiła na festiwalu, napisała: „Ten system jest przestarzały – zbudujemy nowy”. To cytat z zespołu Hatespeech, grającego porywającą mieszanek punka, elektroniki i nu-metalu. Grupa jest dzieckiem tej wojny – zawiązała się w Odessie w reakcji na inwazję. Wokalista Dmytro Odnorozenko przy okazji występu na Atlasie zbierał pieniądze dla siejącej postrach wśród Rosjan brygady Nemezis. Wstąpił do niej jako ochotnik i służy jako operator dronów zwalczających szahedy.

– Uwielbiam ich za radykalne teksty. Moja ulubiona fraza z ich słynnej piosenki „Dobrowolci” („Ochotnicy”) brzmi: „Stracone pokolenie stoi na barykadzie” – wyklada Lisa. – To o nas! Starsi przecież tak nas, pokolenie Z, na-

zywają, bo rzekomo jesteśmy dziwni, głupi i nie można się z nami dogadać. Tylko że to my walczymy o przyszłość tego kraju. To my wyszliśmy na ulice, żeby zaprotestować przeciw odwołaniu kompetentnego ministra, który tyle zrobił, by wysłać do walki drony zamiast ludzi. Tymczasem wielu ludzi z pokolenia moich rodziców i ze starszych pokoleń nie obchodzi, w jakim kraju będą żyli. Ani jaka flaga będzie nad nimi powiewać.

– Po tylu latach rosyjskich okrucieństw? – nie dowierzam.

– Naprawdę. W takiej rodzinie się wychowałam. Wielu ludzi chce tylko pokoju. Jak moja babcia. My też chcemy pokoju, ale nie chcemy żyć w Rosji. Chcemy żyć w Ukrainie. I chcemy, żeby Ukraina była państwem europejskim.

– Na czym ma polegać ten „nowy system”, który chcecie zbudować? – pytam.

– Pierwsza rzecz: korupcja. Moi rodzice i dziadkowie od zawsze mówili, że wszystko da się załatwić, jeśli tylko da się pieniądze odpowiedniej osobie. A my tak nie chcemy. Ja nawet nie wiem, jak się daje łapówkę. Druga: autorytet nie będzie wynikał ze starszeństwa i pozycji, tylko realnych osiągnięć i postawy.

Lisa dorastała w Mikołajowie na południu Ukrainy. – To bardzo zrusyfikowany region. Przez prawie całe życie mówiłam po rosyjsku – opowiada. – Mój ojciec przeniósł się do Rosji w 2014 r. Nie brał udziału w moim wychowaniu, ale w naszej kulturze ojciec ma autory-

tet, należy się przeciwieństwo szacunek. Kiedy Rosja nas najechała, zaczęłam się z nim kłócić o tę wojnę, czy też – jego zdaniem – „specjalną operację wojskową”. Mówiłam: Bucza, Irpień, Hostomel. A on negował zbrodnie popełniane przez Rosjan. Powiedziałam: „Przecież Rosjanie gwałcą Ukrainki”. Odpowiedział, że to wina ofiar. Pomyślałam: „Nie chcę już nigdy w życiu z tobą rozmawiać!”, ale zdążyłam jeszcze wykrzyknąć, że mogłabym być jedną z nich. Odparł, że mnie to nigdy nie spotka.

I wtedy przestał być moim ojcem.

PIĄTEK

Łuuuup! – wyskakuję z łóżka na równe nogi. Co, do cholery? Rakieta wałnęła przed alarmem? Dziś miałem zamiar spać choćby i do wieczora, a nie ma nawet południa. Za oknem leje. Rozlega się kolejny huk, słabszy. To tylko piorun. Musiał uderzyć naprawdę blisko. Ale by było – myślę – gdyby teraz zaczął się atak i nie byłoby wiadomo, czy to wybuch, czy grzmot. I właśnie w tej chwili zaczyna wyć alarm. Balistyka.

Spotykamy się z O. na macie w przedpokoju – też myślała, że to rakieta. Patrzymy, jak administrator kanału na Telegramie odlicza: uderzyła pierwsza rakieta. Druga. Trzecia. Czwarta. Piąta. Szósta. Koniec alarmu.

Idziemy do kuchni zrobić kawę. Zanim ją dopijemy, wyjaśnia się, że Rosjanie uderzali w targi zbrojeniowe pod Kijowem. Na miejscu zginęło 10 osób, około stu zostało rannych.

Po południu spotykam Anastazję Solonewycz, którą poznałem kilka dni wcześniej. Jest reżyserką. W 2023 r. nakręcony wspólnie z Damianem Kocurem film krótkometrażowy „As It Was” znalazł się w konkursie festiwalu w Cannes. Wpadła na kilkanaście dni i wraca do Berlina, gdzie teraz mieszka.

– Jak się mam? – Anastazja odpowiada pytaniem na pytanie. – Jestem strasznie niewyspana. Już zapominałam, jak to jest. Jak bardzo boję się ataków. Ale też tak źle jeszcze tu nie było. Ataki nie były aż tak śmiercionośne.

Nasza obrona przeciwlotnicza nie miała takich braków w uzbrojeniu. A Rosjanie nie używali tak często hipersonicznych Cyrkonów. Znajomi, z którymi się tutaj spotykałam, są wycieńczeni. Wystarczy spojrzeć im w oczy: spuchnięte, przekrwione.

Przypomina mi się pierwsze wrażenie z kijowskiego metra: apatyczni, zagapieni w pustkę, przygaszeni ludzie. Dopiero teraz łączę kropki: oni są wykończeni. Trwają w limbo: bez końca, bez kraju, ni piekła, ni raj.

I ja, i Anastazja doszliśmy do podobnego stanu w kilka, kilkanaście dni. Zapominamy słów i tego, co działo się kilka dni temu. W połowie zdania gubimy wątek. Z deprywacji snu marzymy o deprywacji sensorycznej. Żeby przespać osiem godzin i żeby mózg to poczuł.

Ale my sobie wyjedziemy. Ludzie w Kijowie żyją tak bez przerwy.

– Spotkałam się dziś w restauracji z rodzicami. W pół roku postarzel się o kilka lat – dodaje Anastazja.

– Tata miał wcześniej parę siwych włosów. Teraz ma ich mnóstwo. Musiałam uciec do lazienki, żeby się rozplakać.

Wieczorem O. i D. zabierają mnie do Narodowego Kompleksu Wystawienniczego, gdzie przed wojną odbywał się Atlas Festival. Mijamy socrealistyczne pawilony i przez zdziczałe sady jabłoniowe wychodzimy na ciągnące się po horyzont polany. Ja uczę ich polskiego, oni mnie ukraińskiego, oglądamy ślimaki, śpiewamy, wyglupiamy się. Bawimy się w brak wojny.

Wracając, przypominamy sobie, że prezydent Zelenski ostrzegł przed ryzykiem poważnego ataku w ciągu najbliższych 48 godzin. Niech moi gospodarze robią, co chcą, ale ja chcę być wtedy w schronie. Pakuję do plecaka karimatę, śpiwór i wodę.

Kładę się spać w ubraniu. Ledwo gaszę światło, zaczyna zawodzić syrena. Wsuwam buty, chwytam plecak i wybiegam na klatkę.

Sprint wzwyż bloku i schodami w dół ze wzgórze. Ostatnia prosta chodnikiem i wbiegam na stację. Minuta pięćdziesiąt osiem.

Sunę przez peron. Mijam dziadków i wybotkowane nastolatki; samotnych, pary z psami i rodziny z dziećmi. Kiwają się na ławkach, czytają na składanych fotelach, chrapią na dmuchanych materacach, chowają się w namiotach. Prawdziwa kijowska agora.

Kładę się blisko krawędzi peronu. Podłogę można by liczyć – pracownicy metra pucują ją przez cały dzień. Dzwonek obwieszcza koniec alarmu. Ale nie wracam. Nakrywam się kapturem śpiwora, robi mi się przyjemnie. Może teraz zasnę?

Drrrrrrryń! – kolejny alarm, kolejny atak. Co oznacza, że za 10, 20 minut będzie dzwonek odwołujący i kolejna pobudka. To już wolę poczekać. Scrolluję telefon. W Polsce po starcie: kolejne pobicia Ukraińców. Debaty o zakazie banderyzmu. Skoro to tak palący problem w Polsce, to podrzucam pomysł na kolejną debatę: czy polskie firmy handlujące ciuchami i butami przy al. Banery w Kijowie nie propagują aby w ten sposób banderyzmu?

Drrrrrrryń! – koniec tego absurdu. Zawijam się w śpiwór. Odpływam...

W wózku obok zaczyna płakać niemowlę. Rodzice nie reagują, śpią jak zabici. Na szczęście dziecko też postanawia zasnąć.

Wiem jednak, że już nic z tego nie będzie. To dziecko kompletnie mnie wybudziło. Nie, że hałasowało, ale że nie tak powinno wyglądać dzieciństwo.

Zawijam mandzur i sunę z powrotem przez peron. Znowu dzwoni dzwonek, a po nim kobiecie głos informuje, że inni też powinni się pakować. Metro musi zostać wypucowane, zanim zjawią się pierwsi pasażerowie.

Jest godz. 4.30. Pomarańczowe słońce oświetla bloki, dodając uroku pierdołnikowi samowolnie zaskłonych balkonów i azbestowych daszków. Nawet niedokończony wieżowiec z odpadającymi balkonami nie wygląda tak żałośnie. Zapowiada się piękny dzień.

Och, tak, dziś wreszcie odpocznę. A jeśli nie dziś, to na pewno jutro.

Kijowanie, jak wy to robicie? ●



Ciepła świecona WODA W KRANIE

**Program, którym Morawiecki chce uwieść centrystów i klasę średnią:
nowe technologie plus konserwatyzm.**

Czym to pachnie, pokazuje apka opracowywana przez młodych współpracowników ekspremiera.

Arkadiusz Gruszczyński

Bez Jarosława Kaczyńskiego byłiby nikim. Mowa o najmłodszym pokoleniu polityków, których przeciągnął na swoją stronę Mateusz Morawiecki.

Albo inaczej: robiliby karierę jako prawnicy, analitycy, naukowcy czy dziennikarze, ale nie mieliby wstępu do wielkiej polityki.

Dzisiaj nazywają prezesa „dziadkiem”, „starcem” i idą na swoje.

Stereotyp, że ludzi do polityki ciągną niskie instynkty takie jak potrzeba władzy, pieniądze, które zarobi się po odejściu z rządu lub parlamentu, popularność w powiecie, stała obecność w mediach informacyjnych, która hipnotyzuje, a także zwykła próżność, nie wziął się znikąd

Ale ci, którzy wyszli z Morawieckim z PiS, zarzekają się, że oni pozycję mogliby mieć i bez polityki. Lecz chcą reformować kraj, przestawić Polskę na tory szybkiego rozwoju, dzięki inwestycjom dokonać skoku cywilizacyjnego i udowodnić, że konserwatyzm może mieć inną twarz niż oszołomstwo – zdaniem jednych autentyczne, drugich cyniczne – prezentowane od 37 lat przez „prezesa”.

Mówią o sobie: państwowcy, reformatorzy, wizjonerzy. Postanowilem sprawdzić, dlaczego część z nas już teraz dała się nabrać na te bajeczki.

Program byłego premiera można podsumować trzema określeniami: nowe technologie, skrajny konserwatyzm i nacjonalizacja przemysłu.

O jego najważniejszych założeniach rozłamowcy opowiadają mi w kularowych rozmowach. Nie chcą

rozmawiać pod nazwiskiem, ponieważ „Wyborcza” kojarzy im się z liberalnym salonem, a każdy kontakt z Czerską, gdzie mieści się nasza redakcja, może zostać wykorzystany przez Kaczyńskiego i wierne mu media jako dowód na zdradę i spisek z Tuskiem.

Spoiler: znalazłem mimo to jednego odważnego posła, na którego nie działają te zaklęcia.

• A więc: nowe technologie, skrajny konserwatyzm i nacjonalizacja przemysłu.

Niebezpieczeństwo, jakie niesie połączenie tych obszarów, unaocznia lansowany przez „harcerzy” – jak do niedawna nazywano w PiS frakcję ekspremiera – projekt aplikacji mobilnej, którą miały na swoim telefonie instalować każdy emigrant przebywający na terenie Polski.

Wymyślona przez młodych współpracowników Morawieckiego aplikacja uczyłaby obcokrajowców języka polskiego, ale też odnotowywałaby każdy mandat, wy-

kroczenie i przestępstwo. Ich nagromadzenie skutkowałoby deportacją. Dodatkowo każdy przedsiębiorca mógłby sprawdzić historię migranta i to, czy nasza gospodarka go potrzebuje.

- Ten projekt wiąże się z kryzysem demograficznym. Morawiecki chciałby prowadzić „rozumną”, „pragmatyczną”, selektywną politykę migracyjną.

Czyli zapraszać do Polski takich pracowników, których obecnie brakuje na naszym rynku. Ci adaptowaliby się do krajowych warunków, a następnie płodzili dzieci. Z kolei polskie rodziny – „harcerze” mają na myśli osoby mieszkające tu od pokoleń, w najgorszym razie urodzone w naszym państwie – byłyby zachęcane do większej dzietności poprzez budowę mieszkań, aktywizację zawodową i dogęszczanie sieci żłobków. Kadrówka Rozwoju Plus udaje, że nie dostrzega, iż dokładnie w ten sposób do problemu wyludniającego się kraju podchodzi obecny rząd.

- Inny projekt, o którym opowiadają mi rozmawocy, jest związany z wydobywaniem węgla.

Wśród młodych posłów od Morawieckiego panuje przekonanie, że ogólnie cele klimatyczne nałożone na nas przez Unię Europejską są krzywdzące, ale w szczególności ten związany z wygaszaniem kopalni. Na zapleczu eksperckim przyszłej partii trwają analizy, w jaki sposób – nie bacząc na unijne zobowiązania – efektywniej wydobywać czarne złoto i sprzedawać je na międzynarodowych rynkach. Ustalenia naukowców, zbliżająca się katastrofa klimatyczna, ocieplenie klimatu, ekstremalna pogoda, topniejące lodowce – to wszystko nie ma znaczenia, ponieważ liczy się inna emocja. Ta związana z „życiem na własnych warunkach”.

- Albo sądownictwo: posłowie, którzy opuścili wraz z Morawieckim PiS, jako drugoplanowe postrzegają rozważania o reformie ustrojowej państwa.

Bardziej niż „naprawa” – czyli przejęcie i upolitycznienie – Trybunału Konstytucyjnego czy Sądu Najwyższego interesuje ich przyspieszenie prac sądów. Chcą do tego dojść w dwóch radykalnych krokach: dosypując pieniędzy do budżetu ministerstwa sprawiedliwości i wyrzucając z sądów sprawy związane z księgami wieczystymi. Zaznaczają przy tym, że w przyszłej koalicji szeroko rozumianej prawnicy Zbigniew Ziobro i jego ludzie nie zostaną dopuszczeni do kierowniczych stanowisk w sądownictwie.

- Lecząc najważniejszym hasłem byłego premiera i jego ludzi są inwestycje.

Nie chodzi tylko o Centralny Port Komunikacyjny czy samochody elektryczne produkowane (czy raczej składane z chińskich komponentów, ale o tym cicho sza) z polskim kodem kreskowym, ale też o elektrownie jądrowe, rozbudowę portów i...

I ogólnie o „skok cywilizacyjny”. Według rozmawców wielkie inwestycje przyciągną do Polski kapitał zagraniczny, dzięki czemu jeszcze bardziej się wzbogacimy.

Brzmi ambitnie, można nawet śmiało powiedzieć, że od lat nie było w polskiej polityce tak intensywnego, szeroko zakrojonego i długofalowego myślenia o rozwoju. „Modernizację państwa” „morawiecczy” odmieniają przez wszystkie przypadki.

No to zajrzyjmy za kulisy wielkich słów.

•

Wśród najważniejszych tematów nowego środowiska politycznego są nie tylko demografia, migracja, nowe technologie, inwestycje lokalne.

- Ale też sprawna administracja publiczna, zaufanie do państwa czy nowoczesne rolnictwo.

Stronnicy Morawieckiego twierdzą, że taki kraj jak Polska – bogaty, ambitny z przedsiębiorczymi, pracowitymi obywatelami – może szarpnąć się na coś więcej niż „zginanie karku przed eurokratami”.

- Morawiecki widzi miejsce Polski w Unii Europejskiej, ale na własnych zasadach.

Szanuje wspólny, unijny rynek, ułatwienia dla przedsiębiorców, politykę monetarną, ale drugi raz nie zgodziłby się na Zielony Ład i pakt migracyjny z przymusową relokacją uchodźców do państw, które nie mają problemu ze szlakami migracyjnymi. Bliżej do Europy ojczyzn, w których rozwijają się start-upy, fedruje się węgiel, uruchamia fabryki, składa nowoczesne samochody. I wykorzystuje nadwyżkę w budżecie państwa na cywilizacyjne inwestycje. Czyli coś na kształt Bawarii sprzed pięciu dekad czy Francji epoki Mitteranda.

Ludzie Morawieckiego, od których w ubiegłym tygodniu usłyszałem o tych wszystkich pomysłach, twierdzą przy okazji, że obecną politykę przestały napędzać sprawy światopoglądowe. Szansę na wyborczy sukces widzą w opowieści o nowej Polsce, która konkuruje z innymi krajami na równych zasadach. Dlatego sami z siebie nie

◀ **Jedno z niespełnionych technologicznych marzeń Mateusza Morawieckiego. Jeszcze jako wicepremier, minister rozwoju i finansów prezentuje prototyp polskiego samochodu wyścigowego Arrinera Hussarya. Warszawa, 30.11. 2016**

FOT. PRZEMEK WIERZCHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

■

Krzysztof Szczucki: Opowiadam się za wyzerowaniem TK i zbudowaniem od nowa sądu konstytucyjnego. Tylko takie cięcie daje szansę na odbudowę autorytetu instytucji

opowiadają o prawie do aborcji, Kościele czy związkach partnerskich.

W tym momencie trudno nie zapytać: skoro recepty nowych konserwatystów (a może tech-nacjonalistów?) wydają się im samym proste, na wyciągnięcie ręki i piorunująco chwytliwe przedwyborczo, to dlaczego w dużej mierze technokratyczny rząd Donalda Tuska – który też ma wciąż niezgorszy słuch społeczny – nie realizuje tego programu? Albo inaczej: realizuje, ale zbyt powoli, bez sondażowej premii?

Jeśli to pytanie wydaje się naiwne, to zadajmy je inaczej: dlaczego Niemcy i Francja od kilku lat borykają się ze stagnacją gospodarczą, a Wielka Brytania nie może wyjść z zadyszki?

Słowem: dlaczego w krajach o wysokim kapitale, wielkich pieniądzach w nauce, z silnym przemysłem, państwach, które nie boją się ambitnych projektów technologicznych i rozumieją, że inwestycje w innowacje są tak samo ważne, jak budowa sieci szkół i przychodni zdrowia, te recepty nie działają? Co takiego ma w sobie plan Morawieckiego? Czy byłby polski premier znalazł świętego Graala, którego szuka cała „stara” Europa?

Nie chodzi o zawstydzanie ambitnych polityków i próbę udowodnienia, że zahukani konserwatyści, którzy nie mogą się zdecydować, czy oparcia szukać w nauce, czy na Jasnej Górze, nie są w stanie przeprowadzić reform, ponieważ nie mają odpowiednich kompetencji. Bo wielu je ma.

Chodzi o coś innego: o odczarowanie uroków, jakie rzuca na nas Mateusz Morawiecki.

•

Morawiecki kreuje się na modernizatora, wielkiego budowniczego, polityka z wizją rozwoju Polski, a przecież jego dokonania z 6-letnich rządów nie są imponujące. Skończyło się na kolejnych wizualizacjach elektrycznej Izery, na niemalże bankructwie stoczni, która budowała supernowoczesny prom morski. Na paru wymianach – z hojnymi odprawami – zarządów spółek powołanych do obsługi high-techowych projektów pozostających w fazie prezentacji w Power Poincie.

No i na udanej – bo przynajmniej serio rozpoczętej – odbudowie Pałacu Saskiego, co jednak trudno uznać za innowację na miarę drugiego Tajwanu.

Jego zwolennicy twierdzą, że skoku cywilizacyjnego były premier i jego ekipa nie mogli wykonać przez bogoozczyżnianą większość w PiS, wojnę w Ukrainie i pandemię.

Ale prawdziwy problem Morawieckiego jako premiera polegał na tym, że jego pomysły były zawieszone w państwowej próżni. Bez sprawnej administracji publicznej, świetnie przygotowanych urzędników i legislatorów, bez wsparcia biznesu i struktur unijnych, bez uporania się z bieżącymi problemami w rodzaju dziury budżetowej w służbie zdrowia, wykluczenia transportowego 11 milionów obywateli czy skarbówki ścigającej przedsiębiorców za błąd sprzed 10 lat – a przecież na tym głównie opiera się zarządzanie państwem – nie da się zrealizować w ciągu jednej kadencji takiej liczby tak szeroko zakrojonych projektów.

Nie chodzi więc o to, że marzenia o nowoczesnym kraju są funta kłaków warte, bo nie są, ale po pierwsze – o brak woli do rozpoczęcia tej pracy od podstaw. Czyli od mozolnego i trudnego do pokazania na X czy billboardach zbudowania administracyjno-prawnego fundamentu pod cywilizacyjny rozmach.

A po drugie – o ponadpartyjną zgodę, której brakuje. Mówiąc inaczej: pod planami modernizacyjnymi Morawieckiego musiałaby się podpisać cała klasa polityczna. I nawet jeśli dzisiaj Tusk chce budować Centralny Port Komunikacyjny, to mocno urealniony, znacznie odbiegający od pierwotnego bombastycznego projektu.

Przed wszystkim zaś – pod płaszczykiem ciekawych pomysłów kryje się niebezpieczna ideologia, której realne skutki już zaczynają odczuwać na własnej skórze Amerykanie. Czyli połączenie nowych technologii z pravicową – raczej autorytarną niż staroświecko kon-

serwatywno-wolnościową – wizją świata. Przeszczepianie korpo-monarchicznych, a po części faszystowskich fascynacji Doliny Krzemowej na polski grunt.

Część liberalnej opinii publicznej mogła ulec urokowi kosztownego, pragmatycznego premiera, który odważył się sprzeciwić Kaczyńskiemu i wyprowadzić z partii 44 polityków względnie młodych, na tle starej pisowskiej gwardii w rodzaju Jacka Sasina prezentujących się nowoczesnie i merytorycznie.

A jeszcze ci „rozsądni, europejscy konserwatyści” są ofiarami ataków ze strony takich postaci jak Jacek Kurski, były szef TVP i od lat nadworny harcownik Kaczyńskiego, który oskarżył Morawieckiego o realizowanie w Polsce niemieckiego interesu. Czy jak Jacek Sasin, wierny żołnierz „Prezesa”, który przypomniał na portalu X, że były premier w czasie katastrofy smoleńskiej doradzał Tuskowi.

Nic dziwnego, że w ostatnich dniach słyszałem od wielu osób interesujących się polityką, od dziennikarzy, publicystów, politologów i parlamentarzystów strony liberalnej powtarzające się zakłęcie: a może Morawiecki przyzna się do błędów, odetnie od zamordystycznej partii i – kiedy przyjdzie czas próby – dołoży swoje szable do wielkiego zwycięstwa obozu demokratycznego w 2027 roku?

Nic bardziej mylnego.

Najważniejszym celem Morawieckiego, owszem, jest wielkie zwycięstwo w 2027 roku – ale poprzez stworzenie wielkiej prawicowej koalicji – słyszę w Sejmie.

Były premier nie ma zamiaru dogadywać się z Donaldem Tuskiem, ponieważ straciłby wiarygodność nie tylko wśród elektoratu, ale przede wszystkim wśród własnych posłów, których przez rok przekonywał do porzucenia bezpiecznej, bo gwarantującej jak nie mandat poselski, to jakąś synekurę samorządową, przystani na Nowogrodzkiej.

Wszelkie deale polityczne z Koalicją 15 października dzisiaj nie wchodzi w grę, choć wspólnie Tusk z Morawieckim mają – jak zauważają nieśmiało co ufniejsi czy bardziej otwarci liberalni komentatorzy – większość do obalenia weta prezydenta.

Nikt nie liczy na to, że któraś ze stron będzie chciała wykorzystać ten nieoczywisty fakt. Morawiecki chce porozumieć się po wyborach z częścią PiS i Konfederacją, odstawiając na boczny tor radykałów od Kaczyńskiego i Grzegorza Brauna. – A i te zapewnienia trzeba brać w nawias – twierdzą niektórzy pisowcy.

•

Kaczyńskiemu odejście Morawieckiego sprawia wiele kłopotów, ale najważniejszy – z perspektywy mechanizmów politycznych, robienia polityki, analizy trendów i przekładania ich na konkret – jest związany właśnie z wizerunkiem, jaki usiłuje zbudować niedawny ulubieniec „Naczelnika”.

Czyli z przejściem na stronę byłego premiera młodych technokratów i – jak sami o sobie lubią mówić – państwowców. Dlaczego Kaczyński – człowiek, który nie lubi używać komórki, ogląda klasyczną telewizję i jeszcze do niedawna, jak kpili za plecami współpracownicy, trzeba było mu drukować internet – uważa ich stratę za najpoważniejszy problem?

Z racji ich doświadczeń i kompetencji – właśnie tych, których nie ma ani stara gwardia z „zakonu PC”, czyli Porozumienia Centrum, pierwszej partii Kaczyńskiego w latach 90., ani młodzi, lecz skupieni na klasycznej partyjnej robocie aparaczczycy. Spójrzmy, kto jest wśród „harcerzy”.

- **Janusz Cieszyński** – były minister cyfryzacji i wiceminister zdrowia, w którym odpowiadał za informatyzację systemu zdrowia. Zafascynowany nowymi technologiami, prowadził kampanie wyborcze PiS w internecie. Poności polityczną odpowiedzialność za zakup niesprawnych respiratorów w czasie pandemii. 38 lat.
- **Michał Dworczyk** – czyli najbliższy współpracownik Morawieckiego. Szef jego kancelarii, człowiek od zadań specjalnych, sprawny organizator umiejący obchodzić systemowe ograniczenia i biurokratyczne „nie-dasie”, ekspert od wojska. Prokuratura bada wyciek – za którym stali ziobryści, Rosjanie lub jedni i drudzy – wiadomości z jego prywatnej skrzynki mailowej, na którą przysyłał rządowe informacje. 51 lat.
- **Piotr Müller** – były rzecznik rządu Morawieckiego, były wiceminister nauki w resorcie chadeka Jarosława Gowina. Współodpowiedzialny za kształt ostatniej – mającej, bezskutecznie, podciągnąć polskie uczelnie w światowych rankingach i powiązać czystą akademię z wymogami rynku i biznesu – reformy szkolnictwa wyższego. Jako rzecznik prasowy tłumaczył dzień i noc każdą decyzję premiera oraz Zjednoczonej Prawi-

cy, kreował przekaz i komunikację swojego obozu politycznego. 37 lat.

• **Waldemar Buda** – były minister rozwoju i technologii. Chwalony nawet przez stronę demokratyczną za profesjonalizm. Negocjował popandemiczny Krajowy Plan Odbudowy, firmował dopłaty do zakupu mieszkań i ułatwienia dla przedsiębiorców. 43 lata.

• **Marcin Horała** – pomysłodawca Centralnego Portu Komunikacyjnego i koncepcji sieci kolei łączącej wszystkie części kraju. Zwolennik dużych inwestycji, które mają być kołem zamachowym gospodarki. W czasie kampanii wyborczej w 2023 roku rozdawał strażakom w swoim okręgu wyborczym torby ratownicze, które miały trafić do Ukrainy. 44 lata.

• **Olga Semeniuk-Patkowska** – była wiceministra rozwoju i przewodnicząca Rady Polskiej Agencji Kosmicznej. Typ urzędniczki. 37 lat.

• **Krzysztof Szczucki** – były dyrektor Rządowego Centrum Legislacji, redaktor programu wyborczego PiS w 2023 roku. Jako szef RCL wydał bezprawnie 1,3 mln zł na własną kampanię wyborczą, zatrudniając na etatach w kancelarii premiera swoich współpracowników. Prawniczy mózg zaplecza Morawieckiego. To on nie chciał wydrukować w Dzienniku Ustaw wyroku Trybunału Konstytucyjnego zastrzegającego prawo aborcyjne. 39 lat.

Jak mówią w PiS, z partią pożegnali się ludzie z horyzontami, czytani technokraci, niezależnie od politycznych i osobistych pokus zainteresowani reformowaniem państwa, a nie polityczną nawalanką.

Bez wątplenia Nowogrodzka straciła część zaplecza eksperckiego, choć afery sypią się w tym towarzystwie jak lipcowy deszcz z nieba.

O tym wszystkim rozmawiam z jedynym odważnym, czyli Krzysztofem Szczuckim.

– Naszym celem jest reforma państwa, ale też wdrażanie doktryny nowoczesnego patriotyzmu. Ciekawi nas aksjologia związana z ojczyzną, która mierzy się z nowoczesnością i proponuje własne odpowiedzi na jej wyzwania. Interesuje nas Polska, która ma silną gospodarkę, zasoby, kapitał, nowoczesne technologie, dzięki którym możemy realnie konkurować z innymi uczestnikami rynku globalnego – zaczyna Szczucki.

I na jednym wydechu wymienia budowę CPK oraz infrastruktury energetycznej, rozwój średnich przedsiębiorstw, które będą mogły wchodzić z pomocą państwa na rynki zagraniczne, ułatwianie polskim firmom udziału w zamówieniach publicznych, a także deregulację.

Zapewnia, że program stowarzyszenia Rozwój Plus nie zakłada wyjścia Polski z Unii Europejskiej, jedynie „zaznaczenie silnej podmiotowości naszego kraju w Europie”.

– Nie proponujemy rozwiązań, które mogą doprowadzić do Polexitu. Chcemy zmian w Unii, które zablokują proces jej decentralizacji, ale niewątpliwie we Wspólnocie Polska powinna pozostać. Musimy mieć dobre relacje międzynarodowe, które pozwolą nam budować koalicje reformatorskie.

Szczucki dodaje, że ekipa Morawieckiego chciałaby „mądrze zreformować wymiar sprawiedliwości”, co od razu wywołuje jego reakcję. Ale nim zdąży rozpocząć wyliczankę sposobów, w jakie Zjednoczona Prawica usiłowała zniszczyć niezależność sędziowską i prokuratorską, słyszę: – Prawo i Sprawiedliwość nie jest w tej sprawie bez winy.

– Na zapleczu partyjnym, za kulisami prowadziliśmy spór ze środowiskiem Zbigniewa Ziobry o kierunek reformy – przekonuje Szczucki. – PiS w zakresie wymiaru sprawiedliwości i ustroju mówi niestety językiem Suwerennej Polski i prawdę powiedziawszy, spodziewałem się, że prędzej czy później dojdzie do konfliktu na tym tle. PiS bliskie są tezy o potrzebie odwołania wielu sędziów, bo dla tej partii ważne są kadry. My natomiast uważamy, że należy przede wszystkim przyspieszyć postępowania w sądach, a reformę prze-



◀ **Sejm, 29 lipca. Mateusz Morawiecki i członkowie stowarzyszenia „Rozwój Plus” pozuje do zdjęcia po tym, jak ogłosili, że zakładają nowy klub parlamentarny**

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI /
AGENCJA WYBORCZA.PL

prowadzić w mądrym porozumieniu ze środowiskiem sędziowskim.

Ale przecież to rząd Morawieckiego zniszczył Trybunał Konstytucyjny i Sąd Najwyższy – zauważam.

– Opowiadam się za wyzerowaniem TK i zbudowaniem od nowa sądu konstytucyjnego. Tylko takie cięcie daje szansę na odbudowę autorytetu instytucji. Jeden z modeli proponował konserwatywny senator Kazimierz Michał Ujazdowski i opiera się na powołaniu nowego TK przez Sejm, Senat i prezydenta. Każdy z organów mógłby powołać po pięciu sędziów. Inny model zakłada wybór wszystkich sędziów przy poparciu 2/3 głosów w Sejmie, co wymusiłoby ponadpartyjną zgodę pod groźbą rozwiązania parlamentu – odpowiada zausznik Morawieckiego.

Doceniam zgrabną, koncyliacyjnie i merytorycznie brzmiącą frazę, ale tym bardziej ciekawi mnie, dlaczego o sporze na zapleczu Prawa i Sprawiedliwości, o różnicach programowych, o innym podejściu do sądownictwa słyszymy dopiero teraz?

I jeszcze: dlaczego dopiero dzisiaj stronnikiem Morawieckiego nie podobają się Jacek Kurski, który zrobił z TVP toporną, siermiężną i żenującą nawet licznych pisowców tubę propagandową rządu, czy poseł showman Dariusz Matecki, który wulgaryzuje politykę? Kiedy PiS rządził, z obozu władzy – a przecież Morawiecki był szefem rządu! – nie słyszeliśmy podobnej krytyki.

– Staraliśmy się być lojalni wobec ugrupowania, dlatego nie wynosiliśmy krytyki na zewnątrz. Nie jest zresztą tajemnicą, że Mateusz Morawiecki i Andrzej Duda nie byli pupilami TVP w czasach Jacka Kurskiego. Dariusz Matecki jest posłem dopiero od 2023 roku. I wielokrotnie na wewnętrznych spotkaniach mówiliśmy o „suwpolizacji PiS-u” – odpowiada Szczucki, mając na myśli przejmowanie radykalnego programu Ziobry przez cały PiS.

Mój rozmówca dodaje, że „w pewnym momencie zaczęli inaczej podchodzić do lojalności”. – Dla dobra partii zaczęliśmy głośno mó-

wić o konieczności korekty kursu, który obrała. Mówiliśmy, że PiS zmierza w coraz gorszą stronę. Narracja Suwerennej Polski stała się dominująca. I to nam pokazało, że wewnątrz partii nie ma żadnej refleksji.

Nie poddaję się i dopytuję, dlaczego on i jego koledzy, Dworczyk czy Cieszyński, nie krytykowali upartyjnienia mediów publicznych i propagandy uprawianej przez Kurskiego.

– Strona liberalna też zachowuje się lojalnie wobec swoich ludzi i nie krytykuje ich publicznie – ucina.

No dobrze, ale nie da się wymazać z dnia na dzień oskarżeń wobec współpracowników byłego premiera. A większość pogłębianych sond czy ankiet pokazuje, że to skojarzenia z rządem Morawieckiego ciążyą (czy raczej ciążyły, bo teraz Kaczyński skorzysta z okazji, by odciąć się od bagażu swojego faworyta) – PiS. Ludzie byłego premiera są kojarzeni z przepaleniem publicznych pieniędzy na respiratory i maseczki, które można było od razu po zakupie wyrzucić do kosza czy z wprowadzeniem milionów złotych z Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych.

Nawet również emblematyczne afery, za które odpowiadają wrogowie premiera – jak ziobrystowski Fundusz Sprawiedliwości – w potocznej opinii idą na konto rządu PiS, któremu twarz dawał Morawiecki.

Przypominam, że mój rozmówca również ma zarzuty prokuratorskie. Czy Szczucki postrzega to wszystko jako polityczne obciążenie?

– Nie, choć jako państwowy stawiamy się na każde wezwanie państwa, nawet gdy się z nim nie zgadzamy. Mamy jednak poczucie, że wykonywaliśmy dobrą robotę. Oczywiście zdarzały nam się błędy, ale nie w sensie kryminalnym i karnym, tylko politycznym. Nie mamy obaw, ponieważ nie mamy obciążonych sumień. Choć nasi konkurenci na prawicy mogą wykorzystywać te sprawy, mimo że mają na koncie poważniejsze oskarżenia – odpowiada Szczucki.

Po czym płynnie przechodzi do wręcz historiozoficznej refleksji: że każda partia, która sięga po władzę, powinna wystrzegać się obietnic związanych z rozliczeniami poprzedników.

– Zemsta polityczna, zamykanie przeciwników w więzieniach są strategicznie wątpliwe. Jeśli ktoś popełnił przestępstwo, to prokuratura, która powinna być niezależna, niech zajmie się jego ściganiem. Jako Rozwój Plus nie będziemy chodzić po mediach i krzyczeć, że za dwa lata, jak dojdziemy do władzy, zamknijemy kogoś za kratki. A taką strategię ma niestety wielu posłów PiS – mówi Szczucki.

No to pytam o inne papierki lakmusowe merytorycznego, sprawnego państwa – o sfera i rolę TVP („bezpartyjny ekspert, w ostateczności podział programów między partiami”), o spółki skarbu państwa („odpartyjnienie jest konieczne, ale nie bądźmy naiwni: prezesi muszą realizować politykę państwa”) – ale też o kwestie obyczajowe czy swobód obywatelskich, w które technokraci ponoć nie zamierzają się wtrącać. Czyli o prawo aborcyjne („jesteśmy wierni wartościom chrześcijańskim”).

Na koniec zadaję pytanie najważniejsze, od którego tak naprawdę zależą odpowiedzi na wszystkie wcześniejsze: o koalicjantów. Co z koalicją z KO po przyszłorocznych wyborach?

– Wykluczamy taką możliwość.

– Nawet gdyby to miało dać wam władzę, czyli stabilizację i zakorzenienie na scenie politycznej, no i oczywiście szansę wymarzonej modernizacji państwa?

– Wykluczamy, ponieważ Koalicja Obywatelska prezentuje skrajnie niedobre pomysły dla Polski.

To może Szczucki wyobraża sobie koalicję z Grzegorzem Braunem?

– Jesteśmy na antypodach ideowych w takich sprawach jak podejście do Ukrainy, realizacji polskiej racji stanu, naszej obecności w Unii. Z innymi partnerami z Konfederacji i PiS pojawiają się na pewno istotne różnice. Ale jednocześnie proszę zobaczyć, ile różni partie tworzące obecny rząd. Mimo to co do pewnych kierunków są w stanie się porozumieć.

Moja mina musi jasno komunikować „aha, przy pytaniu o Tuska nie byliście tak ekumeniczni”, bo poseł od razu zauważa, że jasny podział kompetencji może w przyszłości ułatwić zawiązanie prawicowej koalicji.

Podsumujmy: Morawiecki i jego młodzi współpracownicy chcą przekonać kluczowy centrowy elektorat, że Polskę stać na wielkie reformy i budowę sprawnego państwa.

Problemy ujawniają się, kiedy przyglądamy się pod lupą konkretnym propozycjom: albo idą w kierunku chińskiego modelu inwigilacji, albo ich pomysłodawcy stracili wiarygodność w trakcie rządów, albo nie biorą pod uwagę pełnego kontekstu funkcjonowania administracji publicznej.

Pokolenie 40-latków, które poszło za byłym premierem, wyczuwając polityczne przesilenie, postawiło wszystko na jednego gracza.

Zaryzykowali i już nie mają nic do stracenia. Najwyżej ich marzenia o cywilizacyjnym skoku wylądują w szufladzie z innymi niezrealizowanymi projektami politycznymi. ●

**Ludzie Morawieckiego
twierdzą, że obecną politykę
już przestały napędzać sprawy
światopoglądowe. Dlatego
unikają rozmów o prawie do
aborcji, Kościele czy związkach
partnerskich**

Blżej Brukseli niż PiS

Jakoś przełkniemy uprzejmego bankiera

Dla Unii Europejskiej Kaczyński jest złem wcielonym. Morawieckiego da się przełknąć, a nawet przerobić na kogoś w rodzaju Meloni

Mazzini



Jeśli na schizmę w PiS spojrzeć przez pryzmat spraw międzynarodowych, natychmiast widać, że fronda dla byłego premiera jest najsensowniejszym ruchem.

Z punktu widzenia dzisiejszego układu sił w europejskiej polityce fakt, że Mateusz Morawiecki był przez sześć lat szefem rządu Zjednoczonej Prawicy, ma niewielkie znaczenie. Dużo ważniejsza jest sprawowana przezeń funkcja przewodniczącego europarlamentarnej frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów.

Przeszłość w roli premiera to oczywiście ważna waluta na scenie krajowej, wszak to stanowisko wyniosło Morawieckiego do pierwszej ligi polskiej polityki, dało rozpoznawalność i uwiarygodniło w elektoracie prawicowym. Na tych sześciu latach będzie się budował, łowiąc wyborców. Tyle tylko, że ten był bankier i dawny doradca Tuska, w PiS od zawsze będący ciałem obcym, nigdy nie myślał tylko w kategoriach polskiej polityki i prząsnej partyjnej rywalizacji. Być może to właśnie jest najważniejszy czynnik odróżniający go od Jarosława Kaczyńskiego.

Dla prezesa zawsze celem egzystencjalnym było utrzymanie kontroli nad własnym ugrupowaniem, nawet za cenę teoretycznej w polityce najwyższą, czyli utratę władzy w państwie. Też o tej treści rozpisał w „Kluczu do Kaczyńskiego” Robert Krasowski, a teraz sam zainteresowany ją uwiarygodnia – nie dążąc do bezpiecznego kompromisu, a potem się zobaczy, tylko zezwalając na bezprecedensowy rozłam.

Morawiecki od zawsze myślał inaczej, szerzej – w geograficznym ujęciu polityki. To za nurzeni w krajowej polaryzacji komentatorzy postrzegali go jako naturalny wykwit wojny polsko-polskiej, choć on sam robił wszystko, żeby wyjść na polityka rangi co najmniej europejskiej.

Przez sześć lat u władzy nie udało mu się to ani trochę – ale też warunki zewnętrzne mu nie sprzyjały.

W Unii Europejskiej tak zwana „wielka koalicja” sił liberalnych, lewicowych i chadeckich była całkowicie niezagrożona, a Zielony Ład i regulacje sanitarne z czasów pandemii koronawirusa były akurat triumfami opcji politycznych, które Morawiecki zwalczał.

Za oceanem też trudno było o zaangażowanego i silnego partnera, bo pierwsza kadencja Trumpa była dość powściągliwa w polityce zagranicznej, a po niej nastąpiły rządy ludzi Bidena, heroicznych obrońców – przynajmniej na papierze – norm po wojennego porządku liberalnego.

Morawiecki próbował wprowadzić budować koalicję przeciwko europejskiemu centrum, żeby wyprowadzić PiS, a przez to Polskę, z izolacji, ale nie miał za bardzo z kim tego robić. Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen i AfD Alice Weidel długo pozostawały – a AfD wciąż pozostaje – otwarcie prorosyjskie, co dla wyborców PiS byłoby nie do zaakceptowania.

Podobnie Viktor Orbán, którego na początku Kaczyński próbował zwałować jako premiera mniejszego i niewiele ważącego kraju w Europie Środkowej, a który z czasem urosł na autentycznego lidera globalnego alt-rightu, jednocześnie radykalizując się i stając sługusem Kremla.

Hiszpański Vox poważną siłą stał się dopiero po następnych wyborach parlamentarnych z 2023 roku, a brytyjscy konserwatyści sami się z Unii wyprowadzili.

Nic dziwnego, że w czasie rządów Morawieckiego Polska była we Wspólnocie pariasem. Gdyby jednak jakimś cudem wrócił na stanowisko premiera za rok, ten scenariusz wcale nie musi się powtórzyć – i wiele wskazuje, że Morawiecki właśnie na to liczy.

Od odejścia PiS od władzy jesienią 2023 roku Wspólnota mocno się zmieniła, a dokładniej – skłoniła w prawo. Bardzo wiele postulatów eurosceptycznej prawicy, z którą identyfikuje się Morawiecki, zostało znormalizowanych w głównym nurcie unijnej polityki. Wystarczy spojrzeć na migrację z krajów pozaeuropejskich, z którą PiS tak bardzo chciał walczyć.

Dziś wiemy już, że słowa nie szły w parze z czynami, a afera wizowa i korupcja przy rozdawaniu pozwoleń na pobyt dla przybyszów z Azji i Afryki były jednymi z powodów utraty

większości trzy lata temu. Co nie zmienia faktu, że Morawiecki zawsze domagał się znacznego ograniczenia imigracji.

Dawniej wokół tej kwestii toczyła się potężna debata, głównie na niwie polityki tożsamościowej i wojen kulturowych, tymczasem dzisiaj obowiązują już nowy europejski konsensus. Niemal wszystkie wiodące siły polityczne chcą ograniczenia imigracji, możliwości zawieszenia prawa do azylu – co zresztą w Polsce zrobił Donald Tusk – zintensyfikowania deportacji i stworzenia tak zwanych centrów powrotnych w krajach trzecich.

Kiedy w marcu tego roku Parlament Europejski głosował nad Return Regulation, legislacją wprowadzającą większość z tych instrumentów, dokument

ekonomicznych jest ona niewiele niższa. W dodatku kiedy EPP nie może liczyć na tradycyjnych partnerów koalicyjnych – Zielonych, Socjalistów i Demokratów oraz Renew, to EKR jest naturalnym „zapasowym” sojusznikiem. Analitycy Instytutu Delorsa wyliczyli, że przy rozłamie w wielkiej koalicji centroprawica i eurosceptycy głosują razem w 78 proc. przypadków.

Na ogólnym, bardziej naracyjnym poziomie, ten nowy konsensus jest jeszcze bardziej widoczny. Narodził się głównie ze zmiany postaw dawnych ugrupowań antyunijnych. Niedługo domagające się rozmaitych „exitów”, na czele z Frexitem, dzisiaj nie chcą z Unii wychodzić, tylko reformować ją od środka.

Koronnym przykładem takiej postawy jest Giorgia Meloni, często chwalona za jej rzekomo niespodziewanie lekką krytykę Unii i teoretycznie prospołnotową politykę. W rzeczywistości jej stanowisko wynika z bardziej złożonej kombinacji czynników.

Meloni trochę zbliżyła się do unijnego jądra, temperując chociażby prorosyjskość koalicyjnego partnera Matteo Salvini, ale owo unijne jądro też zrobiło sporo kroków w jej kierunku. Ursula von der Leyen włożyła po wyborach europejskich z 2024 roku dużo wysiłku, by Meloni była dla niej partnerką, a nie zdradkalizowaną oponentką na wzór Orbána. W polityce jednak nie ma nic za darmo, szefowa Komisji Europejskiej też musiała coś dać od siebie. Kosztem utrzymania Meloni z dala od radykałów było przesunięcie EPP na prawo, co stało się rękami von der Leyen i jej lojalisty, szefa Ludowców Manfreda Webera.

Inni idą w jej ślady. Chęć wyjścia z Unii porzuciła Marine Le Pen – co jest elementem jej wysiłków na rzecz odrzucenia skrajnego dziedzictwa własnej partii. Jej przyboczny, Jordan Bardella, w wywiadzie dla POLITICO Europe nakreślił zresztą ambitny plan reformy Wspólnoty. Założenia są przewidywalne: mniej regulacji, więcej prerogatyw dla państw członkowskich, ale Unia ma nadal istnieć, a Francja – dyktować w niej warunki.

Zarówno na poziomie idei, jak i realnego uprawiania polityki, w Europie tworzy się odmienny konsensus, znacznie bardziej prawicowy niż ten poprzedni.

Morawiecki to widzi i chce być częścią nowego układu rządzącego na kontynencie. Dochodząc do władzy za rok, nie byłby pozabawiony szans.

Polska geopolitycznie wazy dzisiaj więcej niż za czasów PiS, zwłaszcza w kontekście wojny w Ukrainie. Ponowna izolacja Warszawy byłaby dla całej Wspólnoty znacznie bardziej kosztowna niż w czasie sporu o praworządność z lat rządów Kaczyńskiego i Ziobry.

W dodatku Morawiecki, wbrew pozorom, nie jest na Zachodzie wcale tak obciążony wizerunkowo, jak w Polsce.

Na scenie krajowej kojarzony jest chociażby z aferą RARS czy skandalami wokół działek kupowanych od Kościoła, ale za granicą to się nie przebiega. Dla większości europejskiego mainstreamu synonimem zła spod znaku PiS jest Kaczyński, uznawany za antydemokratycznego szatana. Morawieckiego da się spokojnie znormalizować. Dobrze wykształcony, sporo młodszy od prezesa bankier, którego felietony publikuje brukselska odsłona POLITICO to wręcz idealny kandydat na próbę powtórzenia manewru z Giorgią Meloni.

Bardzo możliwe, że były premier myśli właśnie w takich kategoriach. Chce wejść do Sejmu ze swoją nową partią, a potem intronizować siebie samego jako jedynego kandydata na premiera z prawicy, którego Bruksela będzie w stanie tolerować, dzięki czemu uda się pogodzić ogień z wodą. Polska będzie miała konserwatywny rząd, a Unia nie ukaże jej finansowo.

Na papierze ten plan wygląda sensownie – ale to, co ma sens w optyce polityki zagranicznej, rzadko przekłada się na scenę krajową. Żeby Morawieckiemu się udało, musiałby mieć rząd bez Grzegorza Brauna, na arenie europejskiej będącej całkowicie na marginesie debaty demokratycznej. Jeśli Braun wejdzie do koalicji, z Polską nikt nie będzie rozmawiać i plan normalizacyjny się nie powiedzie.

Co więcej, ekspremier ma silny elektorat negatywny także wśród wyborców i polityków Konfederacji, od lat oskarżających go o bycie „eurokratą w ukryciu”, zbyt uległym wobec von der Leyen w czasach Zjednoczonej Prawicy.

Przeszkód jest bardzo wiele, niektóre pewnie nie do pokonania. Ale kto zabroni marzyć, zwłaszcza politykom? ●

Mateusz Mazzini



poparli wszyscy eurodeputowani frakcji Morawieckiego oraz wszyscy Patrioci dla Europy, czyli ludzie z formacji Orbána. Razem z nimi na „tak” zagłosowało jednak 165 (95 proc.) członków centroprawicowej Europejskiej Partii Ludowej (EPP), 23 (88 proc.) niezrzeszonych, a nawet prawie jedna piąta liberalistów z frakcji Renew i siedmiu członków Socjalistów i Demokratów.

Analogicznie wygląda sytuacja z innymi postulatami prawicy zbliżonej do PiS – wybił zębów Zielonemu Ładowi czy europejskim regulacjom technologicznym. Analizy Instytutu imienia Jacquesa Delorsa z Brukseli pokazują ten trend na liczbach. W poprzedniej kadencji zbieżność postaw na sali plenarnej w czasie głosowań pomiędzy EPP, do której należą KO i PSL, oraz EKR Morawieckiego wynosiła 63 proc. W obecnej obserwuje się trend wzrostowy – w głosowaniach nad legislacjami w sprawie migracji i ekologii EPP i EKR mają zgodność powyżej 90 proc., w głosowaniach

Chciałbym zostać prawniczym ghostbusterem

Dlaczego na prawicy jest tak wielu formalistów prawnych.



Marcin Matczak

Kup dwa bochenki chleba, a jak będą jajka, weź dziesięć!“. Czy człowiek, który wraca ze sklepu z dwoma bochenkami chleba i dziesięcioma jajkami lepiej wykonał tę instrukcję niż ten, który po powrocie wyjaśnia, że jajka były, dlatego wziął dziesięć bochenków? Skąd to niby wiadomo, skoro oba zachowania da się w świetle tej instrukcji językowo uzasadnić?

Zajmuję się ostatnio tymi jajkami w celu poważnym. Chciałbym zostać prawniczym „ghostbusterem” – łowcą ducha prawa. W systemach prawnych oprócz jego litery zawsze dostrzegano coś więcej – coś, co wyczytywano między wierszami, „cel” prawa, „intencję prawodawcy”.

W „Kupcu weneckim” Shylock uzyskuje na podstawie umowy prawo do funta ciała Antonia. Widzowie czują, że gdy żąda on serca, działa zgodnie z literą umowy, ale wbrew jej duchowi. Trudno wszak przyjąć, że prawo umów pozwala wierzycielowi zabić dłużnika.

Shylock chce jednak wykonać umowę literalnie. To skrajny formalizm: abstrahujemy od celu umowy i od proporcji między niespłaconym długiem a karą, bo „tak napisano”. Gdy odwołanie do miłosierdzia zawodzi, Porcja pokonuje go jego własną bronią: skoro żąda litery, dostanie literę. Może wyciąć dokładnie funt ciała, ale nie może przy tym utoczyć ani kropli krwi, bo o krwi umowa nie wspomina.

Wielu ludzi uważa, że duch prawa to wymysł i chce literą ograniczyć widzimisię prawników. Gdy ci mówią o duchu, traktuje się ich jak wyciągających z tekstu coraz to nowe znaczenia, tak jak magik wyciąga z kapelusza coraz to nowe króliki.

Niby więc czujemy, że duch jest, ale nie potrafimy go precyzyjnie zidentyfikować. A temat ma duże praktyczne znaczenie: współczesne zamachy na praworządność opierają się na czymś, co Kim Scheppele, wybitna socjolożka prawa z Princeton, nazywa autokratycznym legalizmem – wykorzystywaniem litery, by zniszczyć ducha demokracji i rządów prawa.

W przyskrzynieniu ducha prawa pomocna może być teoria psychologa poznawczego Waltera Kintscha, który pisał, że rozumienie tekstu odbywa się niejako na dwóch poziomach: na poziomie „bazy tekstowej” czyli tego, co wynika z samych zdań tekstu, i na poziomie „modelu sytuacyjnego” – obrazu sytuacji, który czytelnik buduje w głowie, łącząc tekst z kontekstem i szerszą wiedzą o świecie.

Widać to w przykładzie z chlebem i jajkami. To nie baza tekstowa decyduje o tym, że do człowieka wracającego z dziesięcioma bochenkami uśmiechamy się z politowaniem. To, że uznajemy jego wykonanie instrukcji za gorsze, wynika z modelu sytuacyjnego: wiemy, jak wyglądają zakupy i że pytanie o dostępność jajek zwykłe warunkuje zakup jajek, a nie zwiększa pięciokrotnie zapotrzebowania na chleb.

Baza tekstowa przypomina literę prawa, a model sytuacyjny to miejsce, w którym możemy szu-

kać jego ducha: celu, funkcji i obrazu rzeczywistości, którą przepis ma kształtować. Kiedy mamy na podstawie tekstu działać, nie wystarczy zapamiętać, co znaczą jego zdania. Trzeba zbudować model sytuacji, do której się odnoszą. A kiedy stosujemy prawo, traktujemy je jak instrukcję, na podstawie której działamy.

Spójrzcie na taką instrukcję, podobną do tej, której Bransford i Johnson użyli w słynnym eksperymencie z 1972 roku, pokazującym, że bez wiedzy o sytuacji tekst pozostaje niezrozumiały: „Najpierw trzeba upewnić się, że ma się wystarczający zapas produktu, bo bez tego będziesz musiał prze-rwać w najgorszym momencie. Kolejność ma znaczenie: to, co robi się na końcu, straci sens, jeśli zrobi się to za wcześnie. Zaczyna się zawsze od góry, nigdy odwrotnie. Gdy jedna strona jest gotowa, przechodzi się na następną i tak dookoła”.

Sama baza tekstowa nie powie nam, że chodzi tu o korzystanie z bezdotykowej myjni samochodowej. Zrobi to dopiero model sytuacyjny, który musimy mieć w głowie. To instrukcja skrajnie wieloznaczna, ale prawo takie często jest. Pozwala na różne uzupełnianie ingardenowskich „miejsc nie-dookreślenia”.

Jednak miłośnicy litery prawa uważają, że oni czytają prawo bez takich uzupełnień, a więc bez zakładanego modelu sytuacyjnego. Widzą słynny ostatnio przepis, że ślubowanie sędziego TK składa wobec Prezydenta RP. I jest on dla nich jasny. Ale skąd wiedzą na przykład, że chodzi tu o urzędującego prezydenta, a nie któregoś z byłych?

Przepis nie zawiera przecież słowa „urzędującego”. Formalista może tylko powiedzieć, że to oczywiste. Ale na jakiej podstawie? To nie litera wyklucza tu Wałęsę czy Kwaśniewskiego – wyklucza ich model ustroju, który formalista stosuje ponad literę, ale przemilcza to. I do relacji prezydent – Trybunał Konstytucyjny już tego modelu nie stosuje.

Spór między formalistą a antyformalistą nie polega więc na tym, że pierwszy czyta sam tekst, a drugi dołącza do niego obraz świata. Obaj dołączają obraz świata. Różnica polega na tym, że jeden przyznaje, że to robi, a drugi swój obraz świata prezentuje jako właściwość samych słów.

A ponieważ formalista swego modelu nie ujawnia, może nim manipulować. Uznaje, że sędziów do Krajowej Rady Sądownictwa może wybierać sejm, bo stosuje model sytuacyjny pod tytułem „bezwzględna suwerenność parlamentu”. Nie wspomina, że ten model sytuacyjny nie pasuje do modelu konstytucyjnego mówiącego o niezależności władzy sądowniczej. Albo twierdzi, że skoro litera przepisu nie nakazuje prezydentowi ulaskawiać dopiero po prawomocnym skazaniu, to znaczy, że może ulaskawić formalnie niewinnego. Ale to jest czytanie litery w określonym modelu ustrojowym, który nie jest zgodny z modelem konstytucyjnym. Według niego wymiar sprawiedliwości sprawują sądy, a prezydent wkracza, gdy skończą swą pracę.

Czas przestać udawać, że istnieje „czyste” literalne rozumienie prawa, nieoparte na żadnym duchu. Skoro modelu sytuacyjnego nie można uniknąć, kluczowe pytanie powinno brzmieć nie: „litera czy duch?”, ale: „jaki model sytuacyjny jest właściwy i co go uzasadnia?”.

Zapytajmy więc formalistów, w tym naszych legalistycznych autokratów, o ich model sytuacyjny. Bo człowiek, który kupił dziesięć bochenków, ponieważ w sklepie były jajka, przynajmniej tłumaczy, dlaczego to zrobił. Formalista mówi tylko: to oczywiste. Tyle że za oczywistością prawie zawsze stoi wybór wartości. Nieprzyznany, a więc niepodlegający dyskusji. ●

Bon młot

Twórczość okresu porozłamowego w PiS balansuje od cytatów ze św. Augustyna, przez analogie do „Władcy Pierścieni” i „Odysei” aż po wątki funeralne. Czy ucho prezesa wytrzyma to ciśnienie?



Michał Rusinek

Jeśli komuś się wydawało, że Prawo i Sprawiedliwość zawsze będzie się charakteryzowało partyjną jednomyślnością i zawsze będzie mówiło jednym głosem, to przeżywać musi teraz trudne chwile.

Dla badaczy języka są to jednak chwile bardzo interesujące. Nie wiemy, jak sytuacja się rozwinie, być może między napisaniem tego felietonu a jego publikacją zmieni się diametralnie, więc cieszymy się po prostu tym, co mamy.

Grabarze dwóch płuc

Jeszcze do niedawna PiS miał być organizmem złożonym z dwóch płuc, ale już nie da się go opisywać za pomocą tej metafory, przynajmniej nie bez popadania w krwawą makabrę lub naukowe pojęcia z dziedziny torakochirurgii. Ten etap został pominięty, bo przeskoczyliśmy od razu do metaforyki funeralnej. I nawet jeśli teraz Mateusz Morawiecki przypomina, że PiS miał być także partią dwóch skrzydeł, to nie widzimy tu już raczej skrzydeł ptasich ani wojskowych, lecz skrzydlatą istotę ulatującą z umęczonego partyjnymi sporami ciała.

Morawiecki powiedział także, że porozumienie wewnątrz partii zostało pogrzebane. „Grabarze porozumienia potrafiliby utkać średnio powiązane wątki” – powiedział.

Pracownicy przedsiębiorstw pogrzebowych rzadko zajmują się tkactwem, chyba że w wolnym czasie, warto jednak docenić – być może podświadome, a być może sprowokowane przez szeroko komentowaną ostatnio „Odyseję” Christophera Nolana – nawiązanie do starożytnych Mojż, czyli prądek ludzkiego losu.

U Homera Mojra jest tylko jedna, podobnie jak w wypowiedzi Piotra Muelle- ra, członka frakcji Morawieckiego. Jego zdaniem to Jacek Sasin jest „grabarzem tego porozumienia. Grabarzem tego, co mogło być dobrego, a jednocześnie ojcem chrzestnym potencjalnej wygranej Donalda Tuska w przyszłych wyborach”.

Jak widać, skłonność do rymowania okazała się silniejsza od norm gramatycznych („tego, co mogło być dobre” nie brzmi dostatecznie poetycko); zwróćmy też uwagę na nawiązanie do filmów Francisca Forda Coppoli, które kieruje nasze skojarzenia raczej w rejony mafijne.

Intrygant sączył do ucha

Jacek Sasin należy ponoć do grona „intrygantów”. „Do końca proponowaliśmy jedność – zapewniał Morawiecki. – Mówiliśmy: przestańcie nas wypychać. Mam na myśli niewielką grupę intrygantów. Są sprawni w takim kombinowaniu i do tego doprowadzili”. Mueller zaś wyjaśniał, że „te osoby sączyły do

ucha prezesa przez ostatnie miesiące: »wyrzucił Morawieckiego« i »powtarzały nieprawdziwe rzeczy dotyczące naszej aktywności”. Pojawiało się także określenie „zausznicy”, a Marcin Horala – przywiązany do metafor mafijnych – mówił o „kartelu dostępu do ucha prezesa”.

Trudno nie dostrzec tu nawiązania do „Władcy Pierścieni” Tolkiena i postaci Grima Wężowego Języka, szpiega Sarumana, który sączy do ucha Theodena, króla Rohanu, szkodliwe dla państwa podszepty. Ale „ucho prezesa” kojarzy się nam przede wszystkim z serialem Roberta Górskiego, który pokazywał w krzywym zwierciadle Jarosława Kaczyńskiego i jego otoczenie. Jak widać, rzeczywistość zaczęła naśladować serial.

Na poezję to trzeba uważać

Pojawiły się też wpisy Michała Dworczyka i Marcina Horala, w których krytykowali decyzję Kaczyńskiego o ultimatum i żądaniu podpisywania lojalek.

Ten pierwszy zasugerował podobieństwo do pezetpeerowskiej dyscypliny partyjnej, dodając do cytowanego fragmentu odezwy prezesa PiS słowa: „Towarzyszek i towarzysze”. Natomiast ten drugi posłużył się cytatem z „Potęgi smaku” Zbigniewa Herberta: „Zaiste, ich retoryka była aż nazbyt parciańska/ (Marek Tulliusz obracał się w grobie)/ łańcuchy tautologii parę pojęć jak cepy/ dialektyka oprawców żadnej dystynkcji w rozumowaniu”.

Oba wpisy szybko zniknęły. Widocznie ich autorzy uznali, że przesadzili. Zwłaszcza Horala. Bo jednak poezja to broń ciężka i ciskanie nią w politycznych przeciwników mogłoby się skończyć oberwaniem jakimś jeszcze cięższym wierszem. A to już prosta droga do krwawych zamieszek.

A Brudziński po łacinie

Po drugiej stronie sporu głos zabrał Joachim Brudziński, chwalać przy okazji opanowanie Jarosława Kaczyńskiego: „Roma locuta, causa finita” – napisał na portalu X, cytując św. Augustyna, i dodał: „Dzisiaj najważniejsze to rozstać się z klasą i bez złych emocji, dokładnie tak, jak zaprezentował to nasz Lider” (zauważmy wielką literę i miejmy nadzieję, że Kaczyński też ją zauważył, podobnie jak zapewne mile jego uchu skojarzenie – za sprawą łacińskiego cytatu – z papieżem).

Życzyl ludzom Morawieckiego, by potrafili „utrzymać ciśnienie i klasę”, nie precyzując jednak, o jakie ciśnienie chodzi – ale postarajmy się powstrzymać wyobraźnię.

Następnie zwrócił się do swoich, czyli tych, którzy pozostali przy Kaczyńskim: „powinniśmy żyć słowami i nie gorszyć naszymi wyborcami polemikami na poziomie rozhistoryzowanych pensjonarek albo wulgarnych »bon młotów«”. Warto zwrócić uwagę na dywersyfikację odbiorczyń i odbiorców tych słów ze względu na ich płeć przez odwołanie się do utrwalonego w rodzimej kulturze patriarchalnej podziału ról społecznych i skłonności: kobiety histeryzują, mężczyźni zaś zajmują się w tym czasie realnym lub metaforycznym kowalstwem. Tak to widocznie w PiS wygląda.

Brudzińskiemu należy jednak przyznać, że samokrytyczne określenie „bon młot” bardzo trafnie oddaje poziom językowy okresu porozłamowego. Z wypiekami na twarzach czekamy na dalszy rozwój wypadków i dalsze mozolne wykonywanie się metafor je opisujących. ●



SŁOŃCE i TRAUMA

• **Przychodnia w Mbouri. Polska Misja Medyczna zapewnia tu pomoc dla dzieci z niedożywieniem, opiekę pediatryczną i wsparcie psychologiczne dla okolicznych mieszkańców oraz uchodźców**

Abu spokojnie opowiada, jak pochował syna, synową i ich sześcioro dzieci. Syn rzucił się do ratowania rodziny z pożaru i zginęli wszyscy.

Michał Olszewski

KORESPONDENCJA Z SYRII

Zdjęcia: **Jakub Włodek / Agencja Wyborcza.pl**

Pięćdziesięcioletni mężczyzna o twarzy starca nieproszony między jednym łykiem herbaty a drugim zdejmując czapkę z głowy, żeby pokazać głębokie wgniecenie w czaszce. A potem otwiera szeroko usta i każe mi w nie zajrzeć, ponieważ odłamek urwał mu kawał szczęki.

Na koniec pokazuje zdjęcie z czasów szczęśliwości: stoi przy swojej śnieżnobiałej Hondzie Sonacie, którą woził pasażerów pomiędzy Ammanem a Damaszkiem. Honda spłonęła, został mu chodzik, przy którym porusza się między ruinami.

Mówi po arabsku, trochę francuskiego, ale lingua franca jest w tym przypadku oczywista: czapka z głowy, bum, bum, otwarte usta, zdjęcie z samochodem, chodzik. Mężczyzna jest spokojny, dużo się uśmiecha.

Na cmentarzu w ruinach dzielnicy Jober w Damaszku od pół wieku pracuje Abu Fahed Al Adżuz. 70-letni grabarz. Jober stało się areną jednej z największych bitew tej wojny: od 2012 roku wojska Baszara al-Asada zmieniały budynek po budynku w żelbetowe szkielety, nie oszczędzając szkół, meczetów i sklepików.

Wiatr hula między nagrobkami, a Abu spokojnie opowiada, jak na cmentarzu pomiędzy wypalonymi szkieletami domów pochował syna, synową i ich sześcioro dzieci. Syn rzucił się do ratowania rodziny z pożaru i zginęli wszyscy.

Ktoś opowiada o swoim dziesięcioletnim synu, który zginął od wybuchu bomby.

Ktoś inny wrócił właśnie do domu po dziesięciu latach życia w namiocie.

Co krok takie historie. Coraz mniej słyszalne poza Syrią, bo po zakończeniu wojny świat uznał temat za zamknięty. Asad uciekł przecież do Moskwy, żołnierze przestali zrzucać z helikopterów sarin i beczki wypełnione prochem pomieszanym z odłamkami, wylądowały pierwsze samoloty cywilne.

Tymczasem po obaleniu dyktatora Syria toczy nie-równą i rozpaczliwą walkę o powrót do normalnego życia.

• Wizyta w Syrii była finansowana w ramach dotacji MSZ na projekt realizowany przez PMM.

Wspieraj pomoc Polskiej Misji Medycznej:

- ustaw płatność cykliczną w Twoim banku na działania PMM lub pmm.org.pl/wplacam/
- przekaż darowiznę na numer konta Polskiej Misji Medycznej: 40 1030 1508 0000 0008 2378 3004
- wpłać za pośrednictwem BLIK na numer biura Polskiej Misji Medycznej: 575 222 705



Te zmagania widać na każdym kroku. Na przykład w Bhour, wiosce położonej jakieś 30 km na zachód od Idlibu. Jadę tam z Polską Misją Medyczną, która od marca prowadzi projekt pomocowy w ośrodku zdrowia. Położona na płaskowyżu i smagana zachodnim wiatrem wieś tonie w oślepiającym słońcu, pełno tu dzieciaków i młodzieży, która (są wakacje) pomaga w polu albo wariuje na motocyklach.

Wojna obeszła się z tym kawałkiem kraju w miarę łaskawie, to znaczy domy pozostały w całości, gaje oliwne nie są poprzecinane okopami, bombardowania miały charakter sporadyczny, a przy drogach nie widać wraków spalonych podczas ostrzałów samochodów. W porównaniu z roztrzaskanym Idlibem, podziurawionym Aleppo czy zrujnowanym Homs wieś wygląda na nie-tkniętą.

Z tej przyczyny do Bhour z linii frontu zaczęli ściągać Syryjczycy, którzy nie uciekli za granicę. Półtora roku po zakończeniu wojny wciąż koczują w poszarpanych namiotach na zboczach głębokich dolin, pomiędzy skałami, czasami na tyłach sadów, gdzie pracują jako robotnicy sezonowi. Lekarze szacują, że spośród ok. 40 tys. mieszkańców jakieś 30 proc. to uchodźcy wewnętrzni. Przychodnia nadal pęka w szwach. Matki przynoszą małych pacjentów z astmą, biegunkami, niedożywieniem.

Polska Misja Medyczna daje pieniądze na opiekę pediatryczną, walkę z niedożywieniem i treningi psychologiczne.

Większość rozmówców w Syrii, niezależnie od warunków, w jakich się znaleźli, mówi: jest lepiej. Jest lepiej, bo zamilkły karabiny, a z nieba zniknęły odrzutowce i helikoptery. Wyjazd z Bhour do Idlibu znowu jest uciążliwy



• Abu Fahed Al Adżuz, grabarz z cmentarza w Damaszku. Pochował na nim syna, synową i szóstkę dzieci, które zginęły w czasie wojny.

wyprawą, ale nie ma już ryzyka, że będzie to wyprawa ostatnia w życiu. No i najważniejsze: system energetyczny zaczął znowu działać.

Ale o tym, co kryje się za optymizmem, szerokimi uśmiechami i kordialnymi powitaniem, świadczy fakt, że lekarze stworzyli właśnie zespół wsparcia psychologicznego dla mieszkańców, co jeszcze niedawno było nie do pomyslenia – jak w każdej wiejskiej społeczności, niezależnie od szerokości geograficznej, rozmowa z psychologiem i psychiatrą traktowana była jako użama. Teraz ciężar niezaleczonych traum stał się dla części mieszkańców nie do zniesienia.

Podczas spotkania jednej z grup pomocowych postawny mężczyzna opowiada, że od początku wojny cierpi na bezsenność. Nie może sobie z nią poradzić. Leży, a przed oczami ma krewnych i znajomych z różnych części Syrii, którzy zginęli bądź zostali ranni.

Jego sąsiadka wyznaje, że najlepszym sposobem na rozładowanie stresu są modlitwa i rozmowa z bliskimi. Ale czasami przychodzą myśli tak straszne, że nie pomaga ani jedno, ani drugie, jakby ciężar piętnastu lat wojny był nie na ludzkie barki.

Szesnastoletnia dziewczyna mówi tylko, że z jej głowy dzieje się coś bardzo niedobrego. Nie potrafi powiedzieć dokładnie, co to jest, ale prosi o pomoc.

Psycholożka kiwa głową: wiara i rodzina to fundament, ale są momenty, kiedy trzeba po prostu umówić się ze specjalistą. Opowiada, jak niszczącą bywa przewlekła i jaka trucizną dla organizmu jest przewlekły stres.

Potem przychodzi kolej na indywidualne konsultacje już za zamkniętymi drzwiami. Tam nie trzeba się uśmiechać, można płakać i opowiadać o strasznym lęku, z którego publicznie spowiadać się nie wypada.

Abdo Abulghany, lekarz odpowiedzialny za program społeczny w przychodni w Bhourri: – Dużo czasu zajęło nam, żeby przekonać miejscową ludność do spotkań z psychologiem, ale wiedzieliśmy, że to musi być część pracy przychodni, również ważna, jak pediatria czy internści.

Nadia Badla, pediatra z ośrodka: – Nad Syrią wisi wielka trauma, z którą mieszkańcy muszą sobie poradzić. Niektórzy nie są w stanie mówić o sobie z wspomnieniami samodzielnie. Każdy taki zespół, każda rozmowa ze specjali-

stą to krok w stronę zdrowego społeczeństwa. Tak, sześć lat rozmawialiśmy z mieszkańcami, że psychiatra czy psycholog to nie stygma, tylko szansa.

• Ostatnie dane statystyczne z Our World in Data, wiarygodnego serwisu zajmującego się zbieraniem danych statystycznych z krajów całego świata, pokazują wyraźną prawidłowość: od 2012 do 2016 roku główną przyczyną zgonów w Syrii były działania wojenne. W szczytowym okresie wojny zginęło ok. 350 tysięcy ludzi.

Ale od 2017 roku liczba zabitych powoli spada, za to na pierwsze miejsce wraca największy wróg Syryjczyków, czyli choroby serca. W 2023 roku, ostatnim, z którego dane są dostępne, liczba ofiar chorób układu krążenia wyniosła ok. 50 tysięcy, wyraźnie więcej niż przed wojną.

I może rosnąć – Euro-Med Human Rights Monitor ostrzega, że syryjski system opieki medycznej stoi na skraju załamania i opiera się w dużej mierze na studentach oraz lekarzach, którzy w czasie wojny nie wyjechali z kraju: według szacunków Światowej Organizacji Zdrowia personel szpitali skurczył się o 70 proc. Publiczne placówki nie mają leków, specjalistów, łóżek. Zdarza się, że brakuje nawet strzykawek i środków przeciwbólowych.

Z kolei pobyt w szpitalu prywatnym to nawet 100 dolarów dziennie – syryjskie gazety alarmują, że zdesperowani Syryjczycy muszą sprzedawać nieruchomości, by opłacić hospitalizację bliskich. Według ekspertów pilnego dostępu do opieki medycznej potrzebuje ok. 15 mln pacjentów, którzy nie mają jak leczyć nowotworów, chorób układu krążenia, nerek i płuc czy cukrzycy.

System opiera się na studentach i lekarzach takich jak Abdo Abulghany pracujący w przychodni w Bhourri. Po skończeniu studiów Abulghany, rocznik 1988, dostał wezwanie do wojska. Odmówił, nie wyjechał i jakimś cudem nie trafił do więzienia. Ministerstwo zdrowia wpisało go na czarną listę, co oznaczało, że duże szpitale w Aleppo czy Damaszku były dla niego niedostępne. Po zakończeniu wojny postanowił zostać w Bhourri, choć w jednym z dużych miast mógłby zarabiać krocie – lekarze w Syrii są na wagę złota.



• Polska Misja Medyczna i „Gazeta Wyborcza” w rozmowie z wewnętrznymi uchodźcami syryjskimi w pobliżu wioski Mbouri



• Jeden z domów w Mbouri. Dzieci pracują nie tylko w domach, ale pomagają również podczas ciężkich prac polowych

Abdo Abulghany: – Czy ja żałuję, że tak się potoczył mój los? Pracy jest tu tyle, że nie mam na to czasu. Rozkręciliśmy przychodnię na nowo i jestem z tego dumny.

Po cichu lekarze przyznają, że bez zmian pozostało jedno: wskaźnik urodzeń wśród lokalnych kobiet i uchodźczyń jest nadal wysoki. W powojennym Bhouri dzieci wyglądają z każdego okna i z każdego namiotu. I jak w każdym ogarniętym kryzysem kraju Bliskiego Wschodu rozmowy o antykoncepcji rozbijają się o skały tradycji, religii i przekonania, że liczne potomstwo, nawet jeśli nie ma przyszłości, będzie dla rodziców najlepszą polisą ubezpieczeniową na starość. Jak zresztą w całej Syrii – wskaźnik dzietności systematycznie spada, ale ludności przybywa. W tej chwili w kraju mieszka 26 mln ludzi, o 4 mln więcej niż przed wojną.

Jedną z dolegliwości, które trapią Bhouri, jest niedożywienie dzieci. Co może budzić zdziwienie, bo przecież okolica jest rolnicza, rosną tu oliwki, pistacje, trochę zboża, a przede wszystkim ogórki i pomidory.

– To dosyć mylące – komentuje Małgorzata Ołasińska-Chart, koordynatorka syryjskiego projektu w Polskiej Misji Medycznej. – Owszem, są tu warzywa, ale większość rodzin żyje w skrajnym ubóstwie. Jeśli karmiąca matka nie dostanie pełnowartościowego pożywienia, jej dziecko nie będzie się prawidłowo rozwijać. Ogórkami tego nie załatwimy.

Jedziemy do Nady Idris, matki siedmiomiesięcznego chłopca o imieniu Turki. Kobieta ma 24 lata, chłopczyk jest jej czwartym dzieckiem i kolejnym z niedożywieniem. Nada karmi piersią, mimo to dziecko nie przybiera na wadze. Pracownica centrum medycznego mierzy obwód górnej części ramienia dziecka, żeby sprawdzić, czy jest poprawa. Przez miesiąc obwód powiększył się zaledwie o 2 mm.

Miarka pokazuje żółty kolor, czyli umiarkowane niedożywienie. Safar dostaje zatem Plumpy'nut – leczniczą pastę z orzeszków ziemnych, mleka w proszku, witamin, minerałów i oleju roślinnego, która ratuje niedożywione dzieci na całym świecie. Jedno opakowanie dostarcza 500 kalorii. Efekt powinien być widoczny już za 10 dni. Chłopczyk błyskawicznie pochłania papkę.

Skąd niedożywienie? Matki, z którymi rozmawiam w Bhouri, wyliczają: kurczak jest dobrem rzadkim, rodzina pozwala sobie na taki luksus cztery razy w miesiącu. Jeszcze większym luksusem jest prawdziwe mięso (bo mięso kurczaka uznawane jest za poślednie): baranina albo wołowina trafiają na stół za zwyczaj dwa razy w miesiącu.

W dobrym miesiącu rolnik zarabia na całą swoją rodzinę między 150 a 200 dolarów. Tymczasem ceny mięsa błyskawicznie idą do góry: za kilogram baraniny trzeba zapłacić nawet siedem dolarów, za kilogram wołowiny – około pięciu.

Dla biedniejszych rodzin pozostają zatem ogórki, pomidory, chleb i odrobina oliwy.

Z przychodni jedziemy do obozu dla wewnętrznych uchodźców, jednego z koczowisk rozrzuconych w tej okolicy. Pomiędzy glazami ukryły się liche namioty i kilka domków wybudowanych przez co zaradniejszych uciekinierów. Mieszka tu klan z okolic Aleppo, łącznie 140 rodzin.

Jest południe, porywisty wiatr zachodni szarpie plandekami. O tej porze mężczyźni nie ma – pracują u okolicznych rolników, zostały kobiety z najmłodszymi dziećmi. Ze szczytu wzgórz widać syryjską codzienność: setki zrudziałych namiotów, gaje oliwne, ścierniska, kamienie i gołe zbocza. Kiedyś rosły tu drzewa, ale mieszkańcy musieli je wyrąbać, żeby mieć na czym przygotowywać jedzenie.

– Nie mam, jak ani dokąd wrócić. Podobnie moi sąsiedzi. Z naszej wioski nie zostały nawet fundamenty. Wojna wszystko zrówna-



ła z ziemią. Nie stać nas na samodzielną odbudowę, a rząd nie spieszy się z obiecany wsparciem w odbudowie – narzeka Fatima Abdullah, matka piątki dzieci, które na świat przyszły już po jej ucieczce.

Dobytak Fatimy to domek z jedną izbą, telewizor i trochę ubrań dla dzieci. Na podłodze oparty o poduszki leży nieruchomo ośmioletni chłopczyk. To syn drugiej żony męża Fatimy. Dziecko ma wzdęty brzuch, każdy krok okupiony jest wielkim trudem, dlatego spędza dni z oczami wbitymi w sufit. Choruje na niewydolność nerek i potrzebuje specjalistycznego leczenia, którego przychodnia w Mbouri zaoferowała nie może.

Na wyjazd do szpitala do Idlibu rodziny Fatimy nie stać, więc dziecko po prostu leży.

Wojna nie tylko zdemolowała miasta. Zniszczyła również system opieki zdrowotnej, pozostawiając najsłabszych samych sobie. Przychodnia w Mbouri była zamknięta przez osiem lat – wznowiła działalność dzięki organizacjom pozarządowym. Ale one zapewniają podstawową opiekę zdrowotną – dla ciężko chorych tej pomocy nie ma.

Oto domek Aminy Kassum, w którym dzieje się od lat dramat niemożliwy do opisanie. Amina ma trzech synów, dwóch cierpi na ciężkie formy autyzmu, jeden ma porażenie mózgowe. Wszyscy urodzili się jeszcze przed wojną. Najstarszy, już czterdziestoletni, potrafi samodzielnie chodzić, pozostałych dwóch

jedynie leży na ganku albo w jednym z dwóch pomieszczeń. Wnuki Aminy są już duże, więc pomagają przenosić bezwładne ciała w zaciśnione miejsca. Mąż nie żyje.

– Do wybuchu wojny miałam czasami pomoc państwa. Teraz nie mam nic, nie dostaję renty ani zapomóg. Zostałam ze wszystkim sama – żali się Amina. Nie stać jej nawet na pampersy.

Na pytanie o domy pomocy, gdzie mogłaby oddać swoje dzieci chociaż na chwilę, Amina Kassum wzrusza ramionami. Jakie domy, jaka pomoc, skoro system zawalił się, a jego odbudowa zajmie długie lata?

Jedyne, na co może liczyć, to sąsiedzi, którzy czasami przyniosą coś do jedzenia, i lokalna przychodnia, przez którą przechodzi podstawowa pomoc medyczna.

Jeżdżę z Polską Misją Medyczną po Afryce i krajach Bliskiego Wschodu niemal 10 lat. Pieniądze z polskiej pomocy rozwojowej trafiają do szpitali zagubionych w buszu, do położonych na pustyniach obozów dla uchodźców, do pojedynczych rodzin, klinik położniczych, centrów medycznych takich jak Bhouri, położonych daleko, z niejasną przyszłością na horyzoncie.

Za każdym razem pytam pracowników PMM o to samo. Po co pomagać pojedynczym osobom w morzu potrzebujących? Po co na drugim końcu świata badać poziom niedo-

Jak w każdej wiejskiej społeczności, rozmowa z psychologiem traktowana była jako ujma. Teraz ciężar niezaleczonych traum stał się dla części Syryjczyków nie do zniesienia.

• Spotkanie z psychołożką. Lekarze musieli długo przekonywać lokalną społeczność, że opieka psychologiczna i psychiatryczna nie jest powodem do wstydu

• Centrum Aleppo. Po 15 latach wojny Syria próbuje wracać do normalnego życia

żywienia siedmiomiesięcznego chłopczyka i aplikować mu wysokokaloryczną pastę? Po co organizować sesje psychologiczne dla garstki biednych rolników na syryjskim płaskowyżu?

Małgorzata Ołasińska-Chart: – Nie możemy być odpowiedzialni tylko za ten kraj, który ogarniamy wzrokiem. Jesteśmy 20. gospodarką świata, powinniśmy mieć poczucie odpowiedzialności za miejsca, które są niewydolne finansowo i które nigdy nie dźwigną się bez pomocy z zewnątrz. A nasza odpowiedzialność powinna być rozszerzona na tych, którzy są w sytuacji bez wyjścia. Odbudowa Syrii po wojnie zajmie dekady. Również odbudowa zdrowia i psychiki mieszkańców.

Myszę o tej odbudowie, kiedy jedziemy przez Bhouri, Damaszek, Aleppo, przez morza ruin, koczowiska i pierwsze odbudowane dzielnice. Po 15 latach wojny Syria mierzy się z zadaniem w jakimś sensie nie na ludzką miarę.

I o tej polskiej cegiełce, dzięki której dzieci takie jak Turki dostaną opiekę i zaczną wychodzić na prostą, a mieszkańcy położonej na płaskowyżu wioski będą mogli odbudować swoje zdewastowane siły psychiczne.

Projekt „Wsparcie podstawowej opieki zdrowotnej, zdrowia psychicznego oraz leczenia niedożywienia w regionie Idlib w Syrii” jest współfinansowany w ramach programu polskiej współpracy rozwojowej Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP. ●

TAM LEŻY MARTWY DELFIN!



• Atrakcje na plaży w Witiżiewie
na rosyjskim wybrzeżu Morza Czarnego

Kochanie, nic się nie dzieje. Wujek po prostu ćwiczy. Musi przecież trenować strzelanie rakietami.
Rosjanie na wakacjach nad morzem w piątym roku wojny

Redakcja Meduza

Nasz samolot właśnie wylądował na lotnisku w Mineralnych Wodach – rozlega się z głośników głos kapitana. – Oczekujemy na zgodę na odlot do Soczi.

Dla reportera „Bieregu” najsłynniejszy rosyjski kurort i gospodarz Zimowych Igrzysk Olimpijskich w 2014 roku, to punkt przesiadkowy – tylko stamtąd można dostać się do Tuapse, popularnej wakacyjnej miejscówki, która nie ma lotniska. Ale przestrzeń powietrzna nad Soczi została tymczasowo zamknięta – prawdopodobnie z powodu zagrożenia atakiem dronów albo rakiet. Nikogo z pasażerów to nie dziwi. W ostatnich miesiącach rosyjskie lotniska, zwłaszcza na południu kraju, niemal codziennie przerywają pracę z powodu alarmów.

Pasażerowie pozostają na pokładzie. Mają nadzieję, że samolot wkrótce dostanie zgodę na start. Po półgodzinie telefony zaczynają dzwonić – linie lotnicze wysłały wiadomości o kolejnym opóźnieniu, o co najmniej 30 minut. Zostajemy skierowani do hali odlotów.

Przy drzwiach samolotu pracownica lotniska rozdaje bony o wartości 150 rubli (ok. 7 zł). Można je wymienić na wodę w lotniskowych kawiarniach. Większość ludzi spieszy się, by znaleźć miejsce przy gniazdku elektrycznym i podładować telefony. Przed najbliższym barem ustawia się kolejka po wodę.

– A moglibyśmy już teraz siedzieć na plaży w Soczi... – oburza się 15-letnia dziewczyna, próbując wcisnąć ładowarkę do kontaktu. – Mogli-

byśmy wypoczywać na Krymie, a nawet na Malediwach, gdyby nie Putin! – odpowiada wyjątkowo głośno jej koleżanka z różową grzywką. – Nie mogli mnie urodzić w normalnym kraju?

Prawie puste lotnisko stopniowo zapełnia się ludźmi. Do Mineralnych Wód awaryjnie skierowano kolejne samoloty lecące do Soczi.

– Jak lećisz rano albo w nocy, to ryzyko takiego gówna jest ogromne. Za dnia wszystko działa jak należy – poucza swoją towarzyszkę ciemnowłosy pasażer.

– No tak... trzeba było zdążyć wcześniej – odpowiada ona z wyraźnym poczuciem winy. Z ich rozmowy wynika, że mieli odlecieć z Moskwy do Soczi kilka godzin wcześniej, ale spóźnili się na swój lot. Tamten samolot bez problemu wylądował już w Soczi.

Linie lotnicze wciąż wysyłają wiadomości o kolejnych opóźnieniach. Pasażerowie dostają bony na posiłek o wartości 800 rubli [ok. 37 zł]. Początkowo się cieszą, ale szybko się okazuje, że za to trudno zjeść coś pełnowartościowego. Lotniskowe kawiarnie nie nadążają z obsługą, na zamówienie trzeba czekać nawet godzinę.

Nad ranem przestrzeń powietrzna nad Soczi w końcu zostaje otwarta i pasażerowie jednego z opóźnionych lotów mogą wejść na pokład. Pozostali z zazdrością obserwują, jak pierwszy samolot wzbija się w powietrze. Radość trwa krótko – lotnisko w Soczi znowu zostaje zamknięte, maszyna zawraca do Mineralnych Wód. Do celu brakowało jej kilku minut lotu.

Koło południa ograniczenia znów zostają zniesione. Pracownice lotniska poganiają pasażerów – przestrzeń powietrzna może zostać zamknięta w każdej chwili. Wszyscy zajmują miejsca w samolocie i z ulgą wypuszczają po-

wietrze. Wtedy kapitan informuje, że kontrole-ry lotów jednak nie wydali zgody na start.

Osoby, które chcą czekać na otwarcie nieba w Mineralnych Wodach, zostaną zakwaterowane w hotelu. Alternatywą jest podróż pociągiem lub autobusem. Pasażerowie z zazdrością wspominają mężczyznę, który po pierwszym odwołaniu lotu zrezygnował z lotu do Soczi.

– Ten lot zapamiętam do końca życia – mówi chłopak w słomkowym kapeluszu kierując się do wyjścia z samolotu.

– Krym, do cholery, „wyzwolili”! – mruczy opalony mężczyzna, schodząc po schodkach.

Kobieta w hidżabie, trzymając na rękach niemowlę i płacze z bezradności. Boi się, że zostanie sama w obcym mieście. Pasażerowie próbują ją uspokoić, zapewniając, że linie lotnicze nikogo nie zostawiają.

Przed terminalem czekają taksówkarze. Oferują przejazd do Soczi za 25 tys. rubli [ok. 1 200 zł]. Trasa ma 550 km, częściowo prowadzi przez górskie serpentyny. Kierowcy szacują, że podróż zajmie około 10 godzin.

– Też do Soczi? – taksówkarz zagaduje jedną z palących par.

– Tak, prawie wszyscy tutaj lecą do Soczi.

– Jak znajdziecie jeszcze kogoś, będzie taniej! Po 15 tys. rubli od osoby [ok. 700 zł] i jedziemy.

– Mówiłeś, że całość kosztuje 25 tys., a teraz wychodzi już 30 tys. – dziwi się rozmówca. Pasażerowie machają ręką. Za drogo. W aplikacji Yandex Taxi taki kurs kosztuje ok. 15 tys. rubli.

Większość osób jedzie do hotelu zapewnionego przez linie lotnicze. Po pięciu godzinach przywożą ich z powrotem na lotnisko – niebo nad Soczi zostało otwarte. Tym razem pasażerowie nie zdążają nawet dojść do samolotu. Wiadomość o kolejnym zamknięciu dociera do nich jeszcze w autobusie lotniskowym.

Ludziom puszczaają nerwy. Wysoki rudowłosy chłopak dostaje ataku hysterii. – Już dobie nie mogę stąd odlecieć! – szlocha.

Jedną z pracownic lotniska otacza tłum. Jedni pytają, kiedy dostaną coś do jedzenia, inni jak odebrać bagaż, kolejni – czy linie lotnicze opłacą im powrót do Moskwy.

– Mam już dość tego latania tam i z powrotem – mówi jedna z pasażerek, wyrażając nastroje wszystkich obecnych.

– Proszę jeszcze odrobinę wytrzymać – prosi błagalnym tonem pracownica. – Bagaże są już nadane, więc gdy tylko dostaniemy informację, że Soczi jest otwarte, od razu polecicie.

– Nie mam już siły czekać.

Poczekalnia szybko pustoszeje. Po całej dobie została już tylko połowa pasażerów przekierowanych do Mineralnych Wód.

Ludzie ponownie dostają bony na posiłki – teraz od razu po dwa. – Zostało was już niewiele, a mnie ich nie szkoda – tłumaczy z uśmiechem pracownica lotniska.

Okazuje się jednak, że nie można ich wykorzystać na alkohol i że się nie sumują. Jeśli dany kosztuje więcej niż 800 rubli [ok. 37 zł], różnicę trzeba dopłacić z własnej kieszeni.

Nagle rozlega się komunikat o rozpoczęciu boardingu. Ludzie biegną do wyjść na płytę z pojemnikami w rękach, kończą posiłek w biegu.

– Może tym razem naprawdę polecimy? – pyta z nadzieją, ale i niepokojem kobieta koło 60-tki, wsiadając do autobusu. – Tak bardzo chciałam zobaczyć morze... ale trochę się boję.

Dodaje, że gdyby wcześniej wiedziała, jak wygląda sytuacja na Kubaniu, wybrałaby inne miejsce na urlop. W panice zdążyła już odwołać rezerwację w hotelu w Soczi, ale zmieniła zdanie. – Przyjechałam tylko na trzy dni. Ale jeśli zaczną się wybuchy, od razu wracam.

Do autobusu wpada grupa pijanych pasażerów. Jeszcze dobę wcześniej się nie znali, ale przez długie godziny wspólnego oczekiwania zdążyli się zaprzyjaźnić. Jedna z kobiet wyciąga z torby papierowe kubeczki. Wysoki, szczupły mężczyzna obok niej trzyma litrową butelkę whisky i dwulitrową butelkę coli. Miesza drinki i rozdaje je nowym znajomym.

Pracownicy lotniska udają, że niczego nie widzą. Nowi znajomi opowiadają, że byli akurat w supermarkecie, kiedy ktoś zadzwonił z informacją, że lot jednak się odbędzie.

– Wyobrażacie sobie? Wpuścili nas na lotnisko nawet z whisky! – chwali się jedna z pasażerek. – Powiedzieli: „Idźcie, z czym chcecie, byle tylko polecieć”. Tak że możemy pić całą załogą!

Z podmiejskiego pociągu z Soczi do Tuapse razem z reporterem „Bieregu” wysiada zaledwie kilka osób – i na pierwszy rzut oka widać, że nie są to turyści. Nie mają ani walizek, ani dmuchanych materacy czy plażowych toreb.

Kurorcik nie wita przyjezdnych serdecznie. Latarnie uliczne się nie świecą, a przed dworcem poza taksówkarzami nie ma żywej duszy. Jedynie nietrzeźwa para głośno kłóci się przed całodobowym sklepem. Do hotelu są tylko dwa kilometry, więc można dojść pieszo.

Jednak po ponad dobie spędzonej w podróży człowiek marzy tylko o tym, żeby szybko dotrzeć na miejsce. Aplikacja do zamawiania taksówki nie działa – nie ma internetu. Nawet VPN, który zwykle omija blokady, okazuje się bezużyteczny. To znak, że w mieście całkowicie odcięto dostęp do sieci.

Taksówkarze wykorzystują sytuację. – Nie ma internetu, co? – pyta z uśmiechem niski kierowca. – Mogę zawieźć, ale u nas tanio nie jest.

Za kurs chce 500 rubli [ok. 23 zł]. To wygórowana cena. Dopiero po podłączeniu się do hotelowego wi-fi okazuje się, że Yandex Taxi za tę samą trasę pobiera 150 rubli [ok. 7 zł].

Już w hotelu staje się jasne, jak bardzo wojna wpłynęła na codzienne życie mieszkańców Tuapse. Wszędzie wiszą instrukcje dotyczące zachowania podczas ataku dronów. Kartki formatu A4 z czerwonymi strzałkami rozwieszono przy kłatkach schodowych wskazując drogi ewakuacji na wypadek ostrzału.

Z napisów obok oznaczeń wynika, że ewakuacja może zostać ogłoszona także w razie ataku tzw. BEC-ów, – chodzi o „bezzałogowe łodzie”, czyli morskie drony.

Recepcjonistka spokojnym, niemal rutynowym tonem instruuje gości: – Jeśli zostanie ogłoszona ewakuacja, zadzwonimy do państwa do pokoju i powiemy, dokąd trzeba się udać.

– Często dochodzi do ewakuacji? – To zależy. Bywały okresy, kiedy alarm ogłaszano niemal codziennie.

Przez całą noc i następny dzień telefon wciąż odbiera SMS-y od operatora komórkowego: na przemian o ogłoszeniu i odwołaniu zagrożenia atakiem dronów lub rakiet. Mimo to w mieście nie słychać syren alarmowych.

– Plaże zamykają i znowu otwierają, ale ludzie, i tak się kąpią – mówi pracownica hotelu. – Są jeszcze dzikie plaże. Ale nie jest tam zbyt czysto, bo nie wszystko jeszcze oczyszczono.

Nie precyzuje, z czego plaże nie zostały jeszcze oczyszczone. Nie musi, bo obok wisi kartka: „Przed wejściem do windy i pokoi hotelowych prosimy o zakładanie jednorazowych ochraniaczy na obuwie, jeśli podeszwy zostały zabrudzone śladami produktów ropopochodnych”.

Obok ogłoszenia stoi kosz wypełniony po brzegi pomarańczowymi ochraniaczami na buty. Nikt z nich nie korzysta.

W mieście znajdują się dwie zagospodarowane kamieniste plaże – Centralna i Nadmorska.

Plaża Centralna pozostaje zamknięta. Oficjalnie trwa usuwanie skutków zanieczyszczenia ropą. Kilku mieszkańców Tuapse, z którymi rozmawiali reporterzy „Bieregu”, uważa jednak, że to tylko wygodny pretekst. Ich zdaniem przy samym brzegu rozmieszczono sprzęt wojskowy i wykopano okopy.



• Bar na deptaku w Witiaziewie z piwem, miejscowym winem i przekąskami. Tłoku nie ma



• Po katastrofie tankowców, która zanieczyściła ropą wybrzeże w Anapie, słynny tamtejszy naturalny piasek na plażach zastąpiono w ubiegłym roku piaskiem budowlanym

Na brukowanych ulicach prowadzących do Plaży Centralnej widać czarne ślady, jakby ktoś rozmazał po kostce walkiem czarną farbę. To pozostałości produktów ropopochodnych, które wyciekły i rozjeździły je samochody.

Na Nadmorskiej, mimo że główna plaża jest zamknięta, wypoczywa garstka ludzi. Środek lata, a nie ma sprzedawców, plażowych barów ani atrakcji wodnych. Działa jedno stoisko oferujące wycieczki.

Na pierwszy rzut oka plaża wygląda czysto. Na białych drewnianych pomostach nie widać śladów ropy, ale część kamieni pokrywa ją ciemnoszare plamki. Jeśli się zeszkrobie ten nalot i rozgrzeje go w palcach, to pachnie jak świeżo położony asfalt. Nieopodal leży mimowolna wskazówka – ktoś z plażowiczów zostawił termos z logo Rosnieftu.

Właśnie do tej potężnej spółki należy wielokrotnie atakowana miejscowa rafineria, której produkty skazyły miasto i morze.

Plaża Nadmorska przechodzi płynnie w dziką część wybrzeża. Tu brudu jest więcej. Na piasku leżą butelki, śmieci, połamane zabawki i resztki węgla po ogniskach. Im dalej od urządzonych części plaży, tym więcej kamieni pokrytych ciemnymi plamami. Zacieki coraz większe, jakby ktoś wylał puszkę czarnej farby.

Ale nikomu to nie przeszkadza. Ludzie spokojnie opalają się tuż obok kamieni pokrytych mazutem.

– To, co teraz widzicie, to i tak czysto. Wcześniej był koszmar – opowiada reporterowi „Bieregu” Polina w czarnym bikini. Rozłożyła ręcznik niemal przy samej wodzie. – Chociaż i tak co jakiś czas gdzieś wdepnę w ten syf.

Pokazuje swoje sportowe buty. Podeszwy pokrywają ciemne plamy. Przeprowadziła się do Tuapse kilka lat temu. Brak turystów i atrakcji w środku sezonu wcale jej nie dziwi. Jej zdaniem nie chodzi o drony i wycieki. – To przecież nie jest typowy kurort – wzrusza ramionami.

Polina opowiada, że dzikich plaż nikt nie sprząta, ale w wodzie nie widać już śladów produktów ropopochodnych. Tuż po kwietniowym ataku na rafinerię na powierzchni morza unosiła się tęczowa, oleista warstwa, jednak – zapewnia – od jakichś dwóch tygodni już jej nie ma. – Można spokojnie się kąpać. Woda jest teraz dokładnie taka sama jak pięć lat temu – przytacza słowa znajomego ekologa, z którym rozmawiała po awarii.

Od razu dodaje, że morze w tej okolicy nigdy nie było szczególnie czyste. Fale wyrzucają na brzeg martwe delfiny od dawien dawna.

– Tutaj, prosto na plażę? – Wszędzie je wyrzuca, wszędzie! A czego się spodziewać, skoro bez przerwy stoją tu tankowce?

Polina wskazuje niewielkie wzniesienie. Na pierwszy rzut oka wygląda jak sterta kamieni zasypana śmieciami, a to martwy delfin. Leży tam już od kwietnia.

– Wie pan, co mi się w tym roku nie podoba? Te wszystkie latające rzeczy.

– Owady? – Nie, wojna! Wojna!

W otwartym dostępie nie ma wyników żadnych niezależnych badań, które oceniałyby stan wody po atakach na rafinerię w Tuapse.

Syreny wyją już rzadziej, ale zdarza się, że wtedy policjanci każą ludziom opuszczać plażę. Niektóre znajome Poliny tak przstraszyły się alarmów, że przestały chodzić nad morze. W końcu tuż obok plaży znajduje się port morski, oczywisty cel bezzałogowców.

Polina uważa system ostrzegania za pozbawiony sensu. – To jakieś psychiczne zastraszanie mieszkańców. Głośniki bez końca wyją: „W związku z takim a takim atakiem prosimy udać się do schronu”. Ale gdzie my mamy się schować? Jak ktoś mieszka we własnym domu, to może zjeździe do piwnicy. A co ma zrobić człowiek w pięciopiętrowym bloku? Podobno

istnieją jakieś schrony, tylko że wiszą na nich kłódki. Pewnie dlatego, że ludzie chodzą tam załatwiać potrzeby. Taka jest Rosja!

Polina jest już zmęczona wojną, ale nie wierzy, że wkrótce się zakończy. – To dopiero początek – mówi. – Wojna będzie trwała, dopóki nie zmieni się władza. Prędzej czy później się zmieni. Przecież on nie jest nieśmiertelny.

Mieszkanka Tuapse nie gryzie się w język. – Gdyby nie doszedł do władzy, już dawno siedziałby w więzieniu.

Jej zdaniem Putin jest „nawet gorszy od Stalina”. Polina przypomina, że po śmierci Stalina z całego osobistego majątku dyktatora zostało kilka wojskowych płaszczy i par filcowych butów, a jego krewni uczestniczyli w wojnie na takich samych zasadach jak pozostali obywatele Związku Radzieckiego. Jej zdaniem właśnie to, mimo całego okrucieństwa ustroju, przyczyniło się do narodzin „prawdziwego patriotyzmu” i pozwoliło wygrać Wielką Wojnę Ojczyźnianą.

– Dziś – uważa – wśród Rosjan takiego patriotyzmu nie ma. – Wyślijcie na front dzieci wszystkich tych przywódców, a wojna skończy się jutro! – mówi. – Dopóki wojna im się opłaca, wszystko pozostanie po staremu.

We wschodniej części Tuapse co chwilę można natknąć się na ogłoszenia o poszukiwaniach 14-letniej Walerii Bokowej.

Dziewczynka zaginęła, gdy dron uderzył w prywatny dom przy ulicy Soczinskiej. Do ataku doszło trzy miesiące temu, 16 kwietnia. Inne ogłoszenia – dotyczące sprzedaży, kupna przedmiotów czy usług – już dawno pozrywano, ale plakaty ze zdjęciem Walerii nadal wiszą.

16 kwietnia miasto padło ofiarą zmasowanego ataku ukraińskich dronów. Ich celem była rafineria. Na jej terenie wybuchł pożar, ale uszkodzono też 30 domów jednorodzinnych i wielorodzinnych oraz kilka placówek oświatowych. Tego samego ranka władze Kubań poinformowały o śmierci dwojga dzieci. Wśród ofiar wymieniono także Walerię Bokową.

Wszyscy mieszkańcy Tuapse, z którymi reporter „Bieregu” rozmawiał na plaży i w mieście – taksówkarze, przechodnie i osoby dyskutujące między sobą o ataku – są przekonani, że dziewczynka zginęła. Komitet śledczy natychmiast uznał ją za ofiarę śmiertelną i wszczął postępowanie karne w sprawie aktu terrorystycznego.

Z domu, w który uderzył dron, zostały osmolone fragmenty ścian, powyginane metalowe konstrukcje oraz sterta połamanych mebli i sprzętów. W bezpośrednim sąsiedztwie nie widać innych śladów eksplozji. Ten kontrast robi przerażające wrażenie.

Rafineria leży jakiś kilometr od domu rodziny Bokowów, po 16 kwietnia zakład był atakowany jeszcze trzykrotnie, ostatni raz 1 maja. Z daleka widać zbiorniki na ropę i budynki techniczne, kiedyś były białe, dziś zwęglone.

Kropelki ropy pokrywają kostkę brukową, krawężniki, barierki, klomby, płoty i krzewy. Można natrafić na grudki produktów ropopochodnych, które wciąż nie zdążyły stwardnieć. Im bliżej rafinerii, tym plamy większe. Przezroczyste zadaszanie kładki dla pieszych jest całe pokryte zaciekami, jakby ktoś dokładnie spryskał je ropą z rozpylacza.

W mieście zdążyła się już narodzić teoria spiskowa, według której ataki na rafinerię mieli zorganizować sami właściciele. Powtarza ją niemal każdy mieszkaniec Tuapse, gdy rozmowa schodzi na temat zakładu.

Jedni twierdzą, że dyrekcja chciała uzyskać odszkodowanie z ubezpieczenia. Inni są przekonani, że Rosnieft próbował ukryć przed kontrahentami niedobory i uniknąć kar umownych. Jeszcze inni sądzą, że w ten sposób chciał doprowadzić do wzrostu cen benzyny – większość stacji paliw w Tuapse należy do tej spółki.

Prawie wszyscy podają ten sam argument: – Przecież drony nie mogły niezauważone przelecieć 1000 km. To znaczy, że są odpalane gdzieś stąd.

Rafineria stoi nad rzeką Tuapse. Po eksplozji ropa najpierw przedostała się do niej i z nur-

tem dotarła do morza. Właśnie przy ujściu rzeki zaczyna się w Tuapse Plaża Centralna.

– No tak, latają tu drony. Ale gdzie ich dziś nie ma? – wzrusza ramionami taksówkarz Wasilij, który wiezie reportera „Bieregu” z Tuapse do miejscowości wypoczynkowej Agoj. To właśnie ją mieszkańcy najczęściej polecają turystom, przekonując, że plaże są tu czystsze niż w Tuapse i lepiej przygotowane do wypoczynku.

– Wiosną to wyglądało inaczej. Jak tylko ogłaszali alarm lotniczy, mniej więcej od północy zaczynali strzelać ze wszystkiego, co mieli. A człowiek siedział jak głupi na balkonie, palił papierosa i słuchał, jak nad głową bzyczą drony – opowiada mieszkaniec Tuapse. – Nie wszystkie udawało się zestrzelić. A te, które spadły, narobiły szkód odłamkami.

Bardziej od wojny kierowcę martwi kryzys paliwowy. Jest przekonany, że niedobory są sztucznie wywołane. – Co za cyrk urządzili z tymi kolejkami? Samowolka i tyle! – burza się.

Po drodze mijamy kilka stacji paliw. Przy każdej stoi kilkadziesiąt samochodów. – Staram się tankować przed czwartą nad ranem. Tylko wtedy jest jeszcze szansa uniknąć kolejki.

Droga na jedną z plaż biegnie ulicami Agoju zabudowanymi dwupiętrowymi pensjonatami i domkami. Na ogrodzeniach i balkonach wiszą banery z napisami: „Wolne pokoje”, „Noclegi”. Wasilij opowiada, że w tym roku turystów jest wyjątkowo mało.

– Jak sezon będzie słaby, to nawet lepiej.

Przynajmniej korków nie ma.

– Zwykle są aż takie?

– Straszne! Przecież wszyscy jadą do Soczi.

Teraz droga jest niemal pusta. Na mniejszy ruch wpłynął właśnie kryzys paliwowy.

Wasilij zatrzymuje auto przed wysoką metalową bramą z uchyloną furtką. Kiedyś można było podjechać pod samą plażą. Dziś trzeba zostawić wóz i iść pieszo. Już po chwili wiemy dlaczego. Między strzelnicą a barem z szaszłykami stoi sprzęt wojskowy.

Plaźowiczów jeszcze mniej niż w Tuapse, choć plaża wygląda lepiej. Jest czystsza, a turyści mają do dyspozycji leżaki z parasolami i zadaszone platformy do wypoczynku. Działają bary, kawiarnie i sklepiki. Można zapleść afrykańskie warkoczki albo kupić gorącą kukurydzę. Obecność wojska i ryzyko ataku dronów najwyraźniej nikogo nie odstrasza.

60-letnia Roza z Almetjewskaja mówi, że w Tatarstanie podobne sytuacje też się zdarzają, więc zdążyła się przyzwyczaić. Z urlopu jest bardzo zadowolona. 8 dni w apartamentowcu, bez wyżywienia, kosztowało ją 24 tys. rubli [ok. 1110 zł]. Jej syn z żoną i dzieckiem zapłacili za pobyt 45 tys. rubli [ok. 2080 zł].

Początkowo planowali wyjazd na Krym.

– Wybraliście Agoj dlatego, że na Krymie jest niebezpiecznie?

– Nie o to chodzi. Po prostu tam są ogromne problemy z paliwem. Można przyjechać, ale nie wiadomo, czy uda się wrócić.

35-letnia Masza z obwodu kurskiego przyjechała do Agoju z mężem i dwójką dzieci. Tak jak Roza, jest tu kolejny raz. – To już szósty rok z rzędu. Bardzo nam się tu podoba, jest spokojnie. Ale w tym roku wszystko jakby podupało.

Zniknęły jej ulubione stragany z owocami i słodyczami, zamknięto lokal z szaszłykami, nie ma katamaranów ani innych wodnych atrakcji.

Od lat zatrzymują się w tym samym pensjonacie. Zwykle wszystkie pokoje są zajęte, a w tym sezonie oprócz nich praktycznie nikt tam nie mieszka. Brak gości spowodował, że ceny są na poziomie zeszłego roku – 4 tys. rubli za pokój (ok. 189 zł). – Przyjechalśmy, wiedząc o wszystkich możliwych zagrożeniach – mówi Masza. – Ale kiedy przez cały rok tylko pracujesz, zajmujesz się domem i dziećmi, człowiek jest potwornie zmęczony. Tydzień nad morzem to jedyna chwila oddechu.

Jej zdaniem w porównaniu z terenami przy granicy w obwodzie kurskim Agoj jest naprawdę spokojnym miejscem. Sama mieszka w miejscowości niedaleko Kurska.



• Pusta plaża w miejscowości Nebug w pobliżu kurortu Agoj FOT PORTAL BIEREG/MEDUZA

Rosyjskie wakacje nad Morzem Czarnym

Wybrzeże Kraju Krasnodarskiego to główny kierunek letnich wyjazdów Rosjan. Zaczyna się pod Anapą, ciągnie przez Tuapse aż po Soczi. Na Krymie, okupowanym od 2014 r., leży Sewastopol.



© TOMASZ LEBIODA, WYBORCZA.PL/BIQDATA

Zapytana, dlaczego od lat wybiera właśnie Agoj, opowiada historię z 2020 roku. – Szukałam w internecie rosyjskich plaż z czystą, błękitną wodą. Pierwsze w wynikach wyszukiwania pojawiło się to miejsce. Kiedy tu przyjechałam i zobaczyłam ten krajobraz, rozplakałam się z zachwytu. Od tamtej pory polecam Agoj wszystkim bliskim.

Latem 2022 roku przyjechała tu z bratem. Jesienią został zmobilizowany do wojska, a już w grudniu zginął. – Wracamy do tego samego pensjonatu, jemy w tej samej stołówce, stoimy na tym samym tarasie, na którym stał on. Chyba już zawsze będę tu wracać właśnie z tego powodu. Ale w tym roku mam wrażenie, że wszystko wyblakło. Jest coraz mniej miejsc, które mi o nim przypominają.

Chaczik przez ostatnie lata sprzedawał wypieki i szaszłyki na Centralnej w Tuapse. Tego lata, po zamknięciu plaży, przeniósł się do Agoju, gdzie sytuacja jest bardziej przewidywalna. Wynajął niewielki lokal i z żalem spogląda na puste leżaki. – Ech... W zeszłym roku ludzie leżeli tutaj jeden przy drugim. Na razie wynajem stoiska się nie zwraca, ale ma nadzieję, że pod koniec lata turyści dopiszą.

Rozmowę przerywa alarm przeciwlotniczy. Turyści rozglądają się dookoła i zauważają policjanta w białej koszuli z krótkim rękawem. Mówi coś przez megafon, ale trudno zrozumieć. Plaźowicze niechętnie podnoszą się z ręczników i odsuwają od brzegu w stronę kawiarni.

– Znowu zagrożenie atakiem dronów – wyjaśnia Chaczik. – To już człowieka męczy. Wam

nie dają spokojnie wypoczywać, nam nie pozwalają normalnie pracować.

– Trzeba opuścić plażę?

– Tylko wyjść z wody. Tutaj możemy zostać.

Przecież tam stoją nasze działaki – wskazuje ręką. Plac przed jego stoiskiem szybko zapelnia się ludźmi, którzy postanawiają przeczekać alarm. – Jeśli będą zestrzeliwać drony, to raczej nad morzem. Wątpię, żeby dopuścili je aż do brzegu – zastanawia się jasnowłosa turystka w kolorowym pareo.

– Ale i tak to blisko – odpowiada Chaczik.

Do stoiska podchodzi chłopak w czerwonej koszulce. Pracuje jako ratownik plażowy i pobiera opłaty za leżaki. Przyznaje, że nie ma obowiązku zmuszania turystów do opuszczania plaży podczas alarmu. – Tak naprawdę nie trzeba się do tego stosować. Nikt za to nie karze.

Rzeczywiście, osoby wypoczywające na dzikiej plaży obok nawet nie ruszyły się z miejsca. Ratownik opowiada, że podczas ataków bywa mu nieswojo, ale zdążył się już przyzwyczaić.

Nagle plażą wstrząsa potężny huk przypominający wystrzał. Towarzyszy mu charakterystyczny trask. Tuż nad głowami ludzi, zostawiając za sobą smugę dymu, przelatuje płonąca rakietka. Kieruje się w stronę Noworosyjska niemal równoległe do linii brzegowej, lecąc na wysokości mniej więcej trzypiętrowego budynku. Ale bardziej niż ten widok przeraża to, że nikt z obecnych ani nie wpada w panikę, ani nawet nie wydaje się specjalnie zaskoczony.

– Nie bójcie się. U nas to prawie codzienność

– mówi spokojnie Chaczik. Po chwili dodaje: – Zaraz będzie jeszcze słyszeć uderzenie!

30 sekund później dociera głuchy odgłos eksplozji. – O, właśnie trafiło! To pocisk obrony przeciwlotniczej – mówi z zadowoleniem.

Można odnieść wrażenie, że mieszkańcy Tuapse traktują działania wojenne jak widowisko albo grę komputerową przeniesioną do rzeczywistości.

– Nie myśleliście, żeby się stąd wyprowadzić?

– Nie. Tu jest nasza ojczyzna – mówi Chaczik.

– To nasz dom. Od własnego domu się nie ucieka – dodaje ratownik.

Po chwili Chaczik wyjaśnia, skąd bierze się jego spokój. – Szczepie mówiąc, jestem emerytowanym wojskowym. 20 lat służyłem w rosyjskiej armii, od 1993 roku. Byłem w Czeczenii, Dagestanie i Abchazji. Zdążyłem się przyzwyczaić. Ale zwykli ludzie tego nie znają. No cóż, na dziś już chyba koniec strzelania. Teraz pewnie znowu przez kilka dni będzie spokój.

Chaczik chciałby, żeby wojna jak najszybciej się skończyła. Ale nie żałuje, że wybuchła. Wierzy w przekaz rosyjskiej propagandy, jest przekonany, że gdyby Rosja nie zaatakowała Ukrainy, za kilka lat państwa NATO uderzyłyby na Moskwę. – Putin ich niby powstrzymał, ale na razie jakoś nie wszystko idzie po jego myśli – mówi z rozczarowaniem.

Na dworcu w Tuapse wysoki 15-latek czeka na pociąg razem z dziadkiem.

– Ciekawe, ile razy tego lata działała już obrona przeciwlotnicza. Z 15? – pyta chłopak.

– Daj już spokój – dziadek macha ręką.

Z ich rozmowy wynika, że wnuk przyjechał z miasta, nad którym rakiety nie latają. Z entuzjazmem opowiada o wrażeniach z ostatnich kilku tygodni. Brzmi to bardziej jak relacja z widowiska, które obejrzał niż opis życia w strefie zagrożenia.

Kilkadziesiąt osób, które właśnie wysiadły z pociągu w Anapie, biegnie za odjeżdżającą marszrutką. Machają rękami wolnymi od walizek, próbując zwrócić uwagę kierowcy.

Długo przed kryzysem paliwowym Anapa miała problem z komunikacją miejską. Autobusów jest za mało, a na marszrutkę przy dworcu można czekać i dwie godziny. – Kiedyś ratowały nas taksówki – mówią mieszkańcy. – Teraz przez braki paliwa ich też jest za mało.

Aplikacja Yandex Taxi wyświetla komunikat: „Jesteś 26. w kolejce. Obecnie liczba zamówień jest bardzo duża”. Nie pozostaje nic innego, jak skorzystać z usług prywatnych kierowców, którzy znacznie podnieśli ceny.

– Ludzie albo nie wyjeżdżają do pracy, albo stoją godzinami w kolejkach na stacjach paliw – tłumaczy jeden z nich. Podobnie jak taksówkarz z Agoju, też uważa, że kryzys nie jest skutkiem ataków na rosyjskie rafinerie. – To właściciele stacji zawyżyli ceny. Przecież Putin powiedział, że benzyny nie brakuje! – przekonuje.

Do rosyjskiej inwazji na Ukrainę ma stosunek niejednoznaczny. – Tym... panterowcom, czy jak im tam, trzeba było dać odpór. Ale z drugiej strony jestem przeciwny bratobójczej wojnie.

Najbardziej ubolewa nad liczbą poległych. – Wojna zabrała zbyt wielu rosyjskich chłopaków. Na 10 dziewczyn został może jeden. Za kogo one mają teraz wychodzić za mąż?

O 8.00 rano Plaża Centralna w Anapie jest już pełna ludzi. Naganiacze zachęcają do przejażdżki dmuchanym „bananem” albo pontonem ciągniętym przez motorówkę. Sprzedawcy z wiadrami oferują gotowane raki i krewetki.

Jeszcze rok temu opalanie i kąpiel na całym wybrzeżu Anapy były zakazane. Po katastrofie dwóch rosyjskich tankowców przewożących mazut, do której doszło 15 grudnia 2024 roku. Plaże i morze zostały skażone, a skutków katastrofy nie udało się usunąć przed początkiem sezonu 2025. Do czerwca 2026 roku większość plaż uznano już za bezpieczne. Piasek wygląda gorzej, sporo w nim drobnych śmieci, lecz śladów mazutu jest niewiele – kilka czarnych plam. Nad morzem nie czuć już zapachu ropy.

Razem ze śmieciami fale wyrzucają na brzeg ogromne ilości wodorostów. W niektórych miejscach pokrywają całą linię brzegową.

– Popatrz, jaki kudłaty! – woła chłopiec w okularkach do pływania, szturchając wodorosty patykiem.

– Ale śmierdzi! – odpowiada kolega, zatykając nos. – Chodźmy stąd!

Nieco dalej, w cieniu zadaszenia, siedzi czworo dorosłych i troje dzieci.

– Czy mogliby państwo usiąść trochę dalej? Leżaki i zadaszenie są przeznaczone wyłącznie dla gości hotelu – uprzejmie zwraca się do nich młody pracownik w jasnej panamie.

– Ale tam śmierdzi tymi wodorostami! – odpowiada turystka w turkusowym kostiumie kąpielowym.

– Wystarczy przejść kawałek dalej. Tam już ich nie ma. Poza tym wodorosty są zdrowe. Zawierają jod i potas.

Kilkaset metrów dalej, w kierunku Dżemete i Witiaziewa, rzeczywiście nie ma już wodorostów. Zamiast tego unosi się nieprzyjemny zapach kanalizacji. Źródłem odoru jest rzeka Anapka, która wpada do Morza Czarnego tam, gdzie kończy się Centralna. Jej woda ma brunatny kolor i zabarwia przybrzeżne morze. Mimo to pluskają się w niej dzieci i dorośli.

Piaszek pod stopami przypomina beton – jest tak ubity, że dzieci budujące zamki z trudem wydrapują palcami fosy wokół budowli.

Plaże od zawsze były wizytówką Anapy. Powstały tysiące lat temu z naturalnego kwarcowego piasku wymieszanego z rozdrobnionymi muszlami. Naukowcy podkreślają, że materiał ten uformował się jeszcze przed pojawieniem się człowieka, nie został przywieziony z innych miejsc, jak w wielu nadmorskich kurortach.

Po katastrofie tankowców nie udało się całkowicie usunąć produktów ropopochodnych, więc zdecydowano się wywieźć niemal cały piaszek z plaż Anapy. Nowy przypomina mieszanekę używaną na budowach – pełną gliny i drobnych kamieni. W efekcie wydmy oddzielające plażę od miasta oraz wąski pas przy samej wodzie zachowały dawny szaroróżowy kolor, natomiast większość plaży stała się żółto-pomarańczowa.

●

Po wycieku mazutu latem 2025 roku plaża w Bolszoi Utrisz uchodziła za jedną z najczystszych na całym wybrzeżu. Mimo to obowiązywał tam zakaz kąpieli. W przeciwieństwie do Anapy plaża jest tu kamienista, dlatego woda sprawia wrażenie czystszej. Na niektórych kamieniach wciąż można dostrzec plamy.

35-letni mężczyzna z krzyżem na szyi obserwowując przez lornetkę latarnię morską na wyssepce niedaleko brzegu. – Tato, pokaż armatę! – prosi jasnowłosego kilkulatek.

Ma na myśli wojskowy sprzęt stojący obok latarni. Z uśmiechem przygląda się im kobieta w zaawansowanej ciąży. Rodzice i dwóch synów przyjechali tutaj z Krasnodaru. Nagle z głośnika za plażą rozlega się syrena alarmu rakietowego. Nikt jednak nie opuszcza plaży. Nie ma też policjantów ani osób z megafonami.

Kilka minut później słychać wystrzał. Od strony latarni w kierunku Anapy leci rakietka, pozostawiając za sobą jasną smugę dymu.

Dorośli niemal nie zwracają na to uwagi. Dzieci zaczynają płakać.

– Mamo, dokąd oni strzelają?

– Nic się nie dzieje. Wujek po prostu ćwiczy. Musi przecież trenować strzelanie rakietami.

– A dlaczego właśnie nad morzem?

Na to rodzice nie potrafią już odpowiedzieć. Nieopodal opalają się dwie około 40-letnie kobiety w czarnych jednoczęściowych kostiumach kąpielowych i dużych okularach przeciwsłonecznych. Każda trzyma w dłoni kieliszek wina. Rozmawiają o działaniu obrony przeciwlotniczej i o władzach. – Myślałam, że umrę ze strachu. Całe życie przeleciało mi przed oczami – mówi jedna, wspominając chwilę, gdy nad plażą przeleciała rakietka.

– A ja nie. Mam jeszcze mnóstwo planów – odpowiada druga. – Chcę dożyć dnia, kiedy Putin umrze.

●

Droga na plażę w Witiaziewie prowadzi przez „Paralię” – kilometrowy deptak pełen kawiarni,

sklepów, stoisk z lodami i rozmaitych atrakcji, takich jak fish spa czy punkty, w których można zrobić sobie zdjęcie z papugami ary.

Kurort leży około 15 km od Anapy. To tutaj znajduje się większość najdroższych hoteli całego regionu. Plaże przy hotelach są starannie utrzymywane. Piaszek jest nowy i bardziej miękki niż w Anapie – prawdopodobnie dlatego, że regularnie przesiewają go specjalne maszyny.

Przy samym brzegu stoi starszy mężczyzna w czarnych kąpielówkach. Z rękami na biodrach patrzy z niezadowolaniem na 5-letniego chłopca, który cicho popłakuje. Obok krząta się kobieta w jednoczęściowym kostiumie kąpielowym, dokładnie oglądając stopy dziecka.

– Nic tam nie ma! – mówi zniecierpliwiony mężczyzna. – Dzisiaj już nie będziemy się kąpać. Może jutro morze będzie czystsze, a teraz poleżymy na plaży – odpowiada kobieta.

Okazuje się jednak, że rodziny nie przestraszył mazut, lecz... meduzy.

Śladów produktów ropopochodnych na wybrzeżu nie ma wiele, choć niektóre czarne kamienie to zastygłe grudki mazutu.

Nad plażą zawisa amatorski dron – widok dość niezwykły jak na kraj prowadzący wojnę. Filmuje dzieci uczestniczące w święcie kolorów nawiązującym do hinduistycznego Holi. Na znak prowadzącego rzucają w górę saszetki z kolorowym proszkiem, który barwi otoczenie.

Nagle dziecięce okrzyki zagłusza potężny huk. Nad morzem pojawia się myśliwiec. Przelatuje nisko nad plażą i znika za horyzontem.

W pobliżu Witiaziewa znajduje się Międzynarodowe Lotnisko Anapa im. Władimira Kokinaka. Jest podwójnego przeznaczenia – obsługuje lotnictwo cywilne i wojskowe. Po rozpoczęciu pełnoskalowej wojny zostało zamknięte dla ruchu pasażerskiego.

W ciągu półtorej godziny nad plażą przelatują jeszcze dwa wojskowe samoloty.

Dwie turystki z obwodu moskiewskiego opowiadają reporterowi „Bieregu”, że przez ostatnich kilka dni bez przerwy słychać syreny alarmowe. – Do syren już się przyzwyczailiśmy. Ale do tych zniszczonych plaż – nie.

– Ten piaszek wygląda, jakby był zmieszany z gruzem budowlanym! Proszę spojrzeć – to właściwie sam pył. Mówili, że nawieźli świetny piaszek, a to glina. Twardy jak kamień, obija stopy i zostawia rude plamy na ręcznikach.

W przyszłym roku, jeśli „na Krymie znowu robi się spokojniej”, pojedą tam. Jeśli nie, wrócą do Anapy. – Piaszczyste plaże są warte wszystkiego! – śmieje się jedna z nich.

O zachodzie słońca turyści spacerują brzegiem morza.

Nagle jasnowłosa kobieta woła: – Wracajmy! – Daj spokój! Co się stało!? – pyta jej towarzysz. – Jak to co!? Tam leży martwy delfin!

Na piasku spoczywa poraniony delfin. Jego ogon i płetwy są pokryte mazutem.

●

W nocy w Witiaziewie słychać potężny huk – jakby coś ciężkiego spadło z wysokości albo samochód z ogromną prędkością uderzył w mur. – Ostatnio od czasu do czasu tak bywa w różnych miejscach – mówi z tajemniczym uśmiechem recepcjonistka.

Podczas śniadania goście hotelowi półgłosem rozmawiają o nocnych wydarzeniach. – No tak... To raczej nie była spadająca cegła – szepcze młody mężczyzna z filiżanką kawy.

Ministerstwo obrony poinformowało później, że tej nocy obrona przeciwlotnicza zestrzeliwała drony nad Krajem Krasnodarskim. Jednak o ataku w tej okolicy władze regionu i administracja miasta nie wspomniały.

Około południa w Anapie i Witiaziewie przestaje działać mobilny internet. Rozlegają się syreny. Po mniej więcej 10 minutach alarm zostaje odwołany. Nie słychać eksplozji.

Bez internetu nie działa strona „GdzieBENZINA” stworzona, by mieszkańcy mogli sprawdzić dostępność paliwa i długość kolejek. Aby się zorientować, jak wygląda sytuacja, pozostaje jeździć od jednej stacji do drugiej.

Na najbliższej – obok hotelu – nie ma kolejki. Już przy wjeździe pracownik zatrzymuje sa-

mochód. – Został tylko olej napędowy. Może jutro po południu przywiozą benzynę.

Kolejnym przystankiem jest stacja Łukoilu w miejscowości Winogradnyj, jedna z tych najbliższych Mostu Krymskiego. Przed dystrybutorami stoją dwa długie rzędy samochodów – około 50 aut. Ponad połowa ma tablice rejestracyjne z Krymu lub Sewastopola. Ludzie próbują chronić się przed upałem, otwierając okna. Klimatyzacji prawie nikt nie włącza – wszyscy oszczędzają paliwo.

– Jest tylko benzyna 92-oktanowa. Sprzedają maksymalnie po 20 litrów i nie pozwalają tankować do kanistrów – mówi niezadowolony siwowłosey mężczyzna w błękitnej koszulce polo.

Przyjechał z Krymu. Cały bagażnik samochodu wypełniają puste kanistry. Nie zamierza jednak rezygnować z kolejki. Chce przynajmniej zatankować samochód, choć dobrze wie, że przy obowiązującym limicie wystarczy mu to raptem na drogę powrotną.

Co jakiś czas ktoś próbuje ominąć kolejkę, wjeżdżając na teren stacji przez trawnik. Kierowcy w kolejkę natychmiast zastępują takim osobom drogę. Po krótkiej rozmowie zwykle przepuszczają auto – jeśli kierowca chce zatankować tylko olej napędowy, nie musi czekać.

Od końca kolejki do dystrybutorów przechodzi się w 20 minut.

– Pewnie często ludzie proszą, żeby nalać paliwo do kanistra?

– Bez przerwy – odpowiada pracownica stacji, przewracając oczami.

– A gdyby ktoś zaproponował odpowiednio „kolorowy papierek”?

■

Polina w czarnym bikini rozłożyła ręcznik niemal przy samej wodzie.

– Wojna będzie trwała, dopóki nie zmieni się władza. Przecież on nie jest nieśmiertelny.

Wyślijcie na front dzieci wszystkich tych przywódców, a wojna skończy się jutro

●

– Nawet wtedy nie ma szans – śmieje się. – Oferują i 10 tys. rubli [ok. 460 zł], i 20 tys. [ok. 920 zł]. Już naprawdę wszystkiego próbowali.

– Zostało im tylko jedno – wtrąca druga pracownica. – Tankować w kółko. Zlewasz i wracasz. Wiele aut ma przecież duże baki.

W drodze powrotnej do Anapy reporter mija stację Rosnieftu. Przed dystrybutorami czeka około 40 samochodów. Nieco dalej, niemal ukryte w krzakach, stoi auto z sewastopolskimi tablicami rejestracyjnymi. Spod tylnego siedzenia, przez otwarte drzwi pasażera, wychodzi przezroczysty wężyk. Prowadzi do stojącego na ziemi kanistra. Obok leży jeszcze kilka pustych pojemników. Kiedy kierowca napełni kanistry, ponownie pojedzie na stację po następną porcję paliwa.

Przed jedną ze stacji Gazpromu w Anapie ustawiło się już ponad 100 aut. Ci, którzy stoją mniej więcej w połowie kolejki, czekają od półtorej godziny, ale nadal nie wiedzą, jakie paliwo będzie dostępne.

– Wezmę, cokolwiek będzie – mówi opalony, kręcony mężczyzna.

Na tej stacji można kupić wszystko – olej napędowy oraz benzynę od 92 do 100 oktanów. – Maksymalnie 30 litrów. Nie nalewamy do kanistrów. Tylko jednorazowe tankowanie – stanowczo informuje pracownik.

Jednak tak jak na innych stacjach, nikt nie zapisuje numerów rejestracyjnych, więc nie stoi na przeszkodzie, by kierowca po chwili ustawił się w kolejce ponownie.

Na miejskiej stacji Rosnieftu około godziny 16. paliwo się kończy. Pracownicy mówią, że cysterna przyjedzie dopiero około 20. Mimo to

kierowcy nie odjeżdżają. Zajmują miejsca w kolejkach dla siebie i swoich bliskich, pilnując, by nikt nie próbował wejść bez kolejki.

– Tutaj nie wolno parkować. Zaraz przyjeżdżie mój mąż – mówi kobieta w sportowych spodenkach, zastawiając wolne miejsce.

Czekanie na dostawę paliwa zamienia się w spotkanie towarzyskie.

Przed stacją stoi kilkadziesiąt osób. Ci, którzy ustawili się jako pierwsi, sporządzili listę z numerami, aby nikt nie dostał benzyny poza kolejnością. Pomysłodawczynią całej organizacji jest jasnowłosa Irina, około 35-letnia kobieta. Nie tylko zapisała kolejność oczekujących, ale także podzieliła kierowców pomiędzy poszczególne dystrybutory w zależności od rodzaju paliwa, którego potrzebują.

– Może zaczniesz jeszcze pobierać za to opłaty? – żartuje jej znajoma Ksenia.

Obie przyjechały z miejscowości Sukko. Na tej stacji spotykają się już po raz drugi – właśnie tutaj się poznały.

Numer Kseni na liście to 31. – Nie poszłam do pracy – opowiada. – Odłożyłam wszystkie sprawy. Tylko po to, żeby w końcu zatankować.

– A ja już zdążyłam przywyknąć – śmieje się Irina. – Człowiek stoi tu tyle godzin, że mimo wolnie zaczyna poznawać wszystkich wokół.

Rozmowa szybko schodzi z paliwa na wakacje. – Gdyby nie te kolejki, lato byłoby całkiem udane – mówi jeden z kierowców. – Morze ciepłe, ludzi mniej niż zwykle, ceny też trochę spadły.

– Ale przecież nigdzie nie można normalnie pojechać – odpowiada ktoś z końca kolejki. – Zanim zatankujesz, mija pół dnia.

Mimo narzekania atmosfera pozostaje zaskakująco spokojna. Ludzie przynoszą sobie wodę, częstują się papierosami, rozmawiają o dzieciach, pracy i cenach mieszkań. Jedynie co jakiś czas ktoś podchodzi do pracowników stacji z tym samym pytaniem: – Na pewno przyjedzie cysterna?

– Powinna. Tak nam powiedzieli.

– A jeśli nie?

– To będziecie czekać do rana.

Około 20.00 na horyzoncie pojawia się cysterna. W kolejce natychmiast ożywienie. Ktoś klaszcze. Ktoś żartuje: – Już myślałem, że benzynę przywiozą na Nowy Rok.

Pracownicy otwierają stację i rozpoczynają rozładunek. Kierowcy czekają jeszcze kilkanaście minut i samochody powoli zaczynają odjeżdżać do dystrybutorów. Nie wszystkim udaje się zatankować. Paliwa wystarcza tylko dla części oczekujących. Reszta rozjeżdża się po innych stacjach albo chce spróbować szczęścia następnego dnia. – Tak wygląda u nas prawie każdy dzień – wzdycha Irina. – Najgorsze, że nikt już nawet nie pyta, kiedy to się skończy.

●

Wieczorem promenada w Anapie znowu wypełnia się ludźmi.

Na ulicach gra muzyka, działają restauracje i parki rozrywki, dzieci jedzą watę cukrową, a sprzedawcy zachęcają do kupowania pamiątek. Na pierwszy rzut oka zupełnie zwyczajny sezon urlopowy.

Wystarczy jednak odejść kilkaset metrów od plaży, aby znów zobaczyć długie kolejki samochodów przed stacjami paliw i usłyszeć rozmowy o alarmach lotniczych, dronach, wyciekach mazutu oraz wojnie.

Z takim obrazem reporter „Bieregu” kończy tegoroczne lato nad rosyjskim wybrzeżem Morza Czarnego. ●

●

• Reportaż pochodzi z niezależnego rosyjskiego portalu „Biereg”. Udostępnia go Meduza, jeden z głównych wolnych rosyjskich tytułów.

• W Rosji zamknięto wszystkie wolne media. Redakcja portalu Meduza wyrzucona z Rosji straciła wpływ z subskrypcji, ale pracuje nadal z zagranicy. Dziennikarze i redaktorzy portalu zwracają się z prośbą do polskich czytelników o wsparcie. Przelewu można dokonać tutaj: Defend the truth (meduza.io).

Na Mazurach trwa spór, który pozornie dotyczy houseboatów, silników i hałaśliwych turystów. Po kilkunastu rozmowach z żeglarzami, charterodawcami i ratownikami okazuje się, że niemal wszyscy mówią o czymś zupełnie innym. Nie o łodziach, ale o... zmianach mentalności? Zazdrości? Nostalgii? Konflikcie klasowym?

A nawet o filozofii życia. O drodze, która kiedyś prowadziła ludzi na jeziora, i o tym, że dziś ta droga często nie istnieje.

Starszy, zamożny żeglarz, który nie chce ujawnić nazwiska, mówi bez owijania w bawełnę: „Kiedyś to żeglowała inteligencja, wiecie, Osiecka kwaterująca w Krzyżach, a dziś każdy cham może za 200 zeta wynająć jacht i nachlać się w trzcinach”.

Cztery dekady temu żeglarstwo było dostępne dla członków klubów, ludzi „z etosem i pasją”. Dziś „jest dostępne przez portfel”. I właśnie ta zmiana – od etosu do produktu, od wspólnoty do usługi – wywołuje największe emocje.

Bo – co do tego zgadzają się wszyscy, tylko różnie oceniają – największą zmianą na Mazurach nie są nowe jednostki, które „nie mają ducha i same wszystko robią za ciebie”, jak zżymają się stare wilki jeziorne, ani nawet umasowienie pływania, tylko to, że dziś można zostać klientem konsumującym żeglarski produkt, nie stawszy się wcześniej żeglarzem.

Maciek, muzyk sesyjny, dla znajomych „Łoś”, zaczynał pływać w latach 80. jako nastolatek. – Pierwszy mój rejs był na Kadetach, takich najmniejszych łódeczkach – mówi.

– Sprzęt? Pamiętam drewniane Omege, które się remontowało. Większe, ale jeszcze nie kabinówki. Jako klub harcerski nie mieliśmy dużego budżetu. Pamiętam, jak zazdrościliśmy klubom kopalnianym ze Śląska – oni zawsze byli świetnie wyposażeni, mieli budżet, pływali na lepszych łódkach. My to trochę lataliśmy własnym sumptem: załatwialiśmy gdzieś lakier, sklejkę, remontowaliśmy te Omege – wspomina. – To były mozolne prace przy drewnianym sprzęcie. Trochę romantyzuję, bo wtedy dalibyśmy się pokroić za takie łódki jak dziś, ale ileśmy się nauczyli, jak integrowali!

„Łoś” zabierał nas na Mazury już w pierwszej dekadzie XXI wieku. Na własne oczy widzieliśmy, co potrafi zrobić przy łódce. Nie chodzi o spektakularne naprawy – te też się zdarzały. Zwykle sprzątanie, mycie naczyń, układanie ubrań były profesjonalną, celową choreografią niczym ogarnianie szpeju u alpinistów. Na jeziorze stawał się niczym perfekcyjna gospodyni, nie tracąc nic ze swojego image alternatywnego muzyka i imprezowicza. Imponowało nam to.

„Najbardziej wspominam to, że grupa miała swoje zasady – ciągnie „Łoś”. – Pamiętam, jak każdy holował każdego – nie było silników, pomagało się przez kanały. To słynne łączenie na linach, burłaczenie, gdzie się szło brzegiem i ciągnęło łódkę. Jeśli ktoś płynął, to zawsze holował albo samemu prosiło się o pomoc. Zawsze sobie pomagaliśmy”.

System patentów był stopniowany. Żeglarz jachtowy, sternik jachtowy, jachtowy sternik morski, jachtowy kapitan żegluga bałtyckiej – nazywani „małosolny” – i jachtowy kapitan żegluga wielkiej. Nie można było przeskoczyć. Każdy poziom wymagał czasu, praktyki i egzaminu. Droga na skróty nie istniała, nie było kursów weekendowych ani patentów w jeden dzień.

Gdzie ta keja

**Kiedyś trzeba było poświęcić czas,
przejsć szkolenie, wejść do środowiska.
Dziś wystarczy zapłacić za weekendowy
kurs żeglarski i charter jachtu**

**Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski**



• Żaglówki
na jeziorze Roś
w Piszu

1 RP

MAZURY · PORADNIK CENOWY 2026

Ile kosztuje pływanie po Mazurach?

Od omegi za 150 zł na dobę po szybką motorówkę za 4 tysiące. Ile trzeba mieć na czarter, ile na kaucję, postój i paliwo – i ile realnie wychodzi tydzień na wodzie. Ceny orientacyjne, na podstawie analizy aktualnych cenników największych armatorów i marin na Mazurach. Dotyczą sezonu 2026.

Paski pokazują **stawkę za dobę** – wszystkie na tej samej skali, więc widać, jak daleko od siebie są omegi i szybka motorówka. Kreskowany fragment to najdroższe jednostki w danej klasie.

Mała łódka żaglowa
Omega, BEZ, Sasanka Viva 600.
2–4 osoby. Czarter za dobę: 150–350 zł, kupno: 18 000–65 000 zł



Dla początkujących i na kilka godzin albo weekend.
Starsze jednostki od 150–200 zł, nowsze i lepiej wyposażone 250–350 zł.



Żaglówka kabinowa
Phobos 21, Tango 780, Antila 24–27, Maxus 24–28, Twister 800.
6–8 osób. Czarter za dobę: 250–900 zł, kupno: 200 000–500 000 zł



Najpopularniejszy segment na Mazurach. Starsze i mniejsze (Tango 780, Twister 800) w sezonie od 300–450 zł, nowsze Antile 27 i Maxusy 28 zwykle 500–900 zł.



Duży jacht kabinowy
Antila 33, Maxus 33, Cobra 3.
8–10 osób. Czarter za dobę: 1000–1600 zł, kupno: b.d.



Jednostki 33-stopowe i większe to inna półka.
Podane stawki dotyczą szczytu sezonu i krótkich czarterów.



Houseboat / jacht motorowy
Nautika 830, Stillo 30, Futura 36, Nautiner 38, Platinum 40.
6–10 osób. Czarter za dobę: 330–1500 zł, kupno: 380 000–950 000 zł.



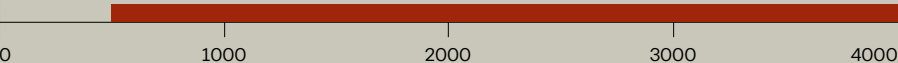
Często bez patentu. Małe i starsze od 330–420 zł, średni segment 650–1100 zł, nowoczesne i przestronne 1100–1500 zł za dobę. 1500–3000 zł – największe w lipcu i sierpniu.



Motorówka rekreacyjna
Bora, Viva 606, Bayliner, Sea Ray 210, Stillo 31.
5–7 osób. Czarter za dobę: 500–4000 zł, kupno: 110 000–280 000 zł



Najmniejsze z silnikami 15–30 KM od 500 zł za dobę, typowe rekreacyjne 700–1200 zł, większe z mocnymi silnikami 1000–1800 zł. 2400–4000 zł – szybkie kabinowe 7–10 m, silniki 250–500 KM



Kiedy płyniesz, tyle płacisz
Ta sama żaglówka kabinowa w czerwcu i w sierpniu to dwie różne ceny.

MAJ, CZERWIEC, WRZESIEŃ

250–700

Zł
• Żaglówka kabinowa, stawka za dobę

LIPIEC, SIERPIEŃ

450–900

Zł
• Żaglówka kabinowa, stawka za dobę

W lipcu i sierpniu ta sama łódź kosztuje o 29–80 proc. więcej.

Maj, czerwiec, wrzesień	ceny najniższe, najlepsza dostępność
Lipiec, sierpień	stawki najwyższe; na najlepsze terminy warto rezerwować z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem
Weekendy, długie weekendy, święta	możliwe dopłaty i wymagana minimalna długość wynajmu
Czarter tygodniowy	stawka za dobę jest wyraźnie korzystniejsza niż przy wynajmie na 2–3 dni

Do tego dojdzie na miejscu
Czarter to nie wszystko. Część opłat armator pobiera przy odbiorze łodzi, resztę zostawiasz w portach po drodze.

Przy odbiorze łodzi	
Kaucja zwrotna (przelewem, gotówką albo blokada na karcie – zależnie od armatora)	1000–5000 zł
Sprzątanie końcowe (obowiązkowe u większości armatorów)	100–400 zł
Sternik (dla osób bez patentu, opcjonalnie, za dobę)	300–500 zł

W trakcie rejsu	
Postój nocny (w cenie sanitariaty i odbiór śmieci)	60–150 zł
Podłączenie do prądu (tam, gdzie nie jest wliczone w postój)	15–30 zł
Opłata za załogę (od osoby)	25–40 zł
Krótki postój (przy restauracjach często bezpłatny dla gości)	30–50 zł

© TOMASZ LEBIODA, WYBORCZA.PL. ŹRÓDŁO: ANALIZA CENNIKÓW ARMATORÓW I MARIN NA MAZURACH, SEZON 2026. 27.07.2026.

„Obóz trwał trzy tygodnie, zakończony egzaminem. Dużo uwagi zwracało się na manewrowanie na żaglach. Wtedy wchodzenie na żaglach do portu było normą, bo mało kto miał silnik”.

A teraz? „Dziś na żaglach nikt nie wchodzi do portu, to wręcz bywa zakazane”.

– Mój kumpel był niedawno na kursie jachtowego sternika morskiego. Wrócił zniesmaczony – przez cały tydzień chyba niecałe dwie godziny pływał na żaglach, reszta manewry na silniku – pointuje „Łoś”.

Pływanie na „szmatach”, niedysiejsza codzienność, obecnie staje się dodatkiem do silnikowej wycieczki. Zmieniła się hierarchia: kiedyś żagiel był głównym napędem, silnik awaryjnym.

Na Facebooku pod postem o kultowej Sportinie – najpopularniejszej łódce kabinowej, od lat 90. podbijającej wpierw Polskę, potem Europę; to ten jacht każdy ma przed oczyma, słysząc: „żaglówki na Mazurach” – pojawiają się wspomnienia podobne do tych „Łosiowych”:

„Kiedys to się pływało na Omegach, spalo na Gretingach pod bomówką i myło zęby wodą z jeziora. Aaaaa, i nikt nie miał silnika”.

„Przepadła samodzielność z konieczności: bez prognoz i ratownictwa trzeba było umieć więcej. Ale tamte czasy były też zwyczajnie niebezpieczne”

„Omega – szkoła żeglarska!! Potem Piraty, Ramblery, a potem objawienie luksusu Venus, a potem Sportina”.

„Dla mnie Sportina to było coś, na co patrzyło się z zazdrością, gramoląc się rano z kajuty Oriona bądź Narcyza”.

„Było nas pięciu facetów i daliśmy radę Sportiną 590 pływać przez cały tydzień – przez kilka lat pływałem na niej”.

„Zaczynałem od sklejkowych Ramblarów, długo zanim Andrzej Skrzat pokazał Mrówkę. Pierwszą, prototypową Sportinę. To była sensacja”.

„Sportina to był luksus. 4 dorosłych na Bezie 4 – dobry pakiet do balastowania na 6B na Mamrach”.

„Mam Sportinę. Uważam, że to super łajba. Na Mazury, Jezioro Zegrzyńskie idealna”.

My sami w latach 90. co roku na Wi-grach dokooptowywaliśmy się do załogi „Ra” – Rykoszetu, kabinówki klasy mikro wyprodukowanej jeszcze w ZSRR. Wygód nie było prawie wcale, a mimo to pływaaliśmy w czwórkę, czasem w piątkę przez tydzień. Ciasnota kabiny skłaniała nocą do intymności, która rezonowała na całej łódce. Zdarzało się, że ludzie z łódki zaciemowanej obok z mrugnięciem oka mówili: „aż wanty grały”.

Krzysztof Baranowski, pierwszy Polak, który dwukrotnie samotnie opłynął świat, dopiero co – w wieku 87 lat – wyruszył w trzeci samotny rejs na pokładzie jachtu Meteor. Odpisał nam 5 lipca 2026 roku z Morza Arafura, między Australią a Nową Gwineą. Spodziewaliśmy się, że będzie

o upadku etykiety, braku kultury i o tym, że dawniej było lepiej. W końcu to człowiek, który wychował się w świecie regat i wielkich rejsów, w którym zasady i hierarchia miały znaczenie.

Jednak od legendarnego wilka morskiego usłyszeliśmy coś zgoła innego. „Powszechność i dostęp do pływania są pozytywne i nie ma to nic wspólnego z samotną żeglugą dookoła świata. Oprócz mnie dwa okrążenia wykonała Asia Pajkowska i Szymon Kuczyński”.

Nie znaczy to jednak, że kapitan nie dostrzega zmian. „Ubolewam, że etykieta poszła w zapomnienie, ale nie chodzi tu li tylko o krawaty, ale siadanie w slipach do posiłku”.

Więc nie o ę, ą, które pielęgnują samozwańczy arystokraci. Raczej o niepisany kodeks ludzi, którzy spędzają czas razem na wodzie: porządek na jachcie, szacunek dla załogi, umiętność zachowania się w porcie i pamięć, że jezioro nie należy tylko do nas.

Najważniejsza była jednak odpowiedź na pytanie, co naprawdę zmieniło się na Mazurach.

„Gdy zaczynałem żeglarstwo, było ono dostępne dla wszystkich – wystarczyło należeć do klubu żeglarskiego. Dziś jest dostępne dla wybranych, tych, których stać na kupno jachtu albo czarter. Pro-

szę zwrócić uwagę, że nikt nie czarteruje jachtu na miesiąc albo pół roku”.

I rzeczywiście, zmienił się nie tylko sprzęt, ale też cały model korzystania z Mazur. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu własna łódka albo klub były dla wielu jedyną drogą na jeziora. Dziś ich miejsce zajął rozwinięty rynek czarterowy – według jednego z branżowych serwisów, na Mazurach działa obecnie 170 takich firm. Coraz częściej nie jedzie się już „na swoją łódkę”, żeby przed sezonem coś przy niej podłubać, pomalować czy ulepszyć.

To zresztą szerszy trend. Tak jak coraz więcej osób na zagraniczne wakacje leci samolotem i dopiero na miejscu wynajmuje samochód – albo jak pożycza się rower enduro w bikeparku, zamiast kupować za kilkanaście tysięcy sprzęt, z którego, mieszkając na nizinach, korzysta się parę razy w roku, tak na Mazurach dla wielu osób czarter stał się alternatywą dla własnej łodzi. Którą trzeba utrzymywać, konserwować cały rok – a pływa się kilka, kilkanaście dni. Wystarczy kilka kliknięć, przyjechać nad jezioro, odebrać kluczyki i po kilku dniach oddać łódź.

Baranowski odwraca zatem najpopularniejszą opowieść o Mazurach. Nie mówi, że żeglarstwo zepsuło się dlatego, że stało się masowe. Przeciwnie – powszechność to wartość.

Problem widzi w tym, że zmienił się sposób uczestniczenia. Kiedyś droga na jeziora wiodła przez klub. Spędzało się na wodzie całe wakacje, remontowało sprzęt, pływało z tymi samymi ludźmi, zdoby-

wało doświadczenie i uczyło się od starszych. Dziś prowadzi na nie rynek usług: kurs, patent i czarter na weekend.

Ale też trudno, żeby było inaczej. Gdyby nie ten model, wielu pasjonatów nie byłoby stać na pływaniu.

Nawet jeśli używany jacht można kupić za kilkadziesiąt tysięcy złotych, to na tym wydatki się nie kończą. Samo utrzymanie jednostki kosztuje zwykle od 4 do 13 tys. zł rocznie. Trzeba zapłacić za miejsce w marinie, zimowanie, ubezpieczenie, coroczną konserwację kadłuba i bieżące naprawy. Do tego dochodzi jeszcze czas – regularny serwis, przygotowanie łodzi do sezonu i doglądanie jej przez cały rok.

Nic dziwnego, że dla wielu osób bardziej opłacalny staje się czarter. To trochę jak z kamperami. Niewiele osób, nawet jeśli mogłoby sobie na to pozwolić, decyduje się wydać kilkaset tysięcy złotych na własny pojazd, płacić za jego ubezpieczenie, serwis i parking przez jedenaście miesięcy w roku. Ale wynająć na tydzień czy dwa podczas wakacji? Kto o tym nie myślał. Z jachtami dzieje się bardzo podobnie. Coraz więcej osób chce po prostu z nich skorzystać, „pobawić i odstawić”.

Baranowski bynajmniej nie ma też pretensji do ludzi, którzy na wodzie chcą się po prostu bawić: „Mam wyrozumiałość dla imprez, byle nie zakłócały spokoju innym. Sam lubię wypić kielicha za »cudowne ocalenie« i pośpiewać na koniec rejsu”.

Szymon Ciemnicki pływa od ponad trzydziestu lat. Ma patent jachtowego sternika morskiego, był bosmanem na S/Y „Zawiszy Czarnym”. Zaczynał od Optimista, później były harcerskie rejsy na Omegach po Wiśle, a następnie morze i czartery na cieplejszych akwenach – Adriatyku i Atlantyku. Dziś sam uczy żeglarstwa ośmioletniego syna.

Na Mazury patrzy z dystansem osoby, która zna realia małych łódek i współczesnego morskiego czarteru. Nie wątpi, że to już inny świat: „Ta zmiana chyba wynika z całego podejścia środowiska wodniaków do przede wszystkim szkolenia”.

Kiedyś: „Uzyskując pierwszy patent, czyli żeglarską jachtowego, musiałem przez trzy tygodnie od rana do wieczora wykazywać się moim, wtedy małym, kunsztem żeglarskim, a później spędzić jeszcze wiele godzin przy nauce pracy na żaglach, czyszczeniu łódek i tak dalej”.

Dziś: „W największych ośrodkach wodniackich w Polsce patent motorowodny, który pozwala nam pływać motorówkami czy innymi jednostkami o napędzie mechanicznym, zdobywa się w ciągu jednego dnia”.

Taki krótki kurs i egzamin otwierają drogę do prowadzenia naprawdę dużych, mocnych jednostek. Zdaniem Ciemnickiego problemem jest różnica między uprawnieniami a doświadczeniem. Porównuje to do jazdy motorem: każdy potrafi jechać prosto, ale prawdziwy test przychodzi na zakręcie. Takich wiraży na wodzie może być wiele – i nie chodzi tylko o nagłe załamanie pogody, poważnym wyzwaniem może być nawet banalne wejście do portu. Osobie po parogodzinym kursie może się wydawać, że to jak parkowanie, tylko na wodzie – choć przecież kilkunastometrowa jednostka nie zatrzymuje się natychmiast, a błąd ma konsekwencje dla wszystkich na pokładzie i na pomoście.

To wszystko – według Ciemnickiego – przekłada się na kulturę. Dawne żeglarstwo uczyło odpowiedzialności nie przez teorię, ale przez uczestnictwo – powroty w te same miejsca, pracę przy łódce, stopniowe zdobywanie samodzielności.

„Dziś tej drogi często brak – uważa i opowiada, jakie widzi tego efekty w codziennym korzystaniu z przestrzeni wspólnej. – Mam wrażenie, że mimo wszystko załogi żaglowe, nawet te, nazwijmy to, przypadkowe, weekendowe, potrafią po sobie posprzątać, bo odwiedzają miejsca, do których chcą wracać. Ale załogi houseboatów traktują jednostkę i jej otoczenie jak weekendową kwaterę z Bookingu.



• **Jachty
zacumowane
w ekomarinie
w Giżycku**

FOT. ROBERT
ROBASZEWSKI /
AGENCJA WYBORCZA.PL

„Wokół tego wytworzyła się emocja klasowa, w duchu »kiedyś to było«, a 500 plus sra na wydmach” – tak jeden z naszych rozmówców próbuje wczuć się w starych żeglarzy, którzy ze zgrozą patrzą, co dzieje się na jeziorach

Sądzą, że przecież ktoś inny wykonuje za nich usługi komunalne. To podejście dotyczy również muzyki, głośnych imprez. To jakby trochę inni ludzie, inna kultura”.

Szymon podaje przykład, który dla niego obojętnie jest symbolem tej zmiany. „W etykietce żeglarskiej opisywanej na dobrych kursach wspomina się, że wypływając z portu w Gdańsku i mijając prawą burtą Westerplatte, załoga powinna oddać honory banderą. Dziś bardzo rzadko się to zdarza, żeby kapitan zarządził zbiórkę i w holdzie obrońcom ktoś pochylił drzewce z polską banderą. Nie wiem, czy to wstyd, niewiedza czy brak chęci, ale ta tradycja po prostu zanika”.

Gdybyśmy mieli to podsumować własnymi słowami – do czego jako nie tylko dziennikarze, ale i samozwańczy żeglarze incydentalni czujemy się upoważnieni – powiedzielibyśmy: zmienił się nie tylko sprzęt, ale też droga, którą ludzie trafiają na wodę. Dawniej łódź była początkiem nauki. Dziś coraz częściej jest gotową usługą turystyczną.

Najlepiej tę zmianę widać na przykładzie przywołanych przez Szymona houseboatów. Nie dlatego, że idea pływającego apartamentu jest nowa – człowiek od zawsze szukał wygodniejszych sposobów spędzania czasu nad jeziorami. Różnica polega na tym, że dziś na wodę wchodzi osoby, dla których łódź nie jest początkiem żeglarskiej przygody, ale gotowym produktem turystycznym. W którym – nie oceniając, chodzi tylko o namierzenie różnicy – mniej chodzi o pływanie, przygotowanie, kontakt z wodą, naturą, a bardziej o relaks.

Houseboat wymaga innego zestawu umiejętności niż klasyczny jacht żaglowy. Nie trzeba znać się na pracy żagli, uczyć się trzymania (czyli ustawiania żagli względem wiatru, by osiągnąć optymalną prędkość) ani tygodniami zdobywać doświadczenia w manewrowaniu. Po krótkim szkoleniu, odbiorze łodzi i zapoznaniu się z jej obsługą można rozpocząć urlop.

Wystarczy spojrzeć na ofertę współczesnych czarterów. W porcie w Giżycku cumuje Nautic 990 – dziesięć metrów długości, silnik Mercu-

ry 60 KM, możliwość prowadzenia bez patentu. W środku: dwie kabiny, prysznic, kuchnia z kostką do lodu, ekspres do kawy, telewizor. To co prawda wciąż, przynajmniej pod względem formy, jeszcze nie typowy houseboat – domek na wodzie – ale już nie łódź w tradycyjnym rozumieniu, ale pływający apartament.

I właśnie ten obraz jachtu, który jest nim tylko z wyglądu, bo nie wymaga żadnych poświęceń, zmiany nawyków, rezygnacji z czegoś, odrobiny wysiłku czy wiedzy, przede wszystkim zaś skojarzenia, jakie niesie – latwizna, wygodnictwo, nie doznawanie, ale komfortowe bytowanie jak w miejskiej codzienności, tylko że na wodzie – burzy krew wielu obserwatorów. Pod postem prezentującym jednostkę pojawił się komentarz: „10-metrowa jednostka bez uprawnień... Mazury schodzą na psy, coraz więcej nieodpowiedzialnych wariatów na wodzie...”. Inny komentarz dotyczący podobnej jednostki: „Pływający apartament z kostką do lodu i ekspresem. Żeglarstwo? Raczej Airbnb na wodzie”.

Czarterodawcy odpowiadają rzeczowo: „To nie my tworzymy prawo. Mogę tylko nadmienić, że znacznie większe jednostki można wynająć również bez uprawnień”.

Sedno sporu nie dotyczy samego istnienia houseboatów czy luksusowych motorjachtów-apartamentów. Wyzwaniem jest sytuacja, kiedy duża jednostka trafia w ręce osoby, która nigdy nie miała okazji nauczyć się podstaw: przewidywania zachowania łodzi, manewrowania w porcie czy zwyczajnie odpowiedzialności za wspólną przestrzeń.

I last but not least, klasyczny jacht wymusza kontakt z wodą. Houseboat pozwala na tę wodzie przede wszystkim zamieszkać. Nie jest konkurencją dla żagłówek czy nawet skutera wodnego – odpowiada na inną potrzebę. Dla jednych woda jest przestrzenią, z którą trzeba współpracować. Dla innych – miejscem, w którym można spędzić urlop inaczej niż w hotelu, ale jednak po hotelowemu.

Na jednej z platform społecznościowych trafił post nietypowy jak na firmę czartero-

wą. Dotyczył historii jachtu Sportina i był przepełniony sentymentem. Zaczyna się z wysokiego C czy – sięgając po żeglarską nomenklaturę – od razu oddaje cumy: „Powiedzmy sobie szczerze: na Sportinie nie dało się stanąć w kabini, spało się na twardym, a prysznic był za burtą. I to była najlepsza szkoła żeglarstwa, jaką miały Mazury”.

Zapytaliśmy o to jego autora Marcina Moździerskiego z NaCzarter.pl. „Post o Sportinie: szczerzy sentyment, a marketingowo działa dlatego, że jest prawdziwy. Ostatnią Sportinę we flocie mieliśmy jeszcze w ubiegłym sezonie. I nie kończymy tematu: startujemy z projektem rewitalizacji. Znajdziemy zapuszczoną Sportinę na OLX, przywrócimy ją do życia i pokażemy cały proces w social mediach”.

A więc sentyment i biznes mogą iść w parze. Nim formułujemy ten wniosek, Moździerski niepytany podkreśla, że nostalgia i współczesny rynek nie muszą się wykluczać:

„Sami trochę żyjemy czasami starych Mazur, ale rozumiemy też klienta, który szuka »klimatyzacji, Wi-Fi i ambientowego oświetlenia« w pływającym apartamencie. To nie są wrogie obozy, często to ta sama osoba na różnych etapach życia. Kiedyś warunki odsiewały ludzi na starcie, dziś część zaczyna od komfortu i sama dochodzi do trudniejszego pływania”.

Zdaniem Moździerskiego rynek może finansować tradycję, zamiast ją wypierać. Tu pada zdanie, które mogłoby stać się osią całego tekstu: „Przepadła samodzielność z konieczności: bez prognoz i ratownictwa trzeba było umieć więcej. Ale tamte czasy były też zwyczajnie niebezpieczne, więc widzę ewolucję, nie stratę. Szkoła charakteru nie zniknęła, przestała być obowiązkowa”.

Podobnie zmiany widzi Piotr Całka z Twist Czarter: „Łatwiejsze w obsłudze jednostki, jachty, którymi zgodnie z przepisami można pływać bez patentu, prostsza rezerwacja. W Twist Czarter widać to choćby po tym, że wiele jachtów oferujemy na pojedyncze doby, także w szczycie sezonu – jeszcze kilka lat temu dostępne były wyłącznie tygodniowe tury. Dzięki temu na wodę trafiają osoby, które

wcześniej uznawały, że żeglarstwo jest »nie dla nich«: rodziny, ludzie młodzi, debiutanci”.

Czyli jako pozytyw opisuje właśnie to, na co wyrzekają jachciarze w wieku emerytalnym, pamiętający mazurskie jeziora z wczesnych lat 90., 80., nawet siemieżnych 70.

W odpowiedzi na słowa starego żeglarza o „chamach za 200 zł” Calka mówi: „To zdanie mówi więcej o pewnej nostalgii niż o dzisiejszym żeglarstwie. Nasze codzienne doświadczenie jest inne: zdecydowana większość załóg to ludzie, którzy szanują wodę, sprzęt i innych na akwenu. Żeglarstwo nigdy nie było kwestią zasobności portfela ani pochodzenia, tylko szacunku – do żywiołu i do drugiego człowieka. I to się nie zmieniło, niezależnie od tego, kto trzyma ster”.

W 2024 roku od 21 czerwca do 4 sierpnia na Szlaku Wielkich Jezior Mazurskich utonęło 25 osób – 8 miejscowych i 17 turystów.

W 2025 roku na terenie Warmii i Mazur życie w wodzie straciło 34 osoby.

Pełny bilans sezonu 2026 nie jest jeszcze znany, ale do początku lipca region odnotował już kilkanaście utonięć, z wyraźnym wzrostem w czerwcu podczas fali upałów.

Zapelniający co roku telewizyjne i prasowe reportaże pijani sternicy nie są wymysłem pisarzy goniących za klikbajtem. To naprawdę poważny problem.

W 2024 roku policja warmińsko-mazurska ujawniła 88 nietrzeźwych użytkowników jednostek pływających.

W 2025 roku – 26, z czego 8 sterników motorówek i 18 użytkowników innych jednostek.

W 2026 roku policja nadal regularnie zatrzymuje nietrzeźwych sterników – wśród nich są przypadki szczególnie niebezpieczne: 47-latek z prawie 2 promilami, który wypłynął motorówką z trojgiem dzieci na pokładzie i zasnął za sterem, czy turyści na skuterze wodnym z 2-2,5 promila.

Z poprzednich sezonów: 43-latek na motorówce z 2,8 promiła bez uprawnień, kapitan statku pasażerskiego z ponad 3 promilami (19 pasażerów na pokładzie), ratownik wodny w Ostródzie z prawie 2 promilami albo turysta z Mazowsza na skuterze z 2,5 promiła.

Jednocześnie kontrole stały się systematyczne i profesjonalne – w przeciwieństwie do lat 90., kiedy podczas wielu rejsów na Wigrach na przestrzeni lat doświadczyliśmy jednej kontroli służb. Skończyła się konfiskatą beczki piwa z suwalskiego browaru Północny, którą wieźliśmy na pokładzie, przy czym forma kary była wymuszoną łapówką. Dziś kontrole są systematyczne, profesjonalne i trudno nie odnieść wrażenia, że stanowią cios w jeden z ważnych elementów dawnego etosu żeglarskiego.

Bo, co tu kryć, wiekowi nostalgicy, najczęściej z pokolenia baby boomersów, romantyzują i estetyzują coś, co sami piętnują u jachciarzy weekendowych, żeglarzy-imprezowiczów

i żeglarzy-wczasowiczów z generacji milenialsów i zet, czyli pływanie po alkoholu i z alkoholem. Tylko że tamte naleweczki, wódeczki i chórálne śpiewy przy ognisku wspomina się jako niewinne, wyrafinowane i wspólnotowe, nie to co dzisiejsze „imprezy z lejącym się browarem i pijakimi wrzaskami”. Czyli raczej podlany nostalgiją klasyczny resentyment pokoleniowy niż „schamienie”, realna pauperyzacja szlachetnego sportu. Raczej zmiana ilościowa – rozrywkowe zachowania zrzucają się bardziej w oczy, skoro przybyło żeglarzy, wodniaków i łódek – niż jakościowa.

Ale alkohol to tylko część problemu. Podobnie jak na drodze czy na stoku narciarskim nie potrzeba promili, żeby zabrakło wiedzy, zwyczajnej podstawowej wyobraźni lub do głosu doszła brawura. Mazurskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe (MOPR) w sezonie 2025 odnotowało ponad 310 interwencji i udzieliło pomocy blisko tysiącu osób. W raportach powtarza się ten sam wniosek: wielu żeglarzy i motorowodniaków ignorowało prognozy pogody oraz system ostrzegania.

Efekty bywają tragiczne. Na jeziorze Tałty łódź motorowa Viva 606 z siedmioma osobami na pokładzie – w tym trojgiem dzieci – przewróciła się i zatonała. Ośmioletnia dziewczynka utonąła w kabinie. Nikt nie miał kamizelki ratunkowej.

A przecież przybywa osób z uprawnieniami. W 2024 roku wydano 15 006 patentów żeglarskich i 45 125 motorowodnych. W 2025 roku patent żeglarza jachtowego zdobyło 13 759 osób, a patentów motorowodnych – znowu kilkadziesiąt tysięcy. Tu kłania się zwłaszcza i problem opisany przez Szymona Ciemnickiego – rynek motorowy rośnie wyraźnie szybciej niż żeglarski.

Jednocześnie rozbudowuje się infrastruktura. Jak odnotowano w opracowaniu poświęconym historii żeglarstwa na Wielkich Jeziorach Mazurskich, jeszcze przed 1990 rokiem funkcjonowało tam około 40 przystani żeglarskich, z których tylko część dysponowała infrastrukturą zbliżoną do współczesnych.

Dziś na Mazurach działa ponad 160 marin i przystani, a ich liczba stale rośnie. Codziennie w sezonie na wodzie jest kilka-kilkanaście tysięcy jednostek. Nowy port w Rucianem-Nidzie – inwestycja rzędu 34-50 mln zł – ma pomieścić około 150 jachtów. Marina Sztynort, największa na Mazurach, oferuje już ponad 450 miejsc cumowniczych.

Jednocześnie znikają – i to też, choć z korzyścią dla przyrody, część zrozumiałego bólu ludzi, którzy zdążyli doświadczyć uroków dzikiego biwakowania przy ognisku, pod gwiazdami – półdzikie pomosty na dwie-trzy łódki ze sławką w zaroślach.

Te liczby i procesy nie dowodzą, że nowi użytkownicy są gorsi. Pokazują, że jest ich znacznie więcej, a dostępność bez odpowiedniej edukacji i kultury korzystania ze wspólnej przestrzeni ma swoją cenę.

„Wokół tego wytworzyła się emocja klasowa, w duchu »kiedyś to było«, a 500 plus sra na wydmacz”. Albo: „Na początku XXI wieku zoliborski inteligent Passent się zżymał, że teraz nawet rzemieślnik i fryzjerka posyłają dziecko na angielski i tenisa – w takim duchu mówię się o pauperyzacji Mazur”. To emocja elity, że holota im się wdziera w zarezerwowane rewiry w miarę bogacenia” – tak jeden z naszych rozmówców próbował wczuć się w starych żeglarzy, którzy ze zgrozą patrzają, co dzieje się na jeziorach.

Po tych wszystkich rozmowach mamy wrażenie, że tak stawiając sprawę, trafia kulą w plot i strzela w dziesiątkę zarazem. Bo spór rzeczywiście ma wymiar klasowy, ale inny, niż zwykle się go opisuje. Żeglarsstwo, które przez dekady było związane z harcerstwem i klubami żeglarskimi – środowiskami, które w założeniu były otwarte dla ludzi niezależnie od zasobności – dziś również jest dostępne dla szerokiej grupy osób, nawet niekoniecznie zamożnych, tyle że droga prowadzi przez rynek.

Kiedyś trzeba było poświęcić czas, przejść szkolenie, wejść do środowiska. Dziś wystarczy zapłacić za kurs i czarter.

Zniknęły kluby, harcerskie drużyny i środowiska PTTK, które przez lata były naturalną drogą na wodę. Wielotygodniowe obozy zastąpiły krótkie kursy, sezonowe rejsy – weekendowe czartery, a naukę od starszych żeglarzy coraz częściej zastępuje instruktaż przy odbiorze łodzi.

Innymi słowy – nostalgików boli to, że kiedyś żeglarzem się było, dziś kupuje się doświadczenie żeglowania.

W czasach umownej Osieckiej żeglowność było elementem stylu życia, wspólnego etosu, tożsamości inteligencji, „środowisk twórczych” – odpowiednika dzisiejszej klasy kreatywnej – oraz części „prywatnej inicjatywy”, czyli peerelowskiego biznesu. Dziś jest tym, czym wspinanie, narciarstwo czy kolarstwo górskie – dla jednych wciąż pasją na całe życie, dla innych zwykłym produktem z bogatej lifestyle’owej oferty.

Każda taka zmiana budzi opór tych, którzy wcześniej czuli się gospodarzami danego świata. Stąd rozróżnienia na „prawdziwe żeglarsstwo” i „jachting”, na „żeglarzy” i „klientów”. Na Facebooku czy X widać to bardzo wyraźnie: „Nie ma już żeglarsstwa na Mazurach. Jest vachting”.

„Jest żeglarstwo i jest jachting”.
„Kiedyś było żeglarstwo, teraz w większości jachting. I często im większa łódka, tym mniejsze umiejętności”.

Do tego wpis kogoś, kto z tymi pojęciami łączy wartości: „Zaczynałem od Pirata i Omegi w latach 70. Posiłki na brzegu przyrządzane na paleniskach, namioty. Żeglarze byli wspólną, teraz tłok, kasa i bufonada, życzliwość jest w cenie”.

„Życzliwość jest w cenie” – to zdanie wracało w naszych rozmowach częściej niż narzekania na houseboaty, luksusowe motorówki czy ryczące silniki skuterów wodnych. Kiedyś wspólnota była czymś naturalnym, dziś coraz częściej staje się wartością dodatkową.

Ktoś powie: nie zmieniły się tylko jeziora. Ale dzisiejsza infrastruktura to też niebo i ziemia w porównaniu z tą sprzed jeszcze dekady. Na zle – niewątpliwie ogrzewane prysznice z płatnością Blikiem, Żabki tuż przy kei i szybki internet w każdej marinie odbierają wiele romantyzmu, nie pozwalają poczuć niedyszyjszej wolności, dzikości, pionierskiego ducha – ale i na dobre. Z tych samych powodów.

Firmy czarterowe, często obwiniane o „cale to zło”, nie zaprzeczają tym diagnozom. Ale pokazują ich drugą stronę. Dzięki nim Mazury stały się bardziej dostępne niż kiedykolwiek wcześniej. Rodziny, debiutanci i ludzie, którzy dawniej nigdy nie weszliby do klubu żeglarskiego, dziś mogą spędzić tydzień na jeziorach. I pewnie wielu z nich więcej na nie już nie wróci, kolejny urlop spędzą w Dubaju. Ale równie wielu coś każde za rok znów zarezerwować Antilę 27 na tygodniowy urlop.

Powtórzymy słowa Moździerskiego: „Szkoła charakteru nie zniknęła, przestała być obowiązkowa”. To chyba najtrafniejsze podsumowanie tej zmiany.

Problem polega na tym, że jednocześnie zacierają się także etos, zgodnie z którym należało dbać o wspólną przestrzeń. Rynek potrafi znakomicie sprzedawać wypoczynek, ale nie zastąpi środowiska, które przekazywało niepisane zasady, uczyło współpracy i budowało więzi.

Mazury odniosły sukces. Nigdy wcześniej nie były tak dostępne. Nigdy wcześniej tylu ludzi nie mogło z nich korzystać. Jednocześnie tych jezior, jakie pamiętają „Łoś” czy Baranowski, już nie ma. I raczej nie wróćą. Są za to nowe Mazury – z nowoczesnymi marinami, tysiącami miejsc postojowych, świetną infrastrukturą, komfortowymi łodziami i dostępnością, o której jeszcze 30 lat temu można było tylko marzyć.

Pytanie nie brzmi więc, czy odbudować dawny świat, bo jego już nie ma. Pytać należy raczej, czy – i jak – w nowych Mazurach uda się zbudować nową wspólnotę ludzi wody. Taką, która nie będzie oparta na klubach, harcerstwie i wielotygodniowych rejsach, ale mimo to nauczy odpowiedzialności za wspólną przestrzeń. I właśnie to jest największe wyzwanie.

Bo dawny etos żeglarski nie składał się wyłącznie z wielkich deklaracji. Najczęściej objawiał się w drobiazgach, które przypominały, że jezioro jest wspólną przestrzenią.

Jak wspomina „Łoś”: – Kiedyś, wchodząc do portu, zakładało się koszulkę. Nie wypadało wpływać gołym torsem, susząc ubrania na relingach. To były takie oczywiste zasady. ●



SIATKA

Mogę mówić, że jestem wolną jednostką,
ale jaką wolność ma matka dwuletniego dziecka?

Z AGATĄ SIKORĄ, KULTUROZNAWCZYNIĄ
ROZMAWIA EMILIA DŁUŻEWSKA

Kiedy zdałaś sobie sprawę, że twoja siatka asekuracyjna to iluzja?

– Krótco po tym, gdy urodziłam drugie dziecko, w czasie pandemii. Nie było jeszcze szczepionek, śmiertelność była wysoka, dynamika choroby nie tak dobrze zbadana. Byliśmy w Wielkiej Brytanii, odcięci od rodziny i dużej części siatki społecznej, bo granice były zamknięte.

Kiedy do domu przysła położona, zadała nam wiele standardowych proceduralnych pytań: Czy nie mam wahań nastroju? Czy czuję się bezpieczna w domu? Czy mam tu rodzinę lub przyjaciół? Na koniec pyta, czy ja mam do niej jakieś pytania. Miałam: Co się stanie, jeśli ja i mój mąż zachorujemy na COVID-19 tak ciężko, że nie będziemy w stanie zająć się dziećmi?

Co odpowiedziała?

– Żebym się nie przejmowała, bo na pewno do tego nie dojdzie. Kiedy jesteś kobietą w pociągach, istnieje tendencja, by nie traktować swoich zmartwień poważnie – zrzucać je na hormony, zmęczenie, wahania nastrojów itd. Ale moja mózgowica działała sprawnie. Wiedziałam, że moja obawa jest absolutnie racjonalna. W końcu ani pięcioletnie dziecko, ani tym bardziej noworodek nie poradzą sobie w domu same, jeśli rodzice będą tak chorzy, że nie będą w stanie wstać z łóżka.

„Możecie poprosić o pomoc rodzinę” – odpowiedziała położna, choć chwilę wcześniej powiedziałam jej, że nie mam na miejscu żadnej rodziny. A nasi przyjaciele w większości sami mieli małe dzieci i nie mogłam im podrzucić noworodka z COVID-owego domu.

Usłyszałam: „Zostaje wam opieka zastępcza, ale tego byście nie chcieli”.

Nie dopytywałam już, dlaczego miałabym nie chcieć, żeby moje dzieci w kryzysowej sytuacji trafiły do państwowej opieki zastępczej.

Wtedy dotarło do mnie, jak złudne jest poczucie bezpieczeństwa tworzone przez procedury. Co z tego, że położna zada mi standardowe pytania, skoro w obliczu realnego ryzyka system nie ma dla mnie rozwiązania?

Cisnę się na usta, że kiedyś nie było tego problemu. Dziecko wychowywała cała wioska.

– Nie przepadam za stwierdzeniem, że do wychowania dziecka potrzeba całej wioski, bo podtrzymuje antynowoczesny, wyidealizowany obraz wspólnoty, w której ludzie żyją w harmonii, opiekując się sobą nawzajem z „naturalnej” potrzeby serca.

Taka wizja pasuje do dyskursu klasy średniej, dla której więzi są czymś prywatnym, in-

tymnym, „głębokim”, budowanym na podstawie „autentycznych” relacji, przeciwstawiane relacjom formalnym, zawodowym czy wynikającym z tradycji.

Tymczasem mamy rozmaite więzi społeczne, które działają różnie w zależności od momentu historycznego, porządku społecznego i wielu innych rzeczy. Można na przykład postrzegać je jako rodzaj wzajemnego, wspólnotowego ubezpieczenia.

Jeśli biegnę z wiadrem wody do płonącej stodoły sąsiada, to nie ma znaczenia, czy go lubię, czy nie. To nie jest wyraz „dobrego serca” czy empatii, ale pragmatyka działania oparta na założeniu, że z wieloma wyzwaniem możemy sobie poradzić tylko jako zbiorowość. Jak moja stodoła zacznie się palić, on też będzie zobowiązany mi pomóc.

Czyli chodzi o uznanie swojej współzależności?

– To język z innego, współczesnego porządku. Przez wieki w większości środowisk zależność człowieka od wspólnoty była tak oczywista, że nie było potrzeby jej nazywać czy artykułować.

Ostatnie badania pokazują, że w społecznościach zbieracko-łowieckich podstawową komórką społeczną była nie rodzina, ale stosunkowo niewielkie grupy, liczące 20 czy 30 osób, niekoniecznie spokrewnionych.

Wszystko wskazuje na to, że były to społeczności egalitarne. Próba wybijania się jednostki ponad grupę była ryzykowna, bo grupa mogła takiego chojraka wykluczyć. A nawet najsilniejsza jednostka nie była w stanie poradzić sobie w pojedynkę.

Brzmi ponuro: grupa cię chroni, ale tylko tak długo, jak się nie wyróżniasz.

– Zależy, co rozumieć przez wyróżnianie się. Chodziło nie o każdą odmienną, ale o próbę zdominowania reszty, ustanowienia hie-



FOT. THOMAS BARWICK / GETTY IMAGES

Traktowanie Chopina było skrajnie inne: był gwiazdą, ubóstwianym artystą, kimś stojącym ponad zwykłym śmiertelnikiem.

Co się przez to pół wieku zmieniło?

– W kulturze arystokratycznej oczywiście było, że relacje społeczne są rodzajem konwencyonalnej gry: mówię coś dlatego, że należy to powiedzieć osobie o danej pozycji społecznej, a nie dlatego, że naprawdę to myślę czy czuję. Tymczasem rosnąca w siłę kultura mieszczańska ceni szczerość, „prawdziwe”, ale tylko i wyłącznie „dobre” uczucia – czułość, miłość, współczucie dla biednych itp. Rodzi się przekonanie, że zachowanie, powierzchowność, kształt czaszki, sposób mówienia nie są maską czy grą, ale odzwierciedlają nasze prawdziwe ja.

W tym samym czasie rozwija się nowoczesna strefa publiczna – przestrzeń, gdzie spotykają się ludzie, którzy się nie znają. W tej sytuacji rodzi się ogromny lęk, że możemy się przed obcymi obnażyć mimowolnym gestem, że najmniejszy szczegół może zdradzić moje prawdziwe ja, nieczyste myśli, moralne zło.

To moment, kiedy dla mężczyzn lzy stały się tabu, a ich kolorowe stroje wyparł uniformizujący garnitur. Genialny artysta, ogarnięty twórczym szałem i pozwalający sobie na nieskrępowaną ekspresję w przestrzeni publicznej, stał się potwierdzającym reguły wyjątkiem. Tym, któremu wolno łamać zasady, przeżywać i wyrażać emocje niejako w imieniu tych przestraszonych mieszczan.

Ta zmiana prowadzi też do innego zjawiska: zepchnięcia kobiet do sfery prywatnej i kultu kobiety jako anioła domowego ogniska. Kobieta miała być „z natury” zbyt słaba i niezdolna do ukrywania emocji, dlatego świat kapitalistycznej rywalizacji miał być dla niej niebezpieczny. Zamiast tego miała kulturować w domu te „naturalne” uczucia, być ciepłą, opiekuńcza i dbać o samopoczucie innych. To wizja, która pokutuje w nas do dziś.

Chyba głównie w środowiskach konserwatywnych.

– Nie tylko. Również w takich, w których nikt nie mówi wprost, że miejsce kobiety jest w domu, ale kładzie się wielki nacisk na relację dziecka z matką, przedstawiając ją jako fundamentalną i nieporównywalną z żadną inną.

Opieka, którą dostajemy we wczesnym dzieciństwie, jest niezwykle ważna. Ale kluczowa jest opieka, posiadanie bezpiecznych, zaufanych dorosłych, a nie osoba ją świadcząca. We współczesnym społeczeństwie większością dzieci opiekuje się wiele różnych osób: nie tylko matki, ale też ojcowie, przedszkolanki, nianie, wychowawcy. Mimo to wciąż traktujemy macierzyństwo jako coś jałkociowo innego, niezastępowalnego. Na zewnątrz jest przemocowy świat, a matka ma stworzyć ciepły, bezpieczny kokon, który otula i chroni dziecko.

Takie założenie wiąże się nie tylko z większą presją na matki, ale też z myśleniem o dziecku jako prywatnej inwestycji w przyszłość. A skoro kluczowe w kształtowaniu człowieka jest to, co wynosi z domu, to do tego, co poza domem, można przywiązywać mniejszą wagę.

Szkolnictwo opiera się na przestarzałych założeniach, wciąż promuje rywalizację i nie bierze pod uwagę uczuć dziecka? Zamiast starać się rozwiązać ten problem na poziomie społecznym, walczyć o całościową reformę publicznej edukacji, przenosimy dziecko do edukacji domowej albo szkoły prywatnej i zacytujemy się w poradnikach o wychowaniu bez przemocy.

To dlatego cały współczesny kult opieki i zaspokajania potrzeb dziecka tak rzadko przekłada się na dyskusję o sytuacji osób świadczących pracę opiekuńczą w żłobkach, przedszkolach czy szkołach. Albo o wyrównywaniu szans wszystkich dzieci niezależnie od kapitałów finansowych i społecznych ich rodziców.

Skoro kobiety są wypychane w rolę anioła domowego ogniska, trudno się dziwić, że mają potrzebę niezależności.

– Rozumiem to doskonale. Jestem milenialką z Polski, dorastałam na ostrej kontrze do proponowanych mi przez społeczeństwo tradycyjnych ról płciowych: żony i matki. Jednocześnie miałam przekonanie, że nie muszę ich przyjmować, bo mogę wybrać sobie taki zawód i stworzyć taki związek, w którym nierówności nie będzie.

Dopiero urodzenie dziecka uświadomiło mi, że to mrzonka. Niezależność nie jest kwestią naszego wyboru. Nierówności są tak głęboko wpisane w porządek społeczny, że nie da się po prostu uznać, że nas one nie dotyczą, i indywidualnie budować świat na własnych zasadach.

Mogę sobie mówić, że jestem wolną, autonomiczną jednostką, ale jaką właściwie wolność ma matka dwuletniego dziecka? Jeśli zapragnę wyjść na spacer lub do kina i zostawię je w domu bez opieki, grozi mi odpowiedzialność karna. A jeśli przy każdej decyzji muszę brać pod uwagę osoby ode mnie zależne, to chyba jednak nie mam tej tak reklamowanej przez liberalizm autonomii.

Czyli co, nie będziemy niezależne i mamy się po prostu z tym pogodzić?

– Absolutnie nie. Nie zamierzam wypychać kobiet z powrotem do kuchni ani mówić osobie tkwiącej w przemocowym związku: „Zostań tam, nie emancypuj się”.

Natomiast jako społeczeństwo musimy zadać sobie pytanie, do czego emancypacja ma prowadzić, jak mamy się dzielić odpowiedzialnością za opiekę i całą tę nieopłacaną robotę, dzięki której nasz świat jakoś funkcjonuje.

Jak sąsiadowi pali się dom, to nie możemy powiedzieć: „Sorry, nie mam teraz czasu, bo mam zumbę”

Liberalne rozumienie wolności zakłada, że kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność drugiego człowieka. Ale przecież wolność osoby odpowiedzialnej za tego przykładowego dwulatka kończy się tam, gdzie dwulatek nie umie sam zaspokoić swoich potrzeb. Czyli naprawdę nie sięga daleko.

Historycznie tak pojęta wolność była silnie połączona z własnością. Nasze rozumienie własności, zakorzenione jeszcze w prawie rzymskim, zakłada, że z tym, co posiadam, mogę zrobić, co chcę, nie muszę o to dbać. Na przykład, jeśli mam taką fantazję, mogę sobie kupić nowego smartfona i go zniszczyć.

Wolność od czasów rzymskich przysługiwała tym, którzy posiadali ziemię i sprawowali władzę nad ludźmi – mogli więc żywić złudzenie niezależności, bo po prostu mieli środki, by zmusić innych do wykonywania ich woli.

Praca opiekuńcza i emocjonalna niezbędna do podtrzymania życia była cedowana na ludzi podległych: to kobiety, niewolnicy, służba, chłopci mieli się zająć monotonnymi działaniami, które muszą zostać wykonane, żeby możliwe było fizyczne przetrwanie i dobre życie: od gotowania i sprzątania, przez opiekę nad dziećmi i osobami starszymi, po utrzymywanie innych w dobrym stanie psychicznym czy dostarczanie rozkoszy seksualnej.

Jeśli jednak warunkiem autonomii i wolności jednostki są zastępy podległych osób, które będą na nią pracować, to jak to pogodzić z ideałami równości wszystkich ludzi? Co będzie, jeśli kobiety czy chłopci powiedzą:

„My też chcemy być wolni i niezależni, wcale nie chcemy cały czas zajmować się dwulatkiem czy obsiewać tego pola na rzecz pana”. Taki moment przyszedł.

I co się stało?

– Z jednej strony powstała ideologia anioła ogniska domowego, zgodnie z którą kobiety są „z natury” powołane do pracy opiekuńczej i w ten sposób się realizują. Z drugiej zaczęliśmy tę pracę sprzedawać i kupować na rękomo wolnym rynku.

Pierwsza fala emancypacji dotyczyła kobiet na tyle zamożnych, że stać je było na opłacenie uboższych kobiet, które przejęły ich obowiązki domowe. Zamiast renegocjacji kontraktu płci, zmian systemowych praca opiekuńcza znowu została powierzona osobom postawionym niżej w hierarchii i słabo opłacanym.

Przecież mogą naszą ofertę odrzucić. Albo negocjować lepszą stawkę i same się uniezależnić.

– Po pierwsze, te możliwości są ograniczone. Łańcuch opieki jest skończony, ostatecznie zawsze dla kogoś zabraknie. Jeśli opieka jest postrzegana nie jako wymagająca kompetencji praca, ale „naturalna” ekspresja kobiecości, nie będzie godziwie wynagradzana ani otaczana prestiżem społecznym. Zakłada się, że umiejętność opiekowania się kimś nie wymaga żadnych kwalifikacji. Podejmują się jej na ogół kobiety biedne, często migrantki, które muszą porzucić własne rodziny.

Po drugie, nawet jeśli przyjmiemy, że taki jest ich wybór i ostatecznie na tym zyskują, to sprowadzamy troskę i opiekę do relacji rynkowych. To oznacza, że dostaniemy tylko taką opiekę, za jaką jesteśmy w stanie za-

płacić, i tylko tak długo, jak jesteśmy w stanie to robić.

Za to wiemy, czego oczekiwać. Nie wikłamy się w sytuacje, które mogą się okazać niejasne czy niezręczne.

– Jestem daleka od idealizowania relacji opartych na innych niż rynkowe zasady. Nie snuję fantazji o tym, że wystarczy wyłączyć komputery, wyjechać z miasta i założyć wioskę, gdzie nasze dzieci będą razem biegać boso, a wszystkie napięcia cudownie znikną i problemy zstaną rozwiązane.

Prawda jest taka, że pieniądze upraszczają relacje z innymi ludźmi. Zamiast się zastanawiać, co myślą, czują, czego chcą, wystarczy zawrzeć kontrakt: ty zrobisz dla mnie x, ja ci zapłacę y.

Jeśli chcemy otrzymywać pomoc bez pośredniczenia pieniężnego, wchodzimy w sieć często niewyeksplikowanych oczekiwań, zależności, zobowiązań. Cały czas musimy się zastanawiać, jak powinniśmy się zachować – czy jeśli sąsiadka wzięła moje dziecko na lody, to ja teraz jestem zobowiązana, by wziąć jej dziecko do aquaparku?

No i jak sąsiadowi pali się dom, to nie możemy powiedzieć: „Sorry, nie mam teraz czasu, bo mam zumbę”.

Z pożarem to stosunkowo proste. Ale co, jeśli znajomy jest chory i pyta, czy zrobić mu zakupy, a ja mam mnóstwo pracy? Może przecież zamówić je kurierem.

– No właśnie! Ile tu pojawia się niepewności, problemów i emocji! Jak łatwo można się poczuć zaniedbanym czy wykorzystanym

– szczególnie gdy jesteśmy przyzwyczajeni do myślenia w kategorii kontraktu.

Mam inny przykład. W mojej okolicy wielu mieszkańców to imigranci. Kiedy zaczął się COVID, więzi sąsiedzkie się zacieśniły. Większość dzieci chodzi do tej samej szkoły. W którymś momencie z powodu remontów droga do niej znacznie się wydłużyła, odprawianie i przeprowadzanie zaczęło zajmować nam dużo czasu i utrudniać życie. A jednak, choć się znaliśmy, każdy robił to oddzielnie. Zasugerowałam kiedyś, że moglibyśmy wprowadzić system rotacyjny, ale nikt tego nie podchwycił.

Rozumiem, czemu tak się stało. W systemie opartym na sztywnych kontraktach bardzo trudno jest wypracować bardziej elastyczną relację niesformalizowanych przysług. Co się stanie, jeśli jako freelancerka powiem innej mamie, że w czwartki mogą odbierać jej dziecko, a potem dostanę zlecenie wypadające akurat w czwartek? System, w którym jesteśmy wychowani, podpowiada: „Zaraz, dlaczego masz bezpłatnie świadczyć pracę na rzecz koleżanki, skoro możesz w tym czasie zarobić na życie?”.

I na rodzinę, która powinna być dla nas najważniejsza.

– Mam to wpajane od dzieciństwa, nie tylko wprost, ale też przez wiele rozwiązań, które się na takim założeniu opierają. Możesz na przykład wziąć wolne, by zająć się chorym dzieckiem albo mężem, ale nie po to, by pomóc przyjaciółce w depresji albo starszej sąsiadce. Państwo z góry zakłada, że podstawową siecią pomocową ma być rodzina. Nikt się nie zastanawia, co z ludźmi, których rodzina jest oddalona o tysiące kilometrów albo którzy woleliby widzieć się z przyjaciółmi, a nie krewniakami.

Rezultat jest taki, że dziś rodzina jest przestrzenią, która automatycznie kojarzy się z bezinteresownością. Co zabawne, biorąc pod uwagę to, że mówimy o instytucji pozwalającej kumulować i przekazywać majątek. Z tego punktu widzenia dużo bardziej bezinteresowna jest przyjaźń – w końcu z przyjaciелеm nie rozliczamy się wspólnie podatkowo ani po sobie nie dziedziczymy.

To znamienne, że żyjemy w micie merytokracji, czyli przekonania, że w naszym społeczeństwie status zależy od kompetencji i osobistych zasług, a jednocześnie wciąż uznajemy dziedziczenie majątku po rodzicach za najnaturalniejszą rzecz pod słońcem. Nawet w bardzo postępowym środowisku oświadczanie, że cały dorobek przekażę nie moim dzieciom, ale Lekarzom bez Granic, nie zostałoby dobrze przyjęte.

Piszesz, że rodzicielstwo daje „wspaniałe i wygodne alibi dla konformizmu, egoizmu, zachowań antyspołecznych i prywatnej akumulacji”.

– Ponieważ nasza kultura uznaje relacje rodzinne za centralne i najważniejsze dla kształtowania człowieka, niemal automatycznie zakładamy, że rodzicielstwo jest zachowaniem prospołecznym. Tymczasem często jest wręcz przeciwnie.

To paradoks, z którym sama się jako matka mierzę: teoretycznie się zgadzamy, że chcemy lepszego świata dla naszych dzieci. Jeśli problem jest systemowy, należałoby rozwiązać go systemowo – doprowadzić do

zmiany społecznej. A jednak pomysł, by ograniczyć czas spędzony ze swoim dzieckiem na podążaniu za jego emocjami i rozwijaniu jego kompetencji na rzecz aktywizmu czy zaangażowania politycznego, wydaje się nam co najmniej podejrzany.

Dlaczego?

– Bo daliśmy sobie wmówić, że żyjemy w rzeczywistości jak z „Igrzysk śmierci”, gdzie zawsze wygrywasz kosztem kogoś innego.

Przy takim założeniu trudno wyjść poza logikę akumulacji, zdobywania przewagi, bo wydaje się, że tylko ona gwarantuje bezpieczeństwo nam i naszym dzieciom. Rezygnacja z takiej strategii jest bardzo trudna, bo wymaga wiary w to, że inni zrobią to samo. Czyli wymaga zaufania społecznego, które system oparty na wiecznej rywalizacji bezwzględnie niszczy.

W ostatnich latach intensyfikuje się narracja mówiąca, że porządek świata się załamuje i już niedługo będziemy mogli liczyć tylko na siebie. Nadchodzi kataklizm i najprawdopodobniej, co można zrobić, to zbudować na posesji bunkier i zacząć gromadzić puszki z fasolką.

Nie jest chyba całkiem bezpodstawna?

– Nie twierdzę, że ze światem wszystko jest OK. Ale to przerażenie milenialsów – a rodzice z dziećmi to dziś głównie mileniałsi – jest jakoś naiwne. Moim zdaniem wynika z faktu, że dorastaliśmy w micie końca historii. Ten mit został wielokrotnie obśmiany,

ale podprogowo ciągle gdzieś w nas siedzi. Wciąż nie pożegnaliśmy się do końca z wizją, że jesteśmy pokoleniem, któremu będzie dane żyć bezpiecznie, ze swoimi karierami, pieskami, roślinami i dziećmi wychowanymi w rodzicielstwie bliskości.

Współczesny świat nie jest klimatyzowanym apartamentowcem klasy średniej, ale przecież nigdy nim nie był. To, jak straszny, głęboki i wyniszczający będzie nadchodzący kryzys, zależy m.in. od tego, czy odbudujemy wiarę w możliwość zbiorowego, społecznego działania, czy wciąż będziemy żyć w logice „Igrzysk śmierci”.

To wizja, którą podtrzymuje współczesna popkultura. Kino katastroficzne czy postapokaliptyczne pokazuje najpierw panikę tłumu, a potem bezwzględną walkę o zasoby. Pod spodem mamy przekaz, że tylko państwo ze swoją siłą jest w stanie okiełznać tę ludzką zgrają i zapewnić bezpieczeństwo.

Tak nie jest?

– W prawdziwym życiu te wizje się nie potwierdzają. Kiedy w 1965 r. grupa uczniów z Tonga rozbiła się na bezludnej wyspie, nie odtworzyła na niej fabuły „Władcy much”, tylko stworzyła system podziału obowiązków, urządziła ogród, hodowała kury i opiekowała się kolegą, który złamał nogę. Po roku uratował ich przepływający obok statek.

Podobnie w obliczu zamachu terrorystycznego czy kataklizmu: wielu ludzi rzuca się na ratunek innym, niekiedy przy tym gi-

nąc. Tak było podczas strzelaniny na Bondi Beach, ale też właściwie przy każdym z ostatnich zamachów w Londynie.

Badania przeprowadzone w czasie drugiej wojny światowej pokazywały, że bombardowanie ludności cywilnej poza tym, że jest zbrodnią wojenną, jest też strategicznie bez sensu, bo cywile w kryzysie nie wpadają w panikę, ale się konsolidują.

Czasem te apokaliptyczne opowieści biorą się z uprzedzeń wobec pewnych grup. Tak było w przypadku doniesień z Nowego Orleanu po przejściu huraganu Katrina. Amerykańskie media w tonie paniki moralnej donosiły o mordach, gwałtach zbiorowych, grabieżach.

Większość tych doniesień okazało się nieprawdą bądź rażąco nadinterpretacją. Przecież jeśli w obliczu kataklizmu nie masz dostępu do wody pitnej, to wzięcie jej z zamkniętego supermarketu nie jest plądrowaniem. Ale ofiary „Katriny” były w większości czarne, więc te relacje wpisywały się w rasistowskie stereotypy.

Czyli co, nie ma się czego bać?

– Oczywiście, że jest się czego bać. I ja wielu rzeczy się boję. W końcu rozpada się powojenny porządek geopolityczny, rozwijają nowe technologie, nad którymi nie mamy demokratycznej kontroli, rośnie zagrożenie globalnym konfliktem zbrojnym, mamy bezprecedensowy poziom nierówności, a skutki

– Absolutnie nie! Byłoby skrajną naiwnością stwierdzić, że wystarczy być dla siebie uprzejmym i wszystko będzie dobrze. Małe gesty mogą wzmacniać społeczną sieć, ale to dopiero pierwszy krok.

Uświadomienie sobie wagi relacji społecznych i wzmacnianie naszej sieci nie doprowadzi do bardziej sprawiedliwego podziału zasobów, nie zniesie radykalnych nierówności ani nie obali monopoli technologicznych. Ale może nas skłonić do zastanowienia się, co znaczy dobre życie. Pozwolić rozpoznać tę mniej oczywistą społeczną sprawczość, wyrwać nas z poczucia przytłoczenia i izolacji.

Jesteśmy sparaliżowani, bo daliśmy sobie wmówić, że skupienie na sobie to jedyna droga, inaczej sobie nie poradzimy. I niby widzimy, że to w praktyce nie działa, ale bardzo trudno nam wyobrazić sobie alternatywę.

To tak, jakby ofiara przemocy mówiła: „Bije mnie, jest źle, ale co, jeśli będę musiała wnieść lodówkę na czwarte piętro?”.

No jak już będziesz musiała, to się zastanowisz, jak to ogarnąć: wynajmiesz ekipę albo poprosisz o pomoc przyjaciół i sąsiadów.

Musimy zobaczyć siebie na nowo?

– Bez zmiany myślenia o sobie i świecie nie da się wprowadzić głębokich zmian społecznych i politycznych.

Możemy o sobie myśleć jako o grzesznikach, których śledzi wielkie oko, by ich ukarać. Albo jako o przedsiębiorcach, którzy

muszą zoptymalizować swoje relacje z innymi tak, by jak najwięcej zyskać. Albo jako o ludziach, których tylko państwowy aparat przemocy powstrzymuje przed rzuceniem się sobie do gardeł. Ale możemy też widzieć siebie jako część skomplikowanej tkanki społecznej, spłot w sieci bezpieczeństwa, której wszyscy potrzebujemy.

To, którą wersję wybierzemy, przekłada się na to, jak organizujemy sobie świat. Wyobrażenia społeczne nie są jedynym czynnikiem, ale są czynnikiem ważnym i na nie możemy mieć realny wpływ. Pojedynczo nie jesteśmy w stanie rozwiązać problemów nierówności ekonomicznych czy technodyktatury, ale może na początek przynajmniej spróbujemy zdekolonizować swoją wyobraźnię? ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Agata Sikora

- jest kulturoznawczynią, autorką książek: „Szczerłość”, „Wolność, równość, przemoc” (nominowana do Nagrody Literackiej Gdynia) oraz wydanej właśnie „Jak wyjść z siebie. O złudzeniu niezależności i sile społecznych więzi” (Znak Literanova)



Czyli wystarczą małe gesty życzliwości?

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZY: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wierczok, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak

Biurow reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Papier jest cienki jak tania serwetka, atrament czarny, a pismo staranne. Anna Świrszczyńska pisze tak wyraźnie tylko wtedy, gdy bardzo się stara. W prywatnych listach nie-rzadko bazgroli. Ale teraz występuje formalnie, niemal urzędowo (choć poufnie), a nie ma możliwości posłużenia się maszyną. Podobnie napisana była jej praca magisterska. Nawet nie we wszystkich podaniach z czasu studiów przykładła się równie mocno do stawiania czytelnym liter. Sprawa musi być więc szczególnie ważna. Słowa nie mogą budzić żadnych wątpliwości.

Przez te liche kartki przebija atrament, ale trzeba pisać z dwóch stron. Papier to towar deficytowy. Kiedy poetka przygotowuje swoje oświadczenie, teoretycznie panuje już pokój. W jednym z wywiadów powie któregoś razu, że w pierwszych miesiącach po zawieszeniu broni jej wiersze i dramaty powstawały na jakichś drukach z krakowskiej kurii, które dostała od Jerzego Turowicza. Bez tego nie mogłaby uprawiać zawodu. Tę bibulkę pewnie także niełatwo było jej zdobyć.

Jest 7 lipca 1945 roku, nazajutrz miną dwa miesiące od kapitulacji Niemiec. Ale wojna dalej trwa. W ludziach. Skończyć się mogła tylko dla zabitych. Za dużo się wydarzyło, by tak szybko zgasła. Sprawy wymagają jeszcze niejednego wyjaśnienia.

Dokument, który Świrszczyńska pisze tak starannie, stawia w bardzo złym świetle pewnego człowieka. Absolutnie nie podważam wersji poetki – uwierzyłam w jej opowieść, gdy tylko dotknęłam tych pożółkłych, złożonych kiedyś na czworo kartek i zaczęłam czytać.

Dopiero kilka miesięcy później, gdy zbierałam się w sobie, by opisać tę smutną historię, uświadomiłam sobie, że mam przecież tylko jedno źródło. A także brak jakiegokolwiek możliwości, by dać oskarżonemu szansę odpowiedzi na zarzuty, co powinnam przynajmniej spróbować zrobić.

Dlatego więc – choć autorka podaje nazwisko mężczyzny, a jej oświadczenie jest dostępne w publicznym archiwum, gdzie po dopełnieniu formalności każdy może je zobaczyć – postanowiłam, że ograniczę się do inicjału. Tu będzie to po prostu Tadeusz C.

Człowiek, który w czasie koszmaru okupacji pokazał Annie, że zawsze może być gorzej.

Wiadomo o nim niewiele. Jak wyglądał, kim był z zawodu, jak się poznali – tajemnica. Na podstawie strzępków informacji podanych przez poetkę udaje mi się jednak znaleźć w zasobach Geneteki jego akty urodzenia i ślubu. Przyszedł na świat w Warszawie w 1902 roku, był więc starszy od Anny o siedem lat. Ożenił się jako dwudziestoletni student – niestety, w dokumentach nie podano, jakiego kierunku. Jego żona miała na imię Marianna. W okresie okupacji utrzymywał, że nie żyje z nią już od kilkunastu lat.

Świrszczyńska zwykła powtarzać, że w latach wojny los ją w miarę oszczędzał. Nie trafiła do obozu koncentracyjnego, nie musiała się ukrywać z powodu pochodzenia, nikt jej nie torturował. Takie podejście coś mówi o jej charakterze. Śmiał mimo wszystko podejrzewać, że toksyczna relacja, w którą została wciągnięta, wiązałyby się z psychiczną krzywdą nawet w czasach pokoju. A co dopiero w trakcie najbardziej krwawej wojny w dziejach świata.

Tadeusz C. był morfistą. Przez cztery lata, poczynając prawdopodobnie od 1940 roku, wykorzystywał Annę, wyludzając od niej pieniądze na nalog. Pozostawał na jej utrzymaniu, twierdząc, że przez chorobę nie może pracować. Wynosił z mieszkania należące do niej i jej rodziców najbardziej potrzebne do życia przedmioty, by próbować je sprzedać. Okłamywał ją, że zgubił pieniądze, które dała mu na leki – choć sama nie miała na jedzenie, ogrzanie mieszkania, odzież. Umiejętnie wywierał presję, by dała mu raz jeszcze.



FOI, MUZEUM LITERATURY / EAST NEWS

Z TOBĄ NIEBO SŁODKIE, WIECZNIE SMUTNE

Anna Świrszczyńska ufała mu bezgranicznie.

Manipulował nią, ale tego nie dostrzegała.

Współcześnie coś takiego nazywa się współuzależnieniem.

Małgorzata I. Niemczyńska

• **Na zdjęciu: Anna Świrszczyńska (1909-1984) poetka, dramatopisarka, autorka utworów dla dzieci. Sanitariuszka w powstaniu warszawskim. Zdjęcie zrobiono w latach 30.**

• Przedpremierowy fragment biografii „**Baba na barykadzie. Opowieść o Annie Świrszczyńskiej**” Małgorzaty I. Niemczyńskiej, która w październiku ukaże się nakładem wydawnictwa Marginesy



Ufała mu bezgranicznie, była ślepo zapatrzona. Manipulował nią, ale tego nie dostrzegała, bo chciała mu wierzyć. Tak samo jak wierzyła, że uda jej się wyprowadzić go na prostą, a potem będą szczęśliwi.

Była gotowa walczyć o pieniądze na jego kurację odwykową. On miał się nawet odezwać do żony, by w końcu załatwić rozwód. Poświęcała się dla niego, troszczyła, wciąż go usprawiedliwiała – może najbardziej przed samą sobą. Nigdy wcześniej nie zetknęła się z kimś na narkotykowym głodzie, nie знаła mechanizmów działania w takim stanie. Nie umiała zdemaskować jego prawdziwych intencji. Ani nie rozumiała tego, co dzieje się z nią samą.

Współcześnie coś takiego nazywa się współuzależnieniem.

Widziała rzeczy inaczej niż wszyscy. Uchodził w jej oczach za człowieka nieszczęśliwego, ale prawego. Z upodobaniem wygłaszał przy niej surowe sądy moralne i opowiadał o sobie rozmaite rzeczy. Utrzymywał, że jest oficerem Wojska Polskiego i właśnie dlatego musi się ukrywać. Jeszcze jako uczeń, około 1917 roku (a więc w okresie I wojny światowej), miał dokonać zamachu bombowego na Niemców. Czy cokolwiek z tego to prawda? Na jego ślubie świadkami było dwóch żołnierzy WP, na pewno obracał się więc w takim środowisku. Ale według ksiąg parafialnych sam wtedy studiował.

Bez specjalnej nadziei na znalezienie czegośkolwiek rejestruję się w bazie danych GenPod, która zbiera informacje o oficerach rezerwy II RP. Wciąż nie jest kompletna, ale obejmuje kilka milionów rekordów. O dziwo, na zapytanie wyświetla się podporucznik korpusu oficerów piechoty, który właśnie tak się nazywał. Jako rok jego urodzenia podano 1903, a nie 1902, ale już podczas badania akt metrykalnych Bojar-skich i Świerczyńskich, przekonałam się, że tego typu pomyłki bywały dawniej częste. Kiedy jednak sprawdzam jeszcze zasób Centralnego Archiwum Wojskowego, okazuje się, że nie zgadza się też imię ojca (Władysław zamiast Ludwika). Coś za dużo tych błędów, to chyba nie może być ten Tadeusz C.

Rodzice Anny, obserwując z bliska, co się dzieje, próbowali interweniować. Chronić ją, przemówić do rozsądku. Złościła się na nich, nie chciała ich słuchać. Sytuacja w domu była wciąż napięta. Doszło do tego, że na jakiś czas w ogóle zerwała z nimi stosunki (w poświęconym matce wierszu „Na tamtym świecie” napisze kiedyś: „Będę mogła wylać tysiąc łez/ nad każdą łzą,/ którą ona wylała przeze mnie”). Prawdopodobnie na trochę wyniosła się do C., który mieszkał przy Rynku Starego Miasta 38.

I kiedy to piekło trwało w najlepszym, na scenie znowu pojawił się Sewer.

Nikogo ten wiersz specjalnie nie ruszył, nie zainteresował. Czytelnicy i czytelniczki nie wrzucają go na Instagrama, badaczki i badacze nie poświęcają mu wielostronicowych analiz – a z różnymi innymi tekstami Świrszczyńskiej tak właśnie się dziś dzieje.

Ma tytuł „Trystan mówi do Izoldy” i jest nie-co egzaltowanym opisem miłości nierozzerwanej splecionej z cierpieniem. Rycerz ze średnio-wiecznej celtyckiej legendy wyznaje w nim w pierwszej osobie, że zanurza się w swoje gwałtowne uczucie „jak w morze rozdzielającej czystości,/ w szlochającą ulewę,/ w lament,/ którego się nie da utulić”. Ot, jeszcze jeden dość typowy dla wczesnej twórczości po-

etki utwór, w którym czerpie ona z dziedzictwa kultury.

Tylko że tytuł, który narzuca taką interpretację (poza nim w całym tekście nie ma żadnych nawiązań do „Dziejów Tristana i Izoldy”), autorka nadała mu dużo później. Zdążyła już wyjść za mąż i urodzić córkę, kolor jej dawnej namiętności wyblakły, echa wojny przycichły. Przygotowywała do druku tom „Liryki zebrane”, a więc był koniec lat 50.

W datowanym na 1944 rok pierwotnym rękopisie, który dzisiaj przechowuje Biblioteka Narodowa, tekst ten nazywa się inaczej: „Nieszczęście”. A w kopii z tego samego roku, którą poetka wysłała do Jarosława Iwaszkiewicza, zaznaczając, że to wiersz „przedpowstańiowy”, jeszcze inaczej: „Fatum” (przed tym słowem widnieje: „Nies”). Egzemplarz z listu musi być kilka miesięcy późniejszy, Świrszczyńska wprowadziła drobne poprawki, nadal jednak nie myślała o Tristanie.

Poza tytułem wiersze „Nieszczęście” i „Trystan mówi do Izoldy” różni tylko jedna litera. I ta litera zmienia postać rzeczy.

Bo zamiast: „Nie ma dla mnie ratunku,/ nie ma życia bez ciebie, miła” w najstarszej wersji czytamy: „nie ma życia bez ciebie, miły” (!). To nie było wyznanie miłości do kobiety, tylko kobiety do mężczyzny. Pod zbroją Tristana poetka po latach skryła się sama.

Kiedy pisała ten wiersz, pozostając w toksycznej relacji z C., wersy te brzmiały tak:

*„Nie ma dla mnie ratunku,
nie ma życia bez ciebie, miły,
tylko śmierć, tylko zatracenie.
A z tobą to niebo słodkie,
wiecznie smutne,
co dzień ciepłe łzy na policzkach
i zstępowanie
pełne pokory
w coraz bardziej głębokie,
coraz bardziej czyste,
coraz bardziej nieocfniłone
otchłanie
cierpienia”.*

Chyba jeszcze nie wie, w jaką otchłań wpadła, gdy Tadeusz C. opowiada jej o fałszywych papierach, które ma załatwić dla Seweryna Pollaka. Nie tak dawny kochanek Anny twierdzi, że stara się o nie dla kogoś innego, ale C. domyśla się prawdy. Poetka nie zaprzecza. Ufa mu jak samej sobie.

Wkrótce słyszy od niego, że sprawy się skomplikowały. Dręczą go wyrzuty sumienia, bo przez nieostrożność dopuścił do tajemnicy znajomego ze straży obywatelskiej. I ten znajomy ich teraz szantażuje. Obu. Okazało się, że mieszka z gestapowcem, mało: że się z nim przyjaźni.

C. i Pollak spotykają się u Anny, omawiają sytuację we troje. Ona nalega, żeby Sewer nie płacił, Tadeusz zdecydowanie przyznaje jej rację.

Kiedy jednak przy następnej okazji rozmawiają bez niego, Pollak podaje w wątpliwość niewinność C. Poetka jest wściekła. Nie dość, że wciąż musi wysłuchiwać pretensji i oskarżeń ze strony swoich rodziców, to teraz jeszcze on. Czy to przez zazdrość? Między nimi przecież dawno już skończone, Sewer został z żoną, ma córkę, a ona go w tej decyzji wspierała.

Czuje się urażona, bo dla niej to tak, jakby osobiście została oskarżona o szantaż. Nie ma teraz bliższego niż Tadeusz człowieka. Jest absolutnie pewna, że wie o nim wszystko. Unosi się gniewem, padają ostre słowa.

Niedługo po tej scenie idzie do owego szantażysty, którego nazwiska nigdy nie pozna C., przedstawiając jej również siebie jako ofiarę, opowiada, że znajomy wie o jego przeszłości, młodzieńczym zamachu na Niemców, o stopniu wojskowym. Poetka rusza z desperacką misją.

W mieszkaniu znajduje się ktoś jeszcze, ale akurat śpi. To gestapowiec. Świrszczyńska proponuje rozmówcy pierścionez z brylancikiem (to musi być czas po wygranej w konkur-

sie dramatycznym – przypomnijmy te złote „świnki” na biurku mecenas), byle w zamian zapomnieli o sprawie. Szantażysta się zarzeka, że wygadał się przed sublokatozem niechcący, ale postara się to jakoś załagodzić. Pierścionez nie bierze.

Anna w tę nieumyślność w ogóle nie wierzy, lecz C. mówi jej, że znajomy przestał go nęczyć. Może wyjechał. A jeśli tak, problemy Pollaka na pewno też się już skończyły.

Ją jednak sprawa nie przestaje męczyć, bije się z myślami. Nie potrafi się pogodzić z tym, że Sewer zachowa o Tadeuszu – a przy okazji o niej – tak straszną opinię. Chce wyjaśnić sytuację. Najlepiej będzie wysłać list. Niech C. da wyraz swojemu oburzeniu, niech przedstawi fakty. Pomaga mu rzecz zredagować. Trzeba pisać ogólnie, bo jeśli przeczyta ktoś niepowołany, nie może się dowiedzieć, że Pollak jest Żydem.

Na bezwzględny zaufaniu chyba jednak pojawia się rysa, bo Anna mimo wszystko mocno się denerwuje, czy Tadeusz aby nie doda czegoś niepotrzebnie ostrego od siebie. Kiedy prosi o pokazanie jej tekstu przed wysłaniem, słyszy jednak, że za późno: już poszedł. C. zapewnia, że nic nie zmienił. Ma też iść porozmawiać z pokrzywdzonym osobiście. Potem mówi, że był, ale nikt nie otwierał, choć wydawało mu się, że ktoś jest w domu. Pewnie Pollak nie chce z nim rozmawiać, co zrobić.

Tadeusz C. to człowiek, który w czasie koszmaru okupacji pokazał Annie, że zawsze może być gorzej

Świrszczyńska tym bardziej się zadręcza, że Seweryn, raptem kilka lat temu człowiek tak jej bliski, może wierzyć w ich winę. Prawdopodobnie wbrew woli przyczyniła się do ponownej wizyty u niego szantażysty. Sama więc także do niego pisze. Ale ten list jest już chyba zupełnie niezrozumiały, bo autorka dobiera słowa jeszcze ostrożniej: trwają właśnie najgorsze prześladowania Żydów. Na tej podstawie można przypuszczać, że wysłała go między jesienią 1941 a wiosną 1943 roku. Umiarkowane zawężenie, niemniej zawsze jakieś.

To nie tak, że zrozumie swój błąd z dnia na dzień, musi minąć jeszcze trochę czasu. Ale coraz częściej coś się jej nie zgadza, coś nie gra. Okazuje się, że C. miewa jednak jakieś dochody, które przed nią ukrywa. Że mimo nich wyciąga od niej pieniądze, choć przecież widzi, że sama nie dojada, marznie, zaniedbuje własne zdrowie. Na jaw wychodzą kolejne drobne kłamstwa, z czasem robi się ich sporo.

Czy gdyby знаła sprawę z poprzedniej dekady, przejrzałaby na oczy szybciej?

Pierwsza wzmianka, jaką znajduję w gazetach z międzywojnia, pochodzi z czerwca 1931 roku. Świrszczyńska w tym czasie dopiero kończy czwarty rok studiów, od niedawna publikuje wierszyki w „Płomyku”. To tylko krótka notatka na ostatniej stronie „Expressu Porannego”, mało prawdopodobne, by ją w ogóle czytała:

„Pan Tadeusz C. [podano pełne nazwisko] (Prosta 58) przyszedł do apteki Kasy Chorych (Wolska 52) po bardzo drogi lek. Byliby mu wydali kosztowne lekarstwo, gdyby nie spostrzegawczość pracownika Kasy Chorych pana Czesława Kosakowskiego. Inteligentny farmaceuta przyjrzał się receptce i stwierdził, że została ona sfalszowana. Pana Tadeusza oddano w ręce policji. Zażenowany amator drogich leków tłumaczy się, że receptę tę wręczono mu na ulicy z prośbą o wykupie-

nie lekarstwa. Znamy się na takich tłumaczeniach, panie Tadeuszu! Czekaj pana murawę kryminalną”.

Szukam dalej. Dwa lata później nazwisko C. (znowu z adresem) pojawia się już w kilku dziennikach: „ABC”, „Kurjerze Polskim”, „Kurjerze Warszawskim” i jeszcze paru innych. Anna w tym czasie? Obroniła już pracę magisterską, ale wygrana w Turnieju Młodych Poetów dopiero przed nią. Z gazet pewnie prędzej czytuje „Ruch Literacki”, gdzie właśnie ukazał się jej esej o Kasprzowiczu i Ibsenie, niekoniecznie studiuje kronikę kryminalną. Gdyby w letni dzień 1933 roku kupiła za dziesięć groszy nowy numer „Dzień Dobry!”, zobaczyłaby na pierwszej stronie nagłówek: „Lotny klub narkomanów wydała w ręce władz nieszczęśliwa kobieta”.

„Do władz śledczych wpłynęło niezwykle zawiadomienie – czytam – denuncjujące lotny klub narkomanów, którego właściciele zdobywali narkotyki drogą fałszowania recept Kasy Chorych w Warszawie. Zawiadomienie to było tem niezwykle, że nadesłane zostało przez żonę jednego z właścicieli klubu, Marię C. [podano pełne nazwisko], która z miłości do męża pragnąc uratować go przed zgubnymi skutkami narkotyków wołała raczej narazić go na surową odpowiedzialność, niż na utratę zdrowia i być może życia”.

Proceder, jak się okazuje, trwał już od miesięcy. Pierwsze blankiety ukradli, kolejne drukowali sami. Pieczętę podrobili. Razem z C. aresztowanych zostało jeszcze dwóch narkomanów i goniec, który wykupywał recepty, poszukiwano wciągniętego do znowy drukarza. Mężczyźni nabywali kokainę i morfinę, zwykle w niewielkich dawkach, by nie wzbudzać podejrzeń. Z dalszych doniesień wynika, że nie tylko zaspokajali własny głód, ale też starali się na zdobytym towarze zarabiać. Straty Kasy Chorych sięgnęły kilkudziesięciu tysięcy złotych.

„Afera zatacza bardzo szerokie kręgi, a szczegóły jej, ze względu na dobro toczącego się śledztwa, nie mogą być jeszcze podane. Wiadomo tylko, że narkotyki sprzedawane były w wielu kawiarniach i nocnych restauracjach warszawskich za pośrednictwem fortancery i fortancerek” – dowiaduję się z „Wieczoru Warszawskiego”.

Czy Anna coś o tym słyszała? Nawet jeśli, to nie połączyła kropek. Miała poznać Tadeusza jakieś siedem lat później – kto pamięta, co czytał w gazecie po takim czasie? C. na dodatek nie był jedynym z wymienianych w artykułach przestępców, jego nazwisko mogło umknąć każdemu w gąszczu informacji. Pojawił się na jej drodze najpewniej po wyjściu z więzienia, do odsiadki raczej się nie przyznał.

Calej prawdy o tym, co robił za jej plecami, gdy próbowała mu pomóc, dowiedziała się dopiero po wojnie – od osoby trzeciej.

Jerzy Zagórski był w czasie okupacji jedną z bardziej aktywnych w warszawskim środowisku literackim postaci. On sam wspominał siebie z tamtego okresu jako „trzydziestoletniego faceta, biegającego po zharataniej stolicy w sprawach osobistych, rodzinnych, zarobkowych, społecznych, działackich, sabotażowych, bojowych, narodowych i globalnych”. Z kolei znajomi opowiadali, że już wtedy, gdy peroro-

wał o czymś wzburzony, wypadała mu dolna proteza (a perorował często).

Uratował przed zniszczeniem szereg utworów koleżanek i kolegów, cieszył się szacunkiem. Choć ludzie i tak nie wiedzieli wszystkiego. Pisarze i pisarki (w tym Anna), którzy byli w latach wojny przy Schroegeera, niekoniecznie zdawali sobie sprawę z tego, że śliczna brunetka przedstawiana im jako opiekunka chorowitego Włodzimka, najmłodszego z dzieci, to Lidia Kott. Z domu Steinhaus. Ukrywająca się Żydówka, żona teatrologa Jana Koty – którego zresztą Jerzy poznał wcale nie na niwie literackiej, ale przy okazji handlu walutą i złotem.

Zagórscy z narażeniem życia pomogli także wielu innym osobom, w przyszłości otrzymując za to tytuł Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Najstarsza córka Bożena złościła się na nich, że przez ten tłok w mieszkaniu musiały spać w wannie.

Pewnie trudno byłoby znaleźć kogoś lepszego do załatwienia równie delikatnej sprawy. Zwłaszcza że jest na miejscu. Na początku 1945 roku Zagórski – tak samo jak Świrszczyńska, chociaż inną drogą – trafił do Krakowa, zaraz po wojnie działał w tutejszym Związku Zawodowym Literatów Polskich. I właśnie jako działacza ZZLP Pollakowie proszą go o wyjaśnienie sytuacji. Po koleżeńsku. Niejako oficjalnie, bo z ramienia związku, ale na razie lepiej bez rozgłosu.

Poeta informuje o wszystkim Jerzego Andrzejewskiego, który zresztą też zdążył się już z nimi porozumieć, będąc w Łodzi (tam, przypomnijmy, Pollakowie mieszkają po wojnie), i Kazimierza Wykę. Ciężar nieprzyjemnej rozmowy z poetką bierze na swoje barki. Na początku lipca idzie na Krupniczą 22, gdzie Anna znalazła schronienie w Domu Literatów, i przedstawia jej, w czym rzecz.

Seweryn i Wanda podejrzejwają ją o współudział w szantażu, którego w czasie okupacji dopuścił się wobec nich – jako Żydów – Tadeusz C. Już wtedy, gdy zdenerwowana sugestiami Pollaka wybuchła, C. wyłudzał od niego pieniądze.

Anna jest w szoku.

Po tej właśnie rozmowie sięga po cztery kartki cienkiego jak tania serwetka papieru i starannie zapisuje je z obu stron drobiazgowymi wyjaśnieniami.

Przesyłając jej oświadczenie pokrzywdzonym, Andrzejewski i Wyka dołączają kilka słów od siebie. Na podstawie reakcji poetki są pewni, że również dla niej ta sytuacja jest ogromnie trudna, a w pewnym sensie nawet tragiczna. Biorąc pod uwagę, że dotyczy jej głęboko osobistych ran, prosiłoby o zakończenie na tym sprawy.

Nie chodzi tylko o wrażenia, jakie Zagórski wyniósł ze spotkania – i zapewne im streścił. Zarówno on, jak i Andrzejewski mieszkają aktualnie w Domu Literatów, więc na co dzień widzą z bliska, co dzieje się z kobietą. A po tym, jak poznaje prawdę, nie dzieje się nic dobrego.

Anna nie próbuje się w swoim oświadczeniu wybielać. Przyznaje, że podczas pamiętnej kłótni zachowała się wobec Pollaka niegodnie. Bierze na siebie winę za to, że małżeństwo miało kryzys przed wojną (choć romans najprawdopodobniej zainicjował Sewer), a ona nalegała, żeby został z żoną). Z pełną stanowczością podkreśla jednak: o tym, że Tadeusz ich szantażował, dowiedziała się dopiero teraz. Od Zagórskiego.

Nie ma już z C. kontaktu. Podaje wszelkie znane jej fakty, które mogą pomóc w namierzeniu mężczyzny, ale od chwili rozstania wie o jego dalszych losach niewiele. Widziała go potem już tylko raz. Miał przez jakiś czas pomagać w szpitalach, zapewne chcąc być bliżej morfiny. Adres, który jej dał, zgubiła – i nie szukała go, bo i tak nie zamierzała się do C. odezwać.

Finalnie straciła wiarę w jego szczerość i chęć wyleczenia się podczas powstania warszawskiego. Gdy zaczęły się te 63 dni i noce, po których nic już nie było jak kiedyś. ●

WYJECHALI NA WAKACJE WSZYSCY NASI PODOPIECZNI

On chce wyjechać
na miesiąc do Azji,
ona co godzinę
sprawdza,
czy córka odpisała.

Artur Nowak



RYSGETTYIMAGES

Mało było ich najlepszych wakacje. Wreszcie. Pierwszy raz od ponad dwudziestu lat wyjechali sami. Bez dzieci, nerwów i całej listy zawczasu przygotowanych rzeczy: leków na alergię, pierdylliona ładowarek, siatki kanapek na drogę dla każdego z czym innym.

Tak to przecież było dotychczas: niby lecieli na Majorkę, ale za każdym razem mieli wrażenie, jakby przemierzali Syberię saniami. Innych wakacji nie znali.

Na lotnisku nie bardzo wiedzieli, co zrobić z rękami.

Kobieta odruchowo policzyła bagaże. Raz, dwa. Potem jeszcze raz, bo coś jej się nie zgadzało. Właściwie nie zgadzało się z przyzwyczajenia, bo zawsze przecież coś musiało się nie zgadzać albo przynajmniej czegoś musiało brakować: paszportu, bluzy, słuchawek lub – co gorsza – cerowanego setki razy pluszaka, bez którego jedna z córek nie potrafiła zasnąć.

Były dwie walizki, dwoje ludzi, perspektywa wypoczynku... i jakaś przedziwna pustka.

Zabrakło czegoś innego. Tej wiecznej burzy, w której topili wszystkie niewypowie-

dziane sprawy, wszystkie tematy, których teraz nie było już sensu poruszać. Dzieci wyszły z domu, a wraz z nimi zniknęło ostatnie wspólne zadanie, ostatni powód, żeby jeszcze próbować. Zostali sami ze sobą i nagle się okazało, że nie bardzo wiedzą, co ich właściwie łączy.

Jakby minął termin ważności na miłość.

Cisza, ta chłodna i podejrzana otulina, była na tyle nieznośna, że pokłócili się na wszelki wypadek.

Każda przyczyna kłótni wydawała się dobra, żeby coś z tą ciszą zrobić. Chciała napisać do dzieci, że dotarli na lotnisko. On się zdenerwował, bo przecież dzieci mają po dwadzieścia kilka lat i niepoważne jest melowanie im, że na lotnisku dali sobie radę.

– Mogą się martwić – powiedziała.

– Skąd wiesz?

– Bo je znam.

– Właśnie widać, jak je znasz.

No i coś eksplodowało.

W samolocie on włożył głowę w książkę. Ona zatkała uszy muzyką. Przez kilka godzin lecieli obok siebie, każde w osobnej ciszy.

Rok później byli po rozwodzie w zaawansowanym sporze o robot kuchenny, którego żadne z małżonków nigdy nie używało. Jakby chcieli na dłużej ze sobą zostać.

Rozejścia po
pięćdziesiątce są
ciche, bez dram:
zdrady odkrytej
w telefonie,
walizek
wystawionych za
drzwi

Każdy zna takie historie z życia: wydawałoby się, że powinno być odwrotnie. Dzieci wyprowadzają się z domu i dorośli znów przypominają sobie, jak to jest być parą, zanim zostali sztabem logistycznym do obsługi cudzych potrzeb.

Bez napinki i nerwów, pobudek o siódmej, smarowania kremem, negocjowania temperatury klimatyzacji i poszukiwania restauracji, która zadowoli wszystkich. Gdzie będą zarówno frytki, biały ryż bez żadnych dodatków, no i to coś, co zaspokoi resztę, czyli dwóch dorosłych ludzi.

Można spokojnie wejść do muzeum i czytać do woli opis pod obrazem. Dozwolone jest wreszcie pojechanie jak za starych lat na koniec wyspy i kąpanie się nago. A to wszystko bez rodzinnej narady zakończonej trzema wetami i jednym wielkim fochem wszystkich.

Co to za błogosławieństwo, kiedy człowiek ma się okazję połapać, że rodzinne wakacje były nie żadnym wypoczynkiem, ale rodzinnym kieratem przeniesionym w cieplejszy klimat z palmą w tle.

Pustka tych dwóch walizek, o których mowa była wyżej, to nie tylko wakacje. Na co dzień ogarniali przecież szkołę, obiady, zebrań, choroby, niekończący się kredyt i remonty. Poza tym inne mało pasjonujące sprawy: za-

jęcia dodatkowe i konflikty wychowawcze czy niekończącą się rozmowę o tym, kto daje z siebie więcej.

Zadbaliby o fasadę czegoś, co w momencie najważniejszej próby okazało się ruiną.

Rozejścia po pięćdziesiątce są ciche, bez dram i fajerwerków: zdrady odkrytej w telefonie, awantury na pięści zwieńczonej walizkami wystawionymi na klatkę schodową. Dzieci wyjeżdżają na studia. W łódzce nagle jest za dużo jedzenia. Przy stole pojawiają się wolne miejsca i tylko pies nie wie, jak pogodzić tych coraz bardziej obcych sobie ludzi, których kocha tą samą miarą.

Ludzie, którzy przez ćwierć wieku funkcjonowali jak sprawnie zarządzane przedsiębiorstwo rodzinne, orientują się, że kiedy ich główny życiowy projekt ma się ku końcowi, też w jakimś sensie się kończą. Dzieci doskonale sobie dają radę. Zostają więc sami jak ten zarząd, który nie ma już o czym obradować.

Ale nie ma na to reguły. Ludzie latami, już po rozwodach, robią wszystko, by tak do końca się nie rozstać.

Znamy te batalie z sal sądowych. Na początku rozvodu każda sobota jest święta, a pięć minut spóźnienia urasta do zamachu na więź rodzicielską i dobro dziecka. Kochający tata i kochająca mama dopieszczają ugody: kto odbierze dziecko w piątek, kto odwiedzie je w niedzielę, komu przypadnie pierwszy tydzień ferii, a komu drugi. Święta dzielą jak państwa po wojnie, a dzieci krążą po mieście z torbą prezentów i miną zakładników wydawanych przez obce mocarstwa.

Szczególne emocje budzą wakacje. Dwa tygodnie w lipcu, dwa w sierpniu. Parzyste lata tu, nieparzyste tam. Na początku rozstania trwa osobliwy teatr pogardy i rywalizacja o to, kto jest rodzicem lepszym, bardziej obecnym i kochającym. Kto urządzi dziecku dzieciństwo jak z bajki i pokaże je na zdjęciach z wakacji.

A potem mijają lata i dzieje się coś, czego na początku rozvodu żadne z rodziców nie odważyłoby się powiedzieć głośno.

– Może w tym roku weźmiesz go na trzy tygodnie?

– Przecież u ciebie miał być sierpień.

– Tak, ale planujemy wyjazd.

To niewinne „planujemy wyjazd” może oznaczać domek na Mazurach. Może też oznaczać Seszele bez dziecka, które od rana pyta o hasło do internetu, nie je niczego poza pizzą i rozpacza na wiadomość, że rodzice chcą zobaczyć świątynię.

Ta ulga jest trochę wstydliva, ale prawdziwa. Nie oznacza, że rodzice mniej kochają swoje dzieci. Oznacza jedynie, że po kilkunastu latach całodobowego dyżuru chcą przez tydzień nie sprawdzać, czy ktoś ma czapkę, okulary i nasmarowaną twarz kremem.

Chcą zjeść obiad w miejscu, w którym nie podaje się nuggetsów, i przejść ulicą bez oglądania się, czy wszyscy przeżyli.

Kazik ujął tę rodzicielską fantazję prościej: „Wyjechali na wakacje wszyscy nasi podopieczni”. W piosence nieobecność dzieci jest zapowiedzią odzyskanej swobody i odrobiny niegrzeczności. W życiu bywa mniej przebojowo: czasem największym luksusem okazują się cisza, obiad bez negocjacji i kilka godzin, podczas których nikt niczego od nas nie chce.

Tyle że często dorośli ludzie nie potrafią już wypoczywać.

Są chyba trzy możliwe historie.

W pierwszej dzieci rzeczywiście zajęły całą przestrzeń związku. Tak po prostu urządzone jest współczesne rodzicielstwo: ma być intensywne, uważne, rozwijające i najlepiej bezbłędne. Rodzice stają się kierowcami, psychologami, dietetykami, animatorami czasu wolnego i osobami odpowiedzialnymi za to, żeby dzieci nie miały kiedy poczuć nudy, bo nuda mogłaby przecież doprowadzić do jakiegoś zaniedbania rozwojowego.

Kiedy dzieci wyjeżdżają, para odzyskuje powietrze. Zaczyna chodzić do kina, podróżować, jeść kolacje o absurdalnych porach. Wracają seks, rozmowy, czasem zwyczajna ciekawość drugiego człowieka.

Okazuje się, że pod ojcem i matką nadal istnieją mężczyzna i kobieta. Trochę starsi, bardziej zmęczeni, z kolanami, które dają o sobie znać podczas schodzenia ze schodów, ale jednak żywi.

W drugiej historii dzieci były jedynym wspólnym przedsięwzięciem. Para przez lata rozmawiała o ocenach, lekarzach, pieniądzach, wakacjach i tym, kto kupi buty na zimę. Nigdy o sobie.

Nie trzeba wielkiej awantury. Czasem wystarczy hotelowe śniadanie, przy którym każdy patrzy w swój telefon. Wokół inni ludzie nakładają owoce, ktoś zamawia omlet, ekspres syczy, a oni nagle rozumieją, że nie mają już sobie nic do powiedzenia.

W trzeciej historii jedno z nich odzyskuje wolność, a drugie nadal kurczowo trzyma się rodzicielstwa. On chce wyjechać na miesiąc do Azji, ona co godzinę sprawdza, czy córka odpisała. Albo odwrotnie. Ona chce pójść na studia, zacząć tańczyć, przenieść się na jakiś czas do innego miasta. On nie rozumie, po co cokolwiek zmieniać, skoro wszystko dotąd działało.

Kłótnia pozornie dotyczy dzieci. Naprawdę chodzi o to, że jedno jest już gotowe wejść w następną część życia, a drugie nadal stoi w drzwiach dziecięcego pokoju.

Może dlatego jedni po wyprowadzce dzieci rozpaczają, a inni kupują bilet.

Jedni jeszcze przez kilka lat próbują zarządzać dorosłym synem albo córką na odległość. Przypominają o czapce, podatkach, badaniach i zmianie opon. Bez tej troski nie bardzo wiedzą, kim są.

Drudzy pakują walizkę i jadą do Paryża, Azji albo choćby do Ciechocinka, żeby sprawdzić, czy poza rolą rodzica istnieje jeszcze jakaś własna biografia.

Jest też taka historia. Zwykła. Ludzie nie zakochują się w sobie na nowo ani nie składają pozwu o rozwód. Uczą się być razem bez dziecięcego hałasu, czasem niezgrabnie, czasem w milczeniu i sprawdzają, czy z dawnej miłości zostało przynajmniej coś, na czym można jeszcze oprzeć przyjaźń.

Mamy po pięćdziesiąt lat. Dzieci podrosły. Zeszła presja. To zupełnie inny stan skupienia. Trochę więcej pieniędzy, trochę mniej lęku i zdecydowanie mniej cierpliwości do świata urządzonego wyłącznie pod cudze potrzeby.

Czas wielkiej imprezy, która miała być rekompensatą za morderczy pęd, też chyba mija. Spróbowaliśmy już wielu rzeczy. Alkoholu, niepicia, terapii, jogi, medytacji, masażu, gongów, warsztatów oddechowych i kolejnych ceremonii, po których człowiek miał wrócić do siebie, choć często wracał głównie z rachunkiem i nową matą.

Przez lata budowaliśmy życie na wysokich obrotach. Prestiżowe zawody, duże miasta, odpowiednie mieszkania, telefony, streamingu, maile, spotkania. Pracujemy przy ludzkich nieszczęściach, konfliktach, ambicjach i upadkach, a potem próbujemy to wszystko zakłajstrować tygodniem w hotelu, w którym ktoś kroi mango i układa ręcznik w łabędzia.

Człowiek cały rok biegnie, żeby później przez siedem dni bardzo profesjonalnie nic nie robić.

Ale odpoczynek zaczyna się chyba dopiero wtedy, kiedy odchodzimy na bok nie tylko od pracy, lecz także od własnej roli. Od człowieka, który wszystko wie, załatwia, decyduje, odbiera telefony i jeszcze pyta, czy komuś czegoś nie potrzeba.

Dotyczy to również rodzicielstwa.

Dopiero kiedy dzieci nie ma, można zobaczyć, czy naprawdę za nimi tęsknimy, czy może bardziej za poczuciem, że jesteśmy niezbędni. ●

Rzymskie „Przemiany”

Możecie, Rodacy, jechać do Rzymu po cokolwiek, nawet po to, żeby się przesiąść, ale powiem Wam jedno: jeżeli ominiecie tę galerię – dużo stracie!



Jarosław Mikołajewski

FELIETON Z CYKLU
„ZA PIĘĆ TRZYNAŚTA”

Wśród rzymskich wystaw tego lata „rzymiskością”, bogactwem i zmysłem umiaru królują „Metamorfozy” w Galerii Borghese, opracowane kuratorsko przez Franceskę Cappelletti. Możecie, Rodacy, jechać do Rzymu po cokolwiek chcecie, nawet po to, żeby się przesiąść, ale powiem Wam jedno: jeżeli ominiecie tę ekspozycję (uwaga: o bilety trzeba starać się bardzo przeźornie), straciecie ważny rozdział rozmowy, jaką świat starożytny toczy ze współczesnym, w którym wszak tkwimy z udawanym lub szczerym przekonaniem.

Czy to zaloty, czy molestowanie

O tym, jak bardzo w starożytności (czyli też mitach rzymskich i greckich) żyjemy na co dzień, świadczy ta część wystawy, którą nazwać możemy ramą stałą, czyli to, co bez nowej aranżacji każdy zwiedzający Galerię Borghese w każdej chwili może zobaczyć.

Np. genialny i poruszający do łez współczesny i zachwyty zespół rzeźb Berniniego, w tym Apollo i Dafne (na zdj.) – jedna ze scen najbardziej emblematicznych dla pojęcia przemiany: oto molestowana (tak byśmy dziś powiedzieli) przez Apolla nimfa, żeby skutecznie i za wszelką cenę uciec od starych boga piękna, wyprasza u ojca przemianę w drzewo wawrzynu.

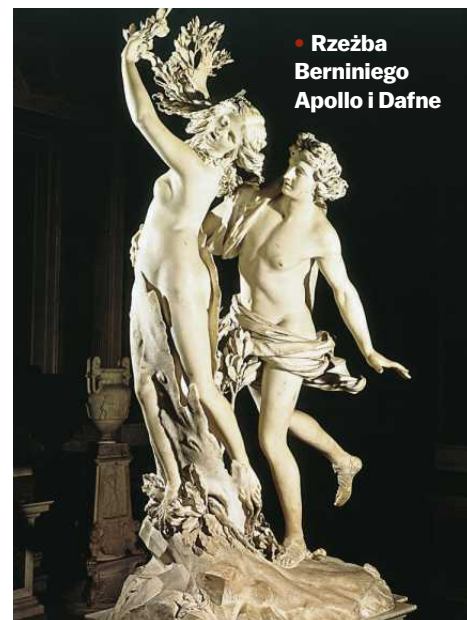
Czy my, ze świata kultury klasycznej, patrząc na wawrzyn (laur, drzewo bobkowe...) widzimy w nim dzisiaj historię biednej Dafne? Czy podziwiając krzew mirtu pamiętamy, że po wyjściu z morza ukryła się za nim Afrodyta?... To pytania, na które odpowiedź niekoniecznie musi być pozytywna.

Dzisiejszej dziewczynie zagrożonej niechcianymi zalotami nie musi przysłużyć się to, że rozpozna się w Dafne. A jednak we Włoszech (z którymi pozostajemy podobno w tym samym kręgu) to wciąż się zdarza. Jak u bohaterki wiersza Aldy Merini, która pod groźbą przemiany w szpitalu psychiatrycznym zmienia się owidiańsko w wawrzyn...

Wciąż rozmawiamy mitami.

Renato Gabriele, włoski poeta, powiedział mi kiedyś, że mitologiczna dekoracja internatu, w którym mieszkał w Carercie, sprawiła, że „mówi” mitami tak, jak dziś wielu z nas od progu rozpoznaje telewizyjną reklamę, przed którą siedzi rodzina.

Wracając do Berniniego: co o nas mówi Hermafrodyta we śnie, co – Porwanie Prozerpiny? Może nic. Może dawne historie mają jedynie potencjał opowieści – tej potrawy, którą karmi się wyobraźnia każdej epoki? Same opowieści też mają wielką wartość, bo spotykamy się w nich, znajdujemy w nich pretekst do rozmów i związków.



• Rzeźba Berniniego Apollo i Dafne

„Metamorfozy” Owidiusza są źródłem bardzo wielu opowieści z motywem przemiany. Ktoś, kto będzie liczył je w poemacie, znajdzie ich ponad 200. I to jemu właśnie – Owidiuszowi – dedykowana jest wystawa w Galerii Borghese. Poeta łaciński patronuje mitom jak jego postać w laurowej koronie nad parami amatorów, które kłębią się wokół niego na obrazie Nicolasa Poussina.

Dziś na wystawie jest ponad sto, próżno więc podejmować próbę opisu. Wspomnę, że oprócz „ramy” – dzieł z kolekcji stałej – kuratorka (i dyrektorka Galerii) wystarała się o obiekty wstrząsająco współczesnej czy nowocześniejszej urody, jak grupa rzeźb Augusta Rodina czy Constantina Brancusiego sprawdzonych ze świata.

Wśród uprzywilejowanych motywów – Leda i Pigmalion. Ta pierwsza w starożytnym arcydziele z II wieku po Chrystusie przedstawiona w chwili, gdy przytula do podbzusza Zeusa pod postacią łabędzia. Ponadto – na obrazie Michała Anioła zestawionym z kopią Leonarda da Vinci (autorstwa Sodomy).

Co wyniosłbym z pożaru?

Gdybym – metodą Herbata – miał zastanawiać się, które dzieło wynieść podczas pożaru, wziąłbym na ramiona antyczny tors Narcyza z melancholijnie przechyloną głową – znak bezkompromisowego piękna i wgardy. Chciałbym, żeby przetrwał po wieczne czasy.

O przemyślanym doborze dzieł do motywów świadczy powierzenie przez Franceskę Cappelletti mitu Arachne (najlepszej włóknarki) arcydziełom sztuki arras.

Podłością powala na wystawie alegoria Zawiści dłuta Augusta Le Court, grozą – Meduza Petera Paula Rubensa, obie oddane na pastwę jadowitych węzów.

Wystawa taka jak ta, łącząca sztuki piękne i literaturę w ich najlepszych wcieleniach, zdarza się rzadko. Za mojego życia nie zdarzy się może już nigdy. ●

• „Metamorfosi. Ovidio e Arti” („Metamorfozy. Owidiusz i sztuka”) w Galerii Borghese w Rzymie (Piazzale Scipione Borghese 5). Wystawa została przygotowana we współpracy z Rijksmuseum w Amsterdamie. Trwa od 23 czerwca do 20 września br. Standardowa cena biletu dla osoby dorosłej -18 euro. Warto kupić bilety online [galleriaborghese.cultura.gov.it,] bo wstęp do Galerii Borghese jest limitowany czasowo i wymaga rezerwacji.

PLENEROWE PRACOWNIE MONETA



• Étretat. Chyba najsłynniejszy fragment normandzkiego wybrzeża – łuk Falaise d'Aval z iglicą Aiguille. Jedno z ulubionych miejsc Moneta

Tekst **Sylwia Kołowacik**
Zdjęcia **Greta Wikiera**

Vétheuil

Jest godzina 10, niedziela, 5 lipca. Bezczmurne niebo. Zapowiada się jeden z gorących dni, których tego lata we Francji nie brakuje. Wjeżdżam do Vétheuil – małej wioski nad Sekwaną, na skraju regionu paryskiego, u wrót Normandii. Parkuję auto pod numerem 16 przy Alei Claude'a Moneta.

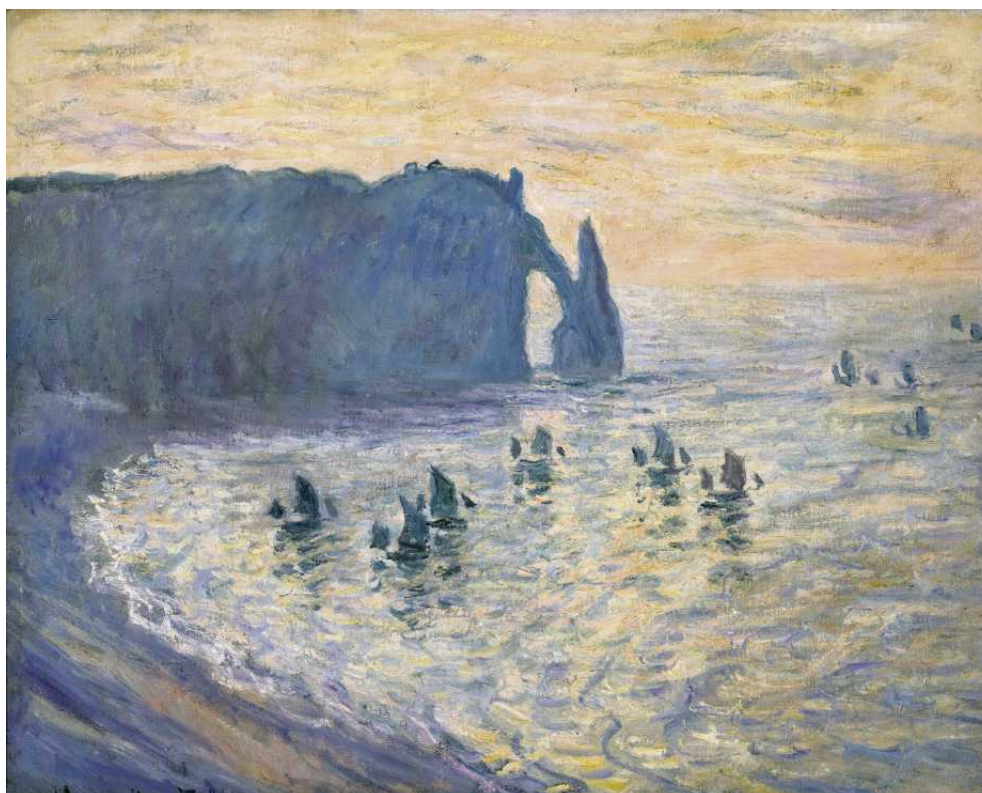
To tutaj w latach 1878-81 mieszkał Claude Monet (1840-1926), mistrz impresjonizmu. Malarz, który jako jeden z pierwszych zamienił zamkniętą pracownię na plener, a realistyczne krajobrazy na zapis osobistych wrażeń.

To wyjątkowe, zaciszne miejsce, które zachowało swój sielski charakter i wydaje się nietknięte komercjalizacją. Monet stworzył tu ok. 200 obrazów. Gdy opuszczał Vétheuil, zbliżał się do połowy swojego życia. Miał za sobą pierwsze sukcesy, wciąż jednak zmagał się z niezrozumieniem swojej sztuki i wynikającymi z tego problemami finansowymi. Uznanie i lepsze czasy miały dopiero nadejść.

Do końca października, w co drugi weekend można zajrzeć do wnętrza jego domu. Poznać bliżej życie i twórczość Moneta z okresu, który tu spędził.

Warto też pospacerować nad brzegiem Sekwany, która była dla niego inspiracją, czy przeprawić się promem do przeciwległego Lavacourt. Koniecznie należy odwiedzić górujący nad wioską Kościół Notre Dame oraz

Normandia. Rozkładałam koc na szczycie klifu, siadam i patrzę. To najlepsze miejsce, żeby pojąć, dlaczego Claude Monet wracał na to wybrzeże tak wiele razy.



• „Klify w Étretat”, 1885-86. Jeden z obrazów Claude'a Moneta namalowanych na wybrzeżu Normandii. Obecnie w zbiorach Państwowego Muzeum Sztuk Pięknych w Moskwie FOT. BE&W

cmentarz, na którym spoczywa pierwsza żona malarza Camille Doncieux (1847-79). To w Vétheuil, Monet namalował przejmujący obraz Camille Monet na łożu śmierci, dziś znajdujący się w zbiorach Musée d'Orsay. To jeden z jego najbardziej osobistych i poruszających obrazów.

„Nie odrywałem oczu od tragicznej twarzy, mechanicznie próbując odnaleźć sekwencję, degradację barw, którą śmierć już narzuciła na nieruchome oblicze...”
– Monet wspominał po śmierci Camille.

W domu Moneta bywam często. Działam w stowarzyszeniu propagującym jego dziedzictwo i współpracuję z właścicielką posiadłości Claire Vincent przy promocji tego miejsca. Dziś przyjeżdżam tu z wyjątkowego powodu. Polski artysta Kacper Ogaza prezentuje 24 obrazy olejne, które są zapisem jego podróży przez Île-de-France i Normandię. Przez cztery tygodnie vanem-pracownią podążał śladami Moneta i szukał inspiracji w krajobrazach, które kiedyś urzekły tego malarza.

Nie bez przyczyny ta artystyczna podróż odbyła się właśnie teraz, a jej finał znalazł miejsce w Vétheuil – w 2026 roku przypada setna rocznica śmierci Moneta.

Na sztalugach rozstawionych na dziedzińcu (patrz s. 36) oglądam obrazy monumentalnych klifów normandzkiego wybrzeża uchwycone o różnych porach dnia i przy zmiennej pogodzie. Morze uderzające o skalisty brzeg. Widoki Sekwany, pola po horyzont i skąpane w świetle soczyście zielone drzewa.

Kacper każdą pracę kończył podczas jednej sesji, nie wracał do niej później w pracowni. Każdy obraz stawał się więc zapisem konkretnej chwili: światła, pogody, emocji. W podobny sposób istotną część swojej twórczości budował Monet, dla którego doświadczenie krajobrazu było jednym z fundamentów malarstwa.

Odwiedzmy zatem emblematiczne miejsca tego regionu, które niegdyś stawały się otwartą pracownią Claude'a Moneta.

Giverny

Pierwszym przystankiem za Vétheuil jest malownicze Giverny niecałe 20 km dalej. To w tej normandzkiej wiosce Monet osiadł w 1883 roku i pozostał aż do śmierci w 1926. Zamieszkał tu z dwoma synami oraz partnerką Alice Hoschedé, która miała sześcioro dzieci z wcześniejszego małżeństwa. Liczna rodzina potrzebowała dużego domu, a jego położenie zapewniało im jednocześnie spokój i dyskrecję.

Po zakupie posiadłości Monet rozpoczął jej przebudowę według własnej wizji. Przed domem stworzył ogród Clos Normand, a po dokupieniu sąsiedniej działki – ogród wodny z japońskim mostkiem i słynnym stawem z nenufarami. Aby go zbudować, uzyskał zgodę na przekierowanie jednej z odnóg rzeki Epte, co początkowo wzbudziło sprzeciw części mieszkańców obawiających się egzotycznych roślin sprowadzanych do ogrodu.

Ogród wodny stał się jego najbardziej osobistą pracownią i inspiracją do powstania ok. 250 obrazów z nenufarami. Dziś są rozproszone w muzeach i kolekcjach na świecie, i są zwieńczeniem długich poszukiwań artysty, próbującego uchwycić wpływ światła na naturę. Najbardziej spektakularnym dziełem są monumentalne panele w paryskim Musée de l'Orangerie – osiem ogromnych płócien rozmieszczonych w dwóch owalnych salach zgodnie z wolą samego Moneta. Artysta podarował je państwu francuskiemu jako symbol pokoju po zakończeniu I wojny światowej.

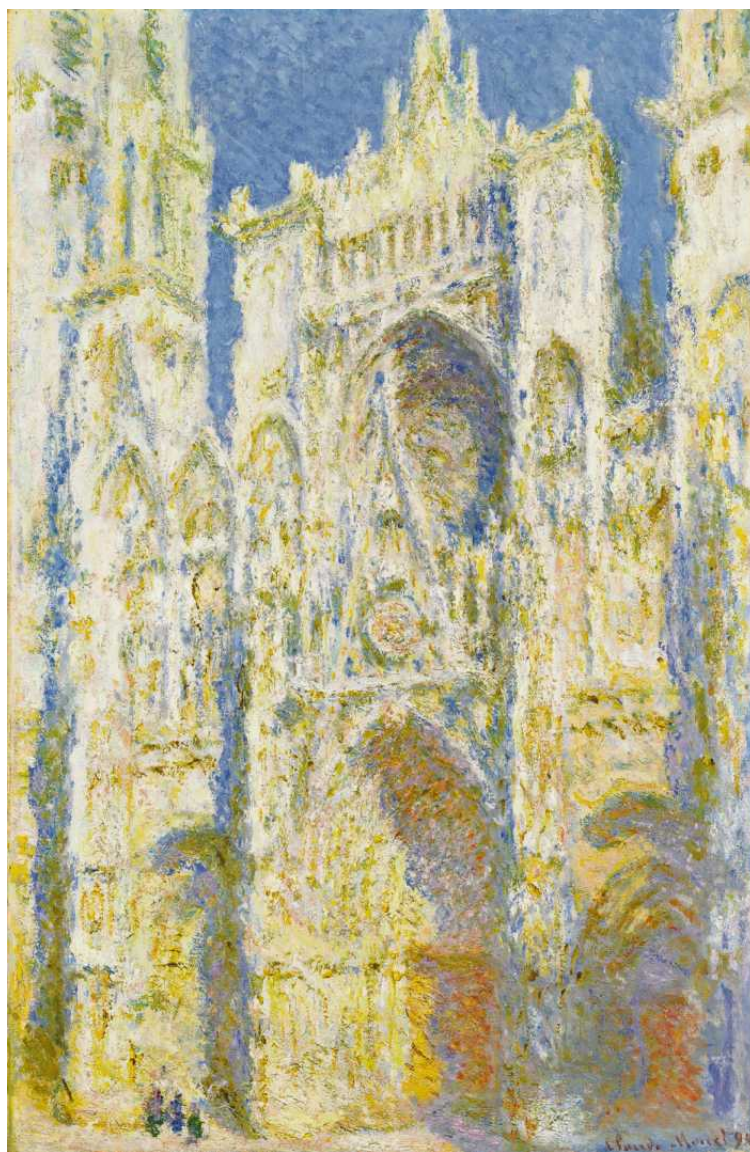
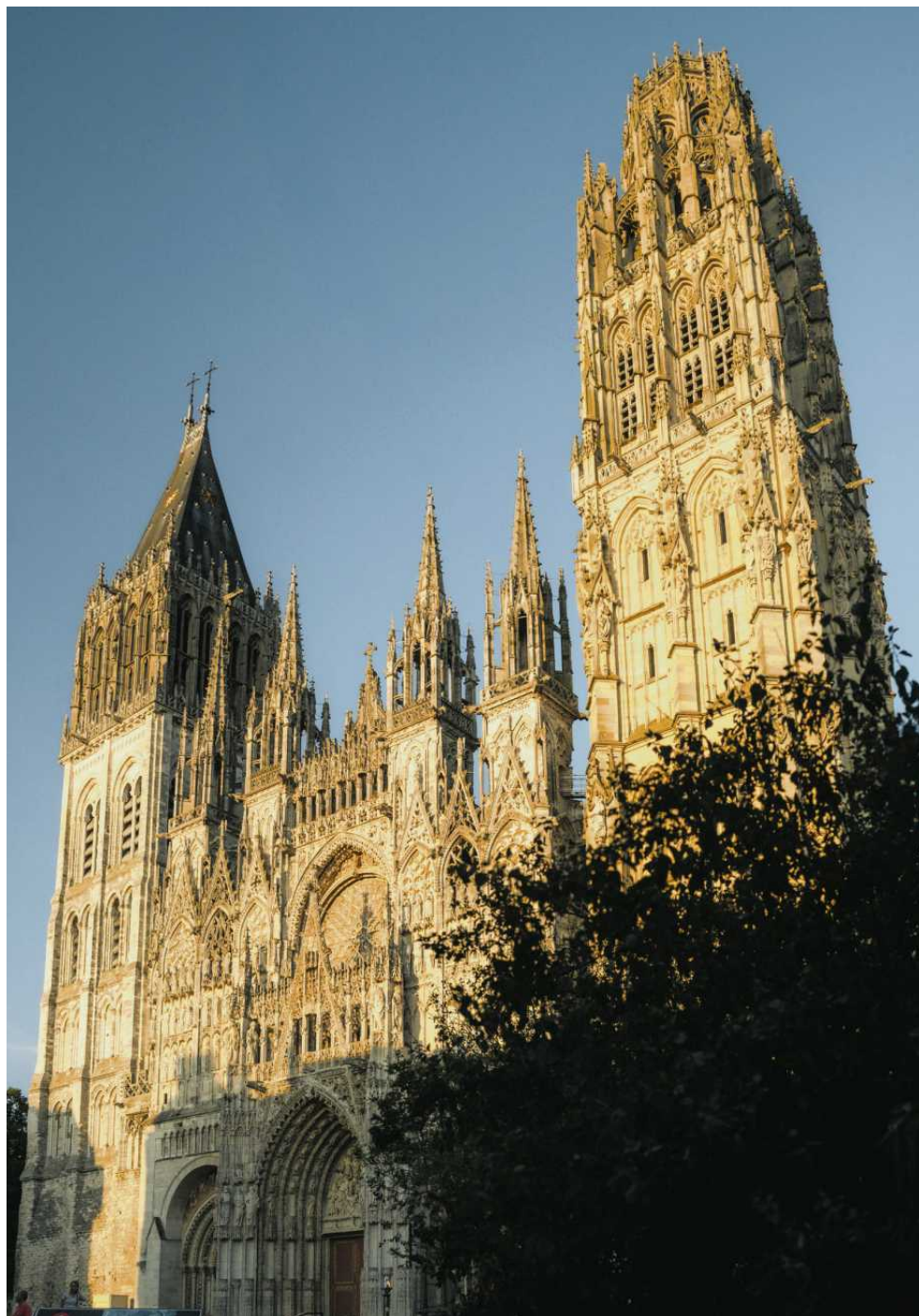
„Poza malarstwem i ogrodnictwem do niczego się nie nadaję” – mówił Monet

Dom i ogrody są otwarte dla zwiedzających od kwietnia do końca października (bilety dla dorosłych – 13 euro, dzieci od 7 do 17 lat – 7 euro). To druga pod względem liczby odwiedzin płatna atrakcja turystyczna Normandii, ustępująca jedynie Opactwu Mont-Saint-Michel. Posiadłość została pieczołowicie odrestaurowana na podstawie archiwalnych fotografii, obrazów oraz relacji świadków.

POZNAJMY NASZĄ EUROPE



• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.



▲ **Gotycka katedra to symbol Rouen. W latach 1876–80 jej iglica sprawiała, że była najwyższym budynkiem świata (151 m). Dziś nadal należy do najwyższych katedr Europy. Znajduje się w niej grobowiec króla krucjat Ryszarda Lwie Serce**

◀ **„Katedra w Rouen, zachodnia fasada” obraz Moneta z 1894 r., obecnie w National Gallery of Art w Waszyngtonie. W latach 1892–94 namalował ok. 30 obrazów tej świątyni. To jego kolejna słynna normandzka seria**

FOT. NATIONAL GALLERY OF ART, WASHINGTON, CHESTER DALE COLLECTION.



• **Dom Moneta w Giverny. Przebudował go i przed wejściem stworzył ogród kwiatowy**

W domu szczególne wrażenie robią: gabinet Moneta, przestronna żółta jadalnia oraz charakterystyczna niebieska kuchnia. Artysta sam dobierał kolory wnętrz. Był smakoszem i chętnie podejmował przyjaciół obiadami. Na piętrze znajduje się jego sypialnia z widokiem na ogród. Monet wstawał o świcie, by jak najwcześniej rozpocząć pracę, a kończył ją wraz z zapadającym zmrokiem.

Na drugim końcu wioski stoi romański Kościół Sainte-Radegonde z małym cmentarzem, na którym spoczywają Claude Monet i jego rodzina. A obok znajduje się grób Géraalda Van der Kempa (1912-2001), historyka sztuki i konserwatora, który kierował renowacją posiadłości i odegrał kluczową rolę w jej ocaleniu.

Spacer po Giverny kończymy na głównej ulicy wioski, gdzie mieszczą się niewielkie galerie, restauracje i kawiarnie.

Najbardziej wyjątkowym miejscem jest Hotel Baudy – dawny hotel i restauracja, które pod koniec XIX wieku stały się nieformalną kolonią amerykańskich artystów. To tutaj mieszkali, spotykali się i dyskutowali młodzi malarze, którzy u Moneta chcieli się uczyć malarstwa plenerowego. Dziś można usiąść przy stoliku w tym samym ogrodzie, w którym ponad 100 lat temu spotykali się przyszli twórcy amerykańskiego impresjonizmu. Bardzo lubię tu zaglądać, ponieważ na tyłach restauracji znajdują się urokliwy, mały ogród oraz dawne atelier artystów.

Przed przyjazdem do Giverny warto sprawdzić aktualny program Muzeum Impresjonizmu (Musée des Impressionismes) położonego kilka minut spacerem od domu Moneta. Co roku organizowane są tu ciekawe wystawy czasowe, dzięki czemu wizyta w Giverny to nie tylko spacer śladami artysty, ale też okazja do zobaczenia dzieł sprowadzanych z muzeów i kolekcji z całego świata. (Bilety: dorośli – 25 euro, dzieci od lat 7 – 7 euro).

Rouen

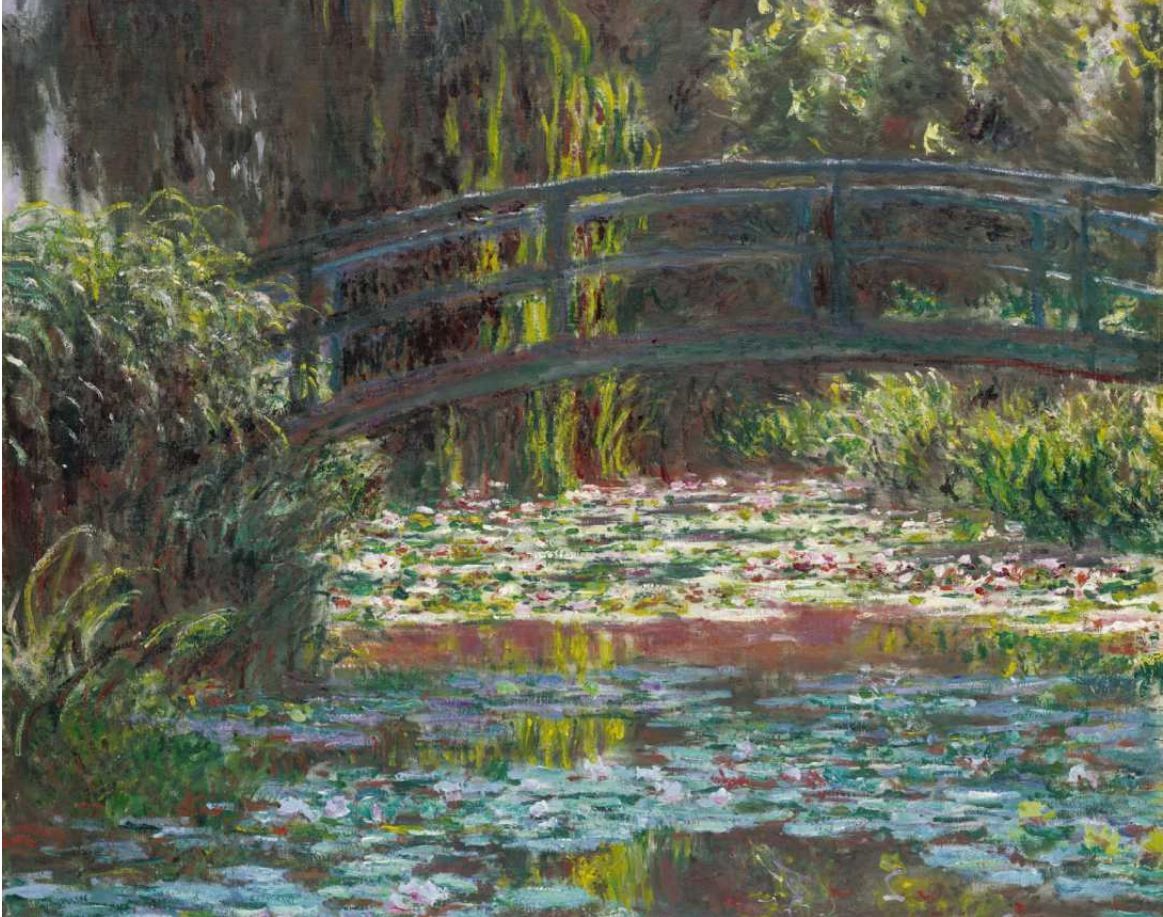
Ruszymy na północ do Rouen – położonej nad Sekwaną historycznej stolicy Normandii. Kiedy oprowadzam po tym mieście turystów, to większość kojarzy je przede wszystkim z Joanną d'Arc, która została tutaj skazana na śmierć i spalona na stosie w 1431 roku. Miłośnicy impresjonizmu mają jednak inny powód, żeby tu przyjechać. W Rouen Claude Monet stworzył jedną ze



◀ **Ogród wodny z mostkiem japońskim w domu w Giverny stał się najbardziej osobistą pracownią Moneta i inspiracją do powstania ok. 250 obrazów z nenufarami**

▶ **Ten „Staw z nenufarami” należy do cyklu 18 obrazów stawu, które Monet namalował w latach 1899-1900. Obecnie znajduje się w Art Institute of Chicago**

FOT. ART INSTITUTE OF CHICAGO, MR. AND MRS. LEWIS LARNED COBURN MEMORIAL COLLECTION



swoich najsłynniejszych serii: monumentalny cykl obrazów przedstawiających fasadę gotyckiej Katedry Notre Dame.

Choć mieszkał już wtedy w Giverny, w latach 1892-93 w Rouen wynajmował lokale naprzeciwko katedry, aby obserwować ją od świtu do zmierzchu. Jednocześnie pracował nad kilkunastoma płótnami. Interesowała go nie architektoniczna dokładność budowli, lecz światło zmieniające się wraz z wędrówką słońca – poranna mgła, południowy blask czy ciepłe barwy zachodu słońca odbijające się od kamiennej fasady.

Powstało ok. 30 obrazów uznawanych dziś za jedno z największych osiągnięć impresjonizmu. Kilka z nich znajduje się w Musée d'Orsay, jedno w Musée Marmottan Monet w Paryżu, a jedno w Muzeum Sztuk Pięknych w Rouen, które posiada jedną z najważniejszych kolekcji malarstwa impresjonistycznego we Francji poza Paryżem.

„Katedra wali mi się na głowę. Śni mi się w nocy. Jest niebieska, różowa albo żółta” – pisał w liście do Alice Hoschedé.

Monet był już tak wyczerpany ciągłą obserwacją zmieniającego się światła, że motyw zaczął go wręcz prześladować.

Rouen było jednak związane z Monetem znacznie wcześniej. Mieszkał tu jego starszy brat Léon Monet (1836-1917), przemysłowiec i kolekcjoner sztuki. Wcześniej dostrzegł talent Claude'a i kupował jego obrazy, kiedy jeszcze nie cieszyły się uznaniem. Wsparcie brata miało dla artysty ogromne znaczenie.

Na placu przed katedrą ustawiono tablicę upamiętniającą serię Moneta. Do dziś zachował się również jeden z budynków, z którego okien artysta malował fasadę świątyni.

Rouen to nie tylko ślady Moneta. To jedno z najlepiej zachowanych historycznych miast Francji. Spacerując ulicami, mijamy średnio-wieczne domy z muru pruskiego, renesansowe kamienice i gotyckie kościoły. Zdecydowanie warte uwagi są XVI-wieczny astronomiczny zegar Gros-Horloge, Place du Vieux-Marché, gdzie upamiętniono Joannę d'Arc, Kościół Saint-Maclou oraz monumentalne opactwo Saint-Ouen, otoczone pięknym parkiem.

Wieczorem katedra ponownie staje się główną bohaterką miasta. Każdego lata jej fasada zamienia się w ekran widowiska Cathédrale de Lumière. W 2026 roku jeden z pokazów poświęcono Claude'owi Monetowi z okazji setnej rocznicy jego śmierci. Świątynia przeobraża się w staw z Giverny, pole maków czy kwitnący ogród. Po kamiennych rzeźbach w rytm muzyki przesuwają się kolorowe nenufary i płatki kwiatów.

Rouen warto odkrywać też od strony kulinarnej. Przy Place du Vieux-Marché znajduje się La Couronne – restauracja działająca nieprzerwanie od 1345 roku, uznawana za najstarszą gospodę we Francji.

Tuż przy katedrze mieści się Brasserie Paul, najstarsza działająca brasserie w Rouen. Od końca XIX wieku spotykali się tu artyści i intelektualiści, m.in.: Guillaume Apollinaire, Simone de Beauvoir i Marcel Duchamp. Z tarasu rozciąga się jeden z najpiękniejszych widoków na fasadę katedry.

Kilka kroków dalej kusi herbaciarnia Dame Cakes mieszcząca się w dawnym sklepie Ferdinanda Marrou – jednego z najwybitniejszych francuskich mistrzów kowalstwa artystycznego. Zaprojektował i własnoręcznie wykonał secesyjną fasadę budynku, która do dziś zachwyca dekoracjami z kutego żelaza. W środku serwowane są domowe wypieki z sezonowych produktów, a z piętra rozciąga się piękny widok na katedrę.

Jeśli szukacie śladów Moneta, koniecznie usiądźcie na niewielkim, ale czarującym placu przy restauracji L'Espiguette. Tuż obok znajduje się popiersie Claude'a Moneta – hold



mieszkańców Rouen dla malarza, który rozślawił ich katedrę na całym świecie.

Honfleur

Z Rouen ruszamy wzdłuż Sekwany w kierunku morza. Rzeka prowadzi nas aż do Honfleur – niewielkiego portowego miasteczka położonego u ujścia rzeki do kanału La Manche.

Już pierwszy spacer pozwala zrozumieć, dlaczego to miejsce od pokoleń tak przyciąga artystów.

Serce miasteczka stanowi Vieux Bassin, stary port otoczony wysokimi, wąskimi kamienicami z łupkowymi dachami. Mieszczą się w nich galerie, restauracje i sklepiki, a przy nabrzeżu kołyszą się łodzie rybackie i jachty.

Tutaj najchętniej zatrzymuję się na kawę, obserwując spokojny rytm portowego życia.

Choć Claude Monet wychował się w pobliskim Hawrze, Honfleur odegrało równie ważną rolę w jego artystycznym dojrzewaniu. Na okolicznych plażach i wzgórzach malował razem z Eugène'em Boudinem (1824-98), starszym od siebie artystą, o którym mówił, że nauczył go patrzeć na niebo, chmury i zmieniające się światło.

Niedługo później w Hawrze namalował obraz „Impresja, wschód słońca” („Impression, soleil levant”, 1872), od którego tytułu krytyk Louis Leroy ukuł – początkowo prześmiewczo – nazwę całego ruchu impresjonistycznego.

Posłuchajcie podcastu „Poznajmy naszą Europę”

• **Bretania - najbardziej nieodkryty francuski region?** W podróż zabierze nas gość Alicji Dąbrowskiej – **Mateusz Wasiak, autor książki „Droga przez Bretanię”**

(wyd. Sorus, 2026)
Pasjonat historii, sztuki i fotografii (zwłaszcza ptaków), zapalony żeglarz oraz miłośnik kultury francuskiej.



• **Widok na portowe miasteczko Honfleur. To na okolicznych plażach i wzgórzach Monet malował swoje pierwsze pejzażowe impresje**

**„Jeśli zostałem malarzem,
zawdzięczam to Eugène'owi Boudinowi”
– wspominał po latach Monet.**

Dzisiaj oba miasta łączy imponujący Most Normandzki rozpięty nad szerokim ujściem Sekwany. Sam Hawr został niemal całkowicie zniszczony podczas II wojny i odbudowany w nowoczesnej formie według projektu Auguste'a Perreta. Atmosferę XIX wieku z czasów Moneta łatwiej odnaleźć w Honfleur.

Kilka minut spacerem od portu znajduje się Ferme Saint-Siméon, dawna gospoda, w której zatrzymywali się młody Monet, Boudin, Courbet, Corot czy Jongkind.

Wieczorami dyskutowali o sztuce, a o świcie ruszali ze sztalugami na pobliskie wzgórza i nad morze. Dziś mieści się tu elegancki hotel z restauracją, ale miejsce nadal uchodzi za jedno z symbolicznych miejsc narodzin impresjonizmu.

Spacer po Honfleur warto uzupełnić wizytą w Musée Eugène Boudin, którego kolekcja pozwala prześledzić rozwój malarstwa pejzażowego w Normandii. Można tu też zobaczyć prace Moneta i innych artystów z regionu.

Kilka kroków dalej stoi niezwykle Kościół św. Katarzyny – największa tego typu drewniana świątynia we Francji, zbudowana w XV wieku przez miejscowych szkutników.

Miłośników muzyki zainteresuje dom rodzinny Erika Satiego, jednego z najwybitniejszych francuskich kompozytorów przełomu XIX i XX wieku.

Przy ujściu Sekwany do morza stworzono wyjątkowy park Jardin des Personnalités upamiętniający osoby zasłużone i związane z Honfleur, gdzie wśród popiersi znajduje się również to Claude'a Moneta.

Honfleur kusi też sklepikami z regionalnymi produktami, bo leży na pograniczu Pays d'Auge, krainy sadów jabłoniowych słynącej z cydru, calvadosu oraz normandzkich serów. To doskonałe miejsce, by zabrać ze sobą smak regionu, zanim ruszymy w dalszą drogę.

Étretat

Z Honfleur kierujemy się na wschód, w stronę spektakularnych fragmentów normandzkiego wybrzeża – kredowych klifów. To Étretat – dla Moneta jedna z najważniejszych plenerowych pracowni.

Normandzkie wybrzeże go fascynowało. Wracał tutaj wielokrotnie, malując nie tylko Étretat, lecz także: Fécamp, Dieppe, Pourville, Varengeville-sur-Mer czy Les Petites Dalles. Powstały jedne z najwybitniejszych pejzaży morskich impresjonizmu.

Po latach spędzonych nad Sekwaną Monet szukał coraz bardziej wymagających motyów. Morze dawało nieustannie zmieniające się światło, wiatr, fale oraz krajobraz, który nigdy nie wyglądał tak samo.



Do Étretat przyjeżdżał przede wszystkim zimą, między 1883 a 1886 rokiem. Malował podczas sztormów, silnego wiatru i deszczu, często stojąc na śliskich skałach tuż nad urwiskiem.

W listach pisał, że pogoda zmieniała się z minuty na minutę, a on próbował za nią nadążyć. Chciał uchwycić ulotność chwili – sposób, w jaki światło odbijało się od kredowych skał, morza i chmur.

**„Ogromna fala porwała mnie wraz z całym sprzętem i przygniotła do skały (...)”
– pisał do Alice o zmaganiach z żywiołem.**

Obrazy z widokiem normandzkiego wybrzeża rozsiane są dziś po muzeach całego świata. Jeden z nich można zobaczyć w Polsce. W Muzeum Narodowym w Poznaniu znajduje się „Plaża w Pourville” – to jedyny obraz Moneta znajdujący się w polskich zbiorach publicznych.

Klify Étretat należą do najbardziej rozpoznawalnych krajobrazów Francji.

Najsłynniejsze z nich – Falaise d'Aval z naturalnym skalnym łukiem oraz strzelista iglica Aiguille – można podziwiać i z plaży, i z licznych ścieżek na szczyt klifów. Warto wejść na obie strony zatoki, bo każda z nich oferuje zupełnie inną panoramę wybrzeża.

Na wschodnim klifie znajduje się Kaplica Notre-Dame de la Garde, od wieków czuwająca nad rybakami i żeglarzami.

Kilkanaście minut spacerem od centrum można odwiedzić Les Jardins d'Étretat – współczesne ogrody, w których sztuka krajobrazu harmonijnie łączy się z widokiem na morze i kredowe skały.

Miłośnicy literatury z pewnością rozpoznają Étretat jako miejsce związane z Arsène'em Lupinem. Maurice Leblanc umieścił tutaj akcję powieści „Wydrążona iglica”, a jego dawny dom można dziś zwiedzać jako muzeum. W ostatnich latach miasteczko zyskało jeszcze większą popularność dzięki serialowi „Lupin” platformy Netflix, którego część scen powstała właśnie na tutejszej plaży.

Ja najbardziej lubię przyjeżdżać tutaj późnym popołudniem. Rozkładam koc na szczycie klifu. Wyjmuję z torby serwetkę, kładę na

niej bagietkę i jeden z normandzkich serów. Stawiam butelkę soku jabłkowego tłoczonego przez regionalnego producenta. Delektując się posiłkiem, podziwiam widok na bezkres morza. Czuję wiatr, słyszę krzyżące mewy. Trudno o lepsze miejsce, by pojąć, dlaczego Monet wracał na wybrzeże tak wiele razy. Kiedy słońce zaczyna chować się nad horyzontem, kredowe skały zmieniają odcień niemal z każdą minutą. Rozumiem też Kacpra i to, dlaczego chciał ruszyć w pogoń za światłem śladami swojego mistrza. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Sylwia Kołowacik

- Autorka bloga „O północy w Paryżu” (opolnocywparyzu.pl) i kont na social mediach pod tą samą nazwą (Instagram: @opolnocywparyzu, Facebook: opolnocywparyzupl), na których zachęca do zwiedzania Paryża i Francji ze sztuką w tle. Opoprowadza po Rouen i Giverny. Pasjonatka impresjonizmu, a w szczególności twórczości i życia Claude'a Moneta. Autorka e-booków. Mieszka w Rouen we Francji.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Greta Wikiera

- Prowadzi profil na Instagramie: @gretawikiera, w którym łączy dokumentalną fotografię z osobistą opowieścią o podróżach i miejscach. Razem z mężem Kacprem Ogazą, malarzem plenerowym, zrealizowała projekt „Śladami Claude'a Moneta”. To podróż przez Normandię i Île-de-France. Efektem wspólnej pracy fotograficzno-malarskiej była wystawa w domu Moneta w Vétheuil.

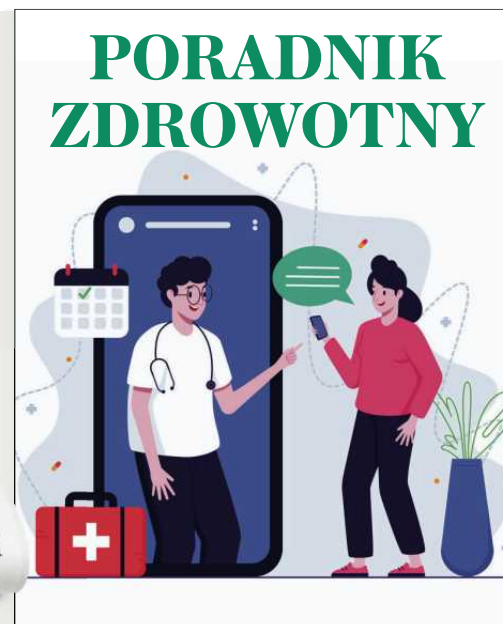
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414015

W PIĄTEK W WYBORCZEJ PORADNIK

Jak się zarejestrować do specjalisty przez Internetowe Konto Pacjenta

Gdzie kliknąć? Jak znaleźć skierowanie?



ITY ZOSTANIESZ KOŁAKOWSKIM?

Nie ten pan



• Pisarz, filozof i publicysta Wolfgang Harich (1923-95) w gabinecie w swoim mieszkaniu w Berlinie Wschodnim FOT. SAUER/JULLSTEIN BILD VIA GETTY IMAGES

Błyskotliwy filozof, komunista, potem więzień komunistów. Ale ciągle wierny: w 1968 r. ucieszył go wjazd czołgów Układu Warszawskiego do Pragi. Bo zdławiły kontrrewolucję

Adam Krzemiński*

Siedemdziesiąt lat temu destalinizacja w Moskwie, czerwcowe rozruchy w Poznaniu, „polski Październik” oraz powstanie na Węgrzech wstrząsnęły posadami demoludów. A w NRD doszło nawet do próby wejścia na „polską drogę”.

Enerdowskim Gomulką miał być Paul Merker, komunista, który w 1939 r. we Francji krytykował „diabelski pakt” Stalina z Hitlerem, a wojnę spędził w Meksyku. Od 1946 r. należał do kierownictwa SED [partii enerdowskich komunistów], ale już latem 1950 na fali procesów Rajka na Węgrzech i Śląskiego w Czechosłowacji został wykluczony z partii za „nieufność wobec ZSRR”.

W 1952 r. został aresztowany i w marcu 1955 skazany na osiem lat. Ale już w styczniu 1956 zwolniony z więzienia i w lipcu w tej samej sali sądowej – zrehabilitowany. Rok później stanie w niej po raz trzeci jako upokarzany przez prokuratora świadek w pokazowym procesie przeciwko „antypaństwowym i antypartyjnej grupie” planującej w NRD podobny przewrót jak w Polsce.

Sprężyną liczącego około 25 osób „Kręgu podobnie myślących” wokół wydawnictwa Aufbau i tygodnika „Sonntag” był Walter Janka, szef wydawnictwa, komunista z rodziny robotniczej. W 1933 r. więziony. Potem w Hiszpanii najmłodszy major armii republikańskiej, a następnie emigrant także w Meksyku, podobnie jak Anna Seghers, światowej sławy pisarka.

Jednak mózgiem konwersatorium skupionego wokół Janki był Wolfgang Harich, błyskotliwy młody filozof, publicysta i redaktor pism słynnego węgierskiego marksisty Györgya Lukácsa.

Ekscentryczny narwaniec

Urodził się w 1923 r. w Königsbergu. Był wnukiem wydawcy narodowej gazety „Allensteiner Zeitung” i synem autora lekkich powieści i rozważań w rodzaju „Problem wschodni” z 1922 r., o przyszłej niemieckiej potęgzie wraz z Rosją, Finlandią i Litwą, ale raczej bez Polski. Z domu wyniósł solidne mieszczańskie wykształcenie i duże ambicje.

W czasie II wojny studiował w Berlinie filozofię. Potem front wschodni i dezercja w Berlinie we współpracy z komunistyczną grupą oporu. Po wojnie w KPD i SED, jego udziałem stała się też szybka kariera uniwersytecka. Obrotny 20-latek ma poparcie radzieckich komisarzy-germanistów odpowiedzialnych za politykę kulturalną.

W 1948 r. przyczynił się do przyznania Bertoldowi Brechtowi teatru. Przy czym kierownicy literacki Berliner Ensemble byli zobligowani za pokwitowaniem chodzić o 7.30 na seminaria Haricha.

Od 1952 r. w wieku 30 lat wraz Ernstem Blochem – marksistowskim „filozofem nadziei” – wydaje otwarty na zachodnich autorów dwumiesięcznik filozoficzny.

Przy okazji zabiega w strefie angielskiej o skrajnie konserwatywnego socjologa, Arnolda Gehlena, zapewniając szybką absolicję tego byłego członka NSDAP od nazistowskiej przeszłości. Nic z tego nie wyjdzie. Ale przez dziesięciolecia będą w kontakcie. A chwilami nawet będą pokrewnymi duszami.

Ekscentryczny narwaniec wcześniej zabiera się za korygowanie w NRD siermiężnego radzieckiego marksizmu. Podpierając się cytataми ze Stalina, domaga się solidnych badań nad klasyczną filozofią niemiecką, czym drażni dogmatyków.

W 1953 r., po śmierci Stalina i powszechnych protestach 17 czerwca przeciwko rządowi SED, proponuje reformę prasy, atakując zarazem doktrynerów socrealizmu zwalczających „formalizm” w literaturze i sztuce. Wdaje się też w spór o Hegla, odrzucając uświęconą teżę Stalina, jakoby heglizm był jedynie arystokratyczną reakcją na francuski materializm i rewolucję 1789 r.

Robespierre’a też nie lubisz?

W 1953 r. życie umysłowe w NRD – mimo represji wobec „prowodyrów” powstania 17 czerwca – było o wiele bardziej otwarte niż w innych demoludach. Przy dostępie do Berlina Zachodniego nie było trudności z dotarciem do zachodnich publikacji, nie było też trudności językowych. W PRL-u wizyta teatru Brechta budziła wyraźną niechęć dogmatyków.

W 1954 r., gdy Harich zetknął się w Berlinie z grupą polskich filozofów z Adamem Schaffem, Leszkiem Kołakowskim, Bronisławem Baczka, wydali mu się oni „nadal jeszcze pełni dogmatycznych uprzedzeń Stalina i Żdanowa, zwłaszcza w ocenie Hegla”. Zaprzyjaźnił się z Kołakowskim, „najbardziej fanatycznym i ortodoksyjnym stalinowcem, co jednak łagodziło jego kształ-

cenie, ogromne czytanie i pełna wdzięku aura”.

Ale gdy w 1955 r. enerdowncy byli z wizytą w Warszawie, rolę już się odwrócili.

„Teraz my z NRD byliśmy tymi ostrożnymi, rozważnymi, na polu dochowującymi jeszcze wierności czcigodnym dogmatom, wartym starannego rozpatrzenia, podczas gdy polscy towarzysze już wybrzydali na Marksa i Lenina.

A gdy nadeszła wiadomość, że Chruszczow udał się w Belgradzie do Canossy i my z NRD byliśmy sparaliżowani jak po uderzeniu obuchem, to dla Polaków już czymś najbardziej oczywistym było poparcie titoizmu, spotęgowane dzi kim bluźnieniem na politykę Stalina, w czym pobrzmiwały tony ocierające się o szowinizm – dla mnie i Blocha dziwnej, a nawet przerażającej, nienawiści do Rosjan.

Karola, partyjna żona Blocha, z urodzenia polska Żydówka, wyzwolona dołączając do tych antyrosyjskich tyrad swoich krajanów, czym ściąga na siebie gniewną filipikę męża.

W mieszkaniu Kołakowskiego na Starym Mieście dochodzi wśród smakolek polskich kuchni i strzelających korków od szampana do gwałtownego sporu z nim, gdyż on swej dawnej, wspieranej cytatami ze Stalina krytyce Hegla nagle dodaje nowy zwrot, że to ponoć heglowska idea państwa jest duchowym źródłem stalinowskiego totalitaryzmu i właśnie dlatego musi być przez nas wyrzucona za burtę.

Gdy zwróciłem Kołakowskiemu uwagę na zakorzenienie tej idei państwa w dziejach idei i polityki rewolucji francuskiej, pytając zarazem: »Czyżbyś był także przeciwko Robespierre’owi i Napoleonowi?«, ku memu przerażeniu odparł: »Oczywiście. Jakże by inaczej? Ja jestem za wolnością«.

Głęboko zadumany wróciłem do Berlina, gdzie natychmiast dopadł mnie zachwycony podróżą Chruszczowa do Belgradu Janka, znów zaczynając niekończące się dyskusje na temat Jugosławii”.

Ulbricht zablokował całą akcję

Polacy zbudzili nas ze snu, mawiano wtedy w Berlinie. A Brecht przed śmiercią latem 1956 r. był tak poruszony „Poematem dla dorosłych”, że nazwał Adama Ważyka „najważniejszym poetą od Berlina po Pekin” i z pomocą Konrada Swinarskiego zaczął tłumaczyć poemat na niemiecki.

W marcu 1956 r. – tuż po XX zjeździe KPZR – Harich i Kołakowski znów się spotkali się w Berlinie, na konferencji o „wolności w świetle naukowego socjalizmu”. Harich mówił o racjonalnych elementach koncepcji wolności Kanta, łącząc „wolność socjalistyczną” z samoregulującą się wolnością moralną tego filozofa.

Jednak wydarzeniem konferencji było wystąpienie Kołakowskiego „Marksizm i personalistyczne pojęcie wolności”. Używał pojęcia „demokratyzacja” i wytykał marksistom, że przeoczyli konflikt między wolnością społeczną a indywidualną.

Mówił o koncepcjach wolności od Tomasza z Akwinu po Sartre’a i Maritaina. I nalegał na krytykę „koszarowo-klasztornej” koncepcji



• Prof. Leszek Kołakowski (1927-2009) w Warszawie w 1958 roku

FOT. PAP/STANISŁAW CZARNOGORSKI

W marcu 1956 roku na konferencji we wschodnim Berlinie Kołakowski używał pojęcia „demokratyzacja” i krytykował marksistów. Towarzysze z NRD byli w szoku

cji wolności u Hegla, prowadzącej do zakorzenionych w biurokracji i schematyzmie „ograniczeń wolności w naszym własnym domu”.

Uderzył tym w obecnego na sali [filozofa i ideologa partyjnego] Kurta Hagera, niebawem członka politbiura, który mocno trzymał w garści większość zebranych.

Pierwszy wybór esejów Kołakowskiego „Człowiek bez alternatywy” ukazał się po niemiecku na Zachodzie dopiero w 1960 r. Ale jego rola w polskim przełomie już była w Berlinie znana. Dla kierownictwa SED skupionego wokół Waltera Ulbrichta był rewizjonistą budzącym lęk i oburzenie. Dla „podobnie myślących” zgrupowanych wokół Janki był „naszym Kołakowskim”, z którym mogliby wiązać nadzieje.

Latem 1956 r. demoludy były w gorączce. – Węgry może uratować jedynie tandem Nagy-Kádara – mówił w Berlinie Harichowi Lukács – bo Imre Nagy jest uczciwy, ale to Janos Kádár jest najzdolniejszym politykiem w kraju.

Niemniej nowym szefem partii na Węgrzech po [twardogłowym] Matyasie Rákosim został znienawidzony Ernő Gerő. A Lukács – ministrem kultury w rządzie Nagy’a. Ale wkrótce ruszyły radzieckie czołgi. Aby czegoś podobnego uniknąć w NRD, w konwersatorium Janki postawiono na „polską” roszadę na szczycie partii.

Uczestnikom konwersatorium wokół Janki i Haricha wydawało się,

że mają poparcie na górze. Bo odwiedzał i zachęcał ich minister kultury Johannes R. Becher. A gdy radzieckie czołgi stanęły pod Budapesztem, poprosił poprzez Annę Seghers Jankę o szybkie ściągnięcie Lukácsa do Berlina. Minister załatwił paszporty, wizy i kierowcę. Jednak Ulbricht zablokował całą akcję i Becher nabral wód w usta.

Niemniej w swym zadufaniu – jak później przed sądem zeznawał Harich – konwersatorium po rozmowach z Paulem Merkerem zleciło Harichowi naszkicowanie programu: zastąpienie Ulbrichta, wolne wybory, reforma gospodarcza i zbliżenie SED z zachodnioniemiecką SPD jako krok w kierunku zjednoczenia neutralnych, zdemilitaryzowanych i socjalistycznych Niemiec.

Dzika, przyjacielska dysputa

A ponieważ słuchaczem wykładów Haricha był także sekretarz radzieckiego ambasadora, pociągnięto i za ten sznurek. Harich przekazał sekretarzowi swój memoriał i 25 października – dwa dni po wkroczeniu czołgów do Budapesztu – wyszedł po czterogodzinnej rozmowie z ambasadorem Gieorgijem Puszkinem jak zmokła kura. Ponoć obaj krzykli i bili pięściami w stół. Po latach Harich tak to opisał:

„Powiedziałem, że musimy właściwie przedstawić historię partii. Znów wyciągnąć problem wspólny Kominternu za przejęcie władzy przez Hitlera. Wtedy się wściekli:

– W czasach Hitlera komuniści cierpieli.

– Tak, ale przedtem popełnili taktyczny błąd.

– Stalin prowadził lewicową politykę – industrializację z naciskiem na przemysł ciężki i kolektywizację rolnictwa, co w ZSRR było konieczne, bo kulacy zdusiliby nasze miasta.

– Tak, ale czy trzeba było walkę z Bucharinem przenosić na Międzynarodówkę, a gdy nadciągał Hitler, nastawiać ją na walkę z socjaldemokracją? Czy to schematyczne postępowanie Stalina było konieczne?

Na moment się zastanowił: – Tu pan ma rację. Ale to nie czas, by akurat teraz z tym wychodzić. Teraz jest powstanie. Jest bardzo trudna sytuacja w Polsce. Jeśli pan teraz z tym wyjdzie, to będzie to rozumiane jako przyznanie się komunistów do winy za to, że Hitler przejął władzę, a tym samym zniknie kolejna część zaufania do partii. O tym trzeba dyskutować w czasach spokojnych.

Na co odpowiedziałem: – Po co wam tutejszy skrawek węgla brunatnego, skoro moglibyście dostać także Zagłębie Ruhry, ale musieliście prowadzić inną politykę wobec SPD, która w 1957 r. powinna w Bonn dojść do władzy, a potem my razem z nimi, ale tylko jeśli teraz szybko odrzucony zostanie cały ten stalinowski balast. Wtedy moglibyśmy w SPD odsunąć (...) siły prawicowo-opportunistyczne.

To była dysputa dwóch stalinowców o taktyce. Ja wciąż miałem w tyłu głowy, że winny jestem Jance przekonanie Puszkiną, który nagle sięgnął po telefon, mówiąc: – Mo li [Molotow], tu jest jeden taki, który mi przedstawił coś, co dobrze byłoby zrobić. Czy mam go przysłać do Moskwy?

Ministerem spraw zagranicznych był wtedy [Dmitrij] Szepilow. Taka była ta moja zarozumiała idea. On jednak odpowiedział, że to złudzenie, bo musimy konsolidować to, co mamy. Oczywiście powinniśmy przekonywać zachodnioniemieckich robotników do zjednoczenia na bazie antyfaszyzmu i demokracji. Ale odrzucenie stalinizmu i taka korekta kursu stworzyłaby w NRD taki chaos jak w Polsce, a być może nawet taki jak na Węgrzech.

To była prawdziwa, dzika, przyjacielska, złośliwa dysputa dwóch w sprawach taktycznych bardzo po stalinowsku myślących towarzyszy.

Przy tej okazji wyłożyłem na stół wszystkie przemyslenia, do jakich doszła nasza grupa, oraz to, że taka grupa w ogóle istnieje, że waha się między Merkerem i Franzem Dahlemem [czołowy funkcjonariusz SED, odsunięty przez Ulbrichta], ale jednak wolimy Merkera, do którego zresztą mamy przez Jankę doskonałe dojście, że Merker jest ospały, ale my właśnie nim potrząsamy, by go pozyskać.

Wtedy Puszkin przyznał, że Merkerowi i Dahlemowi rzeczywiście stała się krzywda, ale mówienie tego teraz wywoła niepokój, a poza tym oni obaj nie mają sprawności Ulbrichta. Ulbricht jest tu najbardziej zdolnym człowiekiem.

Na co ja: – Ale znienawidzonym. – Przez kogo? Przez lud? A ten lud to kto? – Inteligencja. – Pan się myli, to nie inteligencja go nienawidzi, a tylko inteligencja partyjna. Tacy jak Pan, Janka, pisarze. – Niech Pan porozmawia w Akademii Nauk, za-

pyta fizyków, chemików, bardziej o nich chodzi. Oni bynajmniej go nie nienawidzą. Mają do niego całkiem rzeczowy stosunek. – Nawet jeśli są do Ulbrichta jakiegoś zarzutu z przeszłości, to musimy go bronić.

Puszkin mówił także całkiem rozsądnie: – Amerykanie są bardzo silni, nie może ich Pan tak łatwo izolować, są od nas silniejsi. Jak Pan to sobie wyobraża? Przecież jest jeszcze sprawa wyższego niż u nas standardu życia. Myśli Pan, że narodowe uczucia Niemców są tak silne, że różnica w standardzie życia nie ma znaczenia? To nonsens. Pan nie myśli materialistycznie...”.

Aresztowany

W tej relacji z 1990 r. Harich nie wspominał, że w jego memoriale dla ambasadora była także uwaga o granicy z Polską, którą można by zmienić, bo przecież „ZSRR jeszcze jej oficjalnie nie uznał”. Zwrócone mogłyby być Dolny Śląsk, Ziemia Lubuska i szczecińska, „podobnie można by rozważyć zwrócenie Kaliningradu/Królewcza”. A Polsce – wschodniej granicy z 1939 r. „To byłoby do przeprowadzenia, jako przesunięcie wewnętrznych granic obozu socjalistycznego”.

Takie działanie, bujał w obłokach Harich, „głęboko zadowoliliby naród niemiecki, w każdym razie wzmocniłoby serdeczne porozumienie między NRD i PRL-em, czyniąc z socjalistycznej NRD potęgę niemal tej samej rangi i wielkości terytorialnej jak Republika Federalna, odebrałoby imperialistycznej reakcji w Niemczech Zachodnich jej decydujący argument i redukując szowinistyczną nagonkę w Republice Federalnej, znacząco ułatwiłoby ponowne zjednoczenie Niemiec na bazie socjalistycznej”.

Trudno sobie wyobrazić, by Harich o tym „powiększaniu NRD” na wschodzie dla zjednoczenia „socjalistycznych Niemiec” rozmawiał ze znajomymi Polakami. Jego memoriał ukazał się pośmiertnie w 15. tomie jego „pism rozporoszonych”.

Dwa tygodnie po tej rozmowie Ulbricht wezwał Haricha niby w sprawie bardziej już ortodoksyjnej linii jego dwumiesięcznika. Tym razem filozof trzymał język za zębami. Ale na pożegnanie usłyszał, że najgorsi są tacy zdrajcy jak ci z węgierskiego dyskusyjnego Klubu Petőfi’ego i Lukács, ale „u nas coś takiego zdusimy w zarodku”.

29 listopada 1956 r. został aresztowany. A 6 grudnia – po rewizji w wydawnictwie – także Janka wraz z redaktorem naczelnym tygodnika „Sonntag”, jego zastępcą i trzema innymi „podobnie myślącymi”.

Szybko się zламаł

Urządzono im dwa procesy pokazowe według znanego z ZSRR i III Rzeszy wzoru. W marcu 1957 r. sądzono samego Haricha, aby publicznie skompromitować prominentnego intelektualistę. A w lipcu – pozostałych.

Filozof – nieobyty z więzieniem jak starzy komuniści – szybko się zламаł, tym bardziej, że na jego procesie niektórzy świadkowie obrony wychodzili z sali jako zatrzymani. Zastraszony karą śmierci mówił to, czego chciano – ani słowa o rozmowie z Puszkinem i przedłożonym mu memoriale. Po czym sam się oskarżył:

„Byłem jak znarowiony koń, którego nie dawało się już przywołać... Gdyby mnie nie zatrzymano, to dziś zasłużyłbym na szubienicę, a nie na te dziesięć lat, jakich zażądał dla mnie pan prokurator generalny... Dlatego dziękuję służbie bezpieczeństwa za jej czujność”.

Natomiast Janka, mający za sobą twardą szkołę komunistycznej konspiracji, do niczego się nie przyznał, choć na sali rozpraw siedziała „krwa-wa Hilda” Benjamin, ministra sprawiedliwości, jej klakierzy i jadowici propagandiści „Neues Deutschland” – jak były nazista Günter Kertzscher, znany nam z pogardliwych antypolskich ataków w 1981 r. Były też Anna Seghers i Helene Weigel, wdowa po Bertoldzie Brechcie.

Obie milczały, gdy Janka wnosił o przesłuchanie w sprawie próby ratowania Lukácsa. Sąd z oburzeniem wniosek odrzucił. Nie dopuścił też nikogo z zewnątrz, gotowego zeznawać w obronie oskarżonych, jak Erika Mann, córka Tomasza. Natomiast Harich – już jako skazaniec – w kilkugodzinny, pełnym swady wykładzie obciążał oskarżonych...

Janka cztery z pięciu lat za-ostrzonego więzienia przesiedział w nieogrzewanej izolatce w tym samym więzieniu, w którym się znalazł on i jego ojciec w 1933 r. Dyrektor więzienia powiadomił go znaczyco, że hak i łańcuch w oknie lazaretu są wystarczająco mocne. Janka nie skorzystał z oferty.

Po wyjściu z więzienia w 1960 r. był bezrobotny. Potem był scenarzystą w wytwórni filmowej. To dzięki jego kontaktom z rodziną Mannów sfilmowano w NRD „Lottę w Weimarze”. Po odejściu Ulbrichta [z szefostwa partii] wrócił do SED i latem 1989 r. został zrehabilitowany. Jego wydany wówczas w Hamburgu bestseller „Kłopoty z prawdą” oskarżał Haricha o zdradę w czasie procesu. Rozmowy z byłym „podobnie myślącym” odmawiał. Po zjednoczeniu Niemiec wystąpił z partii.

Amnestionowany

Na procesie Haricha prysł mit „enerdowskiego Kołakowskiego”. Ale upokorzeni zostali także tacy prominentni intelektualiści jak minister Becher, który w swych zapiskach odsądził oskarżonego od czci i wiary.

Harich miał w więzieniu lepsze warunki niż Janka. Żona dostarczała mu zachodnie książki. Nie wolno mu było zajmować się filozofią, więc w ślad za ojcem zajął się twórczością Jeana Paula, kultowego niemieckiego pisarza z przełomu XVIII i XIX wieku, odpowiednika Swifta i Laurence’a Sterne’a.

Amnestionowanego z okazji 15-lecia NRD przywołano go ludzie z teatru Brechta, gdzie Helene Weigel naraiła mu targaną właśnie rozterkami miłosnymi Gisellę May, cenioną szansonistkę, mówiąc wprost: – Bierz go, po ośmiu latach więzienia jest napałony i ostry jak brzytwa...

Gdy w teatrze natknęli się na Ulbrichta, usłyszeli: – No i proszę, gdzie pada miłość...

Przy nowych dysydentach Harich nie chciał i nie miał czego szukać. Sztandarową postacią był teraz komunista Robert Havemann, chemik, który w III Rzeszy przetrwał wyrok śmierci dlatego, że w więzieniu miał laboratorium pracujące dla Wehrmachtu. Do 1963 r. współ-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Tomasz Jastrun*

Zmarli

Zmarłym nie zawsze się wybacza

Bo zmarli w nas żyją

Wbrew temu co o nich wiemy

Uparci bezwzględni i skryci

W nocy świecą im sumienia

Jak wilkom oczy



***Tomasz Jastrun.** Ur. w 1950 r., poeta, publicysta. W latach 80. redaktor podziemnego pisma literackiego „Wezwanie”. Współpracownik paryskiej „Kultury”. Wiersz z jego tomu „**Epoka wymierania**”, Wydawnictwo Austeria, Kraków - Budapeszt - Syrakuzy 2024



FOT. MARIUSZ KUBIK / WIKIPEDIA

pracował w środowisku naukowym ze Stasi i KGB. Ale w latach 1963-64 wygłosił serię wykładów uniwersyteckich, wydanych na Zachodzie jako „Dialektyka bez dogmatu?”.

Po stwierdzeniu w hamburskiej gazecie, że w NRD powinna panować taka sama swoboda myśli jak w innych krajach socjalistycznych, został usunięty z SED. Pewnie miał na myśli Polskę, bo próbował zaprosić do Berlina Kołakowskiego. Ale nic z tego nie wyszło, bo w 1966 r. także Kołakowski został wyrzucony z partii, a wkrótce znalazł się na emigracji.

W latach 60. Kołakowski był w Europie uznanym niezależnym myślicielem, intelektualną twarzą „polskiego Października”. W Monachium po „Człowieku bez alternatywy” ukazał się w 1965 r. „Klucz niebieski” wydany razem z „13 bajkami z królestwa Lailonii”. W 1967 r. „Traktat o śmiertelności rozumu”, a w 1968 „Rozmowy z diabłem”.

W 1970 r. Kołakowski z inicjatywy Jürgena Habermasa miał wraz z niemieckim partnerem przejąć po Theodorze W. Adorno katedrę filozofii i socjologii we Frankfurcie nad Menem – twierdzy „teorii krytycznej” – co jednak zablokowały protesty lewicowych studentów i asystentów oskarżających polskiego filozofa o odrzucanie „istotnych elementów marksizmu”.

Zgniecenie czołgami Paktu Warszawskiego Praskiej Wiosny budziło na Zachodzie powszechne oburzenie. Ale na zachodnoniemieckich uczelniach modni byli Marks, Mao, Lenin i Trocki. Dla sceptyka z Warszawy nie było miejsca.

Gdy w 1974 r. „Spiegel” drukował w odcinkach „Archipelag Gulag” So-

łżenicyna, Rudi Dutschke, charyzmatyczny przywódca zrewoltowanych w Berlinie Zachodnim studentów, ciężko w 1968 r. raniony przez prawicowego zamachowca, oddawał do druku swą „Próbie postawienia Lenina na nogach. O półazjatyckiej i zachodnioeuropejskiej drodze do socjalizmu”.

Czołgi w Pradze? Świetnie!

A Harich? Upodlenie na procesie go zlamalo. W swej odpowiedzi Jance „Żadnych kłopotów z prawdą” (1993) przyznaje bez żenady, że w 1968 r. wiadomość o czołgach w Pradze przyjął z ulgą i satysfakcją, że kontrrewolucja została zdławiona i „wszystko znów jest w porządku”, blok socjalistyczny został uratowany przed zgubnym liberalizmem. O interwencji dowiedział się, zając na tarasie kawiarni w Poczdamie z widokiem na pałac Fryderyka II Sanssouci tort truskawkowy z bitą śmietaną.

Kto chce, może w tym opisie znaleźć stylizację na słynny gest „konserwatywnego rewolucjonisty” Ernsta Jüngera, który w czasie II wojny światowej jako okupacyjny oficer przyglądał się alianckiemu bombardowaniu Paryża z kieliszkiem szampana, do którego wrzucał poziomki.

Zgryźliwą uwagę o wyższości skrajnego autorytaryzmu niedoszły „enerdowski Kołakowski” (i lojalny więzień Ulbrichta) przeniósł w 1969 r. na publikowaną na Zachodzie rozprawę z esejem sztandarowej postaci „francuskiego maja 1968” Daniela Cohn-Bendita o „Lewicowym radykalizmie jako kuracji wstrząsowej przeciwko uwiładowi komunizmu”.

Harich był teraz więcej niż tylko „oświeconym dogmatykiem” czy „taktycznym oportunistą”. Już w latach stalinowskich pociągaly go poglądy wspomnianego Gehlena, uważającego ludzi za istoty bezkształtne, dla przetrwania wymagające sztywnych instytucji. Jego pisma podsuwał Brechtowi.

Książką „Komunizm bez wzrostu. Babeuf i Klub Rzymski”, wydaną w Hamburgu w 1975 r., Harich ściągnął na siebie odium „ekostalinowca”. Twierdził, że ascetyczny komunizm jest jedyną odpowiedzią na wyczerpywanie się zasobów na-

turalnych ziemi, eksplozję demograficzną i nadciągającą katastrofę klimatyczną – radykalna kontrola urodzin, ograniczenie konsumpcji i własności prywatnej, likwidacja prywatnej motoryzacji, przymusowe masowe przesiedlenia ze stref głodu na tereny żyzne.

Przywoływał przedindustrialne, dystrybucyjno-egalitarne i jako-bińsko-dyktatorskie tradycje przedmarksowskie. I wzywał zachodnią lewicę do przejmowania władzy „pokojowo lub przemocą” dla wprowadzenia prawdziwej, pierwotnej demokracji, której próbował Babeuf, za co trafił na gilotynę.

W Kołakowskiego „Głównych nurtach marksizmu” – przyjętych w Republice Federalnej z grymasem przez marksistów pochodzących z NRD jako przejaw antymarksizmu typowego dla intelektualistów z „komunistycznego Wschodu” – Harich jest wspomniany jedynie jako nieudany reformator NRD w 1956 r.

Niemniej ich warszawski spór z 1955 r. o jakobinów i wolność pośrednio toczył się dalej. Odbierając w 1977 r. we Frankfurcie nad Menem Nagrodę Pokojową Księgarzy Niemieckich Kołakowski nie mówił o jakobińskich strukturach, lecz o nienawiści i wolności:

„Nienawiść nasza zwraca się przeciw ludziom i grupom ludzkim, przeciw narodom, rasom, klasom, partiom, przeciw bogatym albo biednym, przeciw czarnym albo białym – nie przeciwko abstraktom, jak systemy polityczne i opinie. Odium peccati, nienawiść do grzechu, to metafora: możemy nienawidzić tylko grzeszników, w tym, być może, nas samych.

Nienawiść to więcej niż dążenie do zniszczenia. Podobnie jak miłość, zawiera ona pewien rodzaj nieskończoności, nienasycenie. Nie dąży po prostu do zniszczenia, ale do nieustającego cierpienia, równa się przeto pragnieniu zostania diabłem, a natura diabła na tym właśnie polega, iż nie może zaspokoić nasycenia w dziele niszczenia”.

Mówił to tuż po ujawnieniu w Kambodży „pól śmierci” oraz w dniach „niemieckiej jesieni” – porwania i zamordowania przez terrorystów z Frakcji Armii Czerwonej (RAF) prezesa związku pracodawców. Zarazem wspominał też o nakazie pojednania polsko-niemieckiego i o kulturowej wspólnotcie środkowej Europy.

Zjednoczenie Niemiec? A po co?

W czasach Gorbaczowa całkowicie się rozminęli. Harich początkowo uważał pieriestrojkę za kolejną szansę demokracji socjalizmu. Potem jednak obrzynał Gorbaczowa o brak teoretycznego przygotowania i „dyletantyzm”, o porzucenie Marksa i Lenina, demontaż socjalizmu i „oddanie” Zachodowi NRD – jako antykapitalistycznej forpoczt w Niemczech, co rozbiło cały blok socjalistyczny z katastrofalnym skutkiem dla lewicowej myśli politycznej.

Kołakowski natomiast początkowo był nieufny wobec pieriestrojki. Uważał Gorbaczowa za powtórkę zmian Chruszczowa, które rykło mogą zostać cofnięte w wyniku walk frakcyjnych o władzę w partii.

Jednak już w 1989 r. uważał, że rządzący na Kremlu „uświadomili sobie powagę choroby, a także wro-

dzoną słabość organizmu, którego doglądają. Ta świadomość w połączeniu z niepewnością co do ob-lączenia z niepewnością co do ob-lączenia najlepszej drogi zwiastuje koniec owej szczególnej formacji politycznej niezależnie od tego, jak długie i bolesne okaże się jej konanie”.

Zjednoczenie Niemiec irytowało Haricha. Zjednoczenie Europy budziło nadzieje Kołakowskiego, ale w 1990 r. mówił w Castel Gandolfo, że europejska kultura już nie może rościć sobie pretensji do uniwersalizmu, ani też nie jest już tożsama z łacińskim chrześcijaństwem. Zrodziła także takie potworności jak nazizm i komunizm, które nie były urojeniem kilku oszalałych fanatyków, lecz potężnymi ruchami społecznymi.

W obecności polskiego papieża mówił, że „w chrześcijaństwie zawsze tkwił pewien potencjał teokratyczny – a teokratyczny znaczy w końcu totalitarny”. I wprawdzie „z pewnym prawdopodobieństwem” można twierdzić, że prawa człowieka są zakorzenione już w chrześcijaństwie, ale sama idea została sformułowana „w kontekście niechrześcijańskim, mianowicie przez Hobbesa, który podług wszystkiego, co wiemy, nie był chrześcijaninem”.

Umarł rozgoryczony

Trudno domyślać się, jak ci dwaj sztandarowi „rewizjoniści” z roku 1956 patrzyliby na triumwirat Trumpa, Xi i Putina w dzisiejszym świecie. Kołakowski pewnie mimo swego sceptycyzmu wskazywałby na konieczność skupienia się tu, w Europie, na zagrożonych wartościach kultury europejskiej. Za to „ekostalinista” Harich raczej krzywiłby się na Europę, ale też musiałby być dość bezradny wobec zarłocznego turbokapitalizmu chińskich komunistów łączących swój marksizm z Konfucjuszem, Trumpa nietzscheańskiej „woli mocy” oraz imperialnego putinizmu odwołującego się do Pieczyngów, Cerkwi, carów i Stalina.

Harich umarł chory i rozgoryczony w 1995 r. Kołakowski w 2009 – uznany i czytany. Odnaczony został w 1997 r. Orderem Orła Białego i ma w Polsce swoje upamiętnienia.

„Biografie równoległe” tych dwóch sztandarowych w 1956 r. „rewizjonistów” urzędowego marksizmu-leninizmu w dwóch sąsiednich państwach bloku to więcej niż rocznicowa ciekawostka w 70-lecie ustrojowych wstrząsów w radzieckim imperium. To przykład „nierównoczesności” demolidów i rozbieżności ich kultur politycznych. ●

Tytuł i śródtytuły – „Wyborcza”



FOT. PAP/DPA/ARNO BURGI

*Adam Krzemiński

• publicysta tygodnika „Polityka”, specjalista od spraw niemieckich.

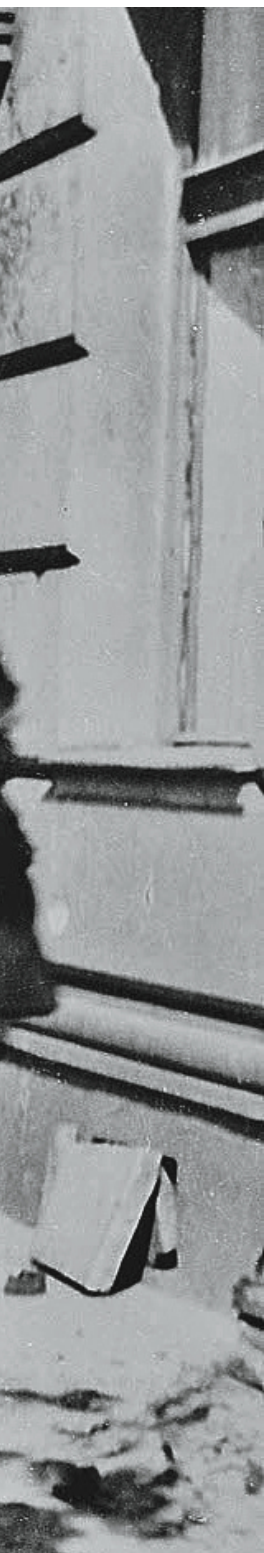


NAJGORSZE TO *być zasypianym żywem*

Podczas powstania warszawskiego pod gruzami zawalonych budynków zginęło mnóstwo ludzi. Ukrywali się głównie w piwnicach.

Sebastian Pawlina

1 RP



• **Po wybuchu powstania cywile w pośpiechu opuszczali mieszkania, żeby szukać bezpiecznego schronienia, o które z każdym dniem walk było trudniej**

FOT. PAP/REPRODUKCJA JAKUB GRELOWSKI

W sobotę 26 sierpnia od rana ściany jednej z piwnic na warszawskim Żoliborzu trzęsły się od detonacji. Maria Ścibor-Rylska nie mogła przez to spać. Namówiła więc córkę Kalinę, aby, gdy ostrzał ustanie, wyszły na zewnątrz i uprały kilka rzeczy. Ruszyły wraz z nastaniem ciszy. Wiedziały, że chwilę potrwa, bo niemieccy artylerzyści i piloci też potrzebują przerwy.

Przykucnęły przy pompie i zabrały się do szorowania najpotrzebniejszych szmatek. Drogę powrotną podzieliły na dwa etapy. To była częsta praktyka w powstańczej Warszawie. Chodzenie po niej wymagało umiejętności nie tylko szukania bezpiecznych przejść i właściwego gospodarowania siłami, ale też wyczekiwania odpowiedniego momentu, żeby się przemieścić. Gdy tylko powietrze znowu wypełniło się świstem i hukami, przysiadły u wejścia do schronu w mijanym budynku. Pół godziny później zdyszane dopadły celu. Kalina zeszła na dół sprawdzić, czy płatki, o których ugotowanie poprosiła przed wyjściem, są gotowe. Jej matka chciała jeszcze przez moment odetchnąć, więc została z koleżanką na powierzchni.

Minął zaledwie moment, gdy poderwał je na nogi wybuch, a po nim wstrząs. „Zrobiło się zupełnie ciemno i zaczęłyśmy się dusić i krztusić od dymu i fali piasku i popiołu, które przez rozbite okno wdarło się do środka piwnicy, zasypując nam oczy i tamując oddech”, pisała później Maria. Usta miała pełne unoszącego się dookoła pyłu, w powietrzu zawisła mieszanina zapachów siarki i spalenizny. Niewiele było widać. Z paraliżu wybudziło ją pytanie: co z córką?

Błądząc po omacku, odszukała wyjście na ulicę. Jedyne, co tam zobaczyła, to ruiny. Przerażona zaczęła krzyczeć, że pod nimi są ludzie, jest jej córka. Przybiegli powstańcy, którzy akurat patrolowali okolicę, a zaraz po nich kilku saperów. Na zmianę błagała ich i żądała, żeby odkopali zasypanych, bo każda minuta zmniejsza szanse Kaliny i innych. Tamci najdelikatniej jak mogli wyjaśnili, że nie ma sensu. Widzieli, jak połowa domu trafionego pociskiem się uniosła, a następnie z impetem zapadła do środka. Do Marii powoli docierało, że mają rację, bo „cel miałoby odgrzebywanie, gdy pewnie nawet żadna kość tych ofiar nie odnalazłaby się, bo wszystko zostało po prostu unicestwione”.

DEFICYT SCHRONIENIA

Kanały, barykady czy szpitale miały długą listę nie tylko ocalonych istnień, ale i ofiar. Byli na niej ci, którzy zgubili się w płataninie podziemnych korytarzy, oraz ci, którzy za bardzo uwierzyli, że ustawiona w poprzek ulicy konstrukcja z płyt chodnikowych i piasku uchroni ich przed kulami. Świadomość śmierci wiszącej nad każdym z tych miejsc była powszechna. Szpitale np. miały opinię umieralni i ten, kto tylko był w stanie, uciekał z nich. Nigdzie jednak śmierci nie bało się więcej ludzi i nigdzie nie budziła ona większej paniki niż w piwnicach.

Z każdym dniem postępowała destrukcja miasta. Ulica po ulicy, dzielnica po dzielnicy rozsypywały się domy, fabryki, kościoły i pałace. Gęsto padające bomby i pociski zganiały ludzi z górnych pięter kamienic, coraz niżej, aż schodzili pod ziemię. Nie każdy jednak miał możliwość ukrycia się w piwnicy. Nie wszędzie były, nie zawsze nadawały się do zamieszkania, a z wielu wraz z pojawieniem się w pobliżu Niemców i ich wieloletnich sojuszników uciekano. W efekcie Warszawa szybko zapełniła się uchodźcami, których trzeba było gdzieś ulokować.

Powstańcy na różne sposoby próbowali opanować sytuację. W wewnętrznym raporcie Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej z 6 sierpnia nieznanymi z nazwiska oraz pseudonimu autor stwierdził, że niezbędne jest uspokojenie cywilów, a wręcz zachęcanie ich do chronienia domów przed bombami zapalającymi. Nawet jeśli wtedy jeszcze ktoś uznawał takie pomysły za realne, to rzeczywistość szybko leczyła z mrzonek. 17 sierpnia Aleksander Gieysztor „Borodczic” przekazał do Delegatury Rządu RP na Kraj meldunek oparty na raporcie przygotowanym przez Kazimierza Moczańskiego „Rafala”. Dokument zwracał uwagę, że wobec braku zorganizowanej opieki nad przybyszami ci gromadzą się na klatkach schodowych, w bramach, na podwórzach i w piwnicach.

W kolejnych tygodniach było tylko gorzej. Poza wielkimi wędrownymi ludźmi takimi jak po upadku Woli czy Powiśla codziennie przybywało pogorzalców. Rosła

liczba ludzi szukających schronienia, a malała liczba miejsc, w których można było się schować. Narastał deficyt schronienia.

Władze powstańcze oraz prasa apelowali do Warszawiaków o przyjmowanie potrzebujących pod swój dach. Nie mogło to realnie wpłynąć na poprawę sytuacji w przeludnionych piwnicach, również tych pod kościołami czy pałacami, gdzie liczba ukrywających się szła w setki. Kurczące się zapasy, trudności z dostępem do wody, choroby, brak dostępu do świeżego powietrza i przestrzeni do poruszania się, za głośnie rozmowy, narzekania, czarnowidztwo, plotki – to tylko kilka problemów, z którymi ludzie mierzyli się w podziemnych schronach. Było jednak coś, co napawało ludzi nieporównywalnie większym przerażeniem.

Z domu, w którym jeszcze przed chwilą spał, został kawałek ściany. Reszta zamieniła się w kupę gruzów, pod którymi zniknęła jego przeszłość

KILOF I MODLITWA

Wiele osób zdawało sobie sprawę z niebezpieczeństw towarzyszących przebywaniu w takim schronie i starało się przygotować na najgorsze. Wyrzucano więc z piwnic śmieci i zakopywano w dołach. Dbano o to, żeby latryny ziemne nie były zbyt długo odsłonięte. Zapobiegano w ten sposób zatruciom pokarmowym, a szczególnie towarzyszącym im wymiotom i biegunkom, które były nie tylko przykrymi sensacjami żołądkowymi, ale też śmiertelnym zagrożeniem.

Ryzyko śmierci zwiększał również brak podstawowego wyposażenia, m.in. kilofów, łopat i osek, a także wody do picia i gaszenia pożarów, które tłumiono również piaskiem. Kompletny zestaw ratunkowy był wyjątkiem, a nie regułą. To, czy ktoś go miał, zależało od dzielnic, momentu powstania – im bliżej końca, tym trudniej było o cokolwiek – zdolności organizacyjnych mieszkańców, sprytu, braku oporów przed zwinięciem narzędzi, a w końcu od szczęścia.

Kiedy to było możliwe, starano się zabezpieczać już uszkodzone budynki. 18 sierpnia „Rzeczpospolita Polska” apelowała, aby „miejsca zagrożone zabezpieczyć barierami i przystąpić natychmiast do usunięcia uszkodzeń”. W przypadkach bardziej skomplikowanych zalecano zgłoszenie się do delegatów rejonowych, którzy dysponowali drużynami ratowniczymi. Na ich czele stali doświadczeni inżynierowie. „Drużyny te należy również zwoływać przy zasypaniu osób” – dodawano.

Gdy pociski zaczynały tłuc okolicę, a samoloty krążyły niczym ptaki drapieżne wypatrujące ofiary, wszystkie wcześniej podjęte działania traciły znaczenie i sens. „Dzisiaj był sądny dzień” – zapisała 16 września w dzienniku Maria Katarzyna Gieysztor, mieszkająca w południowym Śródmieściu. Od samego rana dookoła wybuchały bomby. Trafione domy się chwiały, ale o dziwo jeszcze stały. W powietrzu latały szyby, ramy okienne, resztki balkonów, podmuchy rzucały ludźmi, nawet jeśli siedzieli w piwnicy, a kurz dławił oddech. Odczuwając bombardowania i ostrzały artyleryjskie wszystkimi zmysłami – dźwiękami wybuchów, widokiem ruin, smakiem piasku między zębami, zapachem spalenizny i uderzeniami odłamków – ludzie popadali w obłęd. Józefa Lis-Błońska, pracująca w Delegaturze Rządu, zanotowała 13 sierpnia: „Noc znowu straszna. Dom drżał od huku. Artyleria najcięższa czy granatniki? Czy to nie wszystko jedno, co? Efekt dla nerwów ten sam”. W jej dzienniku czuć zaskoczenie, że po takim piekle Warszawa jeszcze stoi.

Dla wielu jedynym ratunkiem była wiara. Gieysztor powtarzała modlitwę, którą jej mama odmawiała podczas burzy. Zamieniła w niej tylko słowo „obłok” na „pocisk”. Powtarzając kolejne wersy, miała wrażenie,

jakby nagle robiło się ciszej i spokojniej. Ale jednocześnie nie potrafiła pozbyć się myśli, co będzie, gdy ich trafi. „Najgorsze to być zasypanym żywcem gruzami. Rzekomo wałą nawet z grubej berty. Wtedy i piwnice są zdruzgotane”.

O tym, jak bardzo ludzie się bali, świadczy nierzadko powtarzane podczas ostrzału zdanie-błaganie: niech trafi dom obok. Wojna kruszy moralność, wypłukuje empatię, uczy ekonomii sił oraz szukania dróg ratunku przed śmiercią – za wszelką cenę. Każdy chce przeżyć.

„Bo dbało się o swoich. O tych obok, ale dalej – trochę mniej, ale jeszcze. O tych jeszcze dalej, ale od tego adresu – jeszcze mniej, ale troszkę. A o sąsiednią kamienicę? Czy z przeciwka? Nie chodzi o przejście. Ale kto nas odgrzebie, jak nas przysypie? – Oni. – To kto

ich? – My. – No więc? – A z tymi dalszymi całkiem? To dziwne obliczenia, które każdy robił. W każdym miejscu” – tłumaczył po latach Miron Białoszewski, choć pewnie już wtedy o tym myślał. Czasu na to w powstaniu nie brakowało. Po kilku tygodniach rozumiał, że gdy już huknęło, to czasu na ratunek było mało, więc lepiej, żeby pomoc przyszła szybko.

„I WTEDY WŁAŚNIE TO SIĘ STAŁO”

Warszawskie domy, kościoły i pałace różnie znosiły trafienia. Jedne wytrzymały kilka, inne zapadały się po pierwszym. Nie było reguły. Liczyła się konstrukcja budynku, czy była już jakoś naruszona, kąt uderzenia, jaka była siła bomby czy pocisku. Białoszewski i o tym pisał. „Mieliśmy nad sobą Kleina [rodzaj zbrojonego płaskiego stropu]. Dobre mury. Trochę szyn. I te sześć pięter”. Do tego dochodził parter. Siedząc w piwnicy, mieli więc nad sobą siedem kondygnacji. To była zaleta – bomba musiała więcej pięter przebić, więc była szansa, że nie spadnie aż na sam dół, ale i wada – bo gdyby to się zawałiło, nikt by tego nie odkopał.

Tak jak w filmie „Kamienne niebo” Ewy i Czesława Petelskich. Grupa ludzi ukrywających się w piwnicy zostaje przywalona kilkoma poziomami. Bohaterowie cieszą się wprawdzie, że solidne wykonanie domu uratowało ich przed zgnieceniem. Strop piwnicy wytrzymał impet uderzenia. Jednak z czasem zaczyna do nich docierać, że to oznacza powolne umieranie. Więc może lepiej byłoby – mówią w chwilach zwątpienia – gdyby ich przywaliło i żeby od razu zginęli.

Zanim Petelscy zrobili film z Tadeuszem Łomnickim, była powieść Jerzego Krzysztonia pod tym samym tytułem. Autor nie znał zasypania z własnego doświadczenia. Wojnę przeżył daleko od kraju – najpierw w Kazachstanie, potem były Iran, Indie, Uganda. A mimo to jego książka jest najdokładniejszym zapisem tego, co mogli myśleć, jak się zachowywać ludzie, którzy znaleźli się pod gruzami, pod kamieniami niebem.

Ale o ile to, co działo się po uderzeniu, jest rozpisane u niego na wiele stron pełnych emocji, wątpliwości i szukania sensu, o tyle sam moment zawałenia się jest niemal niezauważalny. „I wtedy właśnie to się stało”. Nic więcej. Cienka granica dzieląca przed i po. Relacje ludzi, którzy przeżyli zawałenie się budynku, wyglądały często podobnie. Najpierw wspominali strach przed trafieniem, niektórzy przypominali sobie pojawiające się nie wiadomo skąd przeczucie, że coś się stanie, pisali o rozmowach z bliskimi, z sąsiadami, podczas których przekonywano się, że trzeba uciekać albo właśnie zostać.

MÓZG SKUPIA SIĘ
NA PRZETRWAŃIU

Noc z 15 na 16 września Juliusz Wiktor Gomulicki spędził w redakcji jednej z powstańczych gazet. Do domu przy ul. Skorupki 5 wrócił nad ranem. Położył się spać. Odpoczynek nie trwał długo. Po kwadransie poderwał się zbudzony niedaleką eksplozją. Ledwo zdążył się zorientować, co się dzieje, a do pokoju wparowała jego przerażona żona. „Dlaczego jeszcze nie zszedłeś na dół? Przecież słyszysz to okropne bombardowanie” – rzuciła. Zaczęła mu tłumaczyć, że wszyscy na dole martwią się o niego, i mama, i synek, więc ma natychmiast zejść. Próbował ją przekonać, że to przecież nie pierwszy raz, gdy słyszą wybuchy, więc niech się nie martwi, ale jeśli już nalega, to on przyjdzie do nich niedługo. „Nie, jeżeli ty zostaniesz na górze, to i ja zostanę z tobą” – odparła. Słyszając to Gomulicki, od razu poszedł za nią. Zebrali się w suterenie, gdzie razem z innymi lokatorami kamienicy postanowili przecze-kać najgorsze.

„Nagle – grom! Nie! Sto gromów! – a potem długa, bardzo długa i czarna noc oraz bezustanny łomot gruzów spadających gdzieś blisko. Tak blisko, że ktoś z obecnych krzyknął zduszonym głosem: »Jezus Maria!«, po czym w suterenie znowu zapanowało pełne trwogi milczenie, przerywane od czasu do czasu czymś modlitewnym szeptaniem” – relacjonował po latach.

Mało kto zapamiętywał więcej niż sam dźwięk, wstrząs, chmurę pyłu i ewentualnie paniczny bieg do wyjścia albo właśnie to, że ktoś się modlił. To czysta biologia. W chwilach zagrożenia kontrolę nad nami przejmują hormony – adrenalina, noradrenalina i kortyzol, mózg skupia się na walce o przetrwanie, wszystko wykonujemy automatycznie. Nie sprzyja to tworzeniu wspomnień, choć te mogą się odblokować po kilku godzinach albo dniach. Ale w przypadku zasypania moment trafienia domu ma potężną konkurencję w postaci tego, co się dzieje, gdy kurz już opadnie. To te obrazy wypełniają większość opowieści tych, którzy przeżyli.

GDY Z GRUZÓW
SŁYCHAĆ JĘKI

„Bałem się spojrzeć w lewo, ale zrobiłem to po prostu automatycznie. Niestety spełniło się to, co najgorsze”, opowiadał Gomulicki. Z domu, w którym jeszcze przed chwilą spał, został kawałek ściany. Reszta zamieniła się w kupę gruzów, pod którymi zniknęła jego przeszłość, a wraz z nią dziesiątki zabytków polskiej kultury, w tym starodruki z XVII i XVIII wieku czy blisko tysiąc druków ulotnych z czasów Sejmu Wielkiego. Szukanie resztek kolekcji musiał odłożyć, na razie trzeba było ratować ludzi. Wśród zasypanych w piwnicy był jego brat z żoną i dwunastoletnim synkiem. Juliusz Wiktor zaczął odgrzebywać gruz. Metr po metrze schodził coraz niżej, aż dotarł do brata. Najpierw zobaczył jego głowę i rękę, reszta była przywalona. Wtedy przyszła pomoc. Zaraz znalazły się lina i jakaś drabina. Dzięki nim udało się wyciągnąć rannego na powierzchnię. Uratowano jeszcze jedną kobietę, która cudem przeżyła w korytarzu piwnicznym. Pozostali nie mieli tyle szczęścia.

Często na ratunek nie było szans, wystarczył rzut oka na gruz, aby wiedzieć, że nikt nie mógł przeżyć. W drugiej połowie sierpnia Leszek Jan Wójcicki z batalionu „Czata 49” leczył rany u swoich ciotek, właścicielek kamienicy przy Barbakanie na Starym Mieście. 23 sierpnia w sąsiedni dom trafiła bomba. Gdy wyszli na ulicę, zobaczyli dymiącą kupę gruzów, wokół której uwijała się ekipa ratunkowa. Tutaj również zaczęto od wygrzebania dziury. Wójcicki zapamiętał, jak „jeden ze strażaków wpelza w ciemny otwór piwniczny. Po chwili jednak wysuwa się z powrotem. „W sam

czas. Moment później kupa gruzu zadrżała i posypała się ku otworowi, przywalając go znów”. Ale to było już bez znaczenia. Strażak zapytany, czy pod spodem ktoś przeżył, pokręcił głową. Strop piwnicy był całkowicie zawalony.

Zdarzało się jednak, że żywych odnajdywano, gdy wszyscy byli przekonani, że nie ma na to szans. Stanisław Ryszard Gordon „Benett”, dowódca oddziału saperów na Starówce, wracał pewnego razu z patrolu i natknął się na ul. Kapucyńskiej na grupę ludzi stojących przy usypisku. Starszy mężczyzna się zarzekał, że słyszał jęki. Gordon obejrzał teren. Do wnętrza zawałiska prowadził wąski tunel. Pewnie ktoś wcześniej próbował tam wejść. Była jedna trudność. Nad całością wisiał fragment ściany, która przy mocniejszym podmuchu wiatru mogła runąć. Bratanek czy siostrzeniec tego, który słyszał rannego, zaczepiony, że mógłby tam wejść, rzucił bez zastanowienia, że nie jest wariatem. „Benett” również czuł, że ryzyko jest olbrzymie, ale nie mógł tak po prostu odejść. Oddał broń, kurtkę, pas i torbę swojemu łącznikowi i z latarką wcisnął się do dziury.

Metr po metrze przesuwiał się w kierunku miejsca, gdzie mógł się znajdować człowiek. Co chwila słyszał nad sobą trzeszczenie. „Czułem, jak ogarnia mnie lęk”, pisał później. W końcu znalazł zasypanego. Mokry z wysiłku zaczął się zastanawiać, jak go wydostać. Bał się naruszyć sufit, który nad tamtym tworzył deski. Tylko one ratowały ich obu od śmierci. Rozpoczął wygarnianie gruzu spod rannego. Gdy osiągnął spodziewany efekt – niewielką rynną zwiększającą pole manewru – wrócił do łącznika i kazał mu zorganizować linę oraz deskę. Wsunął ją pod męczycznę, przywiązał go do niej, a następnie z pomocą ludzi na powierzchni wyciągnął z pułapki. Cywile zabrali ocalonego do szpitala, a Gordon poszedł w swoją stronę. „Wracaliśmy z Antkiem na kwaterę. W milczeniu przeżywałem na nowo własny strach przed pogrzebaniem żywcem...”

Każda taka akcja była obciążona olbrzymim ryzykiem. Ratującym zagrażały nie tylko resztki ścian, ale również Niemcy zrzucający kolejne bomby. Pisała o tym Anna Świrszczyńska. W opublikowanym w tomie „Budo-wałam barykadę” wierszu „Krzyk spod ziemi” opowiadała historię ludzi chcących odkopać zasypanych. Dzień i noc palcami i szpadłami odgarniali gruz. Ale „rano był drugi nalot/ zabił tych co kopali/ już nikt nie słyszał/ krzyku spod ziemi”.

UMRZEĆ
Z NADZIEJĄ

Poza pierwszymi kilkoma dniami zrywu prawdopodobnie w każdym kolejnym ktoś ginął pod gruzami. W niektórych dzielnicach sporządzano raporty dotyczące liczby zabitych. Daje nam to wycinkowy, ale rzeczywisty obraz sytuacji. Dzięki jednemu z takich dokumentów dowiadujemy się, że 9 i 10 września na obszarze Śródmieścia-Południe w wyniku zawalenia się budynku zginęły co najmniej 32 osoby, a kolejne 22 były zaginione. Gdyby przyjąć, że większość z nich nie przeżyła, to możemy uznać, że średnio jednego dnia w jednej tylko dzielnicy życie w wyniku zasypania traciło 25 ludzi. W ciągu tygodnia to 175 osób, w miesiąc ponad 700. A przecież była to jedna ze spokojniejszych dzielnic w powstańczej Warszawie.

W skali wszystkich ofiar powstania warszawskiego to niewielkie liczby. Ale za wieloma z nich kryje się straszna śmierć. Nie nagle, ale powolna, samotna, poprzedzona złudną nadzieją. Tak jak w „Kamiennym niebie” Jerzego Krzysztonia, gdzie jeden z bohaterów stuka w ścianę piwnicy, aby inni mogli choćby przez chwilę uwierzyć, że nie zostali sami. ●

UWAŻALIŚMY, ŻE
Niemcy
TO DLA NAS
betka

• Powstańcy przy zniszczonej po nalocie kamienicy przy ul. Twardej

FOT. PAP/CAF/BUNIEWICZ



„Początkowo był entuzjazm, ludzie chcieli jakoś pomóc. Potem lepiej było do piwnic nie wchodzić”. W 82. rocznicę powstania warszawskiego Ośrodek KARTA wydał poruszający zbiór wspomnień.

Mirosław Maciorowski

Gdy przed laty rozmawiałem z legendarną Marią Stypulkowską-Chojecką „Kamą” (1926-2016), opowiadała mi głównie o przygotowaniach do zamachu na „kata Warszawy” Franza Kutscherę, w którym uczestniczyła. Potem jednak zadałem sporo pytań o powstanie warszawskie. W sierpniu 1944 roku „Kama” kierowała na Starym Mieście punktem sanitarnym dla żołnierzy batalionu „Parasol”, a po upadku Starówki uczestniczyła w ewakuacji rannych kanałami do Śródmieścia. Kiedy zapytałem ją o emocje towarzyszące tym wydarzeniom, „Kama” lekko się uśmiechnęła i odpowiedziała: „Proszę pana, to były sytuacje ekstremalne, graniczne, ale myśmy tak wtedy o tym nie myśleli. Strach, owszem, był, bo tylko głupi się nie boi. Ale przede wszystkim mieliśmy zadanie do wykonania. Ono było dla nas najważniejsze i tylko na nim się skupialiśmy”.

Gdy czyta się wspomnienia zebrane przez Wydawnictwo Karta w antologii „Powstanie warszawskie. Historie mówione”, to w zasadzie co akapit natrafiamy na „sytuacje graniczne” i ludzi, którzy muszą wykonać jakieś ekstremalnie trudne zadanie. Wciąż stykają się ze śmiercią – czyjąś albo sami się o nią ocierają. Muszą błyskawicznie podejmować decyzje, bo nierzadko ułamek sekundy decyduje o życiu. Czytając, instynktownie próbujemy poczuć ich emocje. Ale to niemożliwe, bo przecież nie było

nas wśród walących się kamienic, świszczących kul, w obliczu niemieckich oprawców, którzy stawiali pod ścianą nie tylko schwytanych powstańców, ale też cywili. Te emocje nie są naszym udziałem. Na szczęście. Ale podczas lektury tych wspomnień możemy jednak próbować przenieść się w myślach do centrum powstańczych wydarzeń i te emocje sobie przy najmniej wyobrazić. I ta książka w znacznym stopniu to ułatwia.

„Powstanie warszawskie. Historie mówione” to zbiór relacji powstańców nagrywanych przez blisko 20 lat przez dokumentalistów z Archiwum Historii Mówionej Domu Spotkań z Historią i Fundacji Ośrodka KARTA.

„Są to opowieści osób, które wzięły czynny udział w walce z niemieckim okupantem – pisze we wprowadzeniu Dominik Czapigo, który opracował antologię. – Z racji swojego wieku – wszyscy urodzili się w latach 20. [...] – nie reprezentują oni perspektywy dowódców, którzy decydowali o przebiegu zdarzeń. Nie umniejsza to wagi ich doświadczeń, stanowi jednak o ich specyfice” – tłumaczy.

Poniżej publikujemy trzy fragmenty wspomnień zamieszczonych w antologii. Mamy nadzieję, że emocje, jakie wyrażają, udzielą się także czytelnikom.



FOT. ZE ZBIORÓW
JOANN JASIAK

JANINA GRUSZCZYŃSKA-JASIAK „JANKA”, „PORZĘCKA”

W czasie powstania sanitariuszka barykadą przy katedrze św. Jana Chrzciciela oraz w szpitalu po-łowym przy ulicy Długiej. Po upadku Starego Miasta pozostała w szpitalu, by opiekować się rannymi. Po powstaniu więźniarka obozu pracy w Breslau. Po wojnie skończyła SGH, pracowała w Biurze Odbudowy Stolicy, zamieszkała w Poznaniu, gdzie zmarła w 2022 roku w wieku 100 lat.

Początkowo był entuzjazm, ludzie [cywile z piwnic] interesowali się, chcieli jakoś pomóc [powstańcom]. Potem lepiej było do piwnic nie wchodzić, bo się słyszało, że „to była głu-pota, coście zrobili”, że „wystawiliście nas na takie niebezpieczeństwa, takie straszne przeżycia”. A poza tym ciągle się pytali, jaka jest sytuacja. A co było im powiedzieć? Że jest coraz gorzej? [ten fragment wspomnień dotyczy już pierwszych dni września 1944] Staralam się pod koniec w ogóle tam nie wchodzić. Ci ludzie zaczęli teraz masowo wychodzić. Jesteśmy my dwie [autorka i jej przyjaciółka Barbara Piotrowska „Pająk”], trzecia jest „Wisia” [Jadwiga Konopacka], ale ona raczej niska, szczupła, nikogo by sama nie wyniosła. A tu było pięciu rannych, których trzeba było wynieść, bo nie mogli chodzić – sytuacja fatalna.

Było już kilku Niemców na podwórzu [przy ul. Kilińskiego 1, gdzie w piwnicy kryli się cywile i ranni powstańcy], patrzyli, jak ludzie wychodzą. Podeszłam do nich i mówię: „Tu w piwnicy jest pięciu rannych, którzy nie mogą chodzić. Czy oni mogą tam zostać?”. Niemcy mówią: „Absolutnie nie, piwnice muszą być wszystkie opróżnione. Kto zostanie, będzie rozstrzelany. Dziesięć minut, wszyscy muszą wyjść”. Byłam zszokowana. Co tu zrobić?

Wyszłam na ulicę, a tam stało trzech czy czterech starszych podoficerów. Podeszłam do nich i też się pytam, mówię, że tu są ranni i czy mogą tu zostać... Nie, nie mogą – kto

zostanie, będzie rozstrzelany. A jeden, taki starszy, mówi do mnie: „Ja wam dobrze radzę, weźcie – on się na pewno zorientował, że jestem z powstania – swoich rannych i idźcie razem z ludźmi”.

Już całą ulicą Kilińskiego, z głębi Starego Miasta, sunął tłum. Jak pierwszy raz wyrzalam na ulicę, to zobaczyłam, że Niemcy spędzili chyba ze dwudziestu młodych tylko w spodniach, na ogół bez koszuli, którzy dosłownie gołymi rękami zbierali ten gruz i blachy, żeby umożliwić przejście ulicą. Jakiś Niemiec, co nad nimi stał, ponaglał ich i biegiem chwytały te ogromne kawały gruzu czy czegoś i odwalali, żeby oczyścić jezdnię. I zaczął nią płynąć strumień ludzi.

Wróciłam i opowiadałam Basi, jaka jest sytuacja. Postanowiliśmy polecić na Długą 7, poszukać kogoś i się naradzić. Tam spotkałyśmy kapelana, ojca Tomasza. Z nim żeśmy uzgodniły, że wobec tego zabierzemy wszystkich rannych i przeniesiemy do szpitala [na ul. Długą], bo jednocześnie, jak ludzie zaczęli wychodzić, to do szpitala zaczęli znosić rannych. Prawie nie było domu, w którym nie leżeli ranni. Niektórzy w ogóle nie mieli rodziny ani nikogo. Ale było dużo też takich, co mieli kogoś bliskiego, więc na przykład przynoszono rannego i, powiedzmy, żona czy matka zostawała w tym szpitalu i po prostu oferowała swoją pomoc, bo pielęgniarek zostało tylko kilka – i jeden lekarz.

Postanowiliśmy wszystkich przenieść. W tej chwili już było wiadomo, że nie będzie nalotów, więc można było kłaść rannych na parterze i na pierwszym piętrze. Drugie piętro było zdemolowane, ale parter i piętro zaczęto sprzątać, żeby rannych położyć.

Wróciliśmy, wzięliśmy nosze i zaczęliśmy ich wszystkich przenosić na pierwsze piętro schodami od ulicy Długiej. Były tam takie piękne schody, dalej mniejsza sala, a potem duża i myśmy w samym jej końcu swoich rannych położyły. Z niej okna wychodziły na dziedziniec.

Po kolei żeśmy przeniosły Tomka Russanowskiego [„Roberta”], „Stasiuka” [Stanisława Olejnika], „Kleche” [Tadeusza Suskiego], potem „Ikara” [Jerzego Szymańskiego]. I była również pani [Irena] Faryaszewska z Kazią Świdorską. Oni wszyscy przeszli na pierwsze piętro.

Myśmy wszystkich tych swoich rannych przeniosły z Kilińskiego 1 przez Podwałę i to wielkie podwórze do bramy Długa 7. Początkowo wydawało się, że szpitalowi nic nie grozi. Były jakieś tam rozstrzelania, pojedyncze wypadki. [...]

Na ogół nie widziało się jakiegos specjalnie złego nastawienia tych Niemców. Ofiarowali nam jakieś wino für Kranken [dla chorych] – jeden dał Basi butelkę, mnie drugi dużą paczkę papierosów też dla rannych. Potem dwóch starszych zaproponowało nam, żebyśmy poszły do następnego domu, przy Kilińskiego 5, bo tam był punkt opatrunkowy (chyba batalionu „Gustaw”; w każdym razie, jak później stwierdziłyśmy, to było chyba mieszkanie jakieś pani stomatolog). Było tam dużo różnych środków opatrunkowych, lekarstwa. Ci żołnierze tam właśnie ładowali nam je do fartuchów, bo „szkoda, żeby się spaliło, przyda się dla rannych”.

Zresztą to byli Ślązacy, którzy mówili po polsku, więc myśmy zaczęły ich pytać, jak oni sądzą, co będzie z tym szpitalem. Nie bardzo wiedzieli, a może wiedzieli, ale nie chcieli nam tego powiedzieć. Mówili, że albo będzie ewakuowany, albo zostanie. Jeden z nich powiedział Basi: „Ja jestem Ślązak, też Polak. Niech się pani nie martwi, Polska i tak będzie”.

Wróciliśmy do swoich. W międzyczasie spotkałyśmy ojca Tomasza Rostworowskiego. Był strasznie roztrzęsiony... Zawsze bardzo opanowany i spokojny, a wtedy widziałyśmy, że jest bardzo zdenerwowany. Zatrzymał nas i mówi: „Dziewczynki, tu [na Kilińskiego] pod trójką, w oficynie, leżą ranni od batalionu »Gustaw«. Nikogo przy nich nie ma. Sam nic

Jak chlusnął
ogień, to
jakby nas
wsadzili w zupę
pomidorową
– od razu było
czerwono.
Pierwsza rzecz
palącego się
to uciekać
– właściwie
nadrzędnym
celem każdego
jest uciec
przed ogniem,
konsekwencje są
nieważne

nie mogą dziać, może wam uda się ich wynieść”.

Myśmy wyciągnęły nosze spod trupa kobiety, która leżała na środku tego podwórza i poszłyśmy za ojcem Rostworowskim. Na Kilińskiego 3 front był zawalony, więc wchodziło się przez bramę Kilińskiego 1, potem przez podwórze, i na samym ich końcu było wejście do tej oficyny. Tam stała grupa żołnierzy, ksiądz podszedł do nich, rozmawiał, a myśmy z Basią weszły do środka.

W lewo ciągnął się korytarz, na końcu była mała kuchenka, w której leżało trzech rannych – dwóch na łóżku, a trzeci na materacu pod oknem. Jeden był bardzo ciężko poszkodowany – to był chyba podporucznik [Stanisław Bielański] „Firlej”. Został ranny w czasie wybuchu czołgu – miał rękę na „samolocie”, całe uda obandażowane. Oprócz tego tam było też trzech Niemców. Jeden wielki podoficer, który wyglądał jak bokser wagi ciężkiej, i dwóch młodych żołnierzy. Wszyscy byli bardzo zaskoczeni pojawieniem się dwóch dziewczyn w fartuchach z opaskami Czerwonego Krzyża i noszami.

Ten Niemiec pyta nas, po co myśmy przyszły. Mówię: „Jak to po co? Przecież tu się dom pali i trzeba rannych wynieść, bo się spalą”. A on mi mówi, że nie mamy się co martwić, bo oni za chwilę zostaną rozstrzelani – to są bandyci. Mamy się wynosić, jeżeli nie chcemy mieć przykrego widoku.

Ale nie myślałam wcale kapitulować, więc zaczęłam z tym Niemcem rozmowę. Tłumaczyłam, że to są ranni spod gruzu sąsiedniego domu. A Niemiec mówi: „Tak, u was wszyscy są spod gruzu!”. Bardzo był zdenerwowany.

Miał pistolet maszynowy, podskoczył do najbliższego rannego, podsunął mu go pod twarz i mówi: „Wam to rzucali z samolotu, ty z tego strzelaleś, bo umieliście się z tym obchodzić...”.

Sytuacja była ciężka, usiłowałam w dalszym ciągu [go przekonać]... Nie bardzo mogę teraz odtworzyć, co mówiłam – co mi tylko do głowy przychodziło. To trwało długo. W każdym razie Niemca zaczęło to chyba bawić, że tak się z nim użeram. Mimo wszystko, jak tylko zbliżyliśmy się, żeby zabrać któregoś [rannego] i położyć na nosze, to mówił: „Nie!”. Nie wiedziałam, co dalej mówić, wyczerpałam wszystkie swoje argumenty i głos zaczął mi się załamywać. A Basia, która nie знаła niemieckiego, zorientowała się, że jest źle, bo po prostu nie dają rady przekonać tego Niemca, żeby nam pozwolił zabrać rannych.

Byliśmy oczywiście całe zakurzone i zabrudzone. I Basi popłynęły łzy po policzkach. On się odwrócił do niej i pyta: „Warum weinen Sie?” [Dlaczego pani płacze?]. A mnie wtedy cholera wzięła, myślę sobie: „Ty draniu, morderco! Nie będziesz widział, że my się tutaj rozczulamy, że po prostu nas zlamaleś”. I powiedziałam mu: „Co, że ona płacze? Wcale nie płacze. Tu jest dym, przecież widzi pan, że dom się pali. To od te-go dymu oczy...”. On popatrzył i zaczął się strasznie śmiać, bo tam dymu prawie nie było, tylko na zewnątrz. Obaj stojący żołnierze też zaczęli się okropnie śmiać. Zapadła chwila milczenia i raptem Niemiec skruszał [śmiejąc] – powiedział, że jesteśmy bardzo dzielne dziewczyny, on takich jeszcze nie spotkał i możemy zabrać swoich rannych.

Fragment relacji audio nagranej przez Grzegorza Kaczorowskiego 22 lipca, 20 i 27 sierpnia 2009 w Poznaniu.



FOT. OŚRODEK
KARTA / MUZEUM
POWSTANIA WAR-
SZAWSKIEGO

WITOLD BARTNICKI „WIKTOR”, „KADŁUBEK”

W konspiracji m.in. uczestnik akcji malego sabotażu, członek Grup Szturmowych Szarych Szeregów. W czasie powstania służył w batalionie „Zośka”. Jako działonowy zdobytego czołgu Pantera walczył na Woli, Starym Mieście, Śródmieściu Południowym i na Górnym Czerniakowie. Po powstaniu jeniec obozu w Sandbostel. Po wojnie wrócił do Warszawy. Zmarł w 2008 roku w wieku 83 lat.

Myśmy wtedy uważali, że dla nas nie ma rzeczy niewykonalnych – Niemcy to betka i my wykończymy każdego, kto nam wejdzie pod rękę. Co było błędem, bo oni byli doskonałymi żołnierzami. Trzeba sobie powiedzieć, że w tych lepszych oddziałach było świetnie wyszkolone wojsko, mieli też taką broń. Ich armaty przeciwpancerne były super, Anglicy czy Amerykanie nawet nie mogli o tym marzyć.

Myśmy musieli wjechać [zdobytym czołgiem] w ulicę Karolkową pod kątem, czyli byliśmy już na widelcu do strzelania, a sami jeszcze nie mogliśmy oddać strzału. Byliśmy gotowi do strzelania w jednej chwili – to znaczy, że armata była już załadowana.

Człowiek tępieje w pewnym momencie w stosunku do niebezpieczeństwa – jakoś dzieciennie nie zwraca sobie tym głowy i robi przez to dużo błędów. Ja ten ładunek metrowy – żeby go szybko załadować – wsadziłem sobie między kolana, tak że pocisk miałem na brzuchu. Ale uważałem, że po wystrzale, w jed-



• **Patrol powstańczy na ul. Jasnej, sierpień 1944 roku. Wielu walczących miało na sobie zdobyczne niemieckie hełmy i kurtki, tzw. panterki** FOT. PAP/REPRODUKCJA

nym ułamku sekundy, załaduję nowy pocisk przeciwpancerny i dmuchnę w tych Niemców. Oczywiście oni nie dali nam wyjechać. Raz, drugi ich pociski nie przebijały pancerza, ale do wewnątrz [...] te warstwy [pancerza] zostały wgniecione, z drugiej strony oderwały się od uderzenia i podziały jak odłamki. Więc pociski, które nie przebiły pancerza, zaczęły pluć w nas odławkami. Miałem ich w sobie całe multum. Oni już wiedzieli jak [sobie z nami poradzić] – trzasnęli w dół magazynu amunicyjnego po jednej stronie. Jak chlusnął ogień, to jakby nas wsadzili w zupę pomidorową – od razu było czerwono. Pierwsza rzecz palącego się to uciekać – właściwie nadrzędnym celem każdego jest uciec przed ogniem, konsekwencje są nieważne. I myśmy tak wyskakowali. Z tym że [Janek] Zenka, biedny, wyskoczył na końcu – nie mógł się wydostać, dopóki ja nie wyjdę, bo mieliśmy z tyłu jeden wjazd. Było gorąco, miał zawinięte rękawy, zasłonił trochę twarz, ale uszu nie i go popaliło – ręce miał tak popalone, że nie mógł ich rozprostować, jak leżeliśmy w szpitalu. Kierowca zdążył cofnąć czołg – on się nie zapalił, dlatego że tam automatycznie działają urządzenia gaśnicze. Ale co myśmy dostali, to dostali. Przyjechał drugi czołg i zaczął już tych Niemców prawidłowo okładać. W ten sposób potyczka skończyła się na naszą korzyść, ale myśmy pojechali do szpitala – ja na parę tygodni.

Zostałem ranny z Jankiem [Janem Zenką „Walkiem”] i „Bajanem” [Janem Myszkowskim-Bagińskim]. Najpierw zanieśli nas na punkt opatrunkowy – taka była procedura – gdzie zakładali prowizoryczne opatrunki, a potem załadowali do wojskowej karetki sanitarnej, którą jechaliśmy do przejściowego szpitala przy Gęsiówce. Tam kładli nas na łóżka. Wszyscy leżący tam na łózkach byli jak martwi – nawet nikt nie jęczał, bo byli strasznie ciężko ranni. Dopiero tam dostaliśmy zastrzyk przeciwtępcowy i stamtąd już rozwodzili nas do szpitali stacjonarnych.

Tak trafiłem do Jana Bożego [przy ul. Bonifraterskiej], który był szpitalem psychiatrycznym w czasie okupacji, ale potem gdzieś zgromadzili tych chorych w odrębnych pawilonach, a trzy czwarte szpitala przeznaczili na szpital polowy dla powstańców. [...] Zwykle na salę przychodziła siostra zakonna. Wszyscy leżeli, a ona kłęzczała i odmawiała modlitwę. A potem rozdawali nam śniadanie – po kromce, dwie chleba (nie wiem, skąd go jeszcze mieli) z marmoladą czy jakąś margaryną.

Zszedłem na dół do swojego macierzystego plutonu. Pamiętam kolegę, który miał

przestrzeloną odłamkiem stopę – czyścili mu to, a on z grymasem bólu. Patrzę, a w bramie siedzi błądy jak papier Micuta [Wacław Micuta „Wacek”] (został ranny na Stawkach). Mówię: „Wacek, co ty tu robisz?”. „Słuchaj, dawaj szybko chirurga. Mam przestrzeloną, podwiązaną dwadzieścia cztery godziny, rękę”. Ściągnąłem tego chirurga i operowali mu tę rękę gorzej czy lepiej (obie miał bardzo pokiereszowane – jedną z 1939 roku, drugą z powstania).

Nasz amunicyjny Zenka, ciężko poparzony, chodził z rękami do góry. Biedny był okropnie. W końcu nie wytrzymał, przyszedł do nas i mówi: „Słuchajcie, pokażcie mi lusterko”. Mówimy: „Coś ty! Tu nikt nie ma lusterka. Zresztą, po co ci? Jak wyzdrowiejesz, to się wtedy będziesz oglądał”. Blizny mu do końca nie zeszły z twarzy. Jedno ucho miał tak spalone, że było płaskie – zrobiło się jak blaszka. [...]

Byłem strasznie poparzony, odłamki mnie pociapały, jak się da. Nikt sobie specjalnie nie zwracał głowy starannym bandażowaniem. Odłamek obciął mi palec właściwie (tutaj paznokieć, a tutaj od tego odłamek widać draśnięcie). Przywiązali mi to i zrósł się, jak to nosiłem razem owinięte.

Jak tylko miałem okazję, to nawiałem ze szpitala do oddziału. Ale zaraz mnie odesłali z powrotem, bo przyjechałem w szpitalnym pasiaku, spodnie jak od pidżamy, w to koszula nocna wpuszczona. Wszedłem do plutonu pancernego. To już na Starym Mieście było. Tam jacyś nowi, młodzi żołnierze byli. Pamiętam „Ryk” [Zdzisław Moszczerński], ten nasz kierowca, się ucieszył. Mówi: „Kawę dla pana podchorążego!”. Oni się patrzyli, jak taki lachudra... Pan podchorąży w pasiakach. [Poszedłem] Do Micuty, potem do „Jerzego” [Ryszarda Białousa]. Spojrzeli, jak ja wyglądam, a twarz miałem okropną, skancerowaną. Powiedzieli: „Do szpitala z powrotem!”. I poszedłem znów do szpitala na dzień, więc mi to wszystko poczyścili. Wtedy te odłamki, także w kołanach, zaczęły ropieć i się paskudzić. Powiedzieli mi: „Słuchaj, tu nie ma drobnych rzeczy. Jak ci się robi gangrena, to oberżniemy ci całą rękę. Jak zrobi się w kolanie, to oberżniemy całą nogę”. [...]

Włosy miałem bardzo spalone. Lekarz mi powiedział: „Panie, jak panu dotkną wodą do tego, to będzie pan miał takie blizny, że będzie wyglądał jak morska świnka – koniec. Nie wolno wody, tylko tran czy maść tranową z dużą ilością wita-miny D, która będzie regenerowała skórę”. Pamiętam, że taka starsza sanitariuszka myła mi włosy. Mówię: „Siostró, tylko ani kropki wody, nic na to, bo nie wolno, będą blizny”. A ona: „Ale jak to? Będzie pan dumny z tych blizn”. „Siostró,

przecież kto to będzie wiedział. Wszyscy będą przeciwko mnie, będę wszystkim przeszkadzał wyglądem, nietypowością, będą mówili, że jakiś lobuz, narzeczona mu kwasem solnym mordę spaliła. Siostró, nie można takich rzeczy!” Humor mi zepsuła na cały dzień. Ale okazuje się, że jakoś te strupy zeszły. I patrzę, że pod tym wszystkim jest normalna skóra – tak że wyszedłem z normalną twarzą z tego całego interesu. Fragment relacji audio nagranej przez Jarosława Pałkę 24 listopada 2006 i 12 stycznia 2007 w Warszawie.



FOT. OŚRODEK
KARTA / MUZEUM
POWSTANIA WAR-
SZAWSKIEGO

JERZY SIENKIEWICZ „RUDY”

W konspiracji w Szarych Szeregach i w Grupie Wojsk Polskich „Edward”, która połączyła się z AK. W powstaniu walczył w Zgrupowaniu „Kryśka” na Czerniakowie, następnie w 1 Pułku Szwoleżerów na Mokotowie. Po ewakuacji kanałami do Śródmieścia obsadzał ulicę Nowogrodzką. W 1949 roku skazany na 9 lat więzienia za szpiegostwo na rzecz Amerykanów. Po wyjściu na wolność w 1954 roku pracował m.in. przy budowie Stadionu Dziesięciolecia i prowadził zakład rzemieślniczy. Zmarł w 2014 roku w wieku 87 lat.

Przyszedł 3 października. Rano oficer od „Osto” [major Marian Klimowski], powiedział nam, że kapitulujemy. Rozegraliśmy barykadę na rogu Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej. Pod nią leżał sprasowany trup Niemca (miał jeszcze hełm na głowie), po którym musiały chy-ba przejść czołgi, bo był jak placuszek – wyschnięty dosłownie na płasko. Chyba gdzieś w połowie dnia „Ostoja” mówi: „Trzeba zabezpieczyć skrzyżowanie Alej Jerozolimskich i Brackiej, żeby na stronę niemiecką nie przechodziły osoby cywilne”. I ja całą swoją watahę wzięłem na drugi koniec ulicy Nowogrodzkiej. Przez teren dawnego Café Kuczyńskich przeszliśmy w Aleje Jerozolimskie i rozciągnęliśmy linię zabezpieczającą. [...]

Linia demarkacyjna polegała na tym, że co 10 metrów stał żołnierz i nie przepuszczał cywilów na stronę niemiecką. Stałem tam kilka godzin i chyba 4 [października] zobaczyłem, jak od strony Banku Gospodarstwa Krajowego idzie grupa Niemców, w tym oficer w płaszczu skórzanym bez naramienników, wśród nich sierżant SS (Scharführer). Podchodzą do mnie i pytają, kto dowodzi tym oddziałkiem. Powiedziałem, że ja. Niemiec zasał-tował i popatrzył na moją furazerkę esesmańską. Zrobiło mu się na pewno głupio, ale nie mogłem powiedzieć mu w ten sposób: „Nasze oficerzy chcą rozmawiać z waszymi oficerami” – i dalej szła taka gwara kaszubska, że nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi. Powiedziałem w pewnym momencie po niemiecku: „Ja rozumiem po niemiecku”. Okazało się, że tych dwóch oficerów w skórzanych płaszczach chciało rozmawiać z komendantem Warszawy na temat jeńców, którzy byli w naszej niewoli – chcieli od razu wziąć ich do siebie do oddziału. Po paru minutach zorientowałem się, że rozmawiam z esesmanami z brygady [Oskara] Dirlewangera, że to są ci mordercy, którzy przyszlizli z Wilanowskiej na górę i mają swoją kwaterę główną w Muzeum Narodowym, BGK i na Foksal. Przyszedł oficer od „Osto” i mówi: „Jeżeli chcą rozmawiać, trzeba ich zaprowadzić do Palladium”.

Poprowadziliśmy ich do Kina Palladium – tam mieścił się sztab „Montera” [pulkownika Antoniego Chruściela, komendanta Okręgu Warszawa-Miasto AK, dowódcy sił powstań- cych]. Esesmani od Dirlawangera byli sto metrów od tego sztabu – na Chmielnej. Tak głęboko posunęli się w kierunku Śródmieścia. [...] Zaprowadziłem ich do Palladium. Wyszedł jakiś podpułkownik: „Panie podchorąży, proszę pokazać panom Kino Hollywood, gdzie zginęli jeńcy, których oni szukają”. I znowu tych dwóch oficerów, ja plus trzech moich kumpli z bronią, konwojowaliśmy na Hożą, gdzie w Kinie Hollywood był obóz jeńców nie- mieckich, których trafiły bomby Sztukasów. Mówiąc szczerze, między nami, żaden dirle- wangerowiec nie byłby u nas w niewoli, żaden esesman – każdy z nich szedł pod ścianę. Tak że ci dwaj oficerowie, których zaprowadziłem do Kina Hollywood, niewiele się dowiedzieli. Rozmawiali z kilkoma jeńcami, którzy jeszcze byli niewydani Niemcom – to byli urzędnicy pocztowi wzięci na ulicy Pięknej w centrali telefonicznej [...]

5 października wiemy już, że jest kapituła- cja, wychodzimy do niewoli. Rozkaz jest, by pozbyć się wszystkich części umundurowania niemieckiego. Próbuje dopasować jakieś lachy cywilne, kupuję na ulicy Kruczej za papierosy kurtkę trzy czwarte. Jednocześnie na Nowo- grodzkiej 19, w mieszkaniu dozorczy, odry- wam stopień przy drzwiach wejściowych do stróżówki i wsadzam pod niego mój pistolet maszynowy, trzy magazynki, dwa czy trzy gra- naty, niemiecką torbę meldunkową i złożoną do niej furazerkę. Następnego dnia groma- dzimy się na Kruczej. Zbieranina straszna, wyglą- damy jak najgorszego gatunku cywil- banda. Mamy tylko opaski, ja dostałem swoją od jakiegoś żołnierza z batalionu „Belt”, który tam stał, bo miałem tylko biało-czerwony proporczyk na furazerce.

Przemawia krótko major „Ostoja”. Widzę go do dziś – w polskim zniszczonym mundu- rze. Pada komenda „Maszerować!”. Na pla- cyku przy Żurawiej trzeba oddać ciężką broń – oddajemy granatnik MG 42 i PIAT-a. Nikt nie ma pistoletu ręcznego, wszy-scy pomeli- nowali broń krótką – owszem, są karabiny, od czasu do czasu trafi się pistolet maszynowy. Przechodzimy barykadę na ulicy Śniadeckich, która zamyka ją na plac przed Politechniką. Wychodzimy na obszar, który jest niczyj. Niemcy są do-piero przy szpitalu Józefa Piłsudskiego, w głębi ulicy 6 Sierpnia. Przy nim leży przewrócony tramwaj, obok działo PaK-40 (czyli Panzerabwehrkanone) z obsadą i rząd żołnierzy Wehrmachtu. Wśród konwo- jujących nie ma ani jednego esesmana. [...]

Marsz w kierunku Ożarowa szosą poznań- ską odbywa się spokojnie. Po obu stronach drogi idą żołnierze Wehrmachtu, nie ma ani jednego esesmana – ludzie, widać, z drugie- go rzutu, bo gdzieś tak od czterdziestu do pięćdziesięciu lat. Spokojni, bez żadnych krzyków, wrzasków, strzelania, popędzania kolbą. Kolumna się przemieszcza – właściwie to nie idzie kolumna, a kilka tysięcy ludzi. Wybrałem się na tę niewolę jak na wycieczkę – nie wziąłem ani miski, łyżki, koca. Miałem tylko na sobie kurtkę i prze-ciwdeszczowy płaszcz niemiecki motocyklisty, bo padał deszcz (liczyłem, że wyrzucę go po prostu, jak zmoknę). Wbrew zakazo-wi, że nie wolno nosić niemieckiego umundurowania. Miałem jeszcze cyklistówkę – wyglądałem zupełnie jak ostatnia ofiara.

I nie wiem, co będę robił – nie mam po- jęcia, nie jestem nastawiony na ucieczkę... Idę z rękami w kieszeniach, w jednej mam pół litra wódki, które dali mi koledzy, żeby przenieść, bo po prostu mieli tych półlitrówek więcej. Nie mam nic do żarcia. Jak się później okazało, idziemy do fabryki kabli w Ożarowie. Ale ja nie wiedziałem o tym.

Jest 5 października. Robi się lekki zmrok, pogoda fatalna – mży deszcz. Szosa do Poznania jest asfaltowa, ale po prawej stronie jest cały odcinek miękkiej drogi, po którym jadą wozy chłopskie z ludźmi, którzy wracają

z kopania buraków, ziemniaków. Na nich jest cała kupa naci ziemniaczanych czy buracza- nych. Idę przy jednym z nich, trzymając się kłonicy – tej części wozu, która wystaje. War- townicy idą po rowie między wozem a brze- giem drogi, czyli między mną a wozem nie ma żadnego wartownika. W pewnym momencie mówię do woźnicy: „Możesz mi dać lejce? Umieć powozić”. On mówi: „Nie, panie, boję się”. Mówię: „Daj lejce, dam ci parę dolarów”. Ten parobek mówi: „Panie, boję się”. Na wozie siedzą trzy dziewczyny i one mówią do niego: „Daj mu lejce! Czego się boisz?!” Szybko zry- wam płaszcz niemiecki, jedną ręką wypycham go między te nacie i biorę lejce od chłopaka. W pewnym momencie kolumna skręca do fabryki kabli, a ja powożę konie i jadę prosto.

Nie potrafię powiedzieć, jak daleko żeśmy odjechali od fabryki, ale musiało to być oko- ło kilometra. Skręciliśmy w prawo w pole i dojechaliśmy do gospodarstwa. Wszedłem do biednej izby. Była kuchnia, palił się ogień. Usiadłem na zydłu, wyciągnąłem pół litra wódki i mówię: „Może macie ochotę się napić?”. Przyszły te dziewczyny, które przyje- chały wozem. Na miejscu była jakaś starsza pani koło pięćdziesiątki. Wypiliśmy pół litra wódki, a ja zrobiłem największe głupstwo – patrzyłem tak na ten ogień i wrzuciłem do niego legitymację Armii Krajowej, dochodząc do wniosku, że lepiej przy sobie jej nie mieć. Ale jak się okazało, w kieszeni miałem biało- czerwona opaskę faceta, który mi sprzedał tę kurtkę, a która była przygnieciona rękawicz- kami. I ja z tą opaską następnego dnia wę- drowałem do Błonia [śmiech]. Oni nawet nie mieli gdzie mnie położyć, zresztą nie próbo- wałem – poszedłem spać do stodoły. Położy- łem się na sianie ubrany, nie ściągałem nawet butów. Przyszedł ten mój parobek i mówi: „No, daj pan te dolary”. Na odczepnego dałem mu okupacyjne 100 złotych. Pokręcił głową i poszedł sobie.

Doczekałem świtu, strząsnąłem całe siano z ubrania i wyszedłem na dwór. To był najpiękniejszy dzień w moim życiu – nie słyszałem huku armat, nikt do mnie nie strzelał, nic nie waliło mi się na głowę. Był piękny poranek, dość ciepło, daleko gdzieś tam na wschodzie bulgotały wystrzały armat- nie. Niemcy walczyli z Rosjanami na brzegu Wisły, a ja byłem wolny. Nie zastanawiałem się ani chwili – wyszedłem na pustą szosę. Do obozu było około półtora kilometra, bo sły- sząłem mrowienie tych ludzi tam (tysiące ludzi się budziło i próbowało coś zjeść albo wypić). Włożyłem ręce do kieszeni, zacząłem masze- rować w kierunku Błonia. Nie szedłem szosą, a ścieżką przy niej. Nie widziałem nawet wielu samochodów – od czasu do czasu jakiś prze- jechał. Chłopi jeździli furmankami, toczyło się normalne życie. Tam było piekło, trupy, polegli, a tu ludzie żyli normalnie, tak jak całą okupację. Szok kompletny, człowiek narodził się na nowo. ●

Relacja audio nagrana przez Dominika Czapigę 10, 15, 23, 29, 31 stycznia, 5 i 8 lutego, 13, 17 i 25 czerwca oraz 15 lipca 2008 w Warszawie.



Powstanie warszawskie. Historie mówione

Wybór i opracowanie Dominik Czapigę
Wydawnictwo Karta

Okruchy historii

Zapomniana powieść Nałkowskiej

Płacz ofiar wszystkich ludobójstw jest do siebie podobny. Z pozoru nudny budzi irytację osób przyglądających mu się z boku.

Motyka



„Choucas. Powieść internacio- nalna”, to mało znany utwór Zofii Nałkowskiej powstały na bazie jej obserwacji poczynionych podczas pobytu w szwajcarskim kurorcie Leysin-Feyday. Wydany po raz pierwszy w 1927 roku, został jeden jedyny raz wznowiony w 1960, lecz z usuniętymi fragmentami na temat polityki Związku Sowieckie- go. Sięgnąłem po „Choucas”, gdy wyczytałem, że to rzadki w polskiej literaturze głos na temat ludobój- stwa Ormian.

Akcja powieści rozgrywa się w szwajcarskim hotelu, przez któ- ry przewijają się międzynarodowi goście, szukający zdrowia i odpoc- czynku. Codzienną rutynę ubarwia dokarmianie ptaków (w tym tytu- łowych choucas, czyli kawek) oraz spotkania i rozmowy z innymi pen- sjonariuszami. Ludobójstwo Or- mian w powieści w syntetycznej pigułce przedstawia pani Hovse- phian, której rodzinę wymordowa- no. Podając gościom w eleganckich filiżankach turecką kawę, opowia- da o krwawych pogromach ludno- ści ormiańskiej z końca XIX wie- ku, które znała jedynie z opowie- ści usłyszanych w dzieciństwie. A także o wymordowaniu 1,25 mln Ormian w czasie I wojny świato- wej, co działo się już na jej oczach. Część osób zamordowano na miej- scu – na ulicach, rynkach, w mieszkaniach. Większość Ormian zosta- ła deportowana: „Całe miasta ar- meńskie, całe wojska widm, ca- łe zastępy, mających umrzeć, gna- no przez bagna i pustynie szla- kami, wzdłuż których gniły trupy tych, którzy poszli dawniej”. Peni- yrian, kupiec z Konstantynopola, do wojny posiadający domy handlo- we w całej Turcji, w czasie ludobój- stwa stracił cały majątek i w Szwaj- carii ledwo wiąże koniec z końcem. A przecież i tak należy do szcze- śliwców, bo udało mu się przeżyć. To on odczytuje zebrany roz- kaz tureckiego ministra spraw we- wnętrzych skierowany do zarząd- cy jednego z miast: „Tylko suro- wość i sprawność, jaką Pan zasto- suje w wyprowadzeniu deportowa- nych, da pożądaną przez nas wy- nik. Proszę jednak przedsięwziąć środki, by trupy nie leżały na dro-

gach. Listy zgonów, przesłane nam ostatnio, nie są zadowalające”.

Inna Ormianka, piękna Sosse, zdołała zbiec do Grecji, gdzie przez dłuższy czas z innymi uciekiniera- mi mieszkała w loży teatru miejskie- go w Atenach. Rzeź pochłonęła tylko część jej rodziny, lecz doświadcze- nie traumy sprawia, że w Szwajca- rii całymi dniami nie wstaje z łóżka. W dzień odwiedzają ją licznie zna- jomi, lecz nocą zostaje sama ze swo- imi nerwicami. Pocięchy szuka w re- ligii. Wezwanie „Ulżyj cierpiącym” staje się jej najważniejszą intencją modlitewną. Przekonuję narratorkę, że „Bóg nie może dawać zwycięstwa jednemu narodowi w walce z dru- gim narodem. Ja myślę, że o to pro- sić nie wolno, nie trzeba”.

W szwajcarskim kurorcie nale- ży zachowywać dobre maniery, jed- nak na wzajemne relacje co rusz nakładają się narodowościowe ste- reotypy. Hiszpan Carrizales twar- do opowiada się za prowadzeniem przez swój kraj zbrojnej interwen- cji przeciwko Marokańczykom, jej kres może wyznaczyć jego zdaniem tylko złamanie „niepojętego opo- ru tamtych”. Z kolei Francuz Ver- dy „myślał zupełnie poważnie”, jak czytamy, iż „Niemcy są jacyś in- ni, że są gorsi od wszystkich ludzi na świecie”. Sympatyzuje z Polską, bo dostrzega w niej państwo, które może pomóc Francji w konflikcie z Niemcami. Nałkowska stara się zdystansować wobec tych narodo- wych uprzedzeń, z pobytu w Szwaj- carii „wśród ludzi mówiących róż- nymi językami”, wyniesie przeko- nanie, że „więcej między nimi by- ło rzeczy podobnych niż niepodob- nych”. I że to te pierwsze były „do- prawdy – najważniejsze”. Ale 20 lat później napisze „Medaliony”, z któ- rych wynika, że Niemcy w czasie II wojny postępowali tak, jakby chcie- li potwierdzić wszystkie stereotypy pana Verdy.

„Jeden naród nie powinien uci- skać drugiego, prawda?” – często po- wtarcza pani Hovsephian, lecz jej mo- ralne podejście do relacji międzyna- rodowych budzi głównie uśmiech pobażania. Słuchając jej wynurzeń Francuzka Carefor nie potrafi się po- wstrzymać przed wygłoszeniem ty- leż kąśliwej, co ponadczasowej uwa- gi: „Ci Armeńczycy są wreszcie nie- znośni. Oni zanudniają wszystkich swymi nieszczęściami”. Cóż, płacz ofiar wszystkich ludobójstw jest do siebie podobny. Z pozoru nudny i przewidywalny budzi irytację osób przyglądających mu się z boku. Czy naprawdę jednak to groby przeska- dzają w robieniu interesów? A może tego typu opinie mają jedynie uko- ić niepokój naszego rozleniwionego sumienia? ●

Prof. Grzegorz Motyka

– historyk, po- litolog, pracow- nik Instytutu Studiów Poli- tycznych PAN

GORZKA SŁAWA EVELYN NESBIT

25 czerwca 1906 roku podczas spektaklu w teatrze w Madison Square Garden elegancki mężczyzna we fraku podszedł nagle do stolika architekta Stanforda White'a i go zastrzelił. Widzowie sądzili, że to element fabuły, tylko Evelyn Nesbit wiedziała, co się dzieje.

Iwona Słabuszewska-Krauze

Zanim stała się ikoną epoki, boginią seksu, Marilyn Monroe swoich czasów i pierwszą amerykańską top modelką, znany artysta Charles Dana Gibson narysował tuszem jej profil z włosami ułożonymi w znak zapytania i zatytułował go „The Eternal Question” (odwieczne pytanie). Wkrótce potem Evelyn Nesbit była wszędzie – na chromolitografiach, kartach tytoniowych, lusterkach kieszonek i pamiątkach, okładkach magazynów takich jak „Harper's Bazaar” czy „Vanity Fair”, w reklamach, na plakatach i w kalendarzach. Uwieczniali ją fotografowie, malarze i rzeźbiarze. Smukła, eteryczna, miedzianowłosa piękność z Filadelfii rozpalała wyobraźnię mężczyzn i ustanawiała kanon urody dla kobiet.

Jej życie to opowieść o Kopciuszku, który z dnia na dzień stał się znany, bogaty i pożądanym. Ale też historia kobiety, która padła ofiarą wiktoriańskiej podwójnej moralności i stała się marionetką w świecie mężczyzn. Losy Evelyn Nesbit bacznie śledziła opinia publiczna, głodna prywatnego grzechu i publicznego skandalu, w którym przeplatały się seks, przemoc, miłość i obsesja.

Pisarz Mark Twain, który znał zastrzelonego Stanforda White'a, tak pisał o nim w swojej autobiografii: „Nowojorskie towarzystwo wiedziało od lat przed incydem, że żonaty White gorliwie, pilnie, żarłocznie i bezlitośnie polował na młode dziewczyny aż do ich zguby. Fakty te były dobrze znane w Nowym Jorku od wielu lat, ale nigdy nie zostały otwarcie ogłoszone aż do teraz. Na sali sądowej wypełnionej mężczyznami Evelyn Nesbit opowiedziała historię pościgu White'a za nią aż do szczegółów jego strasznego zwycięstwa – zwycięstwa, którego szczegóły można by uznać za nie do druku...”.

DOLAR ZA POZOWANIE

Evelyn Nesbit urodziła się 25 grudnia 1884 roku w Tarentum, małej wiosce w Pen-



• Evelyn Nesbit (1884-1967), aktorka, tancerka, modelka i celebrytka FOT. GETTY IMAGES

sylwanii. Jej matka Florence zajmowała się domem i dwójką dzieci, ojciec Winfield Scott Nesbit był prawnikiem. Evelyn miała z nim dobrą relację, podsuwał jej książki, a kiedy zainteresowała się muzyką i tańcem, zachęcił ją do brania lekcji. Po raz pierwszy wystąpiła publicznie w wieku pięciu lat podczas mszy żałobnej w kościele. Zanim piosenka dobiegła końca, wszyscy wierni plakali ze wzruszenia.

Gdy miała 11 lat, ojciec nagle zmarł. Pozostawił rodzinę z długami i bez środków do życia. Matka starała się zarobić, szyjąc, ale wkrótce stracili dom, a ich dobytek został zlicytowany.

W 1899 Nesbitowie przeprowadzili się do Filadelfii, gdzie Florence znalazła pracę w domu towarowym Wanamaker. Wkrótce zaczęły w nim pracować też 15-letnia Evelyn i jej młodszy o dwa lata brat Howard. To właśnie tutaj na Evelyn zwróciła uwagę lokalna artystka i zaproponowała pozowanie. Evelyn zarobiła wtedy jednego dolara, co było całkiem niezłą zapłatą. „Kiedy zobaczyłam, że mogę zarobić więcej pieniędzy, pozując jako modelka, niż u Wanamakera, nie dałam matce spokoju, dopóki nie pozwoliła mi pozować dla utrzymania się”, wspominała.

Rok później Florence z dziećmi przenieśli się do Nowego Jorku. Evelyn – z listami polecającymi od artystów z Filadelfii, dla których pozowała. Rekomendacje pozwoliły jej nawiązać kontakt z największymi nazwiskami nowojorskiego świata artystycznego i szybko stała się jedną z najbardziej pożądanymi modelek. Można powiedzieć, że była zapowiedzią nadchodzących zmian. Ameryka jedną nogą tkwiła wciąż w epoce Gilded Age (poziłanego wieku), w której powstały wielkie fortuny Astorów, Vanderbiltoów, Fordów, Rockefellerów, Hearstów, Morganów,

a obyczajowo była odpowiednikiem sztywnej angielskiej epoki wiktoriańskiej, ale drugą nogą wkraczała już w liberalne lata początku XX wieku. Evelyn z jednej strony była uosobieniem niewinności i purytańskiej czystości, ale wносиła do pozowania świeżość, entuzjazm i, jak pisze jej biografka Paula Uruburu, „jej urzekający uśmiech obiecywał coś nowego i zakazanego”.

Współpracowała ze światowej sławy fotografem Ottomem Saronym, piktoralistą Rudolfem Eickemeyer, pionierem fotografii modowej Joelem Federem i malarzami tej klasy co James Carroll Beckwith. Pozowała do witraży artystycznych – anioły w wielu kościołach w Nowym Jorku mają jej twarz. Chętnie uwieczniano Evelyn w kostiumach – greckiej bogini, nimfy leśnej, Cyganki, gejszy, owijano ją w półprzezroczyste tkaniny i luźno spływające szale. Była podatna na komplementy i cieszyła się zainteresowaniem. Miała zaledwie 15 lat, a jej zarobki szybko osiągnęły pułap osiągany razem z matką i bratem w Wanamaker. De facto wkrótce stała się jedyną żywicielką rodziny.

Jej popularność zwróciła uwagę łowców talentów, którzy uzupełniali zespół rewiowy. W maju 1901 roku Evelyn spotkała się z Johnem C. Fisherem realizującym sztukę „Florodora” wystawianą przez długi czas w Casino Theatre na Broadwayu. Spodobała się i przebrana za „hiszpańską pannę” dołączyła do chóru. Aktorki i chórzystki były znacznie starsze od Evelyn, ale dość szybko wprowadziły ją w artystyczny światek żyjący w rytmie przedstawień i nocnych przyjęć. Zyskała przydomek „Little Sphinx”. Awansowała – dostała rolę mówioną i stała się gwiazdą w mieście. Regularnie zaczęła się pojawiać w plotkarskich rubrykach i periodykach teatralnych tamtych czasów.

ARCHITEKT NOWEGO JORKU

Stanford White wypatrzył Evelyn we „Florodorze” i, wykorzystując wspólną znajomą, aktorkę Ednę Goodrich, zaprosił ją na kolację do swego apartamentu. Nie mogła odmówić – zapraszał ją czołowy architekt Nowego Jorku. White projektował budynki użyteczności publicznej, sakralne, prywatne rezydencje bogaczy, które wciąż stoją na Manhattanie i Long Island. Wśród jego projektów są Madison Square Garden (gdzie potem zginął), sklep Tiffany'ego, Łuk Washington Square i wiele innych. Sam mieszkał w kilkupiętrowym apartamencie, do którego wchodziło się przez sekretne wejście wtopione we front sklepu z zabawkami. W apartamencie był między innymi pokój w całości wyłożony lustrami i salon z podwieszoną pod sufitem huśtawką oplecioną bluszczem i wyłożoną aksamitem. W czasie procesu po morderstwie White'a prasa nazywała Evelyn „dziewczyną na czerwonej, aksamitnej huśtawce”.

Architekt wydał się Evelyn „straszenie stary”, niemniej wzbudził jej zaufanie. Wkrótce wynajął dla niej luksusowy apartament i zaczął wspierać finansowo matkę Evelyn. Florence była White'em zachwycona, zwłaszcza gdy opłacił Howardowi drogę studia w Chester County Military Academy. Różnica wieku, która dzieliła jej 16-letnią córkę i 47-letniego mężczyznę, jej nie przeszkadzała ani to, że miał żonę i syna oraz był znany bohemie z dolnego Manhattanu.

Kiedy Florence wyjechała do przyjaciół w Pittsburghu, White skorzystał z okazji i zaprosił Evelyn na przyjęcie do swego mieszkania, na którym, jak się okazało, dziewczyna była jedynym gościem. Po kolacji pokazał jej pokój, w którym stała duża kanapa, i poprosił, by przebrała się w satynowe kimono za 3 tys. dol. – prezent od niego. Potem poczęstował szampanem, do którego – najprawdopodobniej – dosypał narkotyku. To był ostatni szczegół, który Evelyn zapamiętała. Następnego dnia obudziła się naga w łóżku obok również nagiego White'a i zdała sobie sprawę, że została zgwałcona. White nakazał jej milczenie, a potem zdeorientowaną i przerażoną odwiózł do domu.

W ZŁOTEJ KLATCE Z SZALEŃCEM

White, choć zgwałcił Evelyn, nadal był zawsze w jej pobliżu jako sponsor, doradca, stróż i dobroczyńca. Kiedy o względy dziewczyny zaczął zabiegać niewiele od niej starszy John Barrymore, gotowy ją poślubić, White razem z Florence interweniowali. Matka uznała, że ubogi grafik nie jest godny ręki jej córki, a White umieścił dziewczynę w odległej szkole z internatem. Wkrótce jednak pojawił się mocniejszy rywal – syn bogatego przemysłowca Harry Kendall Thaw. Miał etykietę pijaka, był uzależniony od kokainy i przejawiał skłonność do sadystycznych zachowań. Zabroniono mu wstępu do wielu elitarnych stowarzyszeń, Evelyn nie była jednak tego świadoma.

Wynajął detektywów, aby ją śledzili, a sam pojawiał się na wszystkich jej przedstawieniach, „The Wild Rose” obejrzał 40 razy. Obdarowywał ją drogiymi prezentami – kupił jej m.in. pianino. Był obsesyjnie zazdrosny, trzy razy się oświadczał. Wreszcie za zgodą matki

zabrał Evelyn w podróż po Europie. Tam zamknął ją w zamku w Bawarii. Przez kolejne dwa tygodnie znęcał się nad nią i molestował, jednocześnie wyznając miłość.

Przy czwartych oświadczeniach obiecał Evelyn, że po ślubie będzie żyć jak „mnich benedyktyński” i wyzbędzie się złych nawyków. Thaw był milionerem, a Evelyn desperacko chciała uciec od ubóstwa zaznanego z dzieciństwa. Sądziła też, że ze swoją reputacją nie ma szans na porządnego kandydata na męża. Mimo obaw wyszła za Thawę, ale przedtem wyznała mu całą prawdę o związku z White’em, także o gwałcie. Od tamtej pory Thaw nazywał White’a „bestią” i go nienawidził.

Pobrali się 4 kwietnia 1905 roku. Evelyn uciekla od niepewnego losu kobiety „zbrukanej” i dała się zamknąć w złotej klatce. Wybrała uświęcone małżeństwo, ale z szaleńcem.

ŻER DLA BRUKOWCÓW

W upalny czerwcowy dzień Thaw zaprosił Evelyn na nowe przedstawienie w Madison Square Theatre. Zebrała się tam nowojorska śmietanka, także Stanford White. Thaw ubrał się w smoking i czarny płaszcz. Pod koniec przedstawienia stanął przed White’em i wyjął spod płaszcza rewolwer, strzelił mu trzy razy prosto twarz. Potem wykrzyknął: „Zrobiłem to, bo zrujnował moją żonę!”.

Po śmierci White’a i przesłedzeniu przez prasę jego życia okazało się, że żonaty architekt wykorzystywał seksualnie wiele nieletnich kobiet, zwłaszcza znajdujących się w trudnej sytuacji społecznej i finansowej. Gustował również w młodych chłopcach, a ponadto należał do kręgu mężczyzn z Union Club, który organizował tajne orgie. W klubie byli finansisci, maklerzy giełdowi, handlarze antykami, pasjonaci fotografii i sztuki, udziałowcy w największych amerykańskich firmach.

Sprawa morderstwa White’a zostało okrzyknięte „procesem stulecia”. Towarzyszył jej tak wielki rozgłos, że ława przysięgłych po raz pierwszy w historii amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości została odizolowana. Uważa się, że właśnie ten proces w największym stopniu przyczynił się do rozkwitu tabloidowego dziennikarstwa w Stanach.

Harry Thaw był przedstawiany w prasie jako mężczyzna broniący honoru swojej żony, a purytańska Ameryka chętnie widziała w nim superbohatera, który zadośćuczynił sprawiedliwości. On sam uważał się za hero-sa, który uwolnił Nowy Jork od „bestii” polującej na niewinne dziewczęta. Evelyn zeznawała na korzyść męża. Trudno powiedzieć, czy go w swoim sumieniu uniewinniła, czy przemówiła do niej spora kwota, którą miała dostać od teściowej w zamian za korzystne zeznania. Podczas procesu została zmuszona, by przed grupą mężczyzn w sali sądowej opisać traumatyczne przeżycie z wieczoru spędzonego w apartamencie White’a oraz podać wszelkie szczegóły z ich intymnego pożycia. Prasa nigdy wcześniej nie weszła tak agresywnie w czyjeś życie. Artykuły były tak obszerne, że prezydent Theodore Roosevelt potępił skłonność do drukowania „obrzydliwych szczegółów” ujawnianych podczas przebiegu procesu.

Matka Evelyn w czasie kolejnych rozpraw nie zapewniła córce żadnego wsparcia. Brat

Howard, który traktował White’a jak ojca, jawnie obwiniał siostrę o jego śmierć.

Tymczasem matka oskarżonego Thawę opłaciła zespół psychiatrów, którzy orzekli jego chwilową niepoczytalność. Został umieszczony w szpitalu dla psychicznie chorych. Miał tam wszelkie wygody, godzono się nawet na dostawę szampana do celi, którego spożywał przy stole nakrytym białym obrusem.

UCIECZKA ZA OCEAN

„Skandal stulecia” dla brukowców okazał się maszynką do robienia pieniędzy. A dla Evelyn skończył się tragicznie, jak pisze jej biografka, „niemal tak szybko, jak jej gwiazda weszła, pierwsza amerykańska supermodelka, bogini seksu i prawdziwa celebrytka padła ofiarą tej samej kultury, która ją stworzyła i pochłonęła”.

Wkrótce się okazało, że Evelyn jest w ciąży. Wyjechała do Niemiec, by urodzić syna z dała od dziennikarzy. Russell William Thaw przyszedł na świat 25 października 1910 roku. Thaw senior nigdy dzieckiem się nie interesował, niełożył na jego utrzymanie. W 1913 roku uciekł do Kanady, dwa lata później uwolniono go od zarzutów. Evelyn się z nim rozwiódła.

W 1916 roku wyszła powtórnie za mąż za Jacka Clifforda, swego partnera tanecznego z filmu. Po dwóch latach jednak uznał on, że nie jest w stanie dźwigać sławy swojej małżonki, i para się rozeszła.

Thaw był później zamieszany w inne afery, oskarżono go m.in. o wykorzystanie nieletniego boya hotelowego, którego godzinami smagał pejczem. Nigdy nie zapłacił za swoje przestępstwa. Evelyn śledził jeszcze wiele lat po ich rozstaniu. Kiedy zmarł w 1947 roku, otrzymała 1 procent jego majątku.

TWARZ ANI Z ZIELONEGO WZGÓRZA

Przez resztę życia starała się uwolnić od niezawinionej złej sławy. Zagrała w kilku-nastu filmach, w sześciu wystąpiła razem z synem. Prowadziła herbaciarnię, zajmowała się rzeźbą – podjęła studia w Grant Beach School of Arts and Crafts, a po ich ukończeniu w 1952 roku uczyla rzeźby i ceramiki. Jej syn Russell został cenionym pilotem.

Zmarła 17 stycznia 1967 roku w domu spokojnej starości w Santa Monica w wieku 82 lat. Została pochowana w Kalifornii.

Inspirowała twórców i artystów także po śmierci. Powstała o niej wiersze, sztuki teatralne i książki. Pisarka Lucy Maud Montgomery obdarowała wyglądem Evelyn główną bohaterkę swoich książek, idolkę nastolatek Anię Shirley. W 1955 powstał film „Dziewczyna na czerwonej aksamitnej huśtawce”, który jednak zakłamuje prawdę mimo współpracy Evelyn przy produkcji. Powieść „Ragtime” E.L. Doctorowa zawierającą wątek dotyczący morderstwa White’a zaadaptowano na film i musical. Fotografii z wizerunkiem Evelyn przechowują muzea m.in. National Portrait Gallery w Waszyngtonie i National Museum of American History, gdzie można zobaczyć jedno z najbardziej znanych zdjęć Evelyn śpiącej na puszystej skórze niedźwiedzia. ●

Korzystałam z artykułów Pauli Uruburu, wspomnień „Tragic Beauty: The Lost 1914 Memoirs of Evelyn Nesbit” Deborah Paul.

Historia krzepi

Coś w rodzaju rewolucji

Po przewrocie majowym polski parlament funkcjonował tak, jakby państwo w ogóle nie przeżyło zamachu stanu.



Dzisiaj, kiedy wiemy, jak Józef Piłsudski rządził Polską w latach 1926-1935, aż trudno uwierzyć, że po zamachu majowym kraj zastygł w oczekiwaniu na rewolucję polityczną i społeczną. Socjalistyczna i ludowa lewica, która entuzjastycznie poparła marszałka w czasie przewrotu, żądała „natychmiastowego rozwiązania sejmu i senatu” i „utworzenia rządu robotniczo-włościańskiego”.

Radykalny program głosili też pil-sudczycy z niepartyjnego zaplecza wodza. Wydawane od 22 maja 1926 „Nakazy Chwili”, redagowane przez ideologa obozu, Adama Skwarczyńskiego, grzmiały: „Marszałek Piłsudski Prezydentem Rzeczypospolitej. Niezwłoczne rozwiązanie sejmu i senatu i rozpisanie nowych wyborów. Uzdrowienie administracji państwowej. Energiczne i zdecydowane tępienie przez prokuraturę i sądy zlodziejstwa, paskarstwa i korupcji. Wola zwycięstwa, wiara, że Demokracja i Moralność odniosły w Polsce ostateczny i decydujący triumf.”

Zwrot wydawał się tak realny, że prawicę ogarnął strach przed radykalnymi zmianami. Przebiegał z tekstów polityków i publicystów. Pełne go były diariusze i prywatne listy. Zwłaszcza ziemianie bali się reformy rolnej, szybkiej i bez odszkodowania. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

To entuzjastów „nowej Polski” czekał bolesny zawód. Jak mydlana bańka prysły lewicowe plany utworzenia „rządu robotniczo-włościańskiego”. Nowy gabinet, pod kierownictwem liberała Kazimierza Bartla, został skompletowany z polityków i ekspertów o centrowych przekonaniach. Szybko też porzucono najhałaśliwiej głoszone żądanie rozwiązania sejmu. Piłsudski oświadczył 25 maja 1926: „Zrobiłem jedyny w swoim rodzaju fakt historyczny, coś w rodzaju rewolucji bez żadnych rewolucyjnych konsekwencji”.

Parlament funkcjonował tak, jakby państwo nie przeżyło zamachu stanu. Na opróżniony po dymisji Stanisława Wojciechowskiego urząd prezydenta posłowie i senatorowie wybrali 31 maja 1926, znaczną większością głosów, Piłsudskiego. Zagłosowały za nim także partie centrowe, tworzące obalony gabinet Witosza. Kiedy marszałek nie przyjął wy-

boru, prezydentem został wskazany przez niego Ignacy Mościcki.

Działo się tak dlatego, że celem Piłsudskiego było stabilizowanie państwa, a nie wdrażanie, jak sam mówił, „eksperymentów ustrojowych”, zwłaszcza socjalnych. Świadczył też o tym kształt noweli konstytucyjnej. Jej rządowy projekt, przesłany do sejmu 17 czerwca 1926, wzmacniał pozycję prezydenta i rządu kosztem uprawnień sejmu i senatu.

Podczas prac nad nowelizacją doszło do zaskakującej zmiany aliansów. Marszałek sejmu Maciej Rataj opisał to w diariuszu tak: „Projekt rządowy zmiany konstytucji wprowadził lewicę w nowy, duży kłopot, szedł bowiem po linii dawnych życzeń i projektów centrum i prawicy, określanych dotąd na lewicy krótko: »reakcja, faszyzm«”. Za to: „Prawica powitała inicjatywę rządu z całą życzliwością, żałując tylko, że nie poszedł dalej i głębiej.” Rataj odnotował ciekawą opinię endecka. „Jeżeli w maju dokonano zamachu, rozlano krew – argumentował wróg Piłsudskiego – to niech przynajmniej Polska na tym zyska, niech otrzyma dobry ustrój.”

Prawica gotowa była nawet pójść dalej we wzmocnieniu władzy wykonawczej. Zablokowała to lewica, widząc w tym osłabienie demokracji. Jej zdecydowany opór sprawił, że ostateczny tekst niewiele różnił się od projektu rządowego. Nowelizacji dokonano 2 sierpnia 1926, głosami posłów partii prawicowych i centrowych, przypomnijmy – tworzących rząd obalony przez zamach. Zmianę poparli też lewicowi ludowcy ze Stronnictwa Chłopskiego i PSL-Wyzwolenia. Przeciwko głosowała PPS, część mniejszości narodowych i komuniści.

Nowe przepisy pozwalały prezydentowi rozwiązać parlament przed upływem kadencji. Jeśli w ciągu 4 miesięcy nie uchwalono budżetu, prezydent mógł ogłosić projekt rządowy budżetu jako ustawę. Prezydent zyskał też prawo do wydawania rozporządzeń z mocą ustaw. Wniosek o wotum nieufności dla rządu nie mógł być głosowany na tym samym posiedzeniu, na którym został zgłoszony, co dawało rządzącym czas na skontrowanie ataku opozycji.

Dzięki temu wzmocnieniu władzy wykonawczej państwo mogło działać sprawniej, solidniej i stabilniej. Warto ten moment odnotować, bo był ostatnim akordem wspólnego działania, podyktowanego interesem Rzeczypospolitej. Później rywalizacja pomiędzy zwalczającymi się obozami coraz bardziej przybierała na sile, zamieniając się w latach 30. w wojnę na śmierć i życie. ●

weekendówka

WIATR
WE WŁOSACH

Pamiętacie kabriolet Thelmy i Louise z kultowego obrazu Ridleya Scotta? Susan Sarandon i Geena Davis jechały przez Oklahomę, Nowy Meksyk i Arizonę wspaniałym Fordem Thunderbird rocznik 1966.

Albo czerwony Chevrolet Impala w wersji cabrio z “Las Vegas Parano”, towarzysz szalonych tripów Raoula Duke’a (Johnny Depp) i Dr. Gonzo (Benicio del Toro). Buicka Roadmastera z 1949 roku, którym podróżowali w “Rain Manie” Dustin Hoffman i Tom Cruise, ten pierwszy kupił po zakończeniu zdjęć, a kilka lat temu wystawił na sprzedaż. Za ile kupił to cacko? Nie wiadomo, ale wiadomo, że poszło na aukcji 27 stycznia 2022 roku. za 335 tys. dol.

W naszym przeglądzie nie może zabraknąć czarnego Ferrari Daytona Spyder 365 GTS/4, którym po Miami jeździł James “Sonny” Crockett (Don Johnson) w “Miami Vice” oraz Cadillaca Coupe de Ville Cabrio z 1964 jego partnera Ricardo “Ricco” Tubbsa. Choć po prawdzie te “Spydery” udawały Corvetty, jako że Ferrari nie zgodziło się wypożyczyć oryginałów do serialu.

Czemu wzięło nas na te filmowe wspominki? Bo to właśnie czas podróżowania autami bez dachu. Sezon cabrio w Polsce oficjalnie już trwa w najlepsze, za nami choćby charytatywny Rajd Cabrio, ale w kalendarzu pod datą 1 sierpnia czytamy, że to Międzynarodowy Dzień Cabrio.

Pierwsze auta generalnie nie miały dachu, a sama nazwa kabriolet pochodzi z francuskiego cabrioler, podskakiwać, co odnosiło się początkowo do dwukółowego powozu ciągniętego przez jednego konia, ale z czasem kabriolet zaczął być synonimem luksusu, ale i wolności.

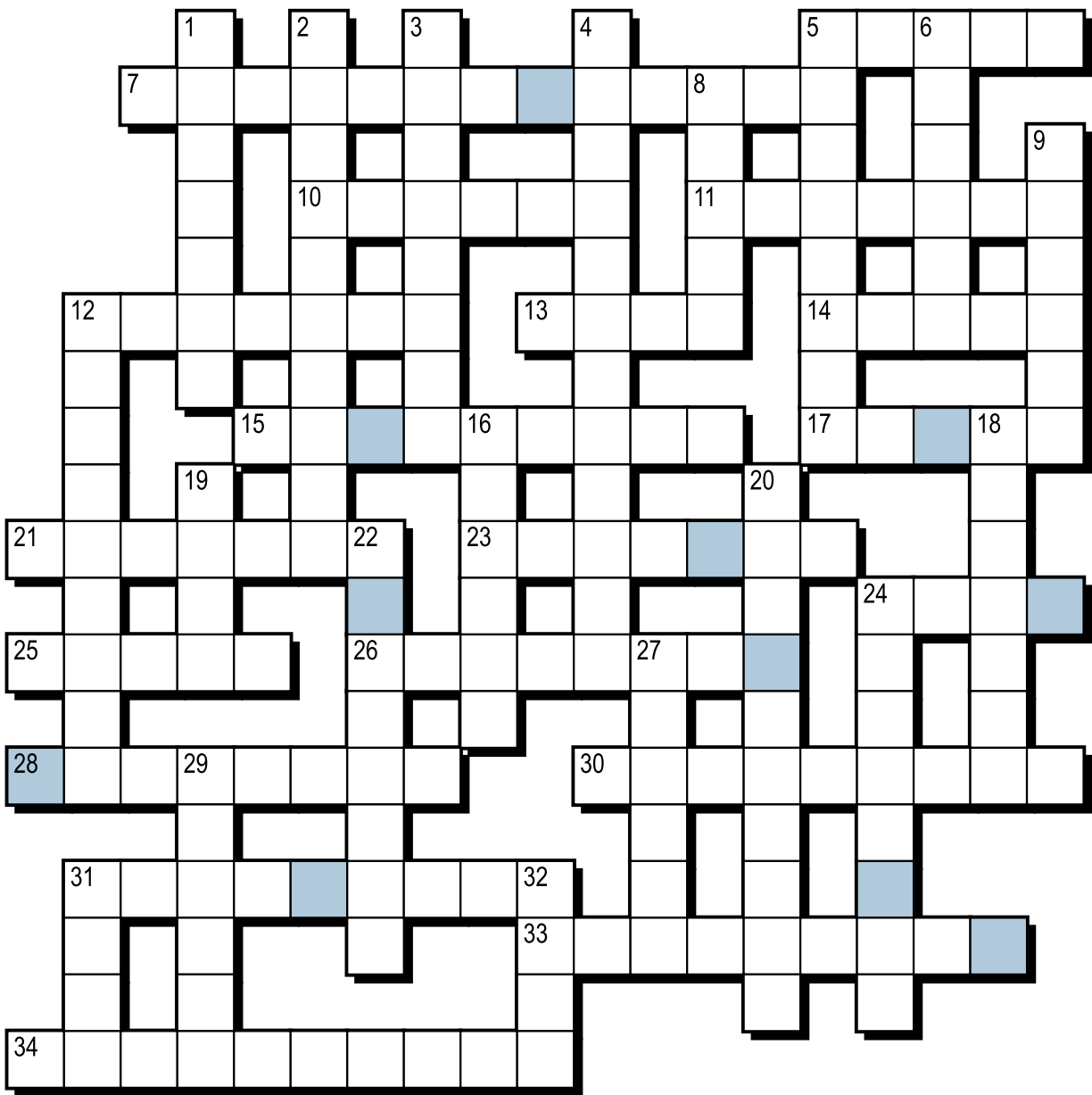
Tak było np. z modelem Gold Bug firmy Kissel Motor Car Company sławnym z jaskrawo-żółtego lakieru, którym jeździł m.in. Amelia Earhart, Jack Dempsey, Greta Garbo, czy Douglas Fairbanks. Legendą obrosła też produkowana w latach 60. Shelby Cobra. A pamiętacie potężnego, nawet 6-metrowego Cadillaca Eldorado Convertible, którego upodobał sobie król rock and rolla Elvis Presley?

Jeden z modeli Porsche 550 Spyder w 1955 r. kupił James Dean. Nazwał go “Little Bastard”, (“Mały Drań”), a kiedy pokazał go innemu legendarnemu aktorowi, Alecowi Guinnessowi, ten miał stwierdzić, że wygląda złowrogo, i jeśli Dean do niego wsiądzie, w ciągu tygodnia będzie martwy. 7 dni później Dean zginął w wypadku prowadząc “Drania”. Wzorem dla 550-tki była inna legenda – model 356, którego repliką m.in. jeździła Kelly McGillis w “Top Gunie”.

Są wreszcie Mazda MX-5, absolutnie stylowa, której na świecie sprzedano się ponad milion sztuk (rekord wśród kabrioletów), Ford Mustang Cabrio z 1964 roku, Mercedes-Benz Klasy SL i Jaguar E-Type Cabrio, którego Enzo Ferrari nazwał najpiękniejszą autem w historii.

Z okazji święta auta bez dachu zapraszamy Was więc do krzyżówki o... dachach. Bo w zasadzie dla czegoż by nie? ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



DACHOWA
Literey w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 5)** wiją gniazda w kominach, pod dachówkami
7) piosenka, w której „w pewną letnią noc gdzieś na dach wyniosłem koc i dostałem to, com chciał”
10) wierćczą hełmy wież
11) niewielkie okna dachowe doświetlające strych
12) ze szczeblami, często prowadzi na poddasze
13) zabezpieczają pracujących na wysokościach
14) „W taką noc nie można spać, wciąż skrzypią ... i trzeszczy dach” (Czerwone Gitary)

- 15)** najczęstszy kształt połaci dachowej
17) do odprowadzania deszczówki z dachu
21) pochyła belka podtrzymująca pokrycie dachu
23) somnambulik (może i wyjść na dach)
24) do piosenki U2 „Where the Streets Have No Name” – nagrany na dachu w Los Angeles
25) wiją gniazda na dachach, poddaszach
26) słomiany dach wiejskiej chaty
28) ... dachowa, zwana czasem podsufitką
30) na poddaszu budynku (tu się wywiesza pranie)
31) ułatwi transport materiałów budowlanych na dach budynku
33) w kominie – grozi bruchatemu Świętemu Mikołajowi

- 34)** ... budowlana (runął dach)
- Pionowo:**
1) „Skrzypek na dachu”
2) fachowcy jak dachowcy
3) Tennessee, autor sztuki „Kotka na gorącym blaszanym dachu”
4) skutek nieszczęśliwości dachu
5) po sygnale „kamera – akcja!” skocz z dachu
6) „...”, z którego wynika, że należy poświęcać dachom znacznie więcej uwagi”, autorstwa Zuzanny Ginczanki
8) „Dach” Vittoria De Siki i „Kobieta na dachu” Anny Jadowskiej
9) poliuretanowa, do uszczelniania dachu
12) fach kojarzący się z Adamem Małyszem

- 16)** potocznie o antenie satelitarnej
18) sople zwisające zimą z dachu
19) hop! z daszku
20) ... muzyczne, był nim. np. koncert Beatlesów na londyńskim dachu w 1969 r.
22) praca na ..., np. przy kładzeniu więzby dachowej (wpisujemy w mianowniku)
24) oby wyszedł cało z dachowania
27) wierzchołek np. wieży
29) tu pracują murarze, dekarze, tynkarze
31) do krycia dachów, nasyciona masą smołową lub asfaltową
32) drapieżnik często niszczący ocieplenia dachowe

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 215 z 25.07:

Poziomo: 4) posterunek 7) Legionowo 8) dzielnica 10) naczelnik 12) Oficer 13) Lew 14) kandydat 17) zadanie 18) Drogówka 21) Spade 23) patrol 25) inspektor 27) pokój 28) Szcyc 29) Żbik 30) ryzyko 32) awans 33) pałki 34) wydziały 36) czapka 38) jednostka 41) żandarm 42) współnik.

Pionowo: 1) gliniarz 2) Komendant 3) John 4) podkomisarz policji 5) trenecz 6) Nocul 9) Norwegia 11) kwota 15) dodatek 16) treser 18) detektyw 19) Warszawa 20) książka 22) aspiranci 23) pojazd 24) Lech Ryś 26) odznaka 31) ustawa 35) zespół 37) kod 39) Nysa 40) kino.

Hasto: KOMISARIATY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34426992



CODZIENNIE w Wyborczej

Krzyżówka
Sudoku
Zakreślanka
Skojarzenia



Rusz głową!
Nie nudź się w domu!



wysokieobcasy

wyborcza

SIERPIEŃ 1944

Zieleniak Pamiętamy

– z Anną Augustyniak rozmawia
Magdalena Karst-Adamczyk

Pamiętajmy o Nich

**MONIKA
TUTAK-GOLL**



Dziś chcę pamiętać o niej. Dziewczynka z Mokotowa, która razem z matką i rodzeństwem chowała się po piwnicach w czasie wojny, by przeżyć. Dziecko, które przemykało przez Warszawę, za miasto, by szukać kapusty na polu, bo w domu głodowali. Moja babcia, która do końca życia Mokotowa nie opuściła i bardzo mocno czuła się związana z tym miejscem.

Na kamienicy, w której mieszkała, były jeszcze ślady po pociskach. Zawsze to podkreślała. Nie lubiłam tego budynku. Wojna wryła się w jego codzienność i w jej życie.

Niedaleko – pod Agrykolą – moja babcia ukrywała się w tunelach podczas powstania warszawskiego. Pamiętam każdy spacer, który robiłyśmy po okolicy. Łazienki Królewskie, Podchorążych, a potem zawsze w okolicy Agrykoli, żeby znowu móc opowiedzieć, pokazać, podkreślić. Żyła opowieściami o powstaniu warszawskim. O wielkim zryw, o buncie, o nadziei. Tym było naznaczone jej dzieciństwo.

Dziś chcę pamiętać o wszystkich kobietach i dzieciach, którym wojna zabrała więcej niż pięć lat.

Myszę o tych, które nie mogły opowiadać, które milczały. O kobietach z Zieleniaka, które nie przeżyły, i o tych, które przetrwały, ale zamilkły. „Wstyd jest najsilniejszym murem. Gdy się człowieka tam podprowadzi, zamyka mu się usta na klucz” – mówi Anna Augustyniak, autorka książki „Zieleniak”. Ich historię wymazano. A nie ma prawdy o powstaniu bez prawdy o Zieleniaku. Pamięć o wydarzeniach na Ocho-

cie przywróciły pisarka Sylwia Chutnik, która napisała o nich w swojej książce w „Kieszonkowym atlasie kobiet”, aktywistka, psychoterapeutka Elżbieta Podleśna, która 4 sierpnia organizuje co roku czuwania na Zieleniaku, aktorka Agnieszka Przepiórska, której monodram „Ocalone” oddaje głos gwałconym i zamordowanym kobietom.

„O tym, co działo się na Zieleniaku, często nie wiedzą nawet ludzie, którzy mieszkają przy ulicach otaczających targowisko. Kilku czytelników napisało do mnie, że nigdy o tym nie słyszeli. I że przechodzą tamtędy codziennie, od lat, ale odkąd przeczytali moją książkę o miejscu kaźni kobiet i dziewczynek, inaczej przechodzą przez Zieleniak, bo już wiedzą, że pod tą ziemią jest trauma – mówi Anna Augustyniak. – Aby móc żyć, wyjść za mąż, wychowywać dzieci i nie oszaleć, te kobiety podejmowały heroiczną walkę o przetrwanie, podejmowały decyzję o całkowitym milczeniu, zabierając swoją historię do grobu”.

Dlaczego milczały? Gwałt wojenny nie mieścił się w historii narodowego zrywu, nie było dla niego miejsca. Stał się nieobecny. Teraz w miejscu dawnego Zieleniaka jest tablica upamiętniająca kobiety i dziewczynki torturowane przez żołnierzy RONA (Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Ludowej działającej w strukturach niemieckiej Waffen-SS). Aktywistki przez lata walczyły o miejsce pamięci.

Dziś chcę powiedzieć: pamiętamy. I obiecać, że nie zapomnimy. ▲

Monika Tutak-Goll – dziennikarka, redaktorka naczelna „Wysokich Obcasów” i „Wysokich Obcasów Extra”



JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA”

- **NA OKŁADCE:** Kate Moss wciąż prowokuje • Mery Spolsky zdejmując maskę
- **TEMAT NUMERU:** Presja wyglądu • Jacob Elordi: trochę mroku, sporo uroku
- Pary z ADHD: jak ze sobą wytrzymują? • Co AI robi nam z głową? • Annette Bening: coraz ciekawsza • Na górskich ścieżkach w Kirgistanie • Jak latem zadbać o włosy

www.wysokieobcasy.pl



wysokieobcasy



wysokieobcasy.pl



listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA
PROWADZĄCA NUMER:
Monika Tutak-Goll

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFIKI:
Katarzyna Trzuszczkowska,
Agata Luszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Lukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Joanna Dzik

PRODUKCJA:
Dorota Jezewska

INTERNET:
szeffowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloń
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szeffowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ
SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEFE PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CIA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stozek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szalański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa,
tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz zastrzega
sobie prawo do ich redagowania
i skracania.
Na stronach 3, 28 zamieszczony jest
materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy” nr 31 (1402)
NA OKŁADCE:
ILUSTRACJA
MIKITA RASOLKA



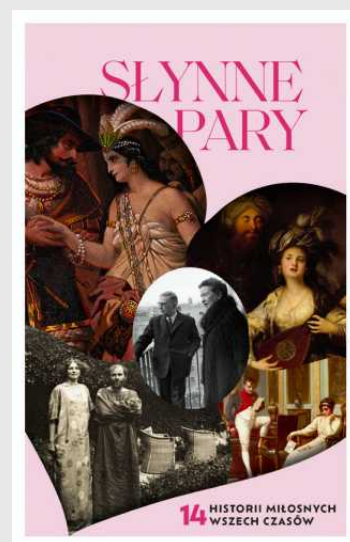
TEMAT NUMERU:

PRESJA WYGLĄDU: PIĘKNO TO BESTIA

ZWIĄZKI: Pary z ADHD, jak ze sobą wytrzymują

SEKS: Tajemnice kobiecego orgazmu

URODA: Zdrowy mikrobiom włosów ważniejszy niż kolor



Numer dostępny
z książkami do wyboru

Bohaterki *Zieleniaka*

Trzeba przywrócić gwałconym kobietom i dziewczynkom z Zieleniaka godność, znaleźć dla nich miejsce w pierwszym rzędzie narodowego panteonu

Z ANNA AUGUSTYNIAK,
AUTORKĄ KSIĄŻKI „ZIELENIAK”,
ROZMAWIA MAGDALENA KARST-ADAMCZYK
ILUSTRACJA MIKITA RASOLKA

j

Tekst zawiera opisy przemocy

„Jak kobieta tylko urodziła, to na nią wchodził jeden, drugi... jeden wchodził, drugi schodził – aż kobieta umarła. Do upadłego gwałcili. Do upadłości” – takie świadectwo Barbary Rowińskiej, cywilki z Ochoty, która przeszła przez Zieleniak, zapisano w Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego. Nie ma prawdy o powstaniu bez prawdy o Zieleniak, jednak tragedia Zieleniaka została wygumkowana z historii. Nawet dziś wiele osób nie ma pojęcia o tym, co w sierpniu '44 wydarzyło się na tym popularnym na Ochocie targowisku, zaś ci, którzy wiedzą – poza grupą oddanych sprawie kobiet – mówią o tym szepciem. Jak dowiedziała się pani o Zieleniak?

– Historia gwałtów podczas powstania warszawskiego jest całkiem wymazana z polskiej historii. O tym, co działo się na Zieleniak, często nie wiedzą nawet ludzie, którzy mieszkają przy ulicach otaczających targowisko. Kilku czytelników napisało do mnie, że nigdy o tym nie słyszeli. I że przechodzą tamtędy codziennie, od lat, ale odkąd przeczytali moją książkę o miejscu kaźni kobiet i dziewczynek, inaczej przechodzą przez Zieleniak, bo już wiedzą, że pod tą ziemią jest trauma.

Jako pierwsza wydobyła z niebytu tę historię Sylwia Chutnik, która przeczytała o niej w biuletynie dzielnicowym Ochoty, a potem napisała o tym w książce. Ja zaś dowiedziałam się od Elżbiety Podleśnej, aktywistki, psychoterapeutki, która od kilku lat każdego roku, 4 sierpnia, organizuje czuwania na Zieleniak. Zaczęłam drażnić temat, szukać informacji. I byłam wstrząśnięta. Ale na początku wcale nie byłam wstrząśnięta grozą tego, co się tam wydarzyło, byłam wstrząśnięta milczeniem.

Tyle książek napisano o powstaniu, temat omawia się już w podstawówce, potem w liceum, co roku upamiętnia się to wydarzenie, godzinę jego wybuchu, a podczas uroczystych obchodów śpiewane są powstańcze piosenki i nagle okazuje się, że jakiś ważny wycinek tej historii został ukryty.

Czy w chwili, gdy zainteresowała się pani powstańczą historią Zieleniaka, mieszkała pani na Ochocie?

– Nie. Na Ochocie, przy ulicy 1 Sierpnia, mieszkałam wiele lat wcześniej. W tamtym czasie Zieleniak to był mój bazar. Kupowałam tam nawet ubrania, chociaż częściej gruszek, jabłka, ogórki. I robiłam to zupełnie bez troski. Gdy poznałam

prawdę, poczułam, że trzeba o Zieleniak napisać. Że ja odmawiam udziału w tej zмовie milczenia.

Zanim opowiemy, co się wydarzyło i dlaczego tę zbrodnię wymazano – a powody wymazania były i polityczne, i społeczne, i psychologiczne – proszę opowiedzieć, kto to zrobił. Bo to, kim byli kaci, to jest kontekst tej historii i jest on szalenie ważny.

– Byli to nasi „bracia” ze Wschodu, tzw. dywizja RONA, czyli Rosyjska Wyzwolenicza Armia Ludowa, proniemiecka formacja.

Jak pani napisała w książce: ruscy w niemieckich mundurach.

– RONA to był specyficzny twór. Uciekinierzy z Armii Czerwonej, którzy walczyli przeciwko Sowietom, czyli przeciwko swoim.

Spotkałam się z takim określeniem, że byli to „antyradzieccy Rosjanie”.

– Adekwatne. Ale żeby zrozumieć tę historię, trzeba się cofnąć do 1941 roku, kiedy na terenie ZSRR powstała Republika Łokocka. Czy pani to coś mówi?

Niespecjalnie.

– Wehrmacht pozwalał trwać tej republice na okupowanych przez siebie na Wschodzie terenach, bo ludzie, którzy ją tworzyli, walczyli z partyzantką radziecką. To było Niemcom na rękę, więcej ich żołnierzy mogło iść na front. Republika, w której zamieszkiwało pół miliona ludzi, miała swoją dywizję, właśnie RONA, składającą się z żołdaków i oficerów Armii Czerwonej zwolnionych z niemieckiej niewoli. Liczebność pułków doszła nawet do 20 tysięcy. Jednak latem 1943 roku Sowietci ich pokonali. Rozbita armia została wycofana na Białoruś, gdzie wcielono do RONA policjantów, jeńców wojennych i przestępców wypuszczonych z więzień. Potem zostali przerzuceni na Podlasie i dalej w rejon Częstochowy, Jędrzejowa i Miechowa. To tutaj Niemcy ostatecznie sformowali Brygadę Szturmową SS RONA.

W Republice Łokockiej obowiązywał kult wodza, a tym wodzem był Bronisław Kamiński, który marzył, by zostać takim Hitlerem na cały Związek Radziecki. To był kolaborant i watażka, słuchający jedynie rozkazów Heinricha Himmlera, tzw. prawej ręki Hitlera.

Skąd jego polskie nazwisko?

– Kamiński miał ojca Polaka, jego matka zaś pochodziła z rodziny polsko-niemieckiej. Ożenił się też z Polką, jeszcze przed wojną.

Wracając do RONA i do wybuchu powstania warszawskiego... Erich von dem Bach-Zelewski, czyli Niemiec, który dowodził tłumieniem powstania, wezwał na pomoc dywizję ronowców spod Częstochowy. Do Warszawy przerzucono 1700 mężczyzn. 4 sierpnia 44 roku weszli do miasta pod wodzą Bronisława Kamińskiego od strony Okęcia. Dostali jedno zadanie: mordować powstańców.

Żołdacy z RONA świetnie się do wypełnienia niemieckiego rozkazu nadawali, do mordowania byli wprost idealni. Tylko od razu okazało się, że natarcie na barykady ich nie interesuje – zamiast walczyć z AK, woleli płądrować. Szli ulica-

mi Ochoty i ciągnęli puste wózki, worki, torby na lupy, których się spodziewali. Liczyli się tylko zegarki, kosztowności, biżuteria... Potem zobaczyli kobiety.

Dyvizję RONA tworzyli najbardziej stereotypowi ruscy wojacy, jakich jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. Czyli pijani w sztok i niepohamowani w swojej brutalności. Napisala pani takie zdanie: „Warszawa zgotowała ruskim hulanki i swawole, o jakich nie śnili”. Mocne.

– To zdanie jest trochę ironiczne. A trochę nie jest. Ronowcy dostali miasto i jego mieszkańców na tacy. Ludność cywilna była zupełnie bezbronna.

Ironia losu polegała też na tym, że dowództwo powstania, ale także sami powstańcy bardzo liczyli na pomoc ze strony Związku Radzieckiego. I gdy mieszkańcy Ochoty usłyszeli rosyjski język, może nawet przez chwilę poczuili jakiś rodzaj nadziei.

– Może przez chwilę byli zdezorientowani, w końcu nie wiedzieli, czy nie nadchodzą wyzwoliciele. Szybko jednak się okazało, że to wykonawcy hitlerowskich zarządzeń, do tego pijani, zwyrodniali, przerażający nawet samych Niemców. Ludzie przetrwali tyle koszmarnych lat okupacji i naraz zderzyli się z jeszcze większą skalą bestialstwa. Byli wypędzani z mieszkań, z piwnic, wygarniani z podwórek i schronów na ulicę, wszyscy bez wyjątku. Tych, którzy próbowali stawiać opór bądź zbyt wolno się poruszali, zabijano na miejscu, resztę pędzono w jednym kierunku, na Zieleniak.

To, co wydarzyło się na Zieleniak, co spotkało tam kobiety – młode, stare, a nawet dziewczynki – jest trudne do wyobrażenia. Wiele z nich padło ofiarą bestialskich, zbiorowych gwałtów. Jedna z ocalałych wyznała, że po piętnastym oprawcy przestała liczyć. Narzędziami gwałtów były nie tylko penisy, ale też karabiny, butelki z benzyną, kości zamordowanych. Po gwałtach część kobiet okaleczano, niektóre zabijano. Inne wracały na Zieleniak; były nie do poznania.

– Napisalam wiele artykułów o przemocy wojennej. Wydawało mi się, że już wszystkie brudy świata poznałam, że wiem, czym jest przemoc seksualna. A tu okazało się, że wcale nie. Bo zbierając materiały do książki „Zieleniak”, zderzyłam się z taką potwornością i okrucieństwem, z takim złem, że nie umiałam sobie z tym poradzić. I po miesiącach siedzenia w archiwach, czytania relacji, wciąż zastanawiałam się, w jaką formę literacką to wszystko ubrać, jak o tej straszności ludziom opowiedzieć, jak opisać piekło.

Co panią, reporterkę, skłoniło do tego, by włożyć tę historię w ramy powieści historycznej, ale – dodajmy – z jednym bardzo reporterskim rozdziałem?

– Najpierw nosiłam się z pomysłem zrobienia reportażu. Potem napisałam wiersz pt. „Zieleniak”, gdzie skondensowałam tę historię. Ale to wciąż nie dawało mi spokoju. No bo kto przeczyta wiersz? To za mało, myślałam. I w końcu zdecydowałam się na powieść historyczną, choć na początku

wcale nie miałam pewności, że będę umiała ją napisać. Obawiałam się też, czy nie zatracę niczego z etyki reporterskiej, która przy takim temacie jest szalenie istotna.

Zastanawiałam się, czy powodem nie była niewystarczająca liczba świadectw, dokumentów.

– Przeciwnie, ta zbrodnia jest dobrze udokumentowana. I to nie tylko w Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego, ale także w protokołach zbrodni niemieckiej w IPN-ie, gdzie jest sporo relacji, które były zbierane od razu po wojnie, i w '46, '47 roku. Jest również Archiwum Instytutu Zachodniego w Poznaniu, którego współzałożycielem był historyk Edward Serwański. Kierował on specjalną grupą badawczą, która zbierała relacje na gorąco, tuż po zakończeniu walk w powstańczej Warszawie. Szukano wtedy w okolicznych miejscowościach ludzi, którzy przeszli przez Zieleniak. Świadkowie opowiadali o zbrodniach zaledwie kilka tygodni po ich przeżyciu.

Zakładam, że pani, jako reporterka, nawet pisząc powieść, podeszła do faktów niezwykle skrupulatnie.

Wstyd jest najsilniejszym murem. Gdy się człowieka tam podprowadzi, zamyka mu się usta na klucz

– Większość opisanych sytuacji przeniosłam wiernie z dokumentów i co najwyżej ubrałam w jakiś kontekst. Literackie bohaterki i bohaterowie tej książki odgrywają często role prawdziwych ludzi. Chodzi o to, że pod świadectwami i zeznaniami w archiwach czasem podpisane są osoby z imienia i nazwiska, innym razem są tylko inicjały. Dziś nie jestem w stanie ocenić, czy ktoś chciał się ukryć, czy to osoby, które zbierały świadectwa, je ukrywały. Uznałam też, że nie mam prawa w powieści wykorzystywać nazwisk zgwałconych kobiet. Ale już ich losy są opisane prawie jeden do jednego, choć czasem musiałam jakieś mosty wyobraźni nad tymi białymi plamami budować.

Bardzo zależało mi też na tym, by pokazać Zieleniak przed wojną, to tętniące życiem miejsce handlu i spotkań. Dlatego jako bohaterkę wprowadziłam kucharkę służącą Alicję Piotrowską, która robiła tam prawie codziennie zakupy. Doskonale знаła targowisko i umiała się po nim poruszać, w przeciwieństwie do doktorstwa Czosnowskich, dla których pracowała, a którzy nagle razem z nią znaleźli się na bruku i byli tak samo bezradni.

Tym samym pokazała pani też, że na Zieleniak człowiek tracił swój status społeczny. Biedni i bogaci, wykształce-

ni i analfabeci dzielili ten sam okrutny los. Bo na Zieleniaku o losie człowieka przesądzała płeć, prawda? To kobiety przeżyły największe tortury.

– Ronowców interesowały tylko wódka, złote pierścionki i kobiety. Bogate, biedne, wszystkie... Oni nie patrzyli, czy to nauczycielka, żona fabrykanta, czy wiejska dziewczyna pracująca jako pomoc domowa. Wyszarpili z tłumu ofiary i nie miało znaczenia, że to staruszka, mała dziewczynka czy... rodząca kobieta. Z wielu relacji wynika, że z jakimś upodobaniem Rosjanie gwałcili kobiety tuż po porodzie, jeszcze przed odcięciem pępowiny. To jest wątek, który ciągle powraca. Myślę, że świadkowie mówili o tym tyle, bo było to dla nich szokujące.

Teren targowiska, jak na kolejny niemiecki obóz koncentracyjny, choć miał służyć jedynie przejściowo, nie był duży – 180 na 300 metrów. Plac otaczał trzymetrowy mur, z główną bramą wjazdową i dwoma furtami bocznymi z budkami dla strażników. Stragany zostały rozebrane, był tylko bruk pod gołym niebem. I w takie miejsce dzień po dniu pędzono tysiące osób. I tysiące gwałcono, od razu tam, na targowisku, pośród tłumu. Te „najładniejsze” kobiety prowadzono do Kamińskiego.

Kobiety robiły, co w ich mocy, by się ukryć. Chowaly się pod ciałami mężczyzn i dzieci. Smarowały twarze kałem, aby się oszpeci i zniechęcić oprawców.

– Używały też popiołu z palonych zwłok. A gdy spadł deszcz, smarowały się błotem.

Ale czy koniec końców jakkolwiek kamuflaż okazywał się skuteczny?

– Według świadectw – nie.

Choć cierpienia nie powinno się mierzyć liczbami, pytamy: czy znamy jakieś liczby?

– Mówi się, że na Zieleniaku zginęło około tysiąca osób. Tylko kto to policzył, gdy trupy masowo palono w szkole obok targowiska na sali gimnastycznej? Z raportów tworzonych w tamtym czasie przez Niemców dotyczących działalności Einsatzkommando na Woli i Ochocie wynika, że między 4 a 13 sierpnia przeszło przez Zieleniak 60 tys. Warszawianek i Warszawiaków. Więc czy ten wspomniany tysiąc zamordowanych to wszystko? Przecież po gwałtach wiele kobiet od razu zabijano, jeszcze więcej konało w mękach przez kolejne godziny.

Czy zachowały się jakieś świadectwa, które mówią, jak skrzywdzone na Zieleniaku kobiety i dziewczynki, które przeżyły, funkcjonowały po wojnie?

– Nie znalazłam takich świadectw. Dotarłam natomiast do kilku mężczyzn, którzy jako dzieci byli na Zieleniaku. Jeden z nich miał wówczas siedem lat i wspominał, jak z domu na Ochocie wygarnęli ich żołnierze RONA. W sandałkach i krótkich spodenkach koczował na Zieleniaku przez tydzień razem z rodzicami i bratem. Słyszał krzyki gwałconych kobiet. One całe noce krzyczały... Jego rodzinie udało się przetrwać, po wojnie wrócili do swojej kamienicy. Powróciły też sąsiadki, które na Zieleniaku były zgwałcone. Dlaczego one milczą? – zapytał mnie podczas rozmowy. – Dlaczego nie mówi-

ły o tym, co je spotkało? Czy trzeba było aż ośmiu dekad, żeby prawda historyczna zaczęła się przebijać?

W monodramie Agnieszki Przepiórskiej „Ocalone”, który jest ważną opowieścią o wydarzeniach z Zieleniaka, pojawia się scena, w której matka nakazuje zgwałconej córce milczeć, nie mówić narzeczonemu o swoich doświadczeniach. A skrzywdzona kobieta ma prawo mówić. Choć ma też prawo nie mówić.

– Przede wszystkim skrzywdzonej kobiecie dużo łatwiej jest zamknąć usta. Wstyd jest najsilniejszym murem. Gdy się człowieka tam doprowadzi, zamyka mu się usta na klucz.

Myśli pani, że tutaj to się właśnie wydarzyło? Że przetrwankom zamknięto usta, wdrukowując im niejako poczucie wstydu i strachu?

– Kobiety, które przeżyły Zieleniak, spotykały się z potężnym piętnem. Ofiara gwałtu w tradycyjnym, katolickim i patriarchalnym społeczeństwie lat 40. i 50. często czuła się skazana i wręcz współwinna, bo winą katów bywa przenoszona na ofiary, zwłaszcza jeśli chodzi o ofiary przemocy seksualnej. Otoczenie nierzadko reagowało szeptami, odrzuceniem albo udawaniem, że nic się nie stało. Aby móc żyć, wyjść za mąż, wychowywać dzieci i nie oszaleć, te kobiety podejmowały heroiczną walkę o przetrwanie, podejmowały decyzję o całkowitym milczeniu, zabierając swoją historię do grobu. To jest część prawdy. Po tak gigantycznej katastrofie, jaką była II wojna, społeczeństwo musiało szybko odbudować kraj i oczekiwało od tych skrzywdzonych kobiet, że będą przez całe życie uprawiać milczenie. Gdyby zaczęto głośno i publicznie pracować nad traumą setek tysięcy zgwałconych kobiet, zarówno przez ronowców, jak i wkraczającą później Armię Czerwoną, poziom zbiorowego bólu uniemożliwiłoby normalne funkcjonowanie. Dzięki temu z jednej strony społeczeństwo nie musiało się zderzyć z tą wielką, kobiecą traumą, z drugiej – z poczuciem winy, że nie było dość silne, aby te kobiety obronić. To był efekt czystej społecznej hipokryzji i kolejna krzywda zadana już wcześniej tak bardzo skrzywdzonym.

A na to wszystko nakłada się jeszcze kolejny wątek – kultu powstania jako romantycznego zryw młodych mężczyzn i chłopców, którzy od strzału w pierś umierali za ojczyznę na barykadach. To piękny i heroiczny obrazek. Jak do tego ma się zgwałcona dziewczynka, zgwałcona służąca czy zgwałcona ciężarna?

W martyrologię powstania warszawskiego najbardziej wpisuje się dumna, cierpiąca matka oplakująca bohaterką śmierć syna. Czyli Matka Polka.

– Jest jeszcze druga figura – sanitariuszki z opaską, która przemywa rany, przenosi meldunki, jest osobą użytkową, kimś służebnym w męskiej, dominującej, a może wciąż jeszcze jedynej narracji wojennej.

Kilka lat temu zrobiłam rozmowę z Wandą Traczyk-Stawską, bohaterką powstania. Powiedziała, że w jej odczuciu to sanitariuszki były największymi bohaterkami, bo służyły bez broni i pozostawały z rannymi na polu walki na dobre i na złe. Opatrywały też Niemców, mówiąc, że ranny wróg jest przede wszystkim człowiekiem.

– Sanitariuszki to bohaterki, które także doświadczały przemocy. Istnieją świadectwa ich strasznego losu.

Męskie genitalia są powszechnie wykorzystywaną na wojnie bronią, wobec której kobiety są zupełnie bezbronne. Oczywiście kobiety z Zieleniaka próbowały stawiać opór – matki odważnie ofiarowały siebie za swoje córki, co silniejsze atakowały oprawców, próbowały być heroiczne. Ale ostatecznie wszystkie okazywały się jednakowo bezsilne.

– Bezsilność kobiet wobec męskich oprawców jest wpisana w każdy konflikt wojenny. Podczas II wojny światowej nie miało znaczenia, czy żołnierz nosi na czapce swastykę, czerwoną gwiazdę czy amerykańskie pasy. Kobiece ciało było nagrodą dla bojowników, partyzantów, żołdaków, dla walczących mężczyzn. Napisałam kilka lat temu książkę „Na targu niewolników III Rzeszy”, która jest opowieścią o moim ojcu Janie Śliwińskim i rodzinie wywiezionej na roboty przymusowe do Rzeszy. Zostali sprzedani na targu w miejscowości Pforzheim w Badenii-Wirtembergii. Podczas zbierania materiałów do książki i przeglądania archiwów dowiedziałam się, że gdy amerykańscy żołnierze weszli wyzwalać te ziemie w 1945 roku i wypełnili już swoje zadanie, dostali trzy dni na rozrywkę. I co robili w tym czasie właśnie w Pforzheim? Pili i gwałcili. Wszędzie i bez żadnych zahamowań. Gwałcili kobiety wroga – Niemki, ale też robotnice przymusowe, w tym Polki, bo nie odróżniali jednej narodowości od drugiej. Gdy się o tym dowiedział generał Eisenhower, głównodowodzący siłami alianckimi, to wydał rozkaz pociągnięcia sprawców do odpowiedzialności i wielu żołnierzy zostało zastrzelonych w publicznych egzekucjach po to, żeby zatrzymać tę falę. Ale potem, po wojnie na Zachodzie, sprawę przykryto milczeniem, zatuszowano, aby zachować czysty wizerunek aliantów.

Christina Lamb napisała ważną książkę o tym, co na wojnach spotyka kobiety. Jej tytuł jest znamienny: „Nasze ciała, ich pole bitwy”.

– I tak właśnie dzieje się od wieków – podczas wojen mężczyźni zajmują terytorium wroga, czyli też jego kobiety. Męskie genitalia to wciąż najtańsza i najłatwiej dostępna broń.

Od kiedy gwałt uznawany jest za zbrodnię wojenną? Od trzech dekad? Od przełomowych wyroków międzynarodowych trybunałów minęły właśnie trzy dekady. Myślę, że gdyby kobiety z Zieleniaka wróciły do Warszawy po wojnie ze świadomością, że to, co im zrobiono, to była zbrodnia wojenna, być może znalazłyby w sobie siłę, by o swojej krzywdzie mówić. Tymczasem wracały z traumą, okaleczone fizycznie, z chorobami wenerycznymi, często w niechcianej ciąży, będącej wynikiem gwałtu, i czuły się okryte hańbą, a społeczeństwo swoim milczeniem je dobijało psychicznie, bo nie chciało uznać ich krzywd.

Czytelniczki i czytelnicy „Zieleniaka” piszą do mnie, że ta książka to uniwersalne i do tego współczesne studium gwałtu. Współczesne? Piszę o 1944 roku... ale oni mają rację, to się cały czas dzieje. Na Ukrainie, w Strefie Gazy i Izraelu, w Somalii, w Sudanie i w wielu innych zakątkach świata. Kobieta na wojnie wciąż do tego samego służy i nie ma żadnej ochrony.

Kobiety zgwałcone na Zieleniaku zasługują na pomnik. Na razie doczekały się tylko skromnej upamiętniającej je tablicy.

– Tak, zasługują na pomnik. I na miejsce w podręcznikach. Zasługują na to, by je wreszcie dostrzeżono.

Jako dojrzały naród powinniśmy mieć odwagę spojrzeć także w mrok historii. Zwłaszcza że to wróg nam zrobił. Więc dlaczego my to ukrywamy?

Agnieszka Holland w blurbie pani książki napisała: „Przemilczana zbrodnia Zieleniaka nie byłaby taka nieznana, gdyby nie dotyczyła cierpienia kobiet i dziewczynek”.

– I to jest odpowiedź. Dlatego trzeba przywrócić gwałconym kobietom i dziewczynkom z Zieleniaka godność, znaleźć dla nich miejsce w pierwszym rzędzie narodowego panteonu i dopełnić naszą polską kulturę pamięci opowieścią o wszystkich ofiarach powstania warszawskiego.

Lektura „Zieleniaka” nie jest łatwa, czytałam książkę chwilami na bezdechu. Domyślam się, jak trudne musiało być zbieranie materiałów do niej, a potem pisanie. Jaką cenę zapłaciła pani za tę pracę?

– Codzienne obcowanie przez wiele miesięcy ze wstrząsającymi relacjami świadków, analizowanie opisów pełnych sadyzmu niszczy naturalne mechanizmy obronne. Taka dawka cierpienia i zła, jaką musiałam przyjąć, żeby zgłębić i opisać akty masowych gwałtów, tortur, morderstw, których dopuszczali się ronowcy, mnie pokonała. Odłożyłam pisanie książki na rok. To wymagało wielkiej odporności emocjonalnej, a ja jej nie miałam. Ciało przestało odróżniać próby rekonstrukcji historycznej od rzeczywistości, pojawiły się bóle głowy, światłowstręt, w końcu zaczęłam tracić wzrok.

Teraz wiem, że to trauma zastępcza. Opowiadanie dziś o niej nie służy stawianiu się w roli męczennicy, lecz pokazaniu realizmu pracy pisarki i kosztów tej pracy. Rzetelne oddanie głosu ofiarom gwałtów wojennych wymagało dosłownego, psychicznego i fizycznego zapłacenia za to własnym zdrowiem.

Moje cierpienie jest dla mnie dowodem na kaliber zbrodni, o której przez dekady milczano. Bo skoro samo czytanie i pisanie o tym tak bardzo boli i niszczy, to jak potworne i makabryczne musiało być realne cierpienie kobiet z Zieleniaka w sierpniu 1944 roku i później, przez resztę życia. Bo jak one żyły po tym, czego doświadczyły? Czy popełniały ciche samobójstwa, a może umierały za życia?

Kobiety na Zieleniaku walczyły w powstaniu swoimi ciałami. Powinniśmy myśleć o nich jak o bohaterkach wojennych?

– Były bohaterkami i walczyły. Walczyły o przetrwanie. I zostały skazane na zapomnienie przez własny naród. Świat musi o nich usłyszeć. ▲



ANNA AUGUSTYNIAK
„Zieleniak”,
wydawnictwo Marginesy

Matki ogarniaczki

Są zawsze o krok przed wszystkimi. Pamiętają o szczepieniach, kończących się pieluchach, urodzinach teściowej i mleku do kawy. Nie tylko wykonują obowiązki, ale nieustannie planują, przewidują i zarządzają życiem całej rodziny

Z ADRIANĄ SOBOL
ROZMAWIA AGATA GOŁĄBEK-POLUS

Prośba partnera: „Powiedz mi, co mam zrobić”, stawia kobietę w roli menedżerki domu. Delegowanie obowiązków bywa tak naprawdę kolejną formą pracy.

– Z psychologicznego punktu widzenia nie zawsze chodzi o sam podział obowiązków. Bardzo często chodzi o potrzebę kontroli, która daje nam poczucie bezpieczeństwa. Kiedy jesteśmy zmęczeni, przeciążeni albo mamy za sobą trudne doświadczenia, dużo trudniej jest odpuścić i zaakceptować, że ktoś robi coś inaczej niż my. Właśnie dlatego zdanie: „Powiedz mi, co mam zrobić”, nie zawsze rozwiązuje problem. Ono zostawia jedną osobę w roli tej, która nadal musi myśleć, planować i podejmować decyzje. W praktyce nie odpoczywa więc od odpowiedzialności, tylko zmienia jej formę.

Zaufanie w relacji oznacza również zgodę na to, że druga osoba może wykonać coś po swojemu. Niegorzej, tylko inaczej. To bywa trudne, szczególnie kiedy przez długi czas miało się poczucie, że wszystko zależy od nas. Oddawanie kontroli to proces. Nie oznacza rezygnacji z własnych standardów, ale stopniowe budowanie przekonania, że nie muszą nadzorować wszystkiego, żeby moja rodzina była bezpieczna i dobrze funkcjonowała.

Kobieta wydaje więc dyspozycje: kup pieluchy, wstaw ziemniaki. Mężczyzna to robi. Jest przyzwolenie społeczne na to, by on mógł być zmęczony, w końcu fizycznie wykonał obowiązki. A ona? Ma prawo być psychicznie przeciążona?

– Przede wszystkim warto powiedzieć, że zmęczenie nie ma jednej postaci. Można być zmęczonym fizycznie, ale można też być zmęczonym psychicznie. To drugie jest znacznie trudniejsze do zauważenia, bo nie widać go z zewnątrz. Bardzo często kobieta nie tylko wykonuje swoje obowiązki, ale przez cały dzień organizuje życie całej rodziny. Pamięta o tym, czego brakuje w domu, planuje wizyty, myśli o potrzebach dziecka, przewiduje kolejne kroki. Ta praca odbywa się w głowie i właśnie dlatego tak łatwo ją przeoczyć.

Nie chodzi o to, żeby porównywać, kto jest bardziej zmęczony. Każda rodzina ma swoją dynamikę. Najważniejsze jest to, żeby zauważać wysiłek drugiej osoby, nawet jeśli wygląda inaczej niż nasz. Kiedy zaczynamy rozmawiać nie tylko o tym, kto co zrobił, ale też, kto o czym musiał pamiętać i za co czuł odpowiedzialność, dużo łatwiej zbudować prawdziwe partnerstwo. Właśnie wtedy pojawia się przestrzeń na wzajemne zrozumienie zamiast porównywania, kto zrobił więcej.





Człowiek nie potrzebuje
pomocy wyłącznie
w wykonywaniu
zadań. *Potrzebuje także
możliwości podzielenia się
odpowiedzialnością*

Wsparcie nie polega na wyręczaniu.

Polega na obecności, uważności

i zadawaniu prostego pytania:

czego teraz potrzebujesz?



Problemem bywa więc nierówny podział obowiązków czy nierówny podział odpowiedzialności?

– Myślę, że nierówny podział obowiązków jest widoczny szybciej, ale nierówny podział odpowiedzialności bywa dużo bardziej obciążający. Obowiązek to konkretna czynność. Można ugotować obiad, zrobić zakupy, wykąpać dziecko. Odpowiedzialność zaczyna się wcześniej. To jest zauważenie, że coś trzeba zrobić, podjęcie decyzji, zaplanowanie tego i dopilnowanie, żeby się wydarzyło.

W relacjach często pojawia się napięcie właśnie dlatego, że jedna osoba mówi: „Przecież pomagam, robię to, o co prosisz”. Druga osoba czuje jednak, że nadal musi być tą, która wszystkim zarządza. Wtedy nie chodzi już o samą pomoc, tylko o poczucie, że ciężar organizowania życia rodzinnego nadal leży głównie po jednej stronie.

Zdrowy podział nie musi oznaczać idealnie równej listy zadań. Chodzi bardziej o to, żeby obie osoby czuły się współodpowiedzialne za dom, dziecko i codzienność. To bardzo zmienia atmosferę w relacji, ponieważ zamiast układu menedżer i wykonawca pojawia się prawdziwe partnerstwo.

Jak rozpoznać tę cienką granicę między realną pomocą partnera a sytuacją, w której kobieta ma „asystenta”, ale nadal jest kierowniczką projektu pod tytułem „dom”?

– Najprościej można to rozpoznać po tym, czy kobieta ma przestrzeń, żeby przestać myśleć o danym obszarze. Jeżeli partner przejmuje odpowiedzialność za jakieś zadanie od początku do końca, ona nie musi tego kontrolować, przypominać ani sprawdzać. Może po prostu zaufać, że to zostanie zrobione.

Jeżeli natomiast cały czas musi odpowiadać na pytania, podejmować decyzje i czuć nad tym, czy wszystko przebiega zgodnie z planem, to nadal pełni funkcję osoby zarządzającej. Partner wykonuje zadania, ale ciężar psychiczny pozostaje po jej stronie. Kluczowym słowem jest sprawczość. W zdrowej relacji obie osoby mają wpływ na codzienne funkcjonowanie rodziny i obie bio-

rają inicjatywę. Partnerstwo nie polega na tym, że jedna osoba organizuje, a druga realizuje polecenia. Polega na tym, że obie osoby czują się współgospodarzami wspólnego życia.

To nie dzieje się z dnia na dzień. Wymaga rozmowy, zaufania i gotowości do zaakceptowania, że druga osoba może robić pewne rzeczy inaczej niż my. Właśnie wtedy z relacji znika układ kierownika i pomocnika, a pojawia się prawdziwa współpraca.

Jak oddać część odpowiedzialności bez wchodzenia w rolę nauczycielki własnego partnera?

– Jedną z najczęstszych pułapek jest założenie, że partner powinien nauczyć się wszystkiego dokładnie tak samo jak my. Tymczasem dorośli ludzie uczą się odpowiedzialności przez doświadczenie, własne decyzje i własne błędy. Jeżeli partner przejmuje jakiś obszar, warto pozwolić mu znaleźć własny sposób działania. Nie poprawiać, nie dopowiadać i nie ratować sytuacji przy pierwszym potknięciu. Inaczej bardzo łatwo wejść w rolę nauczycielki, a nie partnerki. Czasami największym krokiem w stronę partnerstwa nie jest zrobienie czegoś więcej, ale pozwolenie drugiej osobie, żeby sama wzięła odpowiedzialność za własne decyzje.

Ciągle przewidywanie potrzeb rodziny może przypominać stan podwyższonej czujności? Jak działa wtedy układ nerwowy?

– Tak rzeczywiście może być. Układ nerwowy funkcjonuje wtedy tak, jakby cały czas musiał być gotowy do działania. Nie chodzi o jedną trudną sytuację, ale o dziesiątki drobnych decyzji podejmowanych każdego dnia. Z perspektywy psychologii przewlekła gotowość sprawia, że organizm ma coraz mniej okazji do prawdziwej regeneracji. Nawet kiedy kobieta siada, jej mózg nadal pracuje. Analizuje, planuje, przewiduje kolejne kroki. To właśnie dlatego wiele kobiet mówi, że są zmęczone, choć trudno wskazać jeden konkretny powód. Taki stan może prowadzić do napięcia, rozdrażnienia, problemów ze snem czy trudności z wy-

ciszeniem. To nie jest kwestia słabszej odporności psychicznej. To naturalna reakcja organizmu, który przez długi czas funkcjonuje w trybie ciągłej mobilizacji. W praktyce oznacza to, że odpoczynek nie zaczyna się wtedy, kiedy kończą się obowiązki. Odpoczynek zaczyna się wtedy, kiedy przestajemy czuć, że tylko od nas zależy, czy wszystko będzie dopilnowane.

Naturalne wydaje się sędowanie obowiązków. Dlaczego więc wielu kobietom łatwiej jest jednak zrobić coś samodzielnie, niż znieść dyskomfort, że ktoś zrobi to inaczej?

– Jestem ekspertką ogólnopolskiej kampanii „Moc mamy” i rozmawiałam o tym z Agatą Stolą, psycholożką i seksuolożką, oraz z Karoliną Stępień-Cach, psychoterapeutką w podcaście „Zdrowie zaczyna się w głowie”. Bardzo wyraźnie wybrzmiało wtedy, że wiele kobiet bierze na siebie większość obowiązków nie dlatego, że nie ufa innym. Często po prostu ma poczucie, że robi coś szybciej, dokładniej i nie będzie musiała później sprawdzać ani poprawiać. Z psychologicznego punktu widzenia to daje chwilowe poczucie spokoju i kontroli. Kobieta myśli: zrobię to sama i będę miała pewność, że wszystko jest dopilnowane. Problem polega na tym, że z czasem ta strategia zaczyna bardzo obciążać.

Partner czy bliscy dostają coraz mniej przestrzeni, żeby nauczyć się opieki nad dzieckiem albo przejąć część odpowiedzialności. Kobieta natomiast coraz częściej utwierdza się w przekonaniu, że wszystko zależy od niej. W efekcie rośnie zmęczenie, napięcie i poczucie osamotnienia.

Bardzo ważne jest zrozumienie, że druga osoba nie musi zrobić czegoś identycznie, żeby zrobić to dobrze. Oddawanie odpowiedzialności nie oznacza utraty kontroli. To budowanie zaufania i partnerstwa, które z czasem przynosi ulgę całej rodzinie.

Zastanawiam się, w którym momencie troska o codzienność zmienia się w zarządzanie cudzym życiem?

– Wtedy, kiedy zamiast pytać drugą osobę, czego potrzebuje, zaczynamy podejmować decyzje za nią. Nawet jeśli intencje są dobre, efekt może być trudny, bo druga osoba traci poczucie wpływu. Po narodzinach dziecka widać to szczególnie mocno. Bliscy chcą pomóc, ale czasem zaczynają mówić młodej mamie, jak powinna postępować, co będzie najlepsze dla dziecka, albo przejmują część opieki w taki sposób, że nie zostawiają jej przestrzeni na własne decyzje. Wróć do rozmów z ekspertkami w ramach wspomnianej wyżej akcji, bo bardzo mocno wybrzmiało tam, że wsparcie nie polega na wyręczaniu. Polega na obecności, uważności i zadawaniu prostego pytania: czego teraz potrzebujesz?

Można zrobić coś dla kogoś, a jednocześnie nie odebrać mu poczucia sprawczości. Właśnie wtedy troska naprawdę wzmacnia, zamiast nieświadomie odbierać pewność siebie.

Jaką cenę psychiczną płaci osoba, która jest centrum dowodzenia rodziny?

– Największym kosztem bardzo często nie jest liczba obowiązków, ale poczucie, że nie można się wyłączyć. Osoba, która sta-

je się centrum dowodzenia rodziny, przez cały czas pozostaje w gotowości. Nawet wtedy, kiedy odpoczywa, jej uwaga często nadal krąży wokół tego, co jeszcze trzeba zrobić, o czym pamiętać i czego dopilnować. Z perspektywy psychologicznej taki stan może prowadzić do przewlekłego przeciążenia. Człowiek zaczyna funkcjonować w ciągłym napięciu, ma trudność z regeneracją, częściej doświadcza rozdrażnienia, frustracji i poczucia osamotnienia. Pojawia się wrażenie, że wszystko zależy od niego i że nie ma przestrzeni, żeby choć na chwilę odłożyć odpowiedzialność.

W gabinetach często słyszymy zdania: „Nie wiem, kiedy ostatnio naprawdę odpoczywałam” albo „Nawet kiedy mam wolny wieczór, moja głowa nadal pracuje”. To pokazuje, że zmęczenie psychiczne nie zawsze wynika z nadmiaru pracy fizycznej. Często wynika z ciągłego poczucia odpowiedzialności.

Jednym z ważnych wniosków, które wybrzmiały również podczas rozmów w ramach akcji „Moc mamy”, było to, że człowiek nie potrzebuje pomocy wyłącznie w wykonywaniu zadań. Potrzebuje także możliwości podzielenia się odpowiedzialnością. To właśnie wtedy pojawia się prawdziwa ulga dla układu nerwowego.

Matka robot to więc bardziej perfekcjonizm, potrzeba kontroli czy jednak mechanizm przetrwania?

– Najczęściej jest to połączenie kilku mechanizmów. Na początku wiele kobiet wchodzi w macierzyństwo z bardzo wysokimi oczekiwaniami wobec siebie. Chcą dobrze zaopiekować się dzieckiem, odnaleźć się w nowej roli, zadbać o dom, relację i nie stracić kontaktu z tym, co było ważne wcześniej.

Z czasem może się pojawić silna potrzeba kontroli. Kobieta zaczyna mieć poczucie, że jeśli czegoś nie dopilnuje, coś pójdzie nie tak. Bierze więc na siebie coraz więcej, często nawet nie zauważając, że zaczyna funkcjonować głównie w trybie zadaniowym. Po wielu tygodniach czy miesiącach taki sposób działania może się stać mechanizmem przetrwania. Organizm próbuje poradzić sobie z dużą liczbą obowiązków, napięciem i brakiem odpoczynku.

Co powiedziałyby pani kobiecie, która trafiłaby do pani gabinetu z wypaleniem rodzicielsko-domowym?

– Przede wszystkim powiedziałabym, że wypalenie nie jest oznaką słabości ani dowodem na to, że sobie nie radzi.

Bardzo często jest sygnałem, że przez dłuższy czas funkcjonowała w dużym napięciu, obciążeniu i poczuciu odpowiedzialności za wiele obszarów naraz.

Zachęciłabym ją do przyjrzenia się temu, z czego wynika jej przeciążenie. Czy ma przestrzeń na odpoczynek? Czy prosi o pomoc? Czy bierze na siebie odpowiedzialność za rzeczy, których nie musi dźwigać sama? To są pytania, od których bardzo często zaczynają się ważne rozmowy, refleksje i uświadamianie sobie własnych potrzeb.

Często przypominam pacjentom zasadę znaną z instrukcji bezpieczeństwa w samolocie: najpierw należy założyć maskę tlenową sobie, a dopiero później innym. Trudno troszczyć się o innych, kiedy samemu jest się całkowicie pozbawionym sił i zasobów. ▲



ADRIANNA SOBOL

– psychoonkolożka i wykładowczyni Uczelni Łazarskiego – Wydział Medyczny. Pracuje w Szpitalu Specjalistycznym im. św. Rodziny w Warszawie. Współautorka książki „Oswoić raka. Inspirujące historie i przewodnik po emocjach” (Znak, 2020). Ekspertka ogólnopolskiej kampanii edukacyjnej „Moc mamy” organizowanej przez markę Prenalen

Osiem tysięcy czerwonych kropek

Erin Brockovich istnieje naprawdę. Dziś ma 66 lat – i właśnie wydała wojnę kolejnemu olbrzymowi

TEKST MARTA NOWAK

Pamiętacie „Erin Brockovich”? Kto nie pamięta, proszę nadrobić, bo to świetny film, ale tymczasem przypomnę: Kalifornia, rok 1993. Erin Brockovich (w tej roli Julia Roberts), samodzielna mama bez wykształcenia prawniczego, w spektakularnej skórzanej mini, zdobywa pracę jako pomoc biurowa w kancelarii adwokackiej. Jakiś czas później odkrywa, że w pobliskiej miejscowości skażona woda rujnuje ludziom zdrowie. Miesiącami zbiera dowody na to, że wodę zanieczyszcza wielki koncern energetyczny. Walczy, by jak najwięcej mieszkańców dołączyło do pozwu zbiorowego. Ostatecznie wyciska z koncernu ugodę opiewającą na 333 mln dolarów. Jest to – powtórzę – znakomity film.

Erin Brockovich istnieje naprawdę. Dziś ma 66 lat – i właśnie wydała wojnę kolejnemu olbrzymowi. Znacznie potężniejszemu niż koncern, który trzy dekady temu truł kalifornijską wodę.

Kiedy wejdziecie na stronę Brockovich Data Center, zobaczycie mapę Stanów Zjednoczonych usianą czerwonymi kropkami. Każda kropka to miejsce, skąd do Erin spływały zgłoszenia, że powstaje tam centrum danych na potrzeby AI. Gdzieś tam na mapie widać też zieloną kropkę (już działające centrum), niebieską (centrum w budowie) czy fioletową (centrum czeka na pozwolenia). Zielonych, niebieskich i fioletowych kropek razem wziętych jest ponad pięćdziesiąt razy mniej niż czerwonych. Erin nie pokazuje wszystkich istniejących centrów danych, tych w USA jest dziś już ponad cztery tysiące. Ale i tak mapa jest spektakularna. W Polsce mamy naiwne może wyobrażenie, że jeśli w twoim sąsiedztwie ma powstać potężna inwestycja, będzie to oficjalne, jasne, wiadome, opisane w lokalnej gazecie i przedstawione na radzie gminy. W Stanach mamy osiem tysięcy czerwonych kropek.

Żebyśmy wszyscy wiedzieli, na czym stoimy: centra danych to obiekty z ogromną mocą obliczeniową, gdzie trenuje się duże modele językowe. To nie są budynek wielkości rozlewni soków albo marketu budowlanego. Nowe centrum Amazona w Indianie – Project Rainier – liczy sobie blisko 500 hektarów. Ale to nie fizyczne rozmiary stanowią główny problem. Już dziś centra danych zużywają 6 proc. energii elektrycznej w USA, a prognozy nie dają nadziei, że na takim odsetku się skończy. Project Rainier po ukończeniu będzie pochłaniać tyle prądu, że można by tym zasilić 1,6 mln domów. W Luizjanie Meta buduje kampus AI, który ma zżerać wielokrotnie więcej prądu niż cały Nowy Orlean. Do tego dochodzi zapotrzebowanie na wodę. Przykładowo:



MARTA NOWAK

– dziennikarka, publicystka, twórczyni internetowa (IG: @marta_no). Współprowadzi podcast „Co to będzie” o światowej polityce i zjawiskach, które ją kształtują. Laureatka Pióra Nadziei – Nagrody Publiczności Amnesty International

centrum Google w pustynnej Arizonie dostało pozwolenie, żeby rocznie zużywać 5,5 mln metrów sześciennych wody. A według najnowszych badań ONZ globalne zużycie wody przez AI w do roku 2030 dorówna potrzebom 1,3 mld ludzi.

Globalne – bo centra danych to nie jest wyłącznie amerykańska specjalność. W Wielkiej Brytanii takie obiekty też po-

chlaniają 6 proc. zużycia całego kraju. W Irlandii to astronomiczne 23 proc. Do Brockovich pisali zaniepokojeni mieszkańcy Indii, Szkocji, Australii. A Polacy? Polacy nie gęsi. Wójt gminy Belchatów niedawno ogłosił z pompą, że to tam powstanie „największe na świecie” centrum danych dla AI. Inwestor wystąpił z wnioskiem o moc przyłączeniową 1 GW – mniej więcej tyle, ile wynosi zapotrzebowanie na moc takiego miasta jak Warszawa. Połowę tego już mu przyznano.

Wójt Belchatowa przynajmniej nie robi tajemnicy z tych mocarstwowych planów – w przeciwnieństwie do swoich amerykańskich odpowiedników. „Skoro centra danych są takie wspaniałe, to czemu buduje się je po kryjomu?” – pyta Erin w tytule swojego niedawnego tekstu na The Brockovich Report. To oczywiście ironia, centra danych w ogóle nie są wspaniałe – a na pewno nie dla ich sąsiadów. Przerwy w dostawach energii. Skoki w rachunkach za prąd. Brązowa woda w kranie. Zanieczyszczenie światłem. Wycie turbin i klimatyzacji przez 24 godziny na dobę. Chorujące zwierzęta. O tym wszystkim piszą do Erin Brockovich ludzie, którzy mieszkają w pobliżu centrów danych.

I teraz – wiedząc, jak to wygląda – wyobraź sobie, że w twojej miejscowości nagle ogradzają plac, wpuszczają koparki i chyba będą budować centrum danych. „Chyba”, bo w zasadzie nikt nic nie wie. Szukasz informacji – nie ma. Lokalne władze nabrały wody w usta. „Mieszkańcy używają słów takich jak: uciszani, ignorowani, niedostrzegani, niesłuchani” – pisze Brockovich. Deweloperzy, którzy stawiają centra danych, często zawierają z władzami umowy o zachowaniu poufności. Urzędnikom grożą kary, jeśli np. zechcą tłumaczyć, dlaczego wydano zezwolenie na budowę bez konsultacji społecznych (tak, dokładnie: w Stanach odmówią ci informacji o czymś, co budują w twojej wsi, bo burmistrz podpisał NDA). Po cichu zmieniane są plany zagospodarowania przestrzennego. A jeśli władze wstrzymują tymczasowo projekt – sypią się pozwy za niedotrzymanie umów.

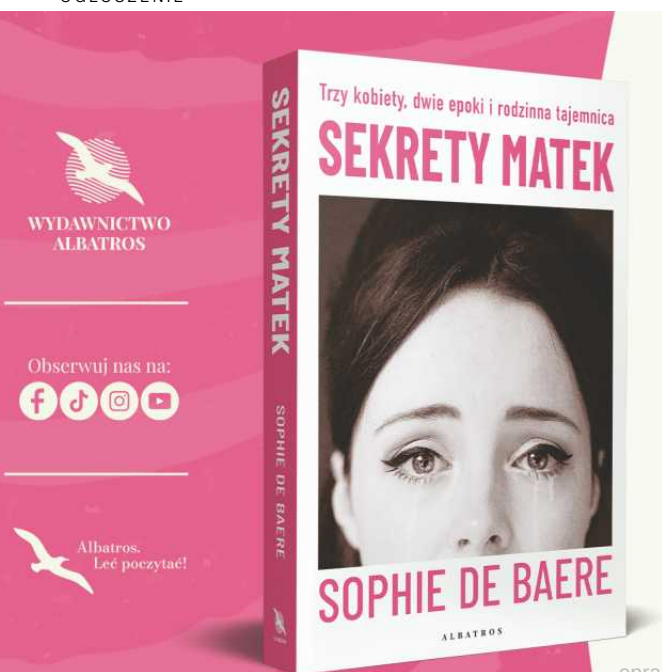
Bo tak – lokalne władze w USA pod presją mieszkańców zaczynają jednak opóźniać i pauzować projekty związane z centrami danych. Z jednej strony walka toczy się z najbardziej wpływowymi firmami na planecie, korporacjami bogatymi jak państwa. Ale z drugiej w Stanach narasta społeczny opór. Niechęć do centrów danych, jak rzadko co, łączy dziś niezależnie od barw partyjnych. To nie jest kwestia takiego czy innego światopoglądu, ale materialnej rzeczywistości. Czy jesteś wyborcą Trumpa, czy kochasz Zohrana – nie chcesz mieć koło

Wójt gminy Belchatów ogłosił z pompą, że to tam powstanie „największe na świecie” centrum danych dla AI. Inwestor wystąpił z wnioskiem o moc przyłączeniową 1 GW – mniej więcej tyle, ile wynosi zapotrzebowanie na moc takiego miasta jak Warszawa

domu molocha, który będzie ci w nocy wył, szumiał, świecił po oknach, zabierze ci wodę i zje cały prąd.

Kampania Erin Brockovich nie ma zniszczyć generatywnej AI. Nie o tym jest. Ma obudzić bunt – i pokazać, jak go skanalizować i przekuć w czyn. Uświadomić ludziom, że mogą się zorganizować. Że nie zawsze trzeba od razu zdzierać koszulę i ruszać na barykady, że można zacząć od małych kroków jak zadawanie pytań lokalnym władzom. Że czasem udaje się wstrzymać budowę, której nikt nie chce. A jeśli trzeba – wciąż można iść do sądu. Jak powiedziała ostatnio „Guardianowi” „Brockovich: „Dzisiejsze ugody już nie opiewają na 333 miliony dolarów. Opiewają na miliardy”. ▲

OGŁOSZENIE



SEKRET, KTÓRY ODMIENIŁ LOSY TRZECH KOBIEC.

FRANCUSKI BESTSELLER O SILE KOBIEC I RODZINNYCH TAJEMNICACH,
NAGRODZONY PRIX RELAY DES VOYAGEURS LECTEURS 2025.

Poruszająca podróż do małomiasteczkowej Francji od okresu powojennego do końca lat 60. XX wieku. Autorka czułym piórem ożywia czasy, w których kobiety miały niewiele praw, ale nie brakowało im pasji ani odwagi do buntu.

„SĄ TAKIE POWIEŚCI, KTÓRYCH SIĘ NIE ZAPOMINA.”

KSIAŻKA POLECANA PRZEZ VALÉRIE PERRIN,
AUTORKĘ „ŻYCIA VIOLETTE”

Tajemnica góry

Wierzono, że jakakolwiek próba zakłócenia tafla jeziora spowodzi gwałtowne burze oraz powódzie, dlatego przez wiele lat wejście na Pilatus było oficjalnie zabronione



TEKST PAULINA WASIELEWSKA

Kolejka powoli wjeżdża na górę, choć momentami nachylenie jest tak olbrzymie, że mam wrażenie, że się wspina. Z każdą minutą widoki coraz bardziej zapierają dech. Góra Smoków w przeszłości wzbudzała lęk i uważana była za przeklętą. Dzisiaj to jedna z najpopularniejszych atrakcji Szwajcarii.

Alpy zajmują prawie 60 proc. powierzchni Szwajcarii. Na spragnionych pieszych wędrówek czeka aż 65 tys. km znakowanych tras o różnym stopniu trudności. Dla porównania: Ziemia ma nieco ponad 40 tys. km obwodu, co oznacza, że tutejsze szlaki mogłyby objąć ją niemal półtora raza. Mamy tu aż 48 oficjalnych czterotysięczników oraz tysiące innych szczytów. Jednym z nich jest położony w samym sercu kraju Pilatus. Zachwyca ogromem, spektakularnymi kra-

jobrazami, licznymi atrakcjami oraz krążącymi wokół niego legendami. Podróżując po Szwajcarii, miałam okazję podziwiać wiele malowniczych zakątków, jednak ten w szczególności zapadł mi w pamięć i zrobił piorunujące wrażenie. To miejsce wyjątkowe i absolutny must have dla każdego miłośnika gór i natury. Gwarantuje niezapomniane przeżycia.

Pilatus to majestatyczny masyw położony w Alpach Emmentalskich, zaliczanych do Alp Zachodnich. Wznosi się nad Jeziorem Czterech Kantonów i góruje nad malowniczą Lucerną. Z dołu wygląda niczym prawdziwy kolos, jednak największe emocje budzi panorama oglądana z jego szczytów. Przy dobrej widoczności z góry można podziwiać ponad 70 innych, alpejskich wierzchołków, pięć jezior oraz miastą środkowej Szwajcarii, w tym wcześniej wspomnianą Lucernę, Kriens i Alpnach.

Wokół masywu krąży kilka legend. Jeszcze w średniowieczu nosił nazwę Fräkmünt, co oznaczało złamaną lub potrzaskaną górę i odnosiło się do jego kształtu. Został przemianowany jednak na Pilatus, bo według podań do jednego z tutejszych stawów górskich zostały wrzucone zwłoki Poncjusza Pilata. Wierzono, że jakakolwiek próba zakłócenia tafla jeziora spowodzi gwałtowne burze oraz powódzie, dlatego przez wiele lat wejście na górę było oficjalnie zabronione. Inne opowieści mówią, że masyw miał być zamieszkiwany przez smoki, dlatego też bywa nazywany Górą Smoków. W 1421 roku mityczne stworzenie miało upuścić obok jednego z farmerów kamień, który skrywał jego zakrzepłą krew. Przez stulecia przypisywano mu właściwości lecznicze. Dziś można go podziwiać w Muzeum Przyrodniczym w Lucernie.



Od lewej: Pilatus, czyli postrzępiona góra; Hotel Bellevue oraz górna stacja kolejki linowej na szczycie

Inna historia opowiada o młodym mężczyźnie, który jesienią zgubił się na szlaku i wpadł do głębokiej jaskini zamieszkiwanej przez dwa smoki, a wiosną jeden z nich pomógł mu wydostać się na zewnątrz.

JAK DOTRZEĆ NA PILATUS

Pilatus to masyw dostępny dla każdego, można dotrzeć na niego w trzy sposoby. Pierwszym z nich są oczywiście szlaki piesze o różnym stopniu trudności i czasie przejścia. Na te krótsze i bardziej strome, m.in. z miejscowości Alpnachstad, trzeba liczyć około 5-6 godzin, jednak do pokonania będzie nawet 1600 m przewyższeń. Dłuższe,

np. z Kriens, zajmują około 8 godzin i prowadzą łagodniejszym wariantem trasy.

Drugą opcją są kolejki górskie. I to nie byłyby jakieś: z Alpnachstad startuje najbardziej stroma kolej zębata na świecie. Przypomina czerwony tramwaj, który pnie się ku górze. Nie bez powodu bywa nazywana arcydziełem inżynierii. W nieco ponad 30 minut z prędkością 9 km/h pokonuje ponad 4,6 km trasy oraz 1635 m przewyższeń. Momentami nachylenie osiąga rekordowe 48 stopni. Atrakcja została oddana do użytku w 1889 roku. Wszystko za sprawą Eduarda Lochera, którego śmiały pomysł początkowo spotkał się z olbrzymim sceptycyzmem.

Trzecią opcją jest kolejka linowa startująca z Kriens. Trasa podzielona jest na trzy etapy, z czego dwa pierwsze pokonuje się w mniejszej gondoli, którą w 18 minut dotrzesz do Fräkmüntegg. Następnie

należy przesiąść się do większego wagonu zwanego Dragon Ride, który dociera już bezpośrednio na Pilatus. Dzięki panoramicznym oknom można podziwiać okolicę oraz sam masyw. Trasa zajmuje niecałe cztery minuty. Ja swoją podróż zaczęłam od kolejki zębatej, a skończyłam, zjeżdżając gondolami, z dwoma przystankami po drodze. Zdecydowanie polecam ten wariant.

ZŁOTA TRASA WOKÓŁ GÓRY SMOKÓW

Wycieczkę na Pilatus warto urozmaicić sobie jeszcze jedną atrakcją, czyli rejsem statkiem po Jeziorze Czterech Kantonów. W ten sposób można odbyć Golden Round Trip – niezwykłą podróż czterema środkami transportu. To najpopularniejszy sposób zwiedzania masywu oraz okolic. Kła-



Od lewej: wagony najbardziej stromej kolei zębatej na świecie; wagon kolejki linowej przy szczycie, z widokiem na Jezioro Czterech Kantonów; ścieżka sensoryczna na szlaku Drachenmoor

szczytna trasa rozpoczyna się w Lucernie, skąd wyrusza łódź, która zabiera pasażerów w malownicze zakątki akwenu. Po dotarciu do Alpnachstad czas na przesiadkę na wcześniej wspomnianą koleję zębatą, następnie zwiedzanie masywu i zjazd dwoma różnymi gondolami. Na koniec zaś z Kriens można złapać autobus linii nr 1, który jedzie do Lucerny. Wszystko w ramach jednego biletu.

CO ROBIĆ NA GÓRZE PILATUS?

Górna stacja kolejki zębatej znajduje się na 2073 m n.p.m. wysokości w głównym ośrodku Pilatus-Kulm, w którym mieści się też hotel wraz z działającą od 1890 ro-

ku restauracją. Wewnątrz można kupić pamiątki w sklepiku lub zjeść w pięknie zaaranżowanej sali Królowej Wiktorii. Nazwa nie jest przypadkowa. Została nadana na cześć Królowej Wielkiej Brytanii Wiktorii, która w 1868 roku wjechała na górę na mule. Był to jeden z punktów jej piciotygodniowych wakacji w okolicach Jeziora Czterech Kantonów. Co ciekawe, w trakcie wypoczynku rysowała, a jeden z jej akwarelowych obrazów przedstawia widok na Pilatus widziany znad akwenu.

To jednak nie wszystko. W podziemiach ośrodka znajdziemy Dragons World, czyli Świat Smoków, który jest niczym innym jak interaktywną ekspozycją pełną atrakcji z mistycznymi bestiami w tle. Zwiedzanie zajmuje około 20 minut i jest bezpłatne dla osób mających bilet na kolejkę. Chętni mogą poznać legendy o latających gadach, obejrzeć multimedialne pokazy, przebrnąć przez instalacje świetlne oraz wziąć udział w specjalnej projekcji, w której wcielią się w szybującego smoka.

To świetne urozmaicenie zainteresuje nie tylko najmłodszych.

Nieopodal jest okrągły budynek, w którym mieszczą się Hotel Bellevue z samoobsługową restauracją oraz górna stacja kolejki linowej. W obu obiektach możesz rozkoszować się nie tylko smacznym jedzeniem, lecz także pięknymi widokami na Alpy. Aż trudno uwierzyć, że to wszystko znajduje się na szczycie potężnego masywu ponad 2 tys. m n.p.m.

NAJPIĘKNIEJSZE PUNKTY WIDOKOWE NA POSTRZĘPIONEJ GÓRZE. DOTRZESZ W KILKA MINUT

Ale Pilatus to nie tylko udogodnienia w postaci restauracji i hotelu. To przede wszystkim ciekawe trasy na punkty widokowe. Pierwszym z nich jest Esel, na który z Pilatus-Kulm dotrzesz w kilka minut. Z samej góry możesz podziwiać 360-stopniową panoramę na Alpy, Lucernę oraz Je-

Widok z okolic Hotelu Pilatus-Kulm.
W dole można dostrzec trasę na szczyt



zioro Czterech Kantonów. Trasa jest krótka i wiedzie po zabezpieczonych barierką stopniach, które pięknie komponują się na zdjęciach. Na końcu mieści się platforma widokowa. Ze względu na bliskość stacji kolejek to najpopularniejsza opcja. Niestety, podczas mojej wizyty szlak był nieczynny ze względu na zalegający śnieg.

Spod Pilatus-Kulm rusza też szlak na Tömlishorn, czyli najwyższe wzniesienie masywu. Trasa ma nieco ponad 1,5 km długości, a jej przejście zajmuje zazwyczaj od 30 do 40 minut. Wiedzie głównie po płaskim, choć ostatnie kilkaset metrów to podejście po skałach. Wszystko jest dobrze zabezpieczone.

Trzeci punkt widokowy znajduje się na Oberhaupt, na którego wchodzi się głównie po schodach. Wędrówka zajmuje około 10 minut, a z góry możesz podziwiać piękny widok na jezioro oraz Klimsenkapelle, czyli neogotycką kaplicę położoną na 1864 m n.p.m. wysokości w masywie Pilatus. Widok niewielkiego budynku nad przepaścią robi ogromne wrażenie.

Ciekawą propozycją jest też spacer Smoczą Trasą Drachenweg, którą spowija mgielka tajemnic. Prowadzi nie tylko po kamieniach i schodach, lecz także szczelinami. To właśnie w nich żyć miały smoki. Dziś przy odrobinie szczęścia możesz tu spotkać innych mieszkańców góry. Mowa o koziorożcach alpejskich, które zręcznie przemieszczają się po skałach nad przepaścią. Miałam okazję jednego podziwiać i jego akrobacje momentami przyprawiały mnie o szybsze bicie serca.

TEN SZLAK MNIE ZAURÓCZYŁ

Pilatus zapewnia niezwykle doznania nie tylko na szczytach, lecz także niżej. Jak wspominałam wcześniej, zjeżdżając kolejką linową, można zatrzymać się na dwóch stacjach pośrednich, co bardzo polecam. Po wyjściu z Dragon Ride będziesz w Fräkmüntegg, gdzie znajdują się m.in. największy park linowy w całym kraju, Dragon Glider, czyli zjazd tyrolką, restauracja oraz ciekawa propo-

ycja na nocleg, jaką są namioty umieszczone nad ziemią pomiędzy trzema drzewami.

Kolejnym przystankiem jest trochę niedoceniane Krienseregg. Znajdziesz tu kolejną restaurację oraz ciekawą ścieżkę edukacyjną Wrzosowisko Smoka, czyli Drachenmoor. Trasa poprowadzona jest w formie pętli, a jej przejście zajmuje do dwóch godzin. Wiedzie m.in. przez chronione torfowiska i ciekawe zakątki w lesie z pięknym widokiem na wylaniający się gdzieś tam Pilatus. Po drodze na odważnych czeka dodatkowa atrakcja, jaką jest bosonoga ścieżka sensoryczna, która pozwala poznać szlak wszystkimi zmysłami. Chętni mogą przespacerować się bez butów po szyszkach, kamieniach, korze i mchu. Oczywiście tras spacerowych jest więcej, dzięki czemu każdy znajdzie coś dla siebie. Na koniec nie pozostaje nic innego jak zjechać kolejką do Kriens. ▲

Wyjazd zorganizowany przez Switzerland Tourism – Szwajcarską Organizację Turystyki, www.MojaSzwajcaria.pl

Zadbana, czyli *jaka?*

Ile napięcia i stresu musi kosztować ciągle udawanie, że jest się młodszym niż w rzeczywistości, że ktoś w końcu odkryje prawdę



Helen Mirren



Andie MacDowell



Emma Thompson



Dorota Kolak

Bycie zadbaną to nie wyglądanie na młodszą, niż jestem, ale dbanie o zdrowie, dietę, ćwiczenia



Z PROF. KATARZYNĄ POPIOŁEK
ROZMAWIA EWA JANKOWSKA

Koleżanka opowiedziała mi dość smutną historię – o kobiecie, która nie dostała pracy, ponieważ miała siwe włosy, co zostało odebrane jako zaniedbanie. Siwe włosy oznaką zaniedbania? Dlaczego w ten sposób dziś myślimy?

– I nie chodzi o to, że ta kobieta miała włosy nieumyte czy przetłuszczone, wyglądała niezdrowo, nieprzyjemnie pachniała lub miała brudne paznokcie, co byłoby równoznaczne z zaniedbaniem, po prostu miała nie taki kolor, jaki powinna, czyli nieujawniający jej prawdziwego wieku. Tak jakby jej obowiązkiem było ukrywać ciało takim, jakie jest, w wieku, w którym jest. Siwe włosy oznaczają starość, a niesiwe młodość. Starość nie jest atrakcyjna, w przeciwieństwie do młodości. Starszy człowiek nie jest pożądanym obrazem do oglądania. Dlatego czynimy go niewidzialnym.

Zaskoczyło mnie, że to było takie oczywiste.

– Jest oczywiste i doskonale tłumaczy to przecież psychologia ewolucyjna. Piękne ciało to takie, które jest symetryczne, proporcjonalne. Piękna twarz to twarz o gładkiej cerze, czyli twarz młoda. Takie cechy świadczą o płodności, dobrych genach. Nie ma znaczenia, w jakim kręgu kulturowym żyjemy; wszędzie kryteria atrakcyjności urodę są niemalże identyczne.

To nie my ustaliliśmy ten kanon piękna; zrobiła to za nas biologia.

– Ale biologia funkcjonuje w ramach kultury, która się zmienia – może różnego rodzaju wzorce piętnować bądź faworyzować. Wydawałoby się, że żyjemy w czasach, w których coraz więcej mówi się o naturalności, ciałopozytywności, akceptacji przemijania. Kobiety specjalnie farbują włosy na siwy!

I tu jest sedno problemu. Mechanizm, o którym wspomniałam – pęd ku tak atrakcyjnej młodości, czyli tzw. juwenalizacja, powinien tak naprawdę funkcjonować wyłącznie w jednym obszarze.

Jakim?

– Tym, który dotyczy prokreacji, poszukiwania odpowiedniego partnera do związku, gdzie cel jest jeden – powiększenie rodziny i zwiększanie szans na przeżycie potomstwa. Tymczasem współcześnie juwe-

nalizacja rozlała się na wszystkie obszary życia, wniknęła we wszystkie obszary kultury. Na pewnym etapie uznano, że wszędzie – w pracy, w mediach, w życiu publicznym – cenne jest to, co młode. Młodość utożsamiana jest z siłą, witalnością, kreatywnością, ludzie chętniej oglądają (i w mediach, i na ulicy) twarze młode. Nie zawsze jednak tak było.

Nie?

– Nie! Proszę sobie przypomnieć chociażby malarstwo XIX i przełomu XX wieku.

Gustave Courbet, Marc Chagall, Vincent van Gogh czy Paul Cézanne często portretowali swoje matki, pokazując bogactwo wyrazu ich twarzy, które niekoniecznie musiały być piękne, ale skrywały doświadczenie, mądrość. W literaturze XIX wieku często spotykamy figurę „sędziwego mędrca”, „nestora rodu” czy „szanowanego profesora”. Nawet jeśli ktoś był biedny, sam jego podeszły wiek mógł budzić szacunek.

Słynny jest przecież cytat George’a Orwella, który powiedział, że do 40. roku życia za naszą twarz odpowiada biologia, a po 40. roku życia – to, kim jesteśmy.

**Chcę być autentyczna,
nie udawać młodszej,
niż jestem, i chcę być
w swoim wieku lubiana**

Coś podobnego powiedziała też Chanel: „Natura daje ci twarz, jaką masz w wieku dwudziestu lat; na twarz, jaką masz w wieku pięćdziesięciu, musisz sobie zasłużyć”.

– Przed erą internetu, powszechnej edukacji, szybkiego przepływu informacji oraz przede wszystkim przed rozwojem nowoczesnych technologii, doświadczenie życiowe miało ogromną wartość. Wiek był naturalnie związany z prestiżem. Oczywiście młodość była kultywowana, ale przede wszystkim ze względu właśnie na energię, piękno zewnętrzne, oraz – wiadomo – możliwości reprodukcyjne. Młodość wciąż oznaczała niedojrzałość, impulsywność, okres, w którym popełnia się mnóstwo błędów. W przeciwieństwie do starości.

W latach 70. i 80. wielu socjologów pisało, że Zachód przechodzi od kultury sza-

cunku dla wieku do kultury młodości. Starsi ludzie przestali być cenieni na rynku pracy, w dodatku przestali nadążać za postępującą cyfryzacją. Amerykański historyk Theodore Roszak mówił nawet o dominacji kultury młodzieżowej, a filozof Christopher Lasch zauważał, że nowoczesne społeczeństwo coraz bardziej odczuwa lęk przed starzeniem się, czyli przed śmiercią.

Dziś, gdy widzimy osobę starszą – wyglądającą adekwatnie do swojego wieku – podświadomie uruchamia się u nas myśl: Jej jest bliżej do śmierci niż mnie. I to natychmiast sprawia, że wrzucamy ją do innej kategorii niż siebie. Do tej, do której nie chcemy należeć.

Ten mechanizm kategoryzacji działa błyskawicznie.

– Patrząc na kogoś i w ułamku sekundy decyduję (nieświadomie oczywiście), czy jest starszy czy młodszy, swój czy obcy. Konsekwencje tego mechanizmu mogą być naprawdę poważne. Gdy umieszczamy kogoś w grupie obcej, od razu zaczynamy go deprecjonować. Wystarczy odczuwanie minimalnej różnicy, aby ten mechanizm się uruchomił.

Po zabójstwie Martina Luthera Kinga Jr. nauczycielka Jane Elliott chciała pokazać dzieciom, czym jest dyskryminacja. Zrobiła eksperyment. Podzieliła uczniów według koloru oczu – niebieskie versus brązowe. Jedną grupę uznała za lepszą, drugą za gorszą. Ta lepsza dostawała różnego rodzaju przywileje, gorsza była krytykowana, ograniczana. Dzieci bardzo szybko zaczęły przejmować przypisane role, uprzywilejowani stawiali się pewniejsi siebie, a dyskryminowani wycofani i zestresowani. Wyniki w zadaniach zmieniały się w zależności od statusu grupy. Oczywiście po odwróceniu ról zachowania również się odwracały.

Pofarbowane włosy odzwierciedlające młodość są uprzywilejowane, siwe oznaczające starość – dyskryminowane. Kobieta, która ma oznaki starości, przekracza Rubikon i zajmuje miejsce w tej gorszej grupie.

Doskonale pamiętam, jak zostałam babcią – jeszcze nie byłam w wieku, który umieszczalby mnie po tej drugiej stronie Rubikonu. Część moich znajomych – nie żartuję – autentycznie wściekała się, kiedy mówiłam o sobie babcią.

Dlaczego?

– Było im wstyd, że ich koleżanka, którą lubią, z którą się pokazują, jest babcią. Czyli jest częścią grupy, do której oni nie przynależą i nie chcą przynależeć, bo są prze-



Pamela Anderson

cież jeszcze młodzi. To, że mówiłam o sobie babcią, degradowało ich towarzystwo.

To okropne.

– Okropne i bardzo ludzkie zarazem. Właśnie tak działa mechanizm kategoryzacji. Inny kolega zaczął mi w pewnym momencie sugerować, że powinnam coś zrobić z moimi zmarszczkami. Podsyłał mi adresy różnych klinik, gdzie dobrze i niedrogo wykonują zabiegi. Będziesz wyglądać młodej – przekonywał mnie.

I co pani odpowiadała?

– Pytałam go, ale po co? Wtedy powiedział coś ważnego – bo wtedy ludzie będą chcieli z tobą przebywać i będą cię lubić. Mało kto zechce poznać pomarszczoną, starą kobietę. To mnie poruszyło, no bo taka jest prawda. Wygląd to kryterium, które decyduje o tym, czy w ogóle masz chęć otworzyć do kogoś buzię. Sama coś o tym wiem.

To znaczy?

– Do tej pory pamiętam tę sytuację i jest mi z tego powodu bardzo głupio.

Wiele lat temu – były to jeszcze lata 80. – brałam udział w programie organizowanym przez British Council, w ramach którego przewidziany był kilkutygodniowy pobyt na Uniwersytecie w Oksfordzie.

Aby ułatwić nam kontakty z tamtejszymi naukowcami, byliśmy zapraszani na liczne spotkania koktajlowe, toczące się w niezobowiązującej atmosferze. Na tych spotkaniach zawsze spotykałam pewnego pana. Był mocno przy kości, twarz miał otyłą, co sprawiało, że oczy wydawały się mniejsze niż w rzeczywistości. Spojrzenie miał znużone i bez wyrazu. Nic mnie do niego nie ciągnęło! Więc go unikałam.

Pewnego razu zapytałam koleżankę, czy wie, kim on jest. Powiedziała, że to laureat Nagrody Nobla z biologii. Wszędzie go zapraszają, żeby podnieść status wydarzenia. A ja, już wtedy absolwentka psychologii, uznałam go za nieciekawego, nudnego, mało inteligentnego, a nawet nie zamieniłam z nim słowa! Oceniałam go wyłącznie na podstawie wyglądu..

Skorzystała pani z rady kolegi dotyczącej zmarszczek?

– Nie. Mam pewność, że chcę być autentyczna, nie udawać młodszej, niż jestem, i chcę być w tym swoim wieku lubiana. Wierzę, że przez wiele osób jestem. Ale włosy farbuję, bo mi w siwiźnie po prostu nieładnie. Mam też silne przekonanie, że udawanie młodości ma wysoką cenę psychologiczną.

To znaczy?

– Ile napięcia i stresu musi kosztować ciągle udawanie, że jest się młodszym niż w rzeczywistości, że ktoś w końcu odkryje prawdę, brak spójności, albo dana korekta nie pójdzie tak, jak powinna.

Kolejna rzecz – zamiast przeżywać swój prawdziwy wiek, cały czas przeżywamy ten, w którym udajemy, że jesteśmy. Powiedziały kiedyś mojemu koledze, że zachwycałam się kimś, kto miał 70 lat, a wyglądał na 40. Wtedy on powiedział, że dla tej osoby to musi być jednak swego rodzaju dramat, bo ona nie dała sobie szansy na przeżycie nie tylko swojej siedemdziesiątki, lecz także pięćdziesiątki i sześćdziesiątki. Uwięziła się w wieku 40 lat, którego tak kurczowo się trzyma. Straciła trzy dekady własnego życia.

Ciekawe spojrzenie. Dla wielu to chyba jednak nie byłaby strata, bo robią dziś wiele, aby tą czterdziestką pozostać.

– Wykonują operacje plastyczne, inwazyjne zabiegi itd. byleby, w ocenie otoczenia, jak najdłużej nie przekroczyć nieszczęsnego Rubikonu.

Pytanie, czy robimy to, bo jest to nasza potrzeba czy presja z zewnątrz. Odkąd skończyłam 40 lat, coraz częściej słyszę od koleżanek, że w tym wieku to już najwyższy czas zacząć przeprowadzać zabiegi – niekoniecznie bardzo inwazyjne, ale przynajmniej takie opóźniające widoczne starzenie. Czuję presję, że korzystanie z takich zabiegów to właściwie jedyna słuszną drogą, a rezygnacja z nich – świadome zaniedbywanie się.

– I to jest bardzo trudne pytanie: Czy ja czegoś chcę, czy wymaga tego ode mnie kultura? Czy tej zmarszczki nie lubię, bo naprawdę jej nie lubię czy kultura każe mi jej nie lubić? Jestem przekonana, że wiele osób nie zdaje sobie sprawy z tego, jaki jest prawdziwy powód danej ingerencji.

Zastanówmy się, w którym momencie pojawia się myśl, że trochę nie mam wyjątku, bo albo godzę się na bycie wykluczoną, gorszą, która wypada z pewnych obszarów życia, albo uznaję: OK, takie są zasady gry, ulegam trendowi juwenalizacji, aby nie stracić określonych przywilejów.

I to jest w porządku? Czego uczą nas te znane kobiety ze świata publicznego, które naciągają sobie twarze, wypełniają usta, korzystają intensywnie z zabiegów ostro odmładzających? Panuje trend, że nie powinno się dziś oceniać



PROF. KATARZYNA ANNA POPIOŁEK

– psycholożka, dr hab. nauk humanistycznych, profesor nadzwyczajny Wydziału Zamiejscowego w Katowicach SWPS Uniwersytetu Humanistycznospołecznego z siedzibą w Warszawie, Wydziału Psychologii Wyższej Szkoły Finansów i Zarządzania w Warszawie

– jeśli kobieta chce coś sobie poprawić, super, jej decyzja. Jeśli nie – też OK. Czy na pewno tak jest?

– Moim zdaniem trzeba walczyć z narzucenymi wzorcami, zwłaszcza jeśli uniemożliwiają nam bycie sobą, a każą być atrakcyjnym, sztucznym towarem. Jesteśmy w stanie wpływać na te wzorce, na sposób ich postrzegania.

Żeby jednak taka zmiana nastąpiła, potrzebne jest działanie zbiorowe na szeroką skalę. Chodzi o pokazywanie, że bycie zadbanym to nie odmładzanie i wygląkanie na młodszą, niż jestem, zwane dobrym starzeniem się, ale dbanie o zdrowie, odpowiednią dietę, regularne ćwiczenia fizyczne, unikanie używek, dobre relacje z ludźmi.

Są kobiety w przestrzeni publicznej, które się temu nie poddają i pokazują, że starość czy bycie niedoskonałą, a więc niewypisywanie się w ten idealny, nakazany wzorzec urody, jest OK. Andie MacDowell, która podkreśla swoje piękne, siwe włosy, Pamela Anderson, która zrezygnowała z makijażu.

– Niedawno oglądałam film „Czwartkowy klub zbrodni” z Helen Mirren. Jak ona tam przepięknie staro wygląda! Mam wrażenie, że jej nie odmładzano, ale wręcz postarzano do tej roli. Na mnie to podziało bardzo dobrze. Weszłam do łazienki, spojrzalam w lustro i pomyślałam: Nawet jak przybędzie mi dużo zmarszczek, tak jak ja, to wciąż nadal będę fajna.

To są jednostkowe przypadki. Żeby zmienić obowiązujący wzorzec, taki trend musiałby się stać trendem powszechnym, a to

wymaga zbiorowych działań, zmian w sposobie podejścia do starości jako czegoś wstydliwego.

Jest taka znana zasada w psychologii, tzw. efekt samej ekspozycji – im częściej mamy do czynienia z jakimś obiektem, tym bardziej się z nim osuwamy i zaczynamy go akceptować, a nawet lubić.

Twarze starszych kobiet wciąż bardzo rzadko pojawiają się w przestrzeni publicznej, wizualnej – w reklamach, na billboardach, w telewizji.

– A nawet jeśli się pojawiają, są to zazwyczaj jednak osoby odmłodzone, z twarzami przetworzonymi, czyli po operacjach plastycznych, z mocnym makijażem albo po zastosowaniu różnego rodzaju korekt i retuszy, aby twarz wyglądała młodziej, a więc lepiej. A to nie w tym rzecz. Chodzi o to, aby to były osoby wyglądające na swój naturalny wiek, prezentowane z dumą i pogodą. Jeśli nie będziemy widywać starszych twarzy w przestrzeni publicznej, w dodatku różnorodnych w wyrazie, nie nabierzemy do nich pozytywnego stosunku, nie dostrzeżemy ich piękna.

Natomiast już samo uświadomienie sobie, że wrzucamy ludzi do pudełka „lepszego, młodszy” i „gorszego, starszy”, może pomóc nam w zmianie percepcji otoczenia. Musimy ten dyskryminujący mechanizm w sobie zwalczać, starać się nieustannie poszerzać kategorię człowiek. ▲

CIAŁO BEZ PRESJI

Twoje ciało jest gotowe na plażę dokładnie takie, jakie jest. Każda kobieta określa reguły gry dla własnego ciała – tak uważamy w redakcji „Wysokich Obcasów”, „Wysokich Obcasów Extra”, kobieta.gazeta.pl, edziecka. Mamy dosyć zawstydzania kobiet, dziewczynek, wmawiania nam, że musimy zeszczupłeć za wszelką cenę, wciągać brzuchy, podporządkować się socialowym kanonom piękna, instagramowym filtrom. Mamy dosyć wpędzania nas w poczucie winy. Uważamy, że nasze ciała są piękne, bo są nasze. Zapisują ślady tego, czego doświadczyłyśmy. Dlatego dajmy spokój ciału. W wakacje, kiedy z każdego serwisu społecznościowego wybija przekaz „zrób coś, żeby wyglądać lepiej w bikini”, my mamy dla Was cykl tekstów „Ciało bez presji”. Przygotowałyśmy też ankietę na serwisie www.wysokieobcasy.pl: Co znaczą dziś dbanie o urodę? Gdzie jest granica? Co wpływa na Waszą/Naszą samoocenę? Piszcie do nas!

Listy@wysokieobcasy.pl



Ciasto z jagodami, czyli mustikkapiirakka



Allas, nowoczesny kompleks basenów przyczepiony do nabrzeża Helsinek



Löyly z bezpośrednim dostępem do wody Bałtyku



Jak zdziczałam ze szczęścia

Chciałam zrozumieć, co takiego jest w tym mieście, że mama tęskniła za nim i żałowała powrotu do Polski

TEKST BASIA STARECKA

Wszystko zaczęło się od listu. I to miłosnego. Do mojej mamy pisał Fin. Nie byłam specjalnie zaskoczona, bo wiedziałam, że mieszkała w Helsinkach przed moim urodzeniem. Spędziła tam dwa lata, często zmieniała mieszkania i prace. Zaskoczyło mnie jednak to, co było w tym liście. Fin czuł się opuszczony. Tęsknił i się niepokoił. Ten list, mimo że pisany łamaną polszczyzną prawie pół wieku temu, nagle odzyskał swoją aktualność, gdy trafił w moje ręce po jej odejściu. Byłam zdumiona i poruszona precyzją opisu moich własnych uczuć, które kreślił odległy mi nadawca. Czulałam się jak on. Pomyślałam więc, że może w Helsinkach odzyskam spokój. Tym bardziej że po raz kolejny Finlandia została uznana za najszczęśliwszy kraj na świecie. Chciałam zrozumieć, co takiego jest w tym mieście, że mama tęskniła za nim do końca swojego życia i żałowała powrotu do Polski. Postanowiłam przepłynąć na drugą stronę Bałtyku, do miejsca, z którego przyplynał list, w poszukiwaniu odpowiedzi.

MIASTO NA MORZU

Już na pokładzie fińskich linii lotniczych Finnair było jakoś inaczej. Sok jagodowy w ramach poczęstunku? Wypiłam go zachłannie duszkiem jak dziecko, nie odrywając oczu od widoku za oknem. Leciałam nad morzem, a im bliżej byłam celu, tym więcej pojawiało się na nim okruszków małych wysepek. Smak jagód i widok morza przypomniał mi o naszych jagodziankach. Nie wiedziałam jeszcze, że jagody dla Finów to największe dobro narodowe. Nie wiedziałam również, że jedną z wysepek, na które patrzyłam z góry, jest Mustikkamaa, czyli cała wyspa jagód.

Na miejscu szybko się okazało, że Helsinki niewiele mają wspólnego z typowym miastem. Owszem, są galerie sztuki, nieśamowite biblioteki, z których każdy mo-

że korzystać, zapierające dech w piersiach futurystyczne budynki, miejsca z niepowtarzalnym designem. Ale to nie miejskie uciechy są największym walorem stolicy Finlandii, ale jej unikatowe położenie i bliskość natury. Pierwszy raz byłam w mieście, w którym można było odpocząć.

Allas to drewniany monolit przyczepiony do nabrzeża. Nowoczesny kompleks basenów stoi na tradycji – konstrukcję wzniesiono z fińskiego świerku, a samo miejsce do pływania wydzielono z Bałtyku. Ten okazał się równie zimny co i po naszej stronie, w podskokach więc zawróciłam do głównego budynku, aby skorzystać z fińskiego rytuału. Sauna okazała się z widokiem na panoramę miasta. Grzejąc się po orzeźwiającej kąpieli, kontemlowałam pałac prezydencki, ratusz, katedrę, piękną starą halę targową i plac przed nią z charakterystycznymi pomarańczowymi namiotami

mi skrywającymi sprzedawców świeżych ryb, słodkich fińskich truskawek i leśnych jagód. Fińskie owoce miały mi od tej pory osładzać wszystkie moje sentymentalne poszukiwania. Po drodze odwiedziłam jeszcze sporo saun. Jest w czym przebierać, bo w Finlandii jest ich całe 3 mln, ale sprawdźcie jeszcze te dwie: przypominająca ogromny głaz wyrzucony na nabrzeże Löyly z bezpośrednim dostępem do lodowatej wody Bałtyku i z sauną dymną, w której można się poczuć jak wędzony losoś, a także ukryta w lesie samoobsługowa Sompasauna bazująca na fińskiej idei talkoot, dobrowolnym czynie społecznym. Jest całkowicie darmowa, można ją oczywiście wesprzeć, zostawiając grosz na rzecz jej utrzymania. Ta ostatnia znajduje się zresztą na jagodowej wyspie.

WYSPA JAGÓD

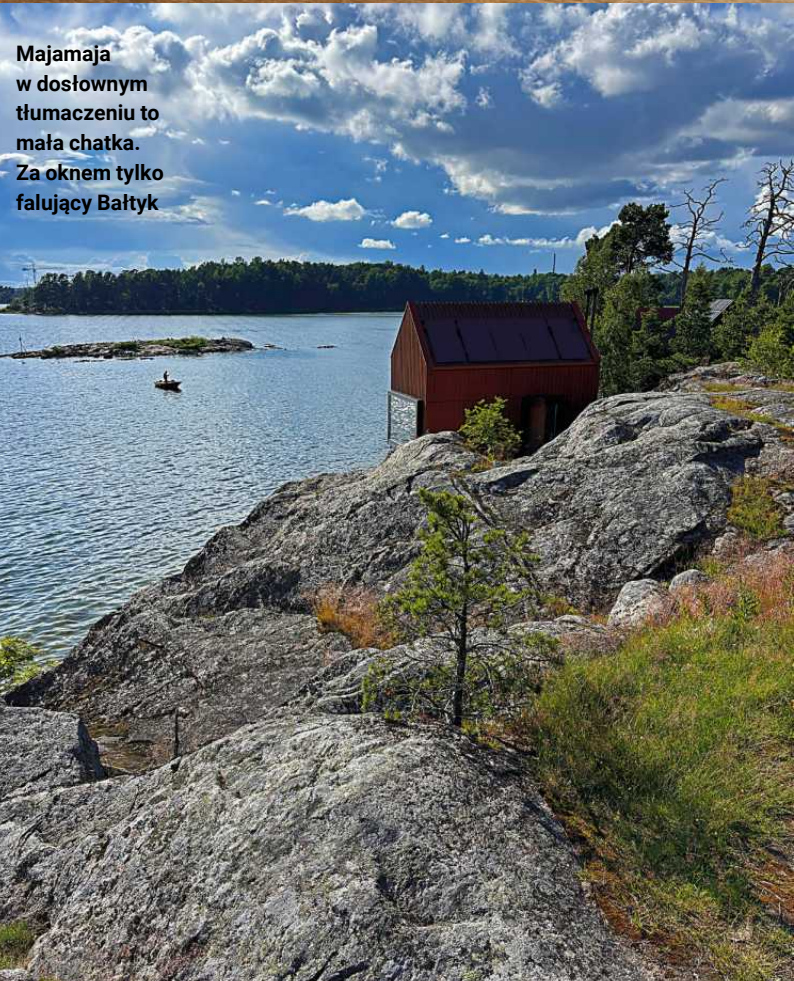
Mustikkamaa to właściwie sam las, chociaż obok ścisłego centrum. Mówi się, że popularny i oblegany, ale jesteśmy w Finlandii. Kraju o powierzchni zbliżonej do Polski, ale zamieszkanym przez zaledwie nieco ponad 5 mln osób. Czyli nie spotkamy tu prawie nikogo, będzie pachnieć sosnową żywicą i ukoi nas cisza. Zrobiłam sobie postój na obiad w sezonowej restauracji Lippa ukrytej pomiędzy drzewami. Europę męczyła właśnie fala upałów, która w okrojonym wydaniu dwudziestu paru stopni dotarła także i tutaj. Jak ciepło, sapali oszomieni temperaturą Finowie, chłodzący się pod fikuśnymi parasolami restauracyjnego ogródka. Było już po Juhannusie, czyli hucznie obchodzonym w Finlandii święcie przesilenia letniego, które wyznacza początek wakacji.

Muszę teraz wspomnieć o jokamiehenoikeus, czyli o unikatowym fińskim prawie umożliwiającym zarówno mieszkańcom, jak i turystom nieograniczony dostęp do fińskiej przyrody – zbierania runa leśnego, wędkowania, biwakowania na dziko, przemieszczania się i korzy-





Moim ulubionym,
bo słodkim kioskiem,
jest Jugge, czyli jogurt
w slangowym fińskim



Majamaja
w dosłownym
tłumaczeniu to
mała chatka.
Za oknem tylko
falujący Bałtyk

stania z natury na terenie całego kraju bez względu na to, czy jest to państwo-wa czy prywatna ziemia. Prawo to stanowi ważny element fińskiej tożsamości narodowej. Finowie skwapliwie z niego korzystają, zbierając dzikie grzyby, maliny, poziomki lub jagody. Z tych ostatnich są wyjątkowo dumni. Ciasto z jagodami, czyli mustikkapiirakka, można zjeść przez cały rok praktycznie wszędzie. Pod tą nazwą kryje się zarówno zwykłe ciasto ucierane z jagodami w środku, jak i tarta na kruchym spodzie wypełniona serowo-budyniowym kremem z dużą ilością jagód. Najsłynniejsze w Helsinkach podaje się w starej szopie rybackiej z 1887 roku, czyli urokliwym czerwonym domku Cafe Regatta, niedaleko pomnika fińskiego kompozytora Sibeliusa, tuż nad brzegiem morza w dzielnicy Töölö.

Jak tłumaczy mi Gabriela Maczkowiak, Polka, która pracuje jako główna cukierniczka w Layers Bakery w Helsinkach, sezon na jagody zaczyna się później niż u nas, bo w sierpniu. W lasach jest wtedy zatręśnienie owoców, z których robi się dosłownie wszystko – od kosmetyków po lody, przerabia na dżemy i soki oraz mrozi na potęgę. Gabi zapowiada, że w tym roku jagody w Layers trafią do przeróżnych słodkości, w planach ma m.in. jagodowy flan z kremem patissiere obsypany jagodami.



BASIA STARECKA

– dziennikarka, autorka bloga Nakarmiona Starecka, na którym opisuje swoje przygody kulinarne i podróżnicze. Obecnie pracuje nad książką o Finlandii

KIOSK Z RESTAURACJĄ

W Helsinkach ścieżek i tras rowerowych jest dokładnie 1,2 tys. km, więc praktycznie można z niego nie schodzić, a nawet jeździć w kółko, za dnia i nocą, bo słońce latem prawie nie zachodzi i jest jasno. W dodatku, w razie gumy czy innej usterki, można skorzystać z bezpłatnego serwisu rowerowego w centrum miasta. Pracująca w nim obsługa ma za zadanie nauczyć rowerzystę samodzielnej naprawy dwuśladu. Wręczy rękawiczki, odpowiednie narzędzia i poinstruuje krok po kroku, podając w razie czego również swoją pomocną dłoń. W Helsinkach działa rozbudowana sieć rowerów miejskich, tygodniowy abonament kosztuje jedynie 10 euro, warto więc postawić na taki ekologiczny sposób zwiedzania miasta. Zwłaszcza że z wyspy na wyspę wiodą malownicze mosty – od urokliwych i zarośniętych zielenią drewnianych kładek po najbardziej nowoczesne jak ten otwarty w zeszłym roku, równie długi co sama jego nazwa: Kruunu-uorensilta. To na razie rekordzista, naj-

dłuższy i najwyższy w kraju, przeznaczony dla ruchu bezsamochodowego. Z rowerem można nawet do restauracji, skoro od paru sezonów znalazły one miejsce w nietypowych kioskach.

Pierwsze pojawiły się w latach 30. ubiegłego wieku, jednym z najstarszych, z którego przez okienko można kupić kawę czy gofry, jest Puukioski Munkkiniemi z 1939 r., tuż obok domu i pracowni słynnego fińskiego projektanta Alvara Aalto, z ogródkiem roztawionym przy samych torach tramwajowych. Ale są i takie z bardziej rozbudowanym menu, jak np. Brera w pięknej i nobliwej dzielnicy Eira serwująca włoskie specjały. Ruch z kiosku wylewa się tu aż na ulice, szczególnie gdy do jedzenia przygrywa jazzowa kapela, aż trudno uwierzyć, że źródło całego zamieszania bije w mikroskopijnym okienku. Moim ulubionym, bo słodkim kioskiem, jest Jugge, czyli jogurt w slangowym fińskim, ale w formie lodów podawanych w fantazyjny sposób z sezonowymi owocami i kwiatami oraz w towarzystwie win naturalnych.

Stoi tuż obok fantastycznego muzeum architektury i designu, w którym poza przeglądem projektów Alvara Aalto do listopada br. trwa wystawa „Ucieczka do doliny muminków”. Zdjęcia i artefakty z samotni Tove Jansson, z chatki na wyspie w Zatoce Fińskiej, szczególnie przykuły moją uwagę. Patrząc na jej mökki, i ja zapragnęłam rozejrzeć się za podobnym azylem, synonimem miejsca typowych fińskich wakacji. Tak trafiłam do Majamaja, w dosłownym tłumaczeniu, małej chatki.

SAMOTNIA POŚRODKU MIASTA

Droga prowadziła przez las. Musiałam się przedrzeć przez chaszcze, by ześlizgnąć się ze skarpy na sam koniuszek wyspy Laajasalo, największej z wysp Helsinki. Chatki, bo było ich parę, stały dosłownie na morzu, przeszkloną częścią w kierunku Bałtyku. Kiedy weszłam do mojej, aż zakręciło mi się w głowie. Ogromne okno zastępujące jedną ze ścian oddzielało mnie od wody, która była jednak na tyle blisko, że chatka zdawała się po niej płynąć. W oknie, poza falującym Bałtykiem, w zasadzie nie działo się nic. Od tej pory byłam już zupełnie sama, nie licząc ptasiego towarzystwa, które okazało się równie zajmujące. Rozpoznałam parę znajomych sylwetek, m.in. gęsi, które codziennie całą rodziną pokonywały przestrzeń mojego okna z prawej do lewej na śniadanie, a potem z lewej do prawej na kolację.

Ja również musiałam zadbać o apro wizację. Wycieczka do najbliższego sklepu zajmowała mi godzinę. Po drodze nie spotykałam nikogo poza robotami na kółkach, które dzielnie zasuwały z zakupami zamówionymi przez aplikację. W jednej ze ścian chatki, poza prysznicem i suchą toaletą, ukryta była nowoczesna kuchnia, w której mogłam przygotować sobie posiłki. Wszystko w Majamaja przemyślane było w najdrobniejszych szczegółach. Od niezależnego od sieci energetycznej magazynowania energii słonecznej i wietrznej do gromadzenia wody deszczowej i morskiej. Po miesiącu spędzonym w Helsinkach przyjemnie zdziaczałam od fińskiego szczęścia. Dostałam w prezencie ciszę i spokój. Udało mi się też znaleźć autora tamtego listu. Zaprosił mnie nawet do swojej kuchni i specjalnie coś dla mnie ugotował. Będziemy do siebie pisać listy. Ale to już temat na kolejną opowieść, bo nie na wszystkie pytania mam jeszcze odpowiedzieć. ▲

14-15-16.08

Olsztyn green festival

NA WARMII I MAZURACH



VITO BAMBINO

KACPERCZYK

KAYAH

PEZET

ARTUR ROJEK

SISTARS

SOKÓŁ

GRZEGORZ TURNAU

ZALEWSKI

BASS ASTRAL

HUBERT.

IGO

RALPH KAMINSKI

KASIA LINS

JOHN PORTER

KASIA SIENKIEWICZ



MERY SPOLSKY

VOO VOO

A —→ Z

MISIA FURTAK · HELA · BARTEK KRÓLIK · OFELIA · PRZEBIŚNIEGI · RUNFORREST

SONBIRD · THE CASSINO · ZABŁOCKI/MOZIL · PIOTR ZIOŁA

3 SCENY, 30 KONCERTÓW, TEATRY I STAND-UPY NAD JEZIOREM UKIEL

POCZUJ LATO! 😊



W RYTMIE FESTIWALU

ING



eprasa.pl 97bfb20494

